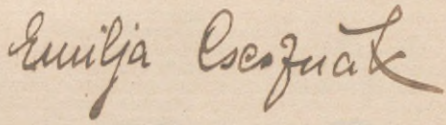
R G B WH GR BL Grey Scale #13 C M Y K
Part Code ST1316
DANES-PICTA.COM
A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19
Colour Chart #13
Blue Cyan Green Yellow Red Magenta White 3/Color Black
Inches Centimetres
DANES-PICTA.COM

DZIEŁA·FRYDERYKA ·NIETZSCHEGO·



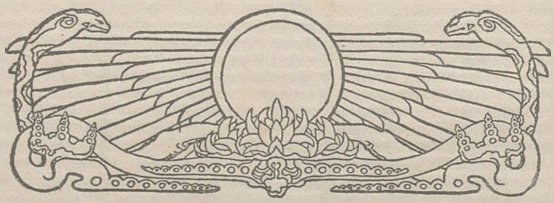
DZIEŁA · FRYDERYKA · NIETZSCHEGO ·





DZIEŁA FRYD. NIETZSCHEGO

W PRZEKŁADZIE WACŁAWA BERENTA, KONRADA DRZEWIECKIEGO, LEOPOLDA STAFFA I STANISŁAWA WYRZYKOWSKIEGO WYDAŁ JAKÓB MORTKOWICZ.



WARSZAWA MCMVIII

FRYDERYK NIETZSCHE

TAKO RZECZE ZARATUSTRA

KSIĄŻKA DLA WSZYSTKICH I DLA NIKOGO

PRZEŁOŻYŁ WACŁAW BERENT



NAKŁAD JAKÓBA MORTKOWICZA

30878/2

KRAKÓW — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.



Wydanie drugie przejrzane i ponownie porównane z oryginałem.

Portret Fryderyka Nietzschego w akwaforcie wykonał oraz ozdoby rysował Franciszek Siedlecki.

PRZEDMOWA

DO DRUGIEGO WYDANIA DZIEŁ FRYDERYKA NIETZSCHEGO.

Po upływie trzech lat zapowiedziane prospektem wydawnictwo XII tomów przekładu dobiega końca. Co gdzieindziej dokonano przy materyalnej pomocy instytucyi naukowych i oficyalnych, przy moralnem poparciu kół szerszych, stanęło u nas, jak zwykle, dzięki odosobnionym wysiłkom i niejako wbrew jawnej opinii. Bo gdy po szerokim świecie duch tych książek przechodzi jak twardy lemiesz, wrzynający się głęboko w duchową glebę wszystkich narodów, gdy po obczyznach zastanawiają się nad polską tego ducha genezą, kulturalnem oraz rodowem jego pochodzeniem, — właśnie polskie poważniejsze wydawnictwa spłacały swój dług wobec przekładu suchem, bibliograficznem notowaniem tomów.

Mimo tych przeszkód wyczerpały się nieoczekiwanie pierwsze tomy wydawnictwa. Czy nie jest to czasami objaw już znamienny?

Czy od jednostek nie uczą się już szersze koła sięgać poza informacye prasy i poza rutyniczne konjunktury zwykłych nakładów. Czy te głębsze potrzeby polskiego czytelnika nie dojrzały już zdala od wpływów prasy, zdala nawet od jawności powszechnej? Zaś ten głębszy nurt zmąconego na powierzchni życia skazany jest najwidoczniej na samorzutną oryentacyę, skoro nawet pisma, poświęcone nauce, które z natury rzeczy winny były okazać żywsze zainteresowanie się wydawnictwem, odniosły się doń z tak zdumiewającą obojętnością.

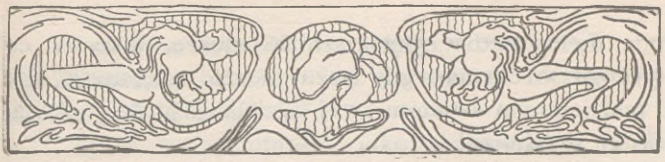
Tomy wydawane obecnie w drugim nakładzie, zostały po raz drugi przejrzane i porównane z oryginałem. Co się tyczy używania słów często nawet nie starych, lecz tylko wycofanych z pospolitego obiegu, odsyłamy niezadowolonych do Brueckner a »*Dziejów języka polskiego*«, gdzie te usiłowania współczesnych pisarzy znalazły największe zrozumienie i najpoważniejszą aprobatę. Ustępy prozy poetyckiej o zamierzeniu w oryginale jawnie archaizującem musiały otrzymać polski równoważnik zarówno w tem, jak i w rytmice zdania. Nie tu miejsce na motywy, dla których to i owo po-

wiedzenie zostało użyte i zachowane. Stało się niejednokrotnie po przedyskutowaniu wielu ustępów i wyrażeń pomiędzy tłumaczami.

W tym ogromie pracy tomów kilkunastu, przy tylu twardych orzechach do zgryzienia, znaleźć się muszą oczywiście i miłe ziarnka dla niechętnych: znaleźć się muszą i usterki. Może równoważą je szczęśliwe w wielu miejscach rozwiązania trudności; dzięki właściwościom języka polskiego szczęśliwsze niekiedy, niźli u tłumaczy na inne języki europejskie.

Długowieczną jest treść przełożonych tu książek, długie lat dziesiątki oddziaływać one będą i na naszą umysłowość. Będzie więc dosyć czasu i na bezstronną ocenę przekładu. Zdają sobie z tego sprawę tłumacze.

W. B.



I.

Gdy Zaratustra trzydziestu lat dożył, opuścił kraj swój i jezioro ojczyste i poszedł w góry. Tu radował się duchowi swemu i samotności swej, a dziesięć lat tak żyjąc, nie umęczył się niemi. Wreszcie przemieniło się serce jego, — i pewnego zaranku wstawszy wraz z jutrznią, wystąpił przed słońce i tak rzekł do niego:

— Światłości ty olbrzymia! czemżeby było twe szczęście, gdybyś nie miała tych, komu jaśniejesz?

Dziesięć lat wchodziłaś tu do mej jaskini; znużyłabyś się i jaśnieniem swem i drogą swą beze mnie, bez mego orła i bez węża mego.

Lecz my oto oczekiwaliśmy ciebie każdego zaranku, i biorąc nadmiar światła twego, błogosławiliśmy cię za to.

Spojrzyj! Jam jest umęczony mą mądrością, jako pszczoła, co za wiele miodu zebrała; pożądam rąk, któreby się po nią wyciągnęły.

Pragnąłbym rozdarowywać i obdzielać, aż póki mądrych pośród ludzi nie uraduje ponownie własne szaleństwo, a ubogich własne bogactwo.

Lecz nato w głębię znijść muszę, jako ty co wieczór to czynisz, gdy poza morze zstępujesz, aby i podziemnym światom swej udzielić jasności, — światło ty przehojne!

Oto muszę, jako ty, zajść, wedle ludzkiego nazwania, znijść ku tym, których wola ma pożąda.

Pobłogosławże ty mnie, wejrzenie spokojne, co nawet na nadmiar szczęścia bez zawiści patrzeć możesz!

Błogosław kielich przepełniony, aby złotemi rozpłynął się strugi i twej świetności odblask wszędzie poroznosił.

Spojrzyj! kielich ten chce znowu być opróżnion, i Zaratustra chce znów być człowiekiem.

— Tak się poczęło znijście Zaratustry.

2.

Zaratustra zstępował samotny z gór, nie spotykając po drodze nikogo. Gdy jednak w las się zanurzył, stanął nagle przed nim starzec, co opuścił chatę swą świętą, aby korzonków szukać po lesie. I rzekł starzec do Zaratustry temi słowy:

— Nie jest mi obcy ten wędrowiec; przed laty przechodził on tędy. Zaratustrą zwie się; jednakże przeobraził się on.

Wonczas niosłeś swój popiół w góry; chceszże dzisiaj swój ogień nieść w doliny? Nie obawiasz się kary podpalacza?

O tak, poznaję Zaratustrę! Czyste jest jego oko, a wokół ust jego nie czai się wstręt. Czyż nie stąpa on jako tancerz?

Przeobrażony jest Zaratustra, dziecięciem stał się Zaratustra, ocknięty jest Zaratustra. I czegóż ty chcesz pośród śpiących?

Żyłeś w samotności, jako w morzu, i morze niosło ciebie. Biada, chceszże teraz na ląd stąpić? Biada, chceszże znowu o własnych siłach wlec swe ciało?

Zaratustra odparł: — Kocham ludzi.

— Czemuż, rzekł starzec, usunąłem się i ja niegdyś w lasy i w głusz samotną? Czyż nie dlatego, żem ludzi nazbyt ukochał?

Teraz miłuję Boga, nie kocham ludzi. Człowiek jest rzeczą zbyt niedoskonałą. Miłość ku ludziom zabiłaby mnie.

Zaratustra odparł: — Cóżem ja o miłości mówił! Niosę ludziom dar.

— Nie dawaj im nic, rzekł święty. Raczej ujmij im nieco i dźwigaj z nimi społem. Tem najbardziej im wygodzisz: obyś sobie jeno tem dogodził!

A jeśli chcesz ich koniecznie obdarzać, nie dawaj więcej nad jałmużnę i każ im jeszcze żebrać o nią!

— Nie, odparł Zaratustra, nie dawam jałmużny. Nie jestem nato dosyć ubogi.

Święty zaśmiał się z Zaratustry i rzekł w te słowa: — Bacz więc, aby przyjęto twe skarby! Nieufni są oni względem samotników i nie wierzą, abyśmy przychodzili, by obdarzać.

Kroki nasze dźwięczą im zbyt samotnie po pustych ulicach. A gdy po nocy w swoich łożach, na długo przed wschodem słońca czyjeś kroki zasłyszą, pytają wówczas: dokąd zmierza ten złodziej?

Nie chodź do ludzi, pozostań w lesie! Udaj się

raczej do zwierząt! Czemu nie chcesz być jako ja, — niedźwiedziem pośród niedźwiedzi, ptakiem pośród ptaków?

— I cóż robi święty w lesie? — zapytał Zaratustra.

Święty odparł: — Pieśni składam i śpiewam je, a gdy pieśni składam śmieję się i płaczę i pomrukuję z cicha: tak Boga chwalę.

Śpiewem, płaczem, śmiechem i pomrukiem chwalę Boga, który jest moim Bogiem. Lecz cóż to niesiesz ty nam w darze?

Gdy Zaratustra te słowa usłyszał, pokłonił się świętemu i rzekł: «Czemże was mógłbym ja obdarzyć? Pozwólcie mi jednak odejść czemprędzej, abym wam czego nie odebrał!« — I tak oto rozstali się ze sobą starzec i mąż, śmiejąc się jako dwa żaki.

Gdy Zaratustra sam pozostał, rzekł do swego serca: — Czyżby to było możliwe! Wszak ten święty starzec nic jeszcze w swem lesie nie słyszał o tem, że B ó g j u ż u m a r ł! —

3.

Gdy Zaratustra zaszedł do najbliższego miasta, co u skraju lasów leżało, znalazł tam wiele ludu, zgromadzonego na rynku, gdyż było obwieszczone, iż linoskok da widowisko. I Zaratustra tak rzekł do ludu:

— J a w a s u c z ę n a d c z ł o w i e k a. Człowiek

jest czemś, co pokonanem być powinno. Cóżeście uczynili, aby go pokonać?

Wszystkie istoty stworzyły coś ponad siebie; chcecież być odpływem tej wielkiej fali i raczej do zwierzęcia powrócić, niźli człowieka pokonać?

Czemże jest małpa dla człowieka? Pośmiewiskiem i sromem bolesnym. I temże powinien być człowiek dla nadczłowieka: pośmiewiskiem i wstydem bolesnym.

Przebyliście drogę od robaka do człowieka, i wiele jest w was jeszcze z robaka. Byliście niegdyś małpami i dziś jest jeszcze człowiek bardziej małpą, niźli jakakolwiek małpa.

Kto zaś jest pośród was najmędrszym, ten jest dwurodkiem i mieszańcem rośliny i upiora. Mówięż ja wam, byście się upiorami lub roślinami stali?

Patrzcie, ja wam wskazuję nadczłowieka!

Nadczłowiek jest treścią ziemi. Wasza wola niech rzeknie: nadczłowiek niech będzie ziemi treścią!

Zaklinam was, bracia, pozostańcie wierni ziemi i nie wierzcie tym, co wam o nadziemskich mówią nadziejach! Truciciele to są, wiedni czy nieświadomi!

Wzgardziciele to ciała, wymierający i sami zatruci, którymi ziemia się umęczyła; obyż się prędzej precz wynieśli!

Niegdyś było bluźnierstwo Bogu największem zuchwalstwem, lecz Bóg umarł, a z nim zmarli i ci bluźniercy. Ziemi bluźnić jest rzeczą najstraszniejszą, jako też cenić bardziej wnętrzności niezbadanego, niźli treść tej ziemi!

Niegdyś spoglądała dusza wzgardliwie na ciało; naonczas była ta wzgarda czemś najwyższem; chciała

mieć dusza ciało chudem, wstrętnem, zagłodzonem. Mniemała, iż się ciału i ziemi tak oto umknie.

O, ta dusza była sama jeszcze chuda, wstrętna i zagłodzona, i okrucieństwo było rozkoszą tej duszy!

Lecz wy nawet jeszcze, bracia moi, powiedzcież wy mnie: co wam ciało wasze o duszy waszej zwiastuje? Nie jestże wasza dusza ubóstwem i brudem i żałosną błogością?

Zaprawdę, brudnem stworzeniem jest człowiek. Trzeba być morzem, aby brudne strumienie w siebie przyjmować i samemu się nie zakalać.

Patrzcie, ja was uczę nadczłowieka: ten jest morzem, w nim wasza wielka wzgarda zatonąć zdoła.

Co jest największem z ducha, czego wy doświadczyć możecie? Jest to godzina wielkiej wzgardy. Godzina, w której wasze szczęście wstrętem was przejmie, zarówno jak rozum wasz, oraz cnota wasza.

Godzina, kiedy powiecie: »I cóż z mego szczęścia! Jest ono ubóstwem i brudem i żałosną błogością. Lecz me szczęście powinno samo istnienie usprawiedliwiać!«

Godzina, kiedy powiecie: »I cóż z mego rozumu! Pożądaż on wiedzy, jako lew karmu? Ubóstwem jest on i brudem i żałosną błogością!«

Godzina, kiedy powiecie: »I cóż z mej cnoty! Jeszcze mnie ona o szaleństwo nie przyprawiła. Jakżem umęczony swem złem i dobrem! Wszystko to — ubóstwo i brud i błogość żałosna!«

Godzina, kiedy powiecie: »I cóż z mej sprawiedliwości! Nie baczę, abym się żarem i węglem stał. Lecz sprawiedliwy jest żarem i węglem!«

Godzina, kiedy powiecie: »I cóż z mego współczucia! Nie jestże współczucie krzyżem, do którego

przygwożdżony zostaje ten, co ludzi ukochał? Lecz me współczucie nie jest ukryżowaniem«.

Mówiliście już tak? Krzyczeliście już tak? Och, gdybym ja od was już takie zasłyszał wołania!

Nie grzechy wasze — wasze przestawanie na małem woła do nieba, wasze skąpstwo nawet i w grzechu, oto co woła do nieba!

Gdzież jest ten piorun, któryby was liznął swym językiem? Gdzież jest ten obłęd, któryby wam zaszczepić należało?

Patrzcie, ja was uczę nadczłowieka. On jest tym piorunem, on jest tym obłędem! —

Gdy Zaratustra tak zakończył, krzyknął jeden z ludu: »Słyszeliśmy już dosyć o linoskoku, pokażcież nam go wreszcie!« I lud cały śmiał się z Zaratustry. Jakoż linoskok, sądząc, że na niego przyszła kolej, imał się swego dzieła.

4.

Zaratustra jednak spoglądał na lud i dziwił się. Poczem rzekł temi słowy:

Człowiek jest liną rozpiętą między zwierzęciem i nadczłowiekiem, — liną ponad przepaścią.

Niebezpieczne to przejście, niebezpieczne podróże, niebezpieczne wstecz poglądanie, niebezpieczne trwożne zachwianie i zatrzymywanie się.

Oto co wielkiem jest w człowieku, iż jest on mostem, a nie celem; oto co w człowieku jest umiłowania godnem, że jest on przejściem i zanikiem.

Kocham tych, którzy żyć nie umieją inaczej jeno zachodząc, albowiem oni są tymi, którzy przechodzą.

Kocham wielkich wzgardzicieli, gdyż to są wielcy wielbiciele i strzały tęsknoty na brzeg przeciwny.

Kocham tych, którzy nie szukają aż poza gwiazdami powodów, aby zaniknąć i ofiarą się stać, lecz ziemi się ofiarują, aby ziemia własnością nadczłowieka kiedyś się stała.

Kocham tego, który żyje, aby poznawał, i który poznawać chce, aby kiedyś nadczłowiek żył. Tako pragnie on swego zaniku.

Kocham tego, który pracuje i odkrycia czyni, aby nadczłowiekowi dom wystawił, oraz mierzwę, zwierzę i roślinę jemu zgotował: gdyż tako chce on swego zaniku.

Kocham tego, który cnotę swą kocha: gdyż cnota jest wolą zaniku i strzałą tęsknoty.

Kocham tego, który ani kropli ducha sobie nie pozostawia, lecz chce być całkowicie duchem swej cnoty: tako przekracza on most jako duch.

Kocham tego, co ze swej cnoty czyni skłonność ducha i przeznaczenie własne: i tako kwoli swej cnoty chce żyć jeszcze i przestać już żyć.

Kocham tego, co nie chce zbyt wiele cnót posiadać. Jedna cnota jest większą cnotą niźli dwie, albowiem bardziej staje się onym węzłem, na którym zawiesza się przeznaczenie.

Kocham tego, czyja dusza udziela się rozrzutnie, który podzięki nie chce i nie zwraca: gdyż on obdarza ustawicznie, a siebie zachować nie pragnie.

Kocham tego, który wstydzi się, gdy kości jemu na szczęście padną i pyta: — zalim jest fałszywym graczem? — gdyż on zaginąć chce.

Kocham tego, który złotemi słowy swe czyny uprzedza i zawsze więcej dotrzymuje, niźli był obiecał: gdyż on swego zaniku pragnie.

Kocham tego, co przyszłych usprawiedliwia i przeszłych wyzwala: gdyż on chce od współczesnych zaginąć.

Kocham tego, co Boga swego gromi, ponieważ Boga swego kocha: gdyż on od gniewu swego Boga zaginąć musi.

Kocham tego, czyja dusza jest głęboką, nawet poranioną będąc, i którego drobne nawet przejście zgubić może: gdyż chętnie przez most on przechodzi.

Kocham tego, czyja dusza jest przepełna, tak iż samego siebie człowiek zapomina i tylko rzeczy wszystkie życie w nim mają: gdyż rzeczy wszystkie zanikiem jego będą.

Kocham tego, co wolnego jest ducha i wolnego serca; głowa takiego jest tylko trzewiem serca, serce wszakże prze go ku zagładzie.

Kocham tych wszystkich, co są jako ciężkie krople, spadające pojedyńczo z ciemnej chmury, zawisłej nad człowiekiem: zwiastują one błyskawicę i jako zwiastuny giną.

Patrzcie, jam jest zwiastunem błyskawicy, jam jest ciężką kroplą z chmury: ta błyskawica zwie się n a d c z ł o w i e k i e m.—

5.

Gdy Zaratustra wyrzekł te słowa, spojrzał na lud wokół i zamilkł. »Oto stoją głusi, — rzekł do

swego serca, — i oto śmieją się: nie rozumieją mnie Jam nie jest językiem dla tych uszu.

Czyżby należało wprzódy uszy im poniszczyć, aby się nauczyli słuchać oczami? Czyżby oczekiwali, bym brutalne łoskoty czynił jako odpustowe kotły lub kaznodzieje pokutni? Lub może ufają tylko jąkałom?

Wszakże mają coś, z czego się pysznią. Jakże zwie się to, co ich tak dumnymi czyni? Wykształceniem zwą ten skarb duszy swojej; toć ono wyróżnia ich od pasterzy kóz.

A więc dlatego tak niechętnie słuchają słowa »wzgarda». Niechajże i tak będzie: — przemówię i ja do ich dumy.

Będę im mówił o czemś najgodniejszem pogardy, będę im mówił o ostatnim człowieku«.

I Zaratustra w te słowa zwrócił się do ludu:

Czas, by człowiek cel sobie wytknął. Czas, by zasiał ziarno swej najwyższej nadziei.

Jeszcze ziemia dość bogata, lecz przyjdzie czas, gdy się stanie tak biedna i oswojona, że z tego ziarna nadziei żadne wyższe drzewo już nie wyrośnie.

Biada! Zbliża się czas, gdy człowiek niezdolny będzie wyrzucić strzały tęsknoty ponad człowieka, gdy zwiotczeje cięciwa łuku jego!

Powiadam wam, trzeba mieć chaos w sobie, by porodzić gwiazdę tańczącą. Powiadam wam: wiele chaosu jest jeszcze w was.

Biada! Zbliża się czas, gdy człowiek żadnej gwiazdy porodzić nie będzie zdolen. Biada! Zbliża się czas po tysiąckroć wzgardy godnego człowieka, — człowieka, co nawet samym sobą już gardzić nie zdoła.

Patrzcie! wskazuję wam ostatniego człowieka.

»Czem jest miłość? Czem jest twórczość? Czem tęsknota? Czem gwiazda?« — tak pyta ostatni człowiek i mruży wzgardliwie oczy.

Ziemia się skurczyła, a po niej skacze ostatni człowiek, który wszystko zdrabnia. Rodzaj jego jest nie do wytępienia, jako pchła ziemna; ostatni człowiek żyje najdłużej.

»Myśmy szczęście wynaleźli« — mówią ostatni ludzie i mrużą niedbale oczy.

Opuścili okolice, gdzie życie twarde było: gdyż ciepła potrzeba. Kocha się jeszcze sąsiada i trze się o niego; — gdyż ciepła potrzeba!

Cierpienie i nieufność uchodzą za rzeczy grzeszne: ostatni człowiek baczy troskliwie na siebie. Głupiec chyba tylko potyka się jeszcze o kamienie i o ludzi!

Nieco trucizny kiedy niekiedy: to darzy słodkimi snami. A wkońcu — dużo trucizny, aby mile zemrzeć.

Pracuje się jeszcze, gdyż praca jest rozrywką. Dba się jednak o to, by ta rozrywka nie stała się zbyt uciążliwą.

Nikt już nie jest bogatym ani biednym: jedno i drugie jest zbyt uciążliwe. Któżby jeszcze chciał panować? Któż podlegać? To zbyt uciążliwe.

Żadnego pasterza, sama trzoda! Każdy jest równy, każdy chce działu równego. Kto inaczej czuje, idzie dobrowolnie do domu obłąkanych.

»Dawniej cały świat był obłędny« — mówią najsubtelniejsi i mrużą mądrze oczy.

Jest się mądrym i wie się wszystko, co się zdarzyło, więc w wydrwiwaniu wszystkiego nie zna się

miary. Sprzeczają się jeszcze, lecz godzą się niebawem, gdyż niezgoda psuje żołądek.

Ma się swą przyjemnostkę na dzień i swą przyjemnostkę na czas nocy; lecz zdrowie ceni się nadewszystko.

»Myśmy szczęście wynaleźli« — mówią ostatni ludzie i mrużą oczy. —

Tu zakończył Zaratustra swą pierwszą mowę (zwą ją również i »przedmową«), gdyż w tem miejscu przerwał mu krzyk i radość tłumu: »Daj nam, Zaratustro, tego ostatniego człowieka, — wołali społem — uczyń z nas ostatnich ludzi, a darujemy ci twego nadczłowieka«. Lud cały radował się i mlaskał językiem. Zaratustrę wszakże smutek ogarnął; rzekł do serca swego:

»Nie rozumieją mnie: nie jestem językiem dla tych uszu.

Za długo w istocie żyłem w górach, zanadto wsłuchiwałem się w szelesty drzew i w poszumy strumieni: I oto mowa ma jest dla nich mową pasterzy kóz.

Dusza ma nieporuszona jest i jasna jako wzgórza o poranku. Oni jednak sądzą, żem jest zimny i żem szyderca w żartach okrutnych.

I teraz oto spozierają wciąż na mnie i śmieją się. A śmiejąc się, nienawidzą mnie jeszcze. Lód jest w ich śmiechu«.

6.

Lecz oto wydarzyło się coś, wobec czego wszystkie usta oniemiały i wszystkie oczy słupem stanęły. Linoskok rozpoczął właśnie swe dzieło; wyszedł on z poza małych drzwiczek i posuwał się po linie, rozciągniętej między dwiema wieżami, i tak oto wisiał ponad rynkiem i ludem. Kiedy się w połowie drogi znajdował, roztworzyły się nagle małe drzwi i jakiś pstry urwisz, niby śmieszek jarmarczny, wskoczył na linę i szybkimi kroki zbliżał się do poprzednika. »Naprzód, włóczynogo,— wołał straszny jego głos — naprzód, ciemięgo, czołgaczu, tchórzu! Abym cię piętą nie połechtał! Cóż ty tu marudzisz pomiędzy wieżami? Do wieżyby cię zamknąć należało, lepszemu od siebie drogę tylko zawalasz!« — I z każdem słowem posuwał się bliżej, coraz to bliżej; a gdy już tylko krok jeden oddzielał obu, wówczas stała się rzecz potworna, wobec której wszystkie usta oniemiały i wszystkie oczy słupem stanęły: — błazen wydał wrzask szatański i przeskoczył przez tego, co mu stał na drodze. Ow zaś, widząc zwycięstwo zapaśnika, stracił głowę, a zarazem i linę pod sobą, odrzucił drąg, który trzymał w rękach, a sam, w spadku prędszy od drąga, runął w głębię jako kłębowy wir ramion i nóg. Rynek i lud stał się jako morze, gdy weń nawałnica uderzy; rozpierzchły się tłumy i zafalowały w burzliwym ścisku, najbardziej zaś wokół tego miejsca, gdzie ciało prysło o ziemię.

Zaratustra wszakże stał na miejscu, i tuż koło niego spadło ciało, okaleczone śmiertelnie, połamane, ale jeszcze nie martwe. Po jakimś czasie powrócił zdruzgotany do przytomności i ujrzał klęczącego nad

sobą Zaratustrę. »Czegóż ty tu chcesz? — rzekł wreszcie, — wiedziałem ja dawno, że mi dyabeł nogę kiedyś podstawi. Teraz oto zawlecze mnie do piekła: chcesz że mu wzbraniać?

— Na mą cześć, przyjacielu, niemasz tego wszystkiego, o czem mówisz: niema dyabła, niema piekła. Dusza twa umrze prędzej jeszcze, niźli twe ciało: zbądź więc lęku! —

Człowiek spoglądał nieufnie. »Jeśli prawdę mówisz, — rzekł wkońcu — w takim razie nie tracę nic, tracąc życie. Jestem nieomal jako zwierzę, które nauczono tańczyć kijem i skąpym kęsem«.

— Zaniechaj tych myśli, — odparł Zaratustra, tyś z niebezpieczeństwa uczynił powołanie, tem się nie gardzi. I oto przez swe powołanie giniesz; zato pochowam cię własnemi rękoma. —

Gdy Zaratustra te słowa wyrzekł, konający już nie odpowiadał; lecz poruszała się jeszcze ręka jego i, jakby dziękując, szukała dłoni Zaratustry.

7.

Tymczasem wieczór nadszedł i ciemność zaległa rynek; wówczas rozbiegł się lud, gdyż nawet i ciekawość wraz z przerażeniem nużą się wreszcie. Zaratustra jednak, zatopiony w myślach, siedział przy trupie na ziemi, zapomniał o czasie. Wreszcie nastała noc i mroźny wiatr owiał samotnika. Wonczas podjął się Zaratustra z ziemi i rzekł do swego serca:

»Zaprawdę, piękny połów miał dziś Zaratustra! Człowieka nie złowił ani jednego, natomiast trupa złapał.

Ponure jest istnienie ludzkie i wciąż jeszcze bez ducha: śmieszek jarmarczny stać się dlań może przeznaczeniem.

Chcę ludzi nauczyć ducha ich istnienia, którym jest nadczłowiek, błyskawica z ciemnej chmury: człowiek.

Lecz jeszczem ja od nich daleki, i mój duch do ich ducha nie przemawia. Dla ludzi jestem jeszcze czemś pośredniem między błaznem i trupem.

Ciemna jest ta noc, ciemnemi drogi chadza Zaratustra. Chodźże, ty mój zimny i sztywny towarzyszu! Zawiodę cię tam, gdzie cię własnemi rękoma pochowam«.

8.

Co rzekłszy do swego serca, wziął Zaratustra trupa na plecy i ruszył w drogę. Stu kroków jeszcze nie uszedł, gdy podkradł się do niego człowiek jakiś i począł coś szeptać na ucho, — był to ów śmieszek z wieży. »Uciekaj, o Zaratustro, z tego miasta, — szeptał doń; — zbyt wielu nienawidzi cię tutaj. Nienawidzą cię dobrzy i sprawiedliwi, i zwą cię swoim wrogiem a wzgardzicielem; nienawidzą cię wierzący wiary prawej, i zwą cię niebezpieczeństwem dla tłumu. Całe twe szczęście, że śmiano się z ciebie: i zaprawdę, mówiłeś jako śmieszek. Całe twe szczęście, żeś się do tego zdechłego psa przyłączył; a żeś się

tak poniżył, uratowałeś się jeszcze na dzisiaj. Uchodź jednak precz z tego miasta, gdyż jutro przeskoczę przez ciebie ja, żywy, — przez umarłego«. — Powiedziawszy to, przepadł człowiek; Zaratustra szedł dalej w ciemne zaułki.

U wrót miejskich zaczepili go grabarze: zaświeciwszy pochodnią w twarz, poznali Zaratustrę i szydzili z niego. »Zaratustra wynosi zdechłego psa: pięknie, że Zaratustra stał się grabarzem! Gdyż nasze ręce są, jak na tę pieczeń, za czyste. Pragnież Zaratustra dyabłu kąsek jego ukraść? Powodzenia! I szczęśliwej wieczerzy! Bodaj jednak, że dyabeł lepszym jest złodziejem od Zaratustry! — porwie ich obu, pożre ich obu!« I śmiali się tak społem i szeptali ze sobą.

Zaratustra nie odparł ani słowa i swoją szedł drogą. Gdy tak dwie godziny skrajem lasów i bagien wędrował, za wiele nasłuchał się wycia zgłodniałych wilków, więc i jego głód nawiedził. Zatrzymał się przeto u samotnej chaty, w której płonęło światło.

»Głód mię opada, rzekł Zaratustra, jak zbój. W lasach i na bagniskach opada mię głód i po nocy głębokiej.

Przedziwne kaprysy miewa głód mój. Często po posiłku nawiedza mię dopiero, dziś w ciągu dnia nie przychodził: gdzież bawił on?«

To mówiąc, uderzał Zaratustra we wrota. Wyszedł starzec; światło niósł w ręku i pytał: »Któż to nawiedza mnie i zły mój sen?«

— Żywy i umarły — odparł Zaratustra. — Dajcież mi jeść i pić, zapomniałem o tem za dnia. Kto głodnego karmi, duszę własną orzeźwia: tak mówi mądrość. —

Stary odszedł, powrócił jednak niebawem i częstował Zaratustrę chlebem i winem. »Złe to strony dla zgłodniałych — mówił; dlatego też ja tu mieszkam. Zwierzę i człowiek przychodzi tu do mnie samotnika. Lecz każże jeść i pić towarzyszowi swemu, bardziej on od ciebie znużony«. Zaratustra odparł: »Martwym jest mój towarzysz, trudno go będzie do tego namówić«. — »To mnie nic nie obchodzi — odparł stary mrukliwie; kto do mego domu zapuka, winien przyjmować, czem go ugaszczam. Jedzcież i bywajcie zdrowi!« —

Poczem wędrował Zaratustra jeszcze dwie godziny, zawierzając się drodze i światłu gwiazd: gdyż z nawyknienia był nocnym łazęgą i upodobał był sobie spoglądanie śpiącym w oblicza. Gdy ranek szarzeć począł, znalazł się Zaratustra w głębokim borze, gdzie gubiły się już drogi. Wówczas złożył trupa w dziuplaste drzewo u swego wezgłowia, gdyż pragnął go od wilków uchronić; sam zaś spoczął na ziemi we mchu. Niebawem zasnął, zmęczony ciałem, lecz z nieporuszoną duszą.

9.

Długo spał Zaratustra; nie tylko jutrznia, lecz i przedpołudnie zajrzało w jego oblicze. Wreszcie rozchylił powieki i ze zdziwieniem spojrzał wokół siebie: zadziwił go las i cisza samotna, ze zdziwieniem spojrzał w samego siebie. Poczem zerwał się szybko, jako żeglarz, gdy nagle ląd spostrzeże. Rozradowało się serce jego, gdyż nową prawdę ujrzał. I rzekł wonczas do serca swego:

Nowe wzeszło mi światło: towarzyszy potrzebuję, ludzi żywych, — nie martwych towarzyszy lub trupów, których tam niosę, dokąd zechcę.

Żywych ludzi potrzebuję, którzy dlatego ze mną pójdą, iż taka jest ich wola, by pójść tam, dokąd i ja podążam.

Nowe wzeszło mi światło. Nie do ludu, lecz do towarzyszy niechaj przemawia Zaratustra! Psem trzody, lub jej pasterzem niechaj być nie pragnie!

Wielu z trzody wynęcać — oto do czegom doszedł. Niechaj mnie lud i trzoda nienawidzą. Niech się zwę zbójem u pasterzy.

Pasterzy, powiadam, lecz oni zwą się dobrymi i sprawiedliwymi. Pasterzy, powiadam: lecz oni zwą się wierzącymi wiary prawdziwej.

Patrzcie na tych dobrych i sprawiedliwych! Kogóż oni najbardziej nienawidzą? Tego, kto kruszy tablice ich wartości, tego burzyciela, tego niszczyciela: — ten jednak jest twórcą.

Patrzcie na tych wierzących wszelkich wiar! Kogóż oni najbardziej nienawidzą? Tego, kto kruszy tablice ich wartości, tego burzyciela, tego niszczyciela: — ten jednak jest twórcą.

Towarzyszy szuka twórca, nie trupów, ani trzody, ani wierzących. Towarzyszy w dziele swem twórczem, tych, co nowe wartości na nowych wypiszą tablicach.

Towarzyszy szuka twórca, spółżniwiarzy, gdyż wszystko u niego już do żniwa gotowe. Brak mu jednak stu sierpów; z gniewem wyrywa tedy kłosy.

Towarzyszy szuka twórca, takich towarzyszy, co sierpy swe ostrzyć potrafią. Nazwą ich niszczy-

cielami, wzgardzicielami dobra i zła, lecz ci są, którzy plony żną, ci są, którzy dożynki święcą.

Współtworzących szuka Zaratustra, współżniwiarzy i wespółświętujących. Cóż on ma wspólnego z trzodą, z pasterzami i trupami!

A ty, pierwszy mój towarzyszu, bywaj zdrów! Dobrze pochowałem cię w pustem drzewie, dobrzem od wilków cię ukrył.

Lecz rozstać się nam pora; czas mnie woła. Między dwiema jutrzniami wzeszło mi światło nowej prawdy.

Nie pasterzem mi być, ani grabarzem. Nie będę odtąd nawet do ludu przemawiał: po raz ostatni mówiłem do trupa.

Do tworzących, do żniwiarzy, do tych, którzy plony żną i dożynki święcą, do nich się przyłączę: wskażę im tęczę i wszystkie szczeble nadczłowieka.

Samotnikom pieśń swą zaśpiewam i samowtórom; a kto uszy ma dla niesłychanego, temu serce swojem szczęściem obciążę.

Do celu swego podążam, drogą swą idę. A przez zwlekających, przez niezdecydowanych — przeskoczę. I niechaj ten pochód mój zanikiem ich będzie!

10.

Mówił to Zaratustra do serca swego, gdy słońce na południu stało. Nagle spojrzał pytająco w górę, gdyż usłyszał ostry krzyk ptaka. Patrzy! — oto orzeł ciągnie górą, szerokie zataczając koliska; zawisa na nim wąż, wszakże nie jako łup, lecz jako druch: gdyż owija mu się wokół szyi pierścionnymi kręgi.

— Moje to zwierzęta! — wołał Zaratustra, radując się serdecznie.

»Najmądrzejsze zwierzę pod słońcem i najroztropniejsze zwierzę pod słońcem — na wywiady wyruszyły one.

Wywiedzieć się pragną, zali Zaratustra żyje jeszcze. Zaprawdę, żywięż ja jeszcze?

Niebezpieczniej było mi śród ludzi, niźli pośród zwierząt, niebezpiecznemi drogi idzie Zaratustra. Niechże mię zwierzęta moje wiodą!«

Gdy Zaratustra te słowa wyrzekł, wspomniał nagle na słowa świętego z lasu, westchnął i rzekł do swego serca:

Obym był rozważniejszy! Obym był aż do głębi rozważny, jako wąż mój!

Lecz o niemożebną upraszam ja rzecz: błagam więc mą dumę, aby zawsze szła w parze z mą roztropnością!

A gdy mię ma roztropność opuści, — och, lubi ona odlatywać! — wówczas niech się ma duma z szaleństwem mem poniesie! —

— Tak się poczęło znijście Zaratustry.



MOWY ZARATUSTRY

O TRZECH PRZEMIANACH.

Nazwę wam trzy przemiany ducha: jako duch wielbłądem się staje, wielbłąd lwem; wreszcie lew dziecięciem.

Wiele jest ciężaru dla ducha, dla silnego jucznego ducha, w którym pokora zamieszka: wszystkiego, co ciężkie i najcięższe, pożąda jego siła.

Cóż jest ciężkie? pyta juczny duch i klęka, jako wielbłąd, aby go dobrze obładowano.

Cóż jest najcięższe dla was, bohaterzy? pyta juczny duch, abym to na siebie wziął i radował się sile swej.

Nie jestże to: siebie poniżać, aby swej wyniosłości ból sprawić? Pozwolić świecić swemu szaleństwu, aby módz drwić ze swej mądrości?

Nie jestże to: z własną wonczas rozstawać się sprawą, gdy ona zwycięstwo święcić poczyna. Na wysokie wspinać się góry, aby kusiciela kusić?

Lub może to: żywić się żołędźmi i trawą poznania i w imię prawdy na głód duszy cierpieć?

Lub może to: chorym być, a pocieszycieli odprawiać, z głuchymi przyjaźń zawierać, którzy nigdy nie usłyszą, czego pragniesz?

Lub może to: w brudną leźć wodę, jeśli taką jest woda prawdy, i zimnych żab oraz ropuch gorących nie odpychać od siebie?

Lub może to: kochać tych, co nami gardzą, do upiora rękę wyciągać, gdy ten straszyć nas zechce?

Wszystko to najcięższe bierze na siebie juczny duch i jako wielbłąd, co na pustynię podąża, tako śpieszy i on na swą pustynię.

Lecz na samotnej pustyni dzieje się druga przemiana: lwem staje się tu duch, wolność pragnie sobie złupić i panem być na własnej pustyni.

Ostatniego swego władcy szuka on tutaj: wrogiem chce mu być, jako i Bogu swemu ostatniemu; z wielkim smokiem chce się o zwycięstwo potykać.

Czemże jest ów wielki smok, któremu duch jako panu i Bogu ulegać nie chce? »Musisz« zwie się ów smok. Lecz duch lwa mówi »chcę«.

Złotolśniące »musisz« legło mu oto w poprzek drogi, — łuskowiec, a na każdej łusce lśni się złote: »musisz!«

Tysiącletnie wartości lśnią się na tych łuskach. I tak oto przemawia najpotężniejszy ze wszystkich smoków: »Wszelka wartość rzeczy — ta na mnie błyszczy«.

»Wszelka wartość stworzonąć już jest, a wszelką stworzoną wartością — jam jest. Zaprawdę, nie powinno być więcej »ja chcę!« — Tak mówi smok.

Bracia moi, nacóż potrzeba lwa w duchu? Czemu nie podoła jeszcze zwierzę, co samo w zaparciu i pokorze żyje?

Nowe tworzyć wartości — tego i lew nie dokona; lecz stworzyć sobie wolność nowego tworzenia — temu lwia potęga podoła.

Stworzyć sobie wolność i święte »nie« nawet o obowiązku: nato, bracia moi, lwa potrzeba.

Wziąć sobie prawo do nowych wartości — to najstraszniejszy łup dla jucznego i pokornego ducha. Zaprawdę, łupieżna to sprawa i drapieżnego zwierzęcia rzecz.

Jako swą największą świętość ukochał on niegdyś swe »powinieneś«: teraz oto musi dojrzeć szaleństwo i dowolność nawet i w najświętszem, aby swą wolność miłości swej wydrzeć: lwa do tego rabunku potrzeba.

Lecz powiedzcież mi, bracia, cóż zdoła dziecię, gdzie lew nawet nie podołał? Czemu lew drapieżny dziecięciem stać się jeszcze winien?

Niewinnością jest dziecię i zapomnieniem, jest nowopoczęciem, jest grą, jest toczącym się pierścieniem, pierwszym ruchem, świętego »tak« mówieniem.

O tak, do gry tworzenia, bracia moi, należy i święte »tak« nauczyć się wymawiać: s w o j e j woli pożąda duch, s w ó j świat odnajduje, kto się w świecie zatracił.

Nazwałem wam trzy przemiany ducha: jako duch wielbłądem się staje, wielbłąd lwem, wreszcie lew dziecięciem.

Tako rzecze Zaratustra. — A bawił on wówczas w mieście, zwanem »pstrą krową«.

O KAZALNICACH CNOTY.

Wysławiano przed Zaratustrą mędrca, co dobrze o śnie i o cnotach mówić potrafił. Szanowano go powszechnie i nagradzano obficie; wszystka młodzież zasiadła przed jego kazalnicą. Do niego poszedł Zaratustra i zasiadł wśród młodzieży. A mędrzec tak pouczał:

Cześć dla snu i wstyd przed nim! To jest rzecz główna! Pozatem schodzić z drogi wszystkim, co źle sypiają i po nocach czuwają!

Wstydliwy jest złodziej wobec snu: cicho zakrada się wśród nocy. Bezwstydny jest jednak stróż nocny, bezwstydnie róg swój niesie.

Niemała to sztuka spać: nielada mozół oczekiwać na sen wśród całodziennej jawy.

Dziesięć razy na dzień samego siebie przemódz musisz: to darzy dobroczynnem zmęczeniem i jest makiem dla duszy.

Dziesięć razy z sobą pogodzić się musisz; gdyż samopokonanie jest goryczą; a źle sypia niepogodzony ze sobą.

Dziesięć prawd za dnia posiąść musisz: inaczej prawdy po nocach szukać będziesz i dusza twa głodną pozostanie.

Dziesięć razy na dzień śmiać się musisz i weselić. Jeśli tego nie uczynisz, będzie ci po nocy dokuczał żołądek, ten ojciec przygnębienia.

Niewielu wie o tem: trzeba jednak wszystkie cnoty posiadać, by dobrze spać. Będęż ja dawał fałszywe świadectwo? Będęż cudzołożył?

Będęż pożądał służebnicy bliźniego mego? Wszystko to dobry sen zmącićby mogło.

Nawet gdy się posiada wszystkie cnoty, jeszcze jedną zdobyć trzeba koniecznie: aby wszystkie swe cnoty we właściwym czasie do snu układać.

Aby się między sobą nie kłóciły te miłe kobietki! I to o ciebie, nieszczęsny!

Zgoda z Bogiem i z sąsiadem: tego wymaga dobry sen. Zgoda również z dyabłem sąsiada! Inaczej po nocy straszyć cię będzie.

Zwierzchności cześć i posłuszeństwo. Nawet krętej zwierzchności! Dobry sen tego wymaga. I cóż ja na to poradzę, że władza chętnie krzywo kroczy?

Ten zwie się u mnie najlepszym pasterzem, kto owce swoje na najzieleńsze wyprowadza błonia: to zgadza się z dobrym snem.

Wielkich honorów nie żądam, ani wielkich skarbów: to zapala wątrobę. Źle sypia sie jednak bez dobrego imienia i bez skarbu drobnego.

Małe towarzystwo jest mi milsze od wielkiego. Musi ono jednak przychodzić i odchodzić we właściwym czasie. Tego wymaga dobry sen.

Upodobałem sobie ubogich duchem: oni sen przy-

śpieszają. Błodzy to ludzie, zwłaszcza gdy się im zawsze słuszność przyznaje.

Tak ubiega dzień cnotliwemu. I oto noc się zbliża. Jednak wystrzegam się przyzywać sen! Niewołanym pragnie być ów władca dusz cnotliwych!

Leżę tedy i rozważam, com za dnia czynił i myślał. Przeżuwając cierpliwie jak krowa, pytam się w duchu: jakież to były dziś twe dziesięć pokonań?

Jakież były twe dziesięć pogodzeń się ze sobą! twe dziesięć prawd, dziesięć uśmiechów, którymi zbudowało się serce twe?

Gdy tak oto rozważam, ukołysany czterdziestoma myślami, opada mnie nagle sen, sen niewołany, cnót władca.

Sen uderzył w powieki moje: opadają ciężko. Sen dotknął ust moich: rozchylają się wargi.

Zaprawdę, na miękkich podeszwach zbliża się do mnie ten najukochańszy ze złodziei i kradnie mi myśli moje. I oto głupi stoję przed wami, jako ta kazalnica.

Nie długo jednak tak stoję: oto leżę już. —

Gdy Zaratustra te słowa usłyszał, zaśmiał się w duchu, gdyż nowe światło mu wzeszło. I tak oto rzekł do swego serca:

Błaznem jest mędrzec ten wraz ze swemi czterdziestoma myślami. Sądzę jednak, iż na spaniu zna się znakomicie.

Szczęśliwy, kto mieszka w blizkości takiego mędrca! Taki sen od niego bije, iż przez ścianę grubą zarazić może.

Urok udziela się nawet jego kazalnicy. I niedarmo siedziała młodzież przed tym kaznodzieją cnoty!

Mądrością jego: czuwać, by módz dobrze sypiać. I zaprawdę, gdyby życie żadnego sensu nie miało, a miałbym wśród bezmyślności wybierać, — ta bezmyślność byłaby najbardziej godna wyboru.

Teraz pojmuję jasno, czego szukano, szukając nauczycieli cnoty. Szukano snu dobrego wraz z makowemi cnotami!

Całą wiedzą tych sławionych mędrców z kazalnicy moralności był sen bez snów: lepszego celu w życiu nie znali.

I dziś jeszcze znajdzie się niejeden taki prorok cnoty, aczkolwiek nie zawsze tak uczciwie szczery. Lecz czas ich mija. I niedługo stać będą: oto leżą już.

Błogosławieni są ci senni: albowiem oni zdrzemną się niezadługo. —

Tako rzecze Zaratustra.

O ZAŚWIATOWCACH.

Wyrzucił raz i Zaratustra swój omam poza człowieka, jako wszyscy zaświatowcy to czynią. Dziełem cierpiącego i zamęczonego Boga wydał mi się wówczas świat.

Snem świat mi się wydał i Boga marzeniem; barwistym dymem przed oczyma bosko niezadowolonego.

Dobro i zło, radość i cierpienie, ja i ty — barwnym dymem wydałoć mi się to przed twórczemi oczyma. Chciał Stwórca spojrzenie od siebie precz odwrócić, — i wonczas świat ten stworzył.

Pijana to rozkosz cierpiącego módz odwrócić spojrzenie od swych cierpień i siebie zatracić. Pijaną rozkoszą i samozatraceniem wydał mi się niegdyś świat.

Ten wiecznie niedoskonały, wiecznej sprzeczności obraz, obraz niedoskonały, — pijana rozkosz niedoskonałego twórcy: — oto czem mi się świat niegdyś wydał.

I tak oto wyrzuciłem i ja swój omam poza człowieka, jako wszyscy zaświatowcy to czynią. Poza człowieka — w prawdę?

O, bracia, Bóg, któregom stworzył, był ludzkiem dziełem i obłędem, jako wszyscy bogowie.

Człowiekiem był on, biednym ułomkiem człowieka i jaźni: z własnego popiołu i żaru stworzyłem ten upiór, i zaprawdę, nie nawiedził on mnie z zaświatów!

I cóż się oto stało, bracia moi? Przemogłem siebie, cierpiącego, zaniosłem swój popiół w góry, jaśniejszy wynalazłem sobie płomień. I patrzcie! ustąpił upiór ode mnie.

Cierpieniemby było mi to teraz i męką dla ozdrowiałego w takie wierzyć upiory: cierpieniemby było mi to teraz i poniżeniem. Tako mówię zaświatowcom.

Cierpienieć to było i niemoc — co stworzyło wszystkie zaświaty; i ów krótki obłęd szczęścia, którego zaznaje tylko cierpiący.

Znużenie to było, co jednym skokiem chciało dotrzeć do ostatnich krańców, krokiem śmiertelnym; biedne, w niewiedzy pozostające, znużenie, co nawet już chcieć nie chce: ono to stworzyło bogów i zaświaty.

Wierzajcie mi, bracia moi! Ciało to było, co o ciele zwątpiło, — ono to palcami ogłupiałego ducha macało po ostatnich ścianach.

Wierzajcie mi, bracia moi! Ciało to było, co o ziemi zwątpiło, — ono to słyszało, jako brzuch bytu doń przemawia.

Ono to chciało przebić głową ostatnie mury, i przedostać się nietylko głową — poza nie w »tamten świat«.

Lecz »tamten świat« dobrze jest ukryty przed człowiekiem, ów odczłowieczony, nieczłowieczy świat; zaś żywot bytu wcale do człowieka nie przemawia, chyba że czyni to jako człowiek.

Zaprawdę, trudno jakiegokolwiek bytu dowieść i trudno do przemówienia go zmusić. Powiedzcież mi, bracia, czyż z rzeczy wszelkich najcudowniejsza nie jest jeszcze najlepiej dowiedziona?

Tak, to »ja« i tego »ja« sprzeczność i zawrotność cała mówi jeszcze najrzetelniej o swym bycie, to twórcze, chcące, wartości nadające »ja«, które jest miarą i wartością rzeczy.

A ten byt najrzetelniejszy, to »ja« — ono mówi o ciele i ciała chce nawet wówczas, gdy marzy, po błękitach buja i połamanemi skrzydły łopocze.

Coraz rzetelniej mówić się uczy to »ja«: zaś im więcej się uczy, tem więcej znajduje słów i chwał dla ciała i ziemi.

Nowej dumy uczyło mnie me »ja«, jej to ludzi uczę: nie wtykać nadal głowy w piasek rzeczy niebieskich, lecz wznosić ją wolno: głowę ziemską, co ziemską stwarza treść!

Nowej woli uczę ja ludzi: tej chcieć drogi, którą dotychczas naoślep człowiek chadzał, uznawać ją za dobrą i nie przemykać się nadal bocznemi ścieżki, jako to czynią chorzy i zamierający!

Chorzy to byli i zamierający, co wzgardzili ciałem i ziemią i wynaleźli rzeczy niebiańskie oraz zbawcze krople krwi: lecz nawet i te słodkie, a ponure trucizny zaczerpnęli wszak z ciała i ziemi!

Niedoli swej umknąć się dziś chcieli, a gwiazdy były im za dalekie. Wzdychali przeto: »O, gdybyż były drogi niebiańskie, któremiby można było się

przekraść w inny byt i szczęście!« — wówczas wynaleźli sobie swe ścieżki kręte i napitki krwawe!

Marzy się im, niewdzięcznikom tym, że się ciała i ziemi wyzbyli. Lecz czemuż zawdzięczają oni dreszcz i błogość tego wyzbycia się? Ciału swemu i ziemi tej.

Łagodnym jest Zaratustra względem chorych. Zaprawdę, nie złorzeczy on ich sposobom pocieszania się i niewdzięczności. Obyż się oni ozdrowiałymi stali, przemagającymi i oby wyższe stworzyli sobie ciało!

Nie złorzeczy też Zaratustra ozdrowiałemu, gdy się za swym omamem tkliwie obziera, i gdy się o północy wokół grobu swego Boga skrada: lecz chorobą i chorem ciałem są dla mnie nawet i łzy jego.

Wiele chorego ludu bywało zawsze wokół tych, co poezye tworzą i żądni Boga są: zawziętą pałają oni nienawiścią przeciw poznającemu i przeciw tej najmłodszej cnocie, która zwie się: rzetelność.

Wstecz spoglądają oni zawsze ku ciemnym czasom: wonczas były oczywiście i szał, i wiara czemś innem; miotanie się rozumu było bogupodobieństwem, a wątpienie grzechem.

Zbyt dobrze znam ja tych bogupodobnych: chcą oni, aby w nich wierzono, i aby wątpienie grzechem było. Zbyt dobrze wiem też, w co oni sami najgłębiej wierzą.

Zaprawdę, nie w zaświaty i wyzwalające krwi krople: w ciało wierzą i oni najbardziej, zaś własne ciało jest dla nich rzeczą samą w sobie.

Lecz zarazem schorzałą rzeczą jest ono dla nich: chętnieby więc ze skóry wyleźli. Przeto radzi słuchają kaznodziei śmierci i sami każą o zaświatach.

Słuchajcież raczej, bracia moi, głodu zdrowego ciała: rzetelniejszy i czystszy to głód.

Rzetelniej mówi czyste i zdrowe ciało, ciało doskonałe i udałe: a ono o treści ziemi powiada. —

Tako rzecze Zaratustra.



O WZGARDZICIELACH CIAŁA.

Gardzicielom ciała chcę słowo swe rzec. Nie nato wszakże, aby siebie lub innych oduczali, lecz aby ciału swemu »bywaj zdrowe!« rzekli — i tak oniemieli.

»Ciałem jestem i duszą« — mówi dziecko. I dlaczegóżby nie należało mawiać jako dzieci?

Lecz człek ocknięty i uświadomiony rzecze: ciałem jestem nawskroś i niczem ponadto; zaś dusza jest tylko słowem na coś do ciała należącego.

Ciało jest wielkim rozumem, mnogością o jednej treści, jest wojną i pokojem, jest trzodą i pasterzem.

Narzędziem twego ciała jest twój mały rozsądek, bracie mój, który zwiesz »duchem«, narzędziem jest on i igraszką twego wielkiego rozumu.

»Ja« powiadasz i chełpisz się z tego słowa. Lecz rzeczą większą — w co wierzyć nie chcesz — jest twe ciało i jego wielki rozum: ono nie mówi: »ja«, ono »ja« czyni.

Co zmysł wyczuwa, co duch poznaje, nigdy temu końca niemasz. Lecz zmysł i duch przekonaćby cię rade, iż one to są końcem rzeczy wszelkich: tak bardzo próżne są.

Narzędziem i igraszką jest zmysł i duch, poza niemi jest jeszcze samotność. Samotność szuka oczami zmysłów, słucha uszami ducha.

Zawszeć samość słucha i szuka: porównywa, zniewala, zdobywa i burzy. Panuje i jest też władcą jaźni.

Poza twemi myślami i uczuciami, bracie mój, stoi władca potężny, mędrzec nieznany — zwie się on »ty sam«. W twojem ciele on mieszka, twojem jest ciałem.

Więcej rozsądku jest w twem ciele, niźli w twej największej mądrości. I któż wiedzieć może, ku czemu twe ciało swej największej właśnie potrzebuje mądrości?

Twa samość śmieje się z twego »ja« i jego dumnych skoków. »Czemże mi są te skoki i poloty myśli? — powiada sobie. Zboczeniem podróżnem ku memu celowi. Jam jest, co twe »ja« na pasku wiedzie i jego pojęcia weń wdycha«.

Samość mówi do jaźni: »tu ból czuję!« I wówczas cierpi ona i myśli, jakby usunąć cierpienie, — i poto właśnie myśleć powinna.

Samość mówi do jaźni: »tu radość czuję!« I wówczas weseli się ona i myśli, jakby się częściej weselić, — i poto właśnie myśleć powinna.

Gardzicielom ciała chcę słowo rzec. Iż gardzą, dzieje się to dlatego, iż poważają. Boć czemże to jest, co stworzyło poważanie, wzgardę, wartość i wolę?

Twórcza samość stworzyła sobie poważanie i wzgardę, ona stworzyła sobie rozkosz i boleść. Twórcze ciało stworzyło sobie ducha, jako ramię woli swej.

Nawet w swym nierozsądku i wzgardzie, wy ciała gardziciele, służycie swej samości. Powiadam ja wam: samość wasza umrzeć chce i odwraca się precz od życia.

Nie podoła ona już temu, czego najserdeczniej pragnie: — tworzyć ponad siebie już nie zdoła. Tego ona pragnie najbardziej, to jest całym jej żarem.

Lecz za późno już na to dla niej: — przeto chce wasza samość zaniknąć, wy ciała gardziciele.

Zaniknąć chce wasza samość, i temu staliście się wy ciała gardzicielami! Gdyż nie zdołacie wy już ponad samych siebie tworzyć.

I przeto złorzeczycie życiu i ziemi. Nieświadoma zawiść jest w kosem wejrzeniu waszej wzgardy.

Drogą waszą ja nie pójdę, wy ciała gardziciele! Nie jesteście wy dla mnie mostem ku nadczłowiekowi! —

Tako rzecze Zaratustra.

O RADOŚCI I NAMIĘTNOŚCIACH.

Bracie mój, jeśli cnotę posiadasz, a jest ona twoją cnotą, masz ją nie społem z kimkolwiek, lecz dla siebie wyłącznie.

Lecz, — oczywiście! — ty pragniesz ją po imieniu nazywać, pieścić, za uszy ją psotnie targać i z nią baraszkować.

I oto patrz! Posiadasz imię jej na spółkę z ludem, stałeś się tłumem i trzodą wraz z cnotą swoją!

Lepiejbyś uczynił, mówiąc: »niewypowiedzialne i bezimienne jest to, co męką jest i słodyczą ducha mego, głodem wnętrzności mych«.

Niech cnota twa za wysoka będzie, aby się z nią przez imię spoufalać; a gdy cię zmuszą do mówienia o niej, nie wstydź się, że się wówczas jąkasz.

Jąkając się, powiedz wtedy: »To jest moje dobro, które ukochałem; upodobałem je sobie całkowicie, jakiem jest, i takiem jedynie chcę mieć dobro.

Nie pragnę go jako boskiego przykazania, jako ludzkiego przepisu lub potrzeby koniecznej: nie chcę

również, aby mi było drogowskazem do zaświatów i obiecanką raju.

Ziemską jest cnota, którą kocham; niewiele w niej mądrości, a najmniej rozsądku ogółu.

Lecz ptak ten zbudował gniazdo u mnie, — polubiłem go serdecznie, i oto siedzi przy mnie na swych złotych jajach.«

Tak jąkaj się i tak tylko chwal swą cnotę.

Dawniej miałeś namiętności i zwałeś je złemi. Teraz masz jedynie swe cnoty, wyrosły one z twych namiętności.

Wytknąłeś cel najwyższy swym namiętnościom: i oto stały się cnotami i uciechą twoją.

I choćbyś był z rodu zapalczywych w gniewie, w lubieżności tonących, z wiary się wściekających, pomsty żądnych:

Wszystkie twe namiętności stały się twemi cnotami, wszystkie twe dyabły — aniołami.

Dawniej dzikie psy miałeś w podziemiach swych, zmieniły się one w ptaki i śpiewaczki miłe.

Ze swych trucizn wywarzyłeś sobie balsam; doiłeś swoją krowę, udręczenie, — dziś pijasz słodkie mleko jej wymion.

I żadne zło już w tobie nie dojrzeje, chyba to zło, które z walki twych cnót wyrosnąć może.

Bracie mój, jeśli z szczęśliwych jesteś, to posiadasz jedną tylko cnotę, a nie więcej: przez taki most łatwiej się przechodzi.

Czcigodny jest ten, co wiele cnót posiada. Ciężki to jednak los. Niejeden szedł na pustynię i zabijał się tem, gdyż umęczyło go — być ciągle bitwą i pobojowiskiem cnót własnych.

Bracie mój, czyż wojna i bitwa nie jest złem?

Jednak konieczne jest to zło, konieczna jest zazdrość, konieczne jest niedowierzanie, konieczna jest potwarz między cnotami.

Patrz, jak każda z twych cnót najwyższego pożąda: chce ona całego ducha twego, aby był jej heroldem, chce całej twej siły w gniewie, nienawiści i miłowaniu.

Jedna cnota drugiej zazdrości. A zazdrość jest straszną rzeczą. Nawet cnoty ginąć mogą z zawiści.

Kogo płomień zawiści obejmie, ten jako skorpion zwraca wkońcu żądło przeciwko sobie samemu.

Ach, bracie mój, czyliż nie widziałeś nigdy, jak cnota cnotę spotwarzać i na śmierć zażgać umie?

Człowiek jest czemś, co powinno być pokonane: dlatego też powinieneś swe cnoty kochać, — gdyż przez nie zaginiesz. —

Tako rzecze Zaratustra.



O BLADYM PRZESTĘPCY.

Nie chcecie zabijać, sędziowie i ofiarnicy, zanim zwierzę karku nie nagnie? Patrzcież, blady przestępca pochylił głowę: z oczu jego przemawia wielka wzgarda.

»Moje »ja« jest czemś, co pokonanem być winno, moje »ja« jest dla mnie wielkiem wzgardzeniem człowieka«: tak oto mówią jego oczy.

Iż samego siebie on zasądził, najwznioślejszą to było jego chwilą: nie dopuśćcież, aby wyniosły powracał do swej nizkości!

Niemasz wyzwolenia dla tego, co tak nad samym sobą boleje, prócz śmierci chyba rychłej.

Wasze uśmiercanie, sędziowie, winno być litością, a nie zemstą. A gdy zabijacie, baczcież, abyście sami życie usprawiedliwiali!

Bo nie dosyć, gdy się pojednacie z tym, kogo uśmiercacie. Waszym smutkiem niechaj będzie miłość ku nadczłowiekowi: tem tylko usprawiedliwić zdołacie wasze przy życiu pozostawanie!

»Wróg« winniście mawiać, lecz nie »złoczyńca«; »chory« winniście powiadać, lecz nie »łotr«; »głupiec« winniście głosić, lecz nie »grzesznik«.

A ty, czerwony sędzio, gdybyś ty głośno powiedzieć chciał to wszystko, cożeś w myślach już popełnił, zawołałby każdy: »Precz z tym plugawstwem, precz z tym czerwiem jadowitym!«

Lecz czemś innem jest myśl, czemś innem czyn, a czemś zgoła odmiennym czynu obraz. Kolisko przyczyn nie toczy się między nimi.

Obraz to uczynił bladym tego bladego człeka. Dorósł on był do miary swego postępku, gdy go popełniał: lecz jego obrazu nie zniósł, gdy czyn popełnionym już został.

Odtąd widział siebie zawsze tylko jako jednego postępku sprawcę. Obłędem zwę to: wyjątek przeistoczył on w zasadę.

Kreska jarzmi kurę; krycha, którą on przeciągnął, ujarzmiła jego biedny rozum: — obłędem p o czynie zwę ja to.

Słuchajcież, sędziowie! Jest jeszcze inny obłęd: a ten jest p r z e d czynem. Och, niedość głęboko wpełzliście mi w tę duszę!

Tak oto mówi czerwony sędzia: »Czemuż zamordował ten złoczyńca? Rabować chciał«. Lecz ja powiadam wam: dusza jego chciała krwi, nie rabunku: on tużył za szczęściem noża!

Jego biedny rozum nie pojął tego obłędu i podmówił go. »I cóż ci z krwi przyjdzie! — szeptał; czyż nie zechcesz co najmniej rabunku przytem popełnić? Zemsty wywrzeć?«

I usłuchał biednego rozumu swego: jako ołów

ciężyła na nim ta podmowa, i oto zrabował, zamordowawszy. Nie chciał się wstydzić swego obłędu.

I znów ołów winy ciąży na nim, i znowu jego biedny rozum jest tak sztywny, tak drętwy, tak ciężki.

Gdybyż głową tylko potrząsnąć zdołał, zwaliłby z siebie to brzemię: lecz któż tą głową potrzęsie?

Czemże jest ten człowiek? Kupą chorób, co przez ducha sięgają w świat: i tam oto łupu swego szukają.

Czemże jest ten człowiek? Kłębem dzikich węży, które rzadko w spokoju się kupią: i oto rozpełzają się one wszędy i szukają łupu po świecie.

Spojrzyjcież na to biedne ciało! Co cierpiało, czego pożądało, to wszystko wyłożyła sobie ta biedna dusza — wyłożyła sobie, jako rozkosz i żądzę za szczęściem noża.

Kto teraz zachorzeje, tego opada to zło, które teraz jest złem: ból chce przyczyniać tem, co jemu ból sprawia. Były jednak inne czasy, inne zło i dobro.

Niegdyś złem było wątpienie i wola samoistności. Wówczas stawał się chory kacerzem lub czarownicą: jako kacerz i czarownica cierpiał i pragnął sprawiać cierpienia.

Lecz to się w uszy wasze mieścić nie chce: waszemu dobru to szkodzi, powiadacie mi. Lecz czemże mi wasze dobro!

Wiele z waszego dobra budzi we mnie wstręt, i zaprawdę nie ich zło. Chciałem wszak, abyście mieli obłęd, któryby was do zaguby dowiódł, jako tego bladego przestępcę!

Zaprawdę chciałem, aby się ten obłęd wasz prawdą zwał lub wiernością, lub też sprawiedliwo-

ścią: lecz wy macie waszą cnotę, aby długo żyć, w żałosnem zadowoleniu.

Jam jest poręczą ponad wartkim prądem: chwytaj się mnie, kto pochwycić mnie zdoła. Kosturem waszym nie jestem. —

Tako rzecze Zaratustra.



O CZYTANIU I PISANIU.

Ze wszystkiego, co czytam, lubię to tylko, co krwią było pisane. Pisz krwią, a dowiesz się, że krew jest duchem.

Nie łatwo cudzą krew zrozumieć: nienawidzę też czytających leniwców.

Kto zna czytelnika, ten dla niego nic robić nie będzie. Jeszcze jedno stulecie czytelników — i duch nawet śmierdzieć zacznie.

Że każdemu wolno nauczyć się czytać, to psuje z czasem nietylko pisanie, lecz i myśli.

Niegdyś duch był bogiem, potem przedzierzgnął się w człowieka, dziś staje się motłochem.

Kto krwią i w przypowieściach pisze, nie chce, by go czytano, żąda, by się go na pamięć uczono.

W górach najbliższą drogą jest droga od wierzchołka do wierzchołka: lecz nato trzeba mieć długie nogi. Przypowieści niechaj tu będą wierzchołkami, a ci, do których się mówi, wielcy i rośli.

Powietrze rzadkie i czyste, niebezpieczeństwo

blizkie i duch pełen radosnej złośliwości: to godzi się dobrze jedno z drugiem.

Chcę mieć psotne duchy wokół siebie, gdyż odważny jestem. Odwaga, co upiory wystrasza, sama psotne duchy sobie stwarza, — odwaga śmiać się chce.

Ja z wami razem już nic nie odczuwam: ta chmura, którą widzę pod sobą, ta czarność i ciężkość, z której się śmieję, — to wasza chmura brzemienna burzą.

Wy spoglądacie w górę, gdy chcecie podniesienia. Ja patrzę nadół, bom jest wyniesiony.

Któż jest między wami, co zarazem i śmiać się potrafi i wzniesionym się czuć?

Kto szczytów najwyższych dosięgnie, ten śmieje się z wszelkich tragikomedyi i tragicznych powag.

Mężnymi, niedbającymi o nic, drwiącymi i gwałtownymi — takimi chce nas mieć mądrość: ona jest kobietą i pokochać zdoła tylko wojownika.

Mówicie mi: »życie jest ciężkiem jarzmem«. Lecz nacóżbyście mieli rankiem swą dumę, a wieczorem swą uległość?

Życie jest ciężkiem jarzmem: ale nie bądźcież mi tacy tkliwi! Jesteśmy wszyscy zdatnymi jucznymi osłami i oślicami.

Cóż mamy wspólnego z pąkiem róży, który drży pod kilkoma kroplami rosy, gdy te nań padną?

Prawdą jest: kochamy życie nie dlatego, żeśmy do życia, lecz żeśmy do kochania przywykli.

Nieco obłąkania jest zawsze w miłości, lecz i w obłąkaniu jest zawsze nieco rozsądku.

I mnie, com przychylny życiu, wydaje się, że motyle, bańki mydlane, oraz ludzie tego gatunku najwięcej wiedzą o szczęściu.

Widok tych lekkich, głupiutkich, zdobnych a ruchliwych duszyczek, bujających w powietrzu — doprowadza Zaratustrę do łez i do pieśni.

Wierzyłbym tylko w Boga, któryby tańczyć potrafił.

Gdym szatana swego ujrzał, był on poważny, ponury i głęboki: był to duch ciężkości, — przezeń wszystko ginie.

Nie gniewem, lecz śmiechem się zabija. Naprzód, zabijmyż ducha ciężkości!

Nauczyłem się chodzić: odtąd biegam. Nauczyłem się latać: odtąd nie potrzebują popchnięcia, by z miejsca ruszyć.

Teraz lekki jestem, teraz bujam, teraz widzę siebie przed sobą, teraz tańczy Bóg jakiś przeze mnie.

Tako rzecze Zaratustra.





O DRZEWIE NA WZGÓRZU.

Dostrzegło oko Zaratustry, że pewien młodzieniec unika go. Gdy któregoś wieczora szedł samotny po wzgórzach, okalających miasto, zwane »pstrą krową«, spostrzegł wśród tej wędrówki owego młodzieńca; siedział on wsparty o drzewo i znużonym wzrokiem spoglądał w dolinę. Zaratustra chwycił oburącz pień drzewny, o który wspierał się młodzieniec, i rzekł w te słowa:

»Choćbym wysiłkiem rąk obu wstrząsnąć zapragnął tem drzewem, nie zdołam przecie tego uczynić. Lecz wiatr, którego nie dostrzegamy, dręczy je i przegina, jako zechce. Najnielitościwiej dręczą nas i poginają niewidzialne dłonie«.

I oto zerwał się młodzieniec spłoszony i rzekł: »Słyszę Zaratustrę, właśnie o nim myślałem«. Zaratustra odparł:

»I czemuż cię to przeraża? — Jednak człowieka dola jest, jako tego drzewa.

Im bardziej garnie się ku górze i ku jasności, tem gwałtowniej zapuszczają się jego korzenie w ziemię, w dół, w ciemnię, w głąb, — w zło!»

— Tak jest, w zło! — wykrzyknął młodzieniec. — Jakimże to cudem odkryłeś mą duszę?

Zaratustra uśmiechnął się i odparł: »Niejednej duszy nigdy się nie odkrywa, chyba że się ją wprzódy wymyśli«.

— Tak jest, w zło! — wykrzyknął młodzieniec po raz wtóry.

— Prawdę rzekłeś, Zaratustro. Nie dowierzam ja sobie od czasu, gdy się ku wyżynom garnę i nikt mi już nie dowierza, — czemuż to się dzieje?

Przeobrażam się zbyt szybko: moje dziś obala me wczoraj. Przeskakuję często stopnie, wspinając się wzwyż; — tego mi żaden stopień nie wybacza.

Gdy na wyżynie jestem, samego siebie tylko znajduję. Nikt do mnie nie przemawia, mróz samotności dreszczem mnie przejmuje. I czegóż ja chcę na wyniosłościach?

Moja wzgarda i tęsknota ma wzrastają równomiernie; im wyżej się wspinam, tembardziej gardzę tym, kto się wspina. I czegóż on chce na wyniosłościach?

Jakże ja się wstydzę wspinania i potykania swego! Jakże szydzę z swego gwałtownego zasapania! Jakże nienawidzę polotnych! O, jakżem umęczony na wyżynie!«

Tu zamilkł młodzieniec. A Zaratustra, spoglądając na drzewo, przy którem stali, rzekł temi słowy:

»To drzewo stoi samotnie na wzgórzu, wyrosło ono wysoko ponad głowami ludzi i zwierząt.

A gdyby mówić zapragnęło, nie miałoby wokół nikogo, ktoby je zrozumiał: tak wysoko wyrosło.

I oto wyczekuje i wyczekuje, — nacóż ono czekać może? Chmur siedliska zamieszkało zbyt blizko: snadź pierwszego oczekuje ono gromu?«

Gdy Zaratustra te słowa wyrzekł, zawołał młodzieniec w gwałtownym wybuchu: »O tak, Zaratustro, prawdęś ty mi rzekł! Zaniku swego pożądałem, gdym ku wyżynom chęcią zmierzał, a tyś jest piorunem, którego wyczekiwałem! Spojrzyj, czemże ja jestem od czasu, gdyś się ty zjawił? Zawiść ku tobie zniweczyła mnie!« — Tak oto powiedział młodzieniec i zapłakał gorzko. Zaratustra jednak objął go ramieniem i uwiódł ze sobą.

Czas jakiś szli tak społem, wreszcie Zaratustra rozpoczął w te słowa:

Serce mi tem rozdzierasz. Wymowniej niźli twe słowa wypowiedziały mi twe oczy całe twe niebezpieczeństwo.

Nie jesteś jeszcze wolny, ty szukasz dopiero wolności. Bezsennie czuwającym i nadczułym w nieustannej jawie uczyniło cię to poszukiwanie.

Ku wolnej garniesz się wyżynie, gwiazd łaknie twa dusza. Lecz i twe złe skłonności łakną również swobody.

Twe dzikie psy rwą się na swobodę; ujadają po twych piwnicach w ochocie szalonej, widząc jako twój duch burzy wszystkie więzienia.

Jeszcześ mi jest więźniem, co o wolności marzy: och, przebiegłą staje się dusza u tych więźni, lecz zarazem wykrętną i nikczemną.

Oczyścić winien się jeszcze wyzwolony duchem. Wiele z więzienia i zatęchlizny pozostało w nim jeszcze: oko jego czystem stać się winno.

O tak, znam ja niebezpieczeństwo twoje. Lecz

na miłość moją i nadzieję mą zaklinam cię, bracie: nie odrzucaj precz miłości i nadziei swej!

Szlachetnym czujesz się jeszcze, szlachetnym czują cię jeszcze i ci nawet, co głuchą niechęć i złe spojrzenia ślą za tobą. Wiedz, iż wszystkim stoi szlachetny na zawadzie.

Nawet i dobrym stoi szlachetny na zawadzie: a jeśli go nawet dobrym zową, to pragną go tem właśnie z drogi usunąć.

Rzecz nową pragnie tworzyć szlachetny i nową cnotę. Starego pragnie dobry i aby stare zachowane było.

Lecz nie to jest niebezpieczeństwem szlachetnego, iż się dobrym uczyni, lecz że się stanie zuchwalcą, szydercą i burzycielem.

Och, znałem ja szlachetnych, co stracili swą najwyższą nadzieję. I oto spotwarzać poczęli wszystkie nadzieje.

I oto żyją czelnie w krótkich rozkoszach, i poza granicę dnia jednego nieomal że nie wyrzucają już swych zamierzeń.

»I duch jest rozpustą« — wygłosili. I wonczas połamali skrzydła duchowi swemu: i oto pełza wszędy i plugawi wszystko dogryzaniem.

Niegdyś marzyli, żeby zostać bohaterami: lubieżniki są to dzisiaj. Bohater jest dla nich grozą i utrapieniem.

Lecz na miłość i nadzieję moją zaklinam cię, bracie: nie wyrzucaj bohatera z swej duszy! Dzierżyj święcie swą najwyższą nadzieję! —

Tako rzecze Zaratustra.

O KAZNODZIEJACH ŚMIERCI.

Bywają kaznodzieje śmierci: a ziemia jest przepełniona takimi, którychby należało nawoływać do odwrotu od życia.

Pełna jest ziemia zbytecznych, zepsute jest powietrze od tych nader licznych. Niechże ich »żywotem wiecznym« z życia tego precz wywabią!

»Żółci«: tako zwą kaznodziei śmierci, lubo też »czarni«. Ja zaś pokażę wam ich w innych jeszcze barwach.

Okrutnicy to są, co drapieżne zwierzę w sobie kryją i żadnego już nie mają wyboru prócz chuci i samoudręczenia. Lecz nawet ich chuci są tylko rozszarpywaniem się za żywa.

Oni jeszcze ludźmi nawet się nie stali, okrutnicy ci: niechże nawołują do odwrotu od życia i niech się sami precz wynoszą!

To są suchotnicy na duszy: ledwie zrodzeni i już umierać poczynający i roztęsknieni ku naukom znużenia i samozaparcia.

Pragnęliby nie żyć, zaś my mamy przytakiwać tej ich woli! Miejmy się na baczności i nie budźmy tych trupów, nie uszkadzajmy tych żywych trumien!

Napotyka ich schorzały, starzec lub trup, wnet rzeką: »życie jest pokonane!«

Lecz to oni jedynie są pokonani oraz te ich oczy, co tylko jedno oblicze bytu widzieć są w stanie.

Otuleni w grubą osmętnicę udręki, chciwi tych drobnych wydarzeń, które śmierć wiodą: tako oczekują, zacisnąwszy zęby.

Lub też chwytają się błahostek i szydzą przytem ze swego dzieciństwa: zawieszają się na kruchej słomce swego życia i drwią, iż oto na słomce tylko wiszą.

Ich mądrość brzmi: »Głupiec, kto żyje, lecz tak bardzo jesteśmy bezmyślni, że przy życiu trwamy! I to jest właśnie najgłupszem w życiu!« —

»Życie jest tylko cierpieniem« — mówią inni i nie kłamią przytem: baczcież więc, abyście s a m i żyć przestali! Baczcież, aby ustało to życie, które jest tylko cierpieniem!

Tako więc niech brzmi cnoty waszej nauka: »powinieneś samego siebie zabić! Powinieneś sam się stąd wykraść!«

»Rozpusta jest grzechem, — powiadają jedni z tych kaznodziei śmierci — »usuńmy się przeto i nie płódźmy dzieci!«

»Rodzenie jest mozolne, — mówią inni — i pocóż jeszcze rodzić? Rodzi się wszak tylko nieszczęśliwych!« I ci są kaznodziejami śmierci.

»Litość jest potrzebą niezbędną — wołają inni. Bierzcie, co posiadam! Bierzcie nawet i to, czem jestem. Tem mniej wiązać mnie będzie życie!«

Gdyby ci ludzie z głębi ducha swego litościwi byli, obmierziliby raczej życie swym bliźnim. Złymi być — oto jakby im nakazywała ich prawa dobroć.

Oni jednak pragną usunąć się od życia: cóż ich to obchodzi, że swymi łańcuchy i dary wiążą innych tem mocniej! —

Lecz i wy, dla których życie jest wściekłą pracą i niepokojem: czyście wy nie umęczeni życiem? Czyście wy nie dojrzeli do kaznodziejstwa o śmierci?

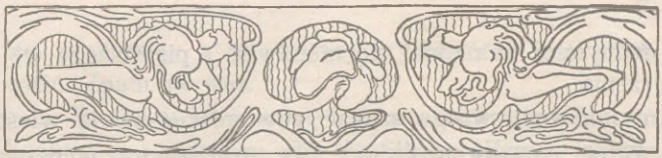
Wy, coście umiłowali pracę gwałtowną, oraz wszystko, co prędkie, nowe, obce, — samych siebie wy znieść nie możecie, wasza pilność jest klątwą i chęcią zapomnienia o samych sobie.

Gdybyście życiu więcej ufali, nie oddawalibyście się na pastwę chwili. Nie macie jednak dosyć treści w sobie, aby módz czekać, — nie dość nawet, by módz próżnować!

Zewsząd rozlegają się głosy tych, co o śmierci każą: a ziemia jest pełna takich, którym o śmierci kazać należy.

Lub »o życiu wiecznem«: to mi na jedno wynosi, — obyż tylko czemprędzej precz się wynieśli! —

Tako rzecze Zaratustra.



O WOJNIE I LUDZIE WOJENNYM.

Przez swych najlepszych wrogów oszczędzani być nie pragniemy, zarówno jak i przez tych, których umiłowaliśmy z głębi duszy. Zezwólcież mi zatem prawdę wam rzec!

Bracia moi w wojnie! Umiłowałem was z głębi duszy, byłem i jestem waszym człowiekiem. Jestem też i najlepszym wrogiem waszym. Zezwólcież mi zatem prawdę wam rzec!

Nie obca mi nienawiść i zazdrość serca waszego. Nie jesteście mi dość wielcy, aby nienawiści i zazdrości nie znać. Bądźcież mi więc dosyć wielcy, aby się ich nie wstydzić!

A jeśli nie możecie być świętymi poznania, bądźcież mi przynajmniej jego wojownikami. Towarzysze to są i poprzednicy owej świętości.

Wielu żołnierzy widzę: obyż to byli wojownicy! »Jedno-form« nazywa się wszak ich strój, obyż to nie był jedno-kształt, który pod nim ukrywają!

Winniście mi być z tych, których oko ustawicznie wroga wypatruje — swego wroga. A w nie-

jednym z was rodzi się nienawiść z pierwszego wejrzenia.

Swego wroga szukać powinniście, swoją wieść wojnę o swoje myśli! A gdy myśl wasza polegnie, winna wasza rzetelność jeszcze tryumf tego święcić!

Winniście miłować pokój, jako środek nowej wojny. Zaś pokój krótki bardziej, niźli długi.

Was nie wzywam ja do pracy, lecz do walki. Was nie nawołuję do pokoju, lecz do zwycięstwa. Waszą pracą niech będzie walka, waszym pokojem zwycięstwo!

Można milczeć i siedzieć cicho tylko wówczas, gdy się ma łuk i strzały przy sobie: w przeciwnym razie gawędzi się tylko i swarzy. Wasz pokój niech będzie zwycięstwem!

Powiadacie, iż słuszna sprawa uświęca nawet wojnę? Ja wam mówię: dobra wojna uświęca każdą sprawę.

Wojna i męstwo uczyniły więcej wielkich rzeczy, niźli miłość bliźniego. Nie wasza litość, lecz waleczność wasza ratowała dotychczas w potrzebie będących.

Cóż jest dobrem? — pytacie. Walecznym być. Niech młode dziewczęta szepczą do siebie: »dobre to jest to, co jest ładne i wzruszające zarazem«.

Nazywają was ludźmi bez serca: lecz wasze serce jest prawdziwe, a ja kocham wstydliwość waszej serdeczności. Wy wstydzicie się waszego przypływu, jako inni wstydzą się swego odpływu.

Szpetni jesteście? Niechże i tak będzie, bracia moi! Weźmijcież na się wyniosłość, ów płaszcz szpetności!

A gdy się dusza wasza wielką stanie, uczyni

się zuchwałą, a w waszej wyniosłości jest złośliwość. Znam ja was.

W złośliwości napotykają się zuchwały z mdłym. Lecz nie rozumieją się wzajemnie. Znam ja was przecie.

Wam wolno mieć tylko wrogów, których nienawidzieć należy, przenigdy takich, którymi gardzić trzeba. Winniście być dumni z wroga: wówczas stają się wroga waszego powodzenia i waszym powodzeniem.

Bunt — to dostojeństwo w niewolniku. Waszym dostojeństwem niech będzie posłuszeństwo! Wasze rozkazywanie nawet niech będzie posłuszeństwem!

Dobremu wojownikowi brzmi milej »musisz«, niźli »chcę«. I wszystko co wam jest drogie, winniście sobie wprzódy pozwolić nakazać.

Wasze umiłowanie życia, niech będzie miłością waszej najwyższej nadziei: a najwyższą nadzieją waszą niech będzie najwyższa myśl życia!

Zaś najwyższą myśl swoją winniście mnie pozwolić sobie rozkazać, — a brzmi ona: człowiek jest czemś, co pokonanem być winno.

Żyjcież tedy swem życiem posłuszeństwa i wojny! I cóż z długiego żywota! Jakiż wojak pragnie, by go oszczędzano!

Ja was nie oszczędzam, ja was z głębi duszy miłuję, bracia moi w wojnie! —

Tako rzecze Zaratustra.

O NOWYM BOŻKU.

Istnieją jeszcze gdzieś narody i stada, wszakże nie u nas, bracia moi: tu istnieją państwa.

Państwo? Cóż to jest? Baczność! Uszy mi roztwórzcie, abym wam słowo rzekł o śmierci ludów.

Państwem zwie się najzimniejszy ze wszystkich zimnych potworów. Zimny kłam głosi ono, i ta oto łeż pełznie z jego ust: »Ja, państwo, jestem narodem«.

Łeż to! Twórcy to byli, co stworzyli narody i zawiesili ponad nimi wiarę i miłość: i tak oto życiu służyli.

Niszczyciele to są, co sidła na wielu nastawili i przezwali je państwem: miecz zawiesili oni ponad nimi wraz z tysiacem żądz.

Gdzie jeszcze istnieje naród, tam nie pojmuje on państwa i nienawidzi go, jako złego spojrzenia i grzechu w obyczajach i prawach.

Tenci znak daję ja wam: każdy naród mówi swoim językiem dobra i zła: nie rozumie sąsiad mowy

tej. Własną mowę wynalazł sobie naród każdy w prawach i obyczajach.

Państwo wszakże łże we wszystkich językach dobra i zła; cokolwiek rzeknie, skłamie — a cokolwiek posiada, skradzione to jest.

Wszystko w niem jest fałszem; kradzionymi zęby kąsa, ukąśliwe. Fałszywe są nawet trzewia jego.

Pomieszanie języków dobra i zła: tenci znak daję wam, jako znak państwa. Zaprawdę, wolę śmierci znamionuje znak ten! Zaprawdę, kaznodziei śmierci nawołuje on!

Aż nazbyt wielu rodzi się: dla tych zbytecznych wynaleziono państwo!

Spojrzyjcież mi, jak ono ich przynęca tych nader licznych! Jak ono ich chłonie, żuje i przeżuwa!

»Niemasz na ziemi nic większego nade mnie: jam palec Boga rządzący« — tako ryczy potwór ten.

I nietylko wszystko, co długouche i krótkowzroczе, pada przed nim na kolana.

Och, nawet i w was, wy dusze wielkie, syczy ono ponure swe kłamstwa! Och, odgaduje ono serca bogate, co rade się roztrwaniają!

Tak więc i was odgadł, pogromcy starego Boga! Znużyliście się w walce, i oto znużenie wasze służy nowemu bożkowi!

Bohaterów i czcigodnych radby wokół siebie poustawiał ów nowy bożek! Chętnie wygrzewa się on w słonecznem świetle dobrych sumień, — potwór ten zimny!

Wszystko gotów wam dać ów bożek nowy, skoro tylko jego uwielbiać zechcecie: za tę cenę kupuje on sobie blask cnoty waszej i wejrzenie waszych oczu dumnych.

Wami to przynęcić on pragnie tych nader licznych! Szatański to pomysł wynaleziono tu: konia śmierci, brzęczącego w przepychu boskich czci!

O, śmierć dla wielu wynaleziono tu, śmierć, co się sama jako życie sławi: zaprawdę, serdeczna to wysługa wszystkim kaznodziejom śmierci!

Państwem zwę ja to, gdzie wszyscy trucizny piją, dobrzy i źli: państwem, gdzie wszyscy siebie zatracają, dobrzy i źli: państwem, gdzie powolne samobójstwo wszystkich — »życiem« się zwie.

Patrzcież mi na tych zbytecznych! Kradną sobie wszystkie dzieła wynalazców, wszystkie skarby mędrców: wykształceniem zwą tę kradzież swą — a wszystko staje się w nich chorobą i dolegliwością!

Patrzcież mi na tych zbytecznych! Chorzy są oni zawsze: rzygają żółcią i zwą to gazetą. Pożerają się wzajemnie, a strawić się nawet nie zdołają.

Patrzcież mi na tych zbytecznych! Zdobywają bogactwa i stają się dzięki nim biedniejsi. Potęgi chcą i przedewszystkiem oskardu tej potęgi, wiele złota, — ci bezsilni!

Patrzcie jak się pną, zwinne te małpy! Pną się poprzez siebie nawzajem i strącają się wzajemnie w błota i głębie.

Do tronu pchają się oni wszyscy: omam to ich; — jakoby szczęście na tronie zasiadało! Nieraz błoto spoczywa na tronie, — a nierzadko i tron na błocie.

Opętańcy to są, zwinne te małpy, i gorączką przepaleni. Cuchnie mi ich bożek, ów bożek zimny, cuchną mi oni społem, ci bałwochwalcy.

Bracia moi, chcecież się udusić w wyziewach ich paszczy i żądz! Raczej okna wyłamcie i wyskoczcie na wolność.

Unikajcież tej złej woni! Uchodźcież od tego bałwochwalstwa zbytecznych!

Unikajcież tej złej woni! Uchodźcież od oparu tych ofiar ludzkich!

Otworem stoi jeszcze ziemia dla dusz wielkich. Dla samotników i samowtórów jest jeszcze wiele niezamieszkałych siedlisk, wokół których wieje woń cichych mórz.

Otworem stoi jeszcze dla dusz wielkich życie wolne. Zaprawdę, kto mało posiada, tem mniej będzie posiadany: błogosławione niech będzie małe ubóstwo!

Gdzie państwo się kończy, tam dopiero zaczyna się człowiek, który nie jest zbyteczny: tam się poczyna pieśń niezbędnego, jedyną i niezastąpioną nutą.

Gdzie państwo u s t a j e, — spojrzyjcież mi, bracia moi! Czyż nie dostrzegacie tam tęczy i mostów nadczłowieka? —

Tako rzecze Zaratustra.

Bliźni twoi będą dla ciebie zawsze jadowitemi muchami; co wielkiego jest w tobie, — to właśnie jadem napawać ich będzie i muchy z nich czynić.

Uciekaj, bracie, do samotni swej i tam, gdzie wieją ostre i surowe tchnienia. Nie twoim to udziałem być oganką na muchy. —

Tako rzecze Zaratustra.





O CZYSTOCIE.

Ukochałem las. Ciężko żyć po miastach: zbyt wielu tam jurnych.

Czyż nie lepiej wpaść w ręce zbrodniarza, niźli w marzenia chutliwej kobiety!

Patrzcież mi na te męże! — wszak ich oczy mówią wyraźnie — nie znają oni nic lepszego na świecie nad wylegiwanie się z kobietą.

Namuł osadził się na dnie tych dusz; biada, gdy ten namuł ducha jeszcze posiada!

Obyście byli przynajmniej jako zwierzęta doskonali! Lecz udziałem zwierzęcia jest niewinność.

Radzęż ja wam, abyście zabili w sobie zmysły? Ja wam doradzam zmysłów niewinność!

Wzywamż ja was ku czystocie? Czystota ta jest u niektórych cnotą, lecz u wielu nieomal występkiem.

Ci uprawiają powściągliwość: jednakże ta suka zmysłowość przeziera zawistnie ze wszystkiego, co czynią.

Nawet na wyżyny ich cnoty, nawet w chłód ducha wlecze się ten potwór wraz ze swym niepokojem.

Jak się ta suka zmysłowość przymilać potrafi, żebrząc o źdźbło ducha, gdy jej kawała mięsa odmówią!

Lubujecie się w tragedyach, oraz we wszystkiem, co serce rozdziera? Jam jest jednak pełen niewiary do tej suki waszej.

Macie mi za okrutne wejrzenie, i spoglądacie pochutnie w stronę cierpiących. Czy tu aby nie lubieżność wasza zamaskowała się, przezwawszy się uprzednio litością?

I tę przypowieść daję wam jeszcze: niejeden, co dyabła z siebie wypędzić pragnął, sam przytem w świnię wstąpił.

Dla kogo powściągliwość jest zbyt ciężkim brzemieniem, temu odradzać ją należy: aby się dlań nie stała drogą do piekła, do namułu i rui dusznej.

Mówięż ja może o sprawach brudnych? Nie jest to jeszcze dla mnie rzeczą najgorszą.

Bo nie wówczas, gdy prawda jest brudna, lecz gdy jest płytka, niechętnie zanurza się badacz w jej wody.

Zaprawdę, bywają czystotni z natury swej: ci są łagodniejszego serca, śmieją się chętniej i częściej, niźli wy.

Ci śmieją się także i z czystoty i pytają: »czemże jest czystota!

»Czyż ona nie jest głupstwem? Lecz to głupstwo przyszło oto do nas, nie zaś my do niego.

»Daliśmy gościowi temu przytułek i serce: i oto zamieszkał u nas, — niechże pozostaje, póki zechce!«

Tako rzecze Zaratustra.

O PRZYJACIELU.

»Jednego mam wokół siebie zawsze za wiele« — myślał pustelnik. »Zawsze tylko: jeden razy jeden — gdy trwa dłużej, uczyni dwa!«

Ja i mnie są zawsze w zbyt żarliwej ze sobą gawędzie: jakżeby to wytrzymać się dało, gdyby nie było przyjaciela?

Dla pustelnika przyjaciel jest zawsze trzecim: trzeci jest korkiem, nie dopuszczającym, by rozmowa dwuch zapadła w głębie.

Och, zbyt wiele głębin czyha na wszystkich pustelników. Dlatego też tęsknią do przyjaciela i do jego wyżyn.

Nasza wiara w innych pokazuje, w co pragnęlibyśmy uwierzyć w samych sobie. Tęsknota za przyjacielem jest naszym zdrajcą.

Często pragnie się miłością przeskoczyć tylko zawiść. Często również urażamy, czynimy sobie wroga, aby ukryć, iż sami jesteśmy urażalni.

»Bądźże przynajmniej mym wrogiem!« — tak mówi prawdziwa pokora, co o przyjaźń prosić nie śmie.

Kto chce mieć przyjaciela, winien chcieć i wojować za niego: a kto wojny pragnie, winien potrafić być wrogiem.

Należy w druchu swoim czcić jeszcze i wroga. Czyż możesz przystąpić do przyjaciela, nie przechodząc na jego stronę?

W przyjacielu winieneś mieć najlepszego wroga. A w sercu swojem najbardziej skłonnym być mu wówczas, gdy mu się opierasz.

Nie chcesz występować w szatach wobec przyjaciela swego? Maż to być uczczeniem drucha, gdy mu się dajesz, jakim jesteś? Lecz on cię zato właśnie do dyabła posłać gotów!

Kto się z sobą nie tai, wzbudza oburzenie: tak wielkie macie powody do lękania się swej nagości! O, gdybyście bogami byli, wówczasby wolno wam było wstydzić się szat swoich!

Dla przyjaciela swego nie możesz nigdy dosyć strojnie się przyodziać: gdyż winieneś mu być strzałą i tęsknotą ku nadczłowiekowi.

Czyś widział przyjaciela swego, gdy śpi, — abyś się wreszcie dowiedział, jak wygląda? Bo czemże jest na jawie twarz drucha twego? Własne to twoje oblicze na chropowatem i niedoskonałem zwierciedle.

Czyś widział przyjaciela swego, gdy śpi? Czyś się nie przeraził, że druch twój tak oto wygląda? O, przyjacielu mój, człowiek jest czemś, co pokonanem być winno!

W odgadywaniu i przemilczaniu mistrzem powinien być przyjaciel: nie powinieneś pragnąć widzieć wszystko. Sen niech ci objawia, co czyni przyjaciel twój na jawie.

Odgadywanie niech będzie twem współczuciem:

abyś wprzódy wiedział, czy przyjaciel twój pożąda współczucia. Może upodobał on sobie niezmącone twe oko i wejrzenie nieskończoności.

Współczucie dla drucha niech się pod twardą ukrywa skorupą, winien sobie ząb nad nim wygryźć. Tak będzie ono miało wytworność swą i słodycz.

Czyś jest powietrzem czystem i samotnością, i chlebem, i lekiem dla drucha swego? Niejeden własnych kajdan zerwać nie zdołał, a stał się zbawcą dla przyjaciela.

Niewolnikiem jesteś? Tedy nie możesz być przyjacielem. Jesteś tyranem. Tedy nie możesz mieć przyjaciół.

Zbyt długo tkwił w kobiecie niewolnik i tyran. Przeto nie dojrzała jeszcze kobieta do przyjaźni: zna ona tylko miłość.

W miłości kobiety jest niesprawiedliwość i zaślepienie na wszystko, czego nie kocha. Nawet w świadomej miłości kobiety jest nagłość i błyskawica, i noc obok światła.

Nie dojrzała jeszcze kobieta do przyjaźni: kotem jest jeszcze kobieta i ptakiem. Lub, w najlepszym razie, krową.

Jeszcze jest kobieta niezdolna do przyjaźni. Lecz powiedzcie wy mnie, mężczyźni, kto z was jest zdolny do przyjaźni?

O, to wasze ubóstwo, wy mężczyźni, to skąpstwo duszy waszej! Co wy przyjacielowi dajecie, tem ja wroga mego obdarzę i jeszcze przeto nie zubożeję.

Wszak bywa kamractwo: obyż i przyjaźń była!

Tako rzecze Zaratustra.

O TYSIĄCU I JEDNYM CELU.

Wiele krain widział Zaratustra i ludów wiele: tak odkrył zło i dobro wielu ludów. I nie znalazł Zaratustra większej potęgi na świecie ponad zło i dobro.

Żyćby nie zdołał żaden naród, któryby wprzódy nie był oceniał; który wszakże zachować się pragnie, winien oceniać inaczej, niźli sąsiad to czyni.

Wiele, co się zwie dobrem u jednego narodu, jest pośmiewiskiem i sromotą u drugiego. Wiele, co się tu złem zwie, ówdzie w purpurę czci zdobnem bywa.

Nigdy sąsiad sąsiada nie pojmował, zawsze dziwiła się jego dusza szaleństwu i złości sąsiada.

Tablica dóbr wisi ponad każdym narodem. Patrz, oto jest tablica jego przezwyciężeń; patrz, oto głos jego woli mocy.

Chwalebne jest dlań wszystko, co jest trudne do osiągnięcia; co jest niezbędne a ciężkie zwie się

dobrem; co zaś z ostatecznej niewoli wyzwala, co najrzadsze, najtrudniejsze, czci, jako świętość.

Co sprawia, iż panuje, zwycięża i olśniewa, sąsiadom na trwogę i zawiść: wszystko to jest dlań szczytne, pierwszorzędne, miarodajne, treść rzeczy wszelkich.

Zaprawdę, bracie mój, gdyś poznał pewnego narodu niedolę, krainę, niebo i sąsiada: odgadniesz łacno prawo jego przezwyciężeń oraz przyczynę, dlaczego po tej drabinie wspina on się ku swej nadziei.

»Będziesz zawsze pierwszy, innych będziesz przewyższał: niech twa zawistna dusza nikogo nie kocha oprócz przyjaciela chyba«, — drżeniem nawiedzało to duszę Greka i wiodło go na drogę wielkości.

»Prawdę mów, a dobrze łuk i strzały dzierż» — to zadanie wydawało się drogiem i ciężkiem zarazem onemu ludowi, z którego imię moje się wywodzi — to imię, które jest mi zarazem i drogiem, i ciężkiem.

»Ojca i matkę czcić i aż po korzenie duszy być skłonnym ich woli«: — tę tablicę przemożeń zawiesił oto inny lud ponad sobą i stał się przez to potężnym i wiecznym.

»Wiernym być i w imię tej wierności cześć i krew swą oddawać nawet w sprawach złych i niebezpiecznych«: — tako pouczając, przemagał się inny naród i tako przemagając się, stał się brzemiennym i ciężkim od wielkich nadziei.

Zaprawdę, ludzie sami nadali sobie wszelkie swe zło i dobro. Zaprawdę, nie przejęli go, ani go nie znaleźli, nie spadło im też ono, jako głos z nieba.

Wartości nadał rzeczom człowiek w potrzebie samozachowawczej, — on dopiero stworzył rzeczom treść, treść człowieczą! Przeto zwie się »człowiek«, czyli: oceniający.

Oceniać znaczy tworzyć: słuchajcież mi, twórcy! Ocena jest wszelkich ocenianych rzeczy skarbem i klejnotem.

Przez ocenę powstaje dopiero wartość: bez oceny pustym byłby orzech bytu. Baczcież mi, twórcy!

Zmienność wartości — to zmienność tworzącego. Niszczy zawsze, kto twórcą być musi.

Twórcze były przedewszystkiem ludy, znacznie później dopiero jednostki; zaprawdę, jednostka jest sama tworem najmłodszym.

Narody zawiesiły niegdyś tablice dobra ponad sobą: miłość, co chce panować, oraz miłość, co pragnie ulegać, stworzyły społem te tablice.

Starsze jest radosne poczuwanie się do trzody, niźli ochotne poczucie swej jaźni: i póki dobre sumienie zwie się trzodą, złe tylko sumienie mówi: ja.

Zaprawdę, przebiegłe ja, ja bezmiłosne, co swej korzyści w pożytku wielu szuka: ono nie jest początkiem trzody, lecz jej zanikiem.

Miłujący to byli zawsze i twórcy, co stwarzali dobro i zło. Płomię miłości goreje w imionach cnót wszystkich i ogień gniewu.

Wiele krain widział Zaratustra i ludów wiele: większej na świecie potęgi nie znalazł Zaratustra ponad dzieła miłujących: »zło« i »dobro« to ich imiona.

Zaprawdę, potworna jest potęga takiego chwalenia i przyganiania. Powiedzcież mi, bracia, kto ujarzmi tę potęgę, kto temu zwierzęciu zarzuci jarzmo na tysiąc jego grzbietów?

Tysiąc celów było dotychczas, gdyż i narodów było tysiące. Brak jeszcze tylko jarzma dla tego grzbietów tysiąca, brak jednego celu.

Powiedzcież mi jednak, bracia: jeśli ludzkości celu jeszcze brak, zali nie brak jeszcze — jej samej? —

Tako rzecze Zaratustra.



O MIŁOŚCI BLIŹNIEGO.

Tłoczycie się koło bliźnich i macie piękne słowa nato. Ja zaś powiadam wam: to wasze ukochanie bliźnich jest złem umiłowaniem samego siebie.

Pierzchacie ku bliźnim przed samymi sobą i pragniecie cnotę z tego uczynić: przezieram nawskroś tę bezlicowość waszą.

Starsze jest ty, niźli ja, nadto ty uświęcone już zostało, ja zaś czeka wciąż jeszcze na uświęcenie: i oto tłoczy się człowiek ku bliźniemu.

Wzywałżbym ja was ku miłości bliźniego? Wolę stokroć podmawiać was ku ucieczce od najbliższych i umiłowaniu najdalszych!

Ponad umiłowaniem najbliższych stoi miłość ku najdalszym i przyszłym; a bardziej jeszcze, niźli umiłowanie człowieka, waży mi ukochanie rzeczy i upiorów.

Upiór, co przed tobą majaczy, o bracie mój, jest stokroć piękniejszy od ciebie; czemu ty ciała i krwi swojej jemu nie oddasz? Lecz ty oto lękasz się widma swego i pierzchasz ku bliźniemu.

Z samymi sobą podołać nie zdołacie, siebie nie dość umiłowawszy, i oto pragniecie zwieść bliźniego ku ukochaniu siebie i ozłocić siebie tem jego zbałamuceniem.

Pragnąłbym, abyście wreszcie ścierpieć nie mogli żadnych bliźnich ani ich sąsiadów, tak oto musielibyście przyjaciela dla się we wnętrzu swem stworzyć i jego serce pałające.

Zapraszacie sobie świadka, ilekroć dobrze o sobie mówić pragniecie; a gdyście go podeszli i zwiedli ku temu, że dobrze o was sądzi, mniemacie i wy dobrze o samych sobie.

Kłamie nietylko ten, kto wbrew własnej wiedzy mówi, czyni to stokrotniej, kto przeciw swej niewiedzy głosi. Lecz tako głosicie o sobie w stosunkach z ludźmi i tako okłamujecie sobą sąsiada.

Rzecze sowizdrzał: »stosunki z ludźmi psują charakter, zwałszcza gdy się go wcale nie posiada«.

Jeden idzie do bliźniego, ponieważ siebie szuka; drugi, ponieważ siebie zatracić pragnie. Zła miłość wasza ku sobie czyni wam samotność więzieniem.

Dalsi to płacą za waszą miłość ku bliższym; gdzie bodaj pięciu z was znajdzie się w gromadzie, tam szósty umrzeć musi.

Nie lubię was, ani uczt waszych: zbyt wielu aktorów zastawałem przy nich i zbyt wielu widzów nawet o zachowaniu aktorskiem.

Nie bliźniego więc wskazuję ja wam, lecz przyjaciela. Przyjaciel niech wam będzie ucztą tej ziemi i przeczuciem nadczłowieka.

Pouczam was o przyjacielu i jego sercu rozlewnem. Należy jednak umieć być gąbką, jeśli się przez serce wezbrane kochanym być pragnie.

Pouczam was o przyjacielu, w którym świat skończony na was czeka: czara dobra wszelakiego, — twórczego wskazuję przyjaciela, który ma zawsze skończony świat w sobie do rozdania.

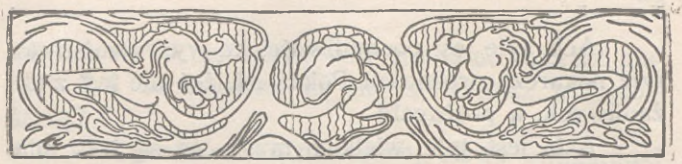
I jako się komu świat rozpierzchł i niby motek rozwinął, tako zwija się znowu pierścienny mi nawroty, stawaniem się dobra przez zło, stawaniem się celu przez przypadek.

Przyszłość i dale co najodleglejsze niech ci będą przyczyną twego dziś, w przyjacielu swym będziesz kochał nadczłowieka, jako swoją przyczynę.

Bracia moi, nie ku miłości bliźnich i blizkich wzywam ja was: wołam ku umiłowaniu dalekich i co najdalszych!

Tako rzecze Zaratustra.





O DROGACH TWÓRCY.

Chcesz, bracie mój, w osamotnienie iść? Chcesz drogi ku samemu sobie szukać? Uczyń zwłokę krótką i posłuchaj mnie.

»Kto szuka, łatwo sam się gubi. Każde osamotnienie jest przewinieniem«: tak oto mawia trzoda. A tyś długo należał do trzody.

Głos trzody długo odzywać się w tobie jeszcze będzie. I gdy nawet mówić poczniesz »nie mam już z wami wspólnego sumienia«, będzie to głosem skargi i bólem twym.

Bo zważ, ten ból nawet porodziło owo wspólne sumienie: tego sumienia ostatnie przebłyski żarzą się jeszcze w twym smętku.

Chcesz więc drogą tego smętku pójść, jako iż jest to droga do ciebie samego? Pokażże mi swe prawo i swe siły ku temu!

Czyś jest nową siłą i nowem prawem? Czyś jest nowym ruchem? Z siebie toczącym się kołem? Czy możesz zmusić gwiazdy, aby wokół ciebie krążyły?

Ach, tyle jest pochutliwości ku wyżynom! Bywa tyle pokurczy próżności! Pokaż mi, żeś nie jest z pożądliwych, a próżnych!

Ach, jest tyle wielkich myśli, co są jako miechy tylko: nadymają i jeszcze bardziej pustymi czynią.

Zwiesz się wolnym? Myśl, co tobą włada, usłyszeć pragnę nie zaś, iż z jarzma jakiego umknąć się zdołałeś.

Czyś jest z tych, którym z jarzma umykać się wolno? Niejeden ostatnią swą wartość precz odrzucił, gdy odrzucił swą służebność.

Wolny od czego? Lecz cóż to Zaratustrę obchodzić może! Jasno niech mi twe oczy zwiastują: ku czemu wolny?

Zali zdołasz nadać sobie swe zło i dobro i zawiesić wolę swą nad sobą, jako zakon? Zali potrafisz sędzią być sobie i mścicielem własnego zakonu?

Straszne jest to sam na sam z sędzią i mścicielem własnego zakonu. Tak zostaje wyrzucona gwiazda w przestrzeń pustą i w lodowate tchnienie osamotnienia.

Dziś jeszcze cierpisz z powodu wielu, ty jeden: dziś jeszcze masz całkowitą otuchę i nadzieje wszystkie.

Lecz przyjdzie czas, gdy cię umęczy samotność, gdy się twa duma nagnie, a otucha trzeszczeć poczynie. Wówczas krzyczeć będziesz »jestem sam!«

Przyjdzie czas, gdy nie dojrzysz swej wybujałości, zaś na swą nizkość zbyt blizkiem okiem patrzeć poczniesz; nawet twa wzniosłość straszyć cię będzie, niby upiór. I krzyczeć będziesz kiedyś «wszystko jest fałszem!«

Są uczucia, co samotnika zamordować pragną;

gdy im się to nie udaje, wówczas same zamrzeć muszą! Zali zdobędziesz się na to, zdołasz być mordercą?

Zali poznałeś już, bracie mój, słowo »wzgarda«? Oraz męczarnię swego poczucia słuszności, gdy zechcesz być sprawiedliwym dla tych, co tobą gardzą?

Zmuszasz wielu, aby, zbywszy dawnych o tobie mniemań, uczyli się ponownie sądzić ciebie: ciężko ci to policzą. Zbliżyłeś się do nich i minąłeś ich: tego ci nigdy nie wybaczą.

Wschodzisz ponad nich: lecz im wyżej się wspinasz, tem mniejszym widzi cię oko zawiści. Najbardziej jednak znienawidzeni bywają polotni.

»Jakżebyście wy zdołali oddać mi sprawiedliwość! — tak mawiać winieneś — obieram sobie waszą niesprawiedliwość, jako mnie przypadający udział«.

Niesprawiedliwość i brud miotają za samotnikiem: jednakże, bracie mój, jeśli gwiazdą chcesz być, musisz im mimo to świecić.

A strzeż się dobrych i sprawiedliwych! Oni zawsze radzi ukrzyżować tych, co własną sobie wynajdują cnotę, — nienawidzą samotnika.

Miej się na baczności przed świętą prostodusznością! Wszystko, co nie prostoduszne, jest dla niej nieświęte; chętnie przytem ogniem ona igra, ogniem — stosu.

I wystrzegaj się porywów swej miłości! Zbyt szybko wyciąga samotnik rękę ku temu, kogo napotyka.

Niektórym ludziom nie wolno ci podawać dłoni, lecz łapę: chcę przytem, aby twa łapa i pazury miała.

Lecz najgorszym wrogiem, jakiego napotkać mo-

żesz, będziesz zawsze ty oto dla samego siebie; sam czyhasz na siebie po jaskiniach i lasach.

Idziesz, samotniku, drogą ku samemu sobie! Tuż obok ciebie droga twa wiedzie i tuż obok twych siedmiu dyabłów!

Kacerzem będziesz dla siebie i czarownicą, będziesz i wróżbiarzem, i błaznem, i wątpicielem, i nieświętym, i złoczyńcą.

Winieneś pragnąć, abyś się spalił we własnym ogniu: bo jako odnowić się chcesz, jeśliś się wprzódy w popiół nie zamienił!

Idziesz, samotniku, drogą tworzącego: boga chcesz sobie stworzyć z siedmiu dyabłów swoich!

Idziesz, samotniku, drogą miłującego: samegoś siebie umiłował i gardzisz przeto sobą, jako gardzą, którzy kochają.

Tworzyć pragnie kochający, jako że wzgardził! Cóż ten wie o miłości, co nie musiał gardzić tem właśnie, co ukochał!

Z miłością swą idź do samotni i z twórczością swą, o bracie mój; — późno powlecze się wreszcie za tobą kulawa sprawiedliwość.

I ze łzami memi idź w samotnię swą, o bracie mój! Kocham tego, co ponad siebie samego tworzyć pragnie i tak oto zanika. —

Tako rzecze Zaratustra.

O STAREJ I MŁODEJ KOBIETCE.

»Czemuż, Zaratustro, przemykasz się tak płochliwie o zmierzchu? Cóż to osłaniasz tak troskliwie swym płaszczem?

»Jestże to skarb, który ci darowano? czy też dziecię, które ci się narodziło? Lub też poczynasz może sam drogami złodziei chadzać, ty przyjacielu zła?« —

Zaprawdę, bracie mój! rzekł Zaratustra, darowano mi skarb: drobną prawdę, którą oto dźwigam.

Jest wszakże niesforna, jak małe dziecko; a gdy dłonią ust jej nie przysłaniam, wrzeszczy zbyt głośno.

Dzisiaj, gdy samotny drogą swą o zachodzie słońca szedłem, spotkałem starą babinę, co temi słowy przemówiła do mej duszy:

»Wiele mowił Zaratustra i do nas kobiet, wszakże nigdy jeszcze nie mówił o kobiecie«.

Odparłem jej: »o kobiecie należy mówić tylko do mężczyzn».

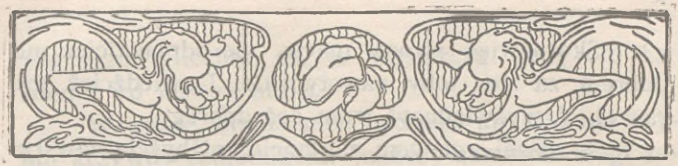
Otul ją tylko i zatkaj jej usta: gdyż krzyczeć zwykła zbyt głośno ta drobna prawda«.

»Dajże mi, kobieto, twą małą prawdę! — rzekłem jej. — I rzecze tedy stara:

»Idziesz do kobiet? Nie zapomnij bicza!« —

Tako rzecze Zaratustra.





O UKĄSZENIU ŻMII.

Pewnego razu w dzień upalny zasnął Zaratustra pod drzewem figowem, zarzuciwszy ramiona na głowę. I oto podpełzła żmija i ukąsiła go w szyję tak mocno, że Zaratustra krzyknął z bólu. Gdy odjął ramię, ujrzał żmiję, która, poznawszy oczy Zaratustry, zwinęła się niezręcznie i chciała umknąć. »Stój — rzekł Zaratustra — jeszczem ci podziękować nie zdążył. Zbudziłaś mnie w porę, długa oczekuje mnie droga«. — »Krótka jest już twa droga« — rzekła żmija smutnie; — »mój jad zabija«. Roześmiał się Zaratustra. »Kiedyż to umarł smok od wężowego jadu? Lecz weźże napowrót swą truciznę! Nie jesteś mi dosyć bogata w jady, abyś je rozdawać mogła«. I oto żmija rzuciła mu się ponownie na szyję i lizała zadaną ranę.

Gdy Zaratustra jednego razu opowiadał to uczniom swoim, pytali go: »I jakiż, o Zaratustro, jest morał twej powieści?« Zaratustra odparł na to:

Burzycielem moralności zwą mnie dobrzy i sprawiedliwi: moja opowieść jest niemoralna.

Skoro więc wroga macie, nie odpłacajcież mu dobrem za zło: toby zawstydzało. Dowiedźcież mu raczej, iż wyświadczył wam coś dobrego.

A raczej gniewem zapłońcie, niżbyście zawstydzać mieli! A gdy was przeklinają, niechętny widzę, gdy błogosławić wzamian chcecie. Klnijcież raczej i wy cokolwiek.

A gdy się wam wielka stała krzywda, dodajcież mi szybko pięć drobnych! Odrażający jest widok tego, kogo niegodziwość ludzka niepodzielnie dławi.

Czyście wiedzieli już o tem? Wzajemne bezprawie jest połową prawa. I niechże mi ten tylko bezprawie na się bierze, kto je udźwignąć zdoła!

Mała zemsta jest bardziej ludzka, niźli żadna. A jeśli kara nie jest również prawem i zaszczytem dla przestępcy, wówczas nie znoszę i karania waszego.

Godniej jest odmówić sobie słuszności, niźli ją zachować, zwłaszcza gdy się ma słuszność za sobą. Lecz trzeba być dość bogatym na to.

Nie znoszę waszej zimnej sprawiedliwości; z oczu sędziów waszych wyziera zawsze kat i jego zimne żelazo.

Powiedzcież mi, gdzież jest tu sprawiedliwość, która jest miłością o oczach widzących?

Wynajdźcież mi tę miłość, co nietylko wszelką karę, lecz i wszelką winę podźwignie!

Wynajdźcież mi tę sprawiedliwość, co każdego uniewinni, wyjąwszy sprawującego sądy!

Chcecie i tego jeszcze posłuchać? Kto z głębi duszy sprawiedliwym być pragnie, u tego nawet kłamstwo staje się przychylnością dla ludzi.

Lecz jakżebym ja mógł być sprawiedliwym z głębi duszy! Jakżebym ja mógł oddać każdemu, co

jest jego! Niechże mi to wystarcza: daję oto każdemu, co jest ze mnie.

Wreszcie, bracia moi, baczcie, abyście nie czynili krzywdy samotnikom! Jakżeby samotnik mógł zapomnieć! Jakżeby on mógł się odwzajemnić!

Samotnik jest jako studnia głęboka. Łatwo kamień weń wrzucić; lecz gdy dna dopadł, któż kamień stamtąd dobędzie?

Baczcie, byście nie obrażali samotnika! Skoroście jednak to uczynili, dobijcież go czemprędzej!

Tako rzecze Zaratnstra.



O DZIECKU I O MAŁŻEŃSTWIE.

Mam jedno pytanie dla ciebie jedynie, bracie mój. Rzucam je jako ołowiankę w twą duszę, abym jej głębię zmierzył.

Jesteś młody i życzysz sobie dziecka i o małżeństwie zamyślasz. Ja zaś pytam ciebie: zaliś jest człowiekiem, któremu wolno życzyć sobie dziecka?

Zaliś jest zwycięzcą, ujarzmicielem samego siebie, rozkazodawcą zmysłów, panem cnót swoich? O to cię pytam.

Czy też przemawia z twego życzenia zwierzę i jego potrzeba? Lub też osamotnienie? Albo też niezgoda z samym sobą?

Pragnę, by twe zwycięstwo i twa wolność tęskniły za dzieckiem. Żywe pomniki stawiać winieneś swemu zwycięstwu i swemu wyzwoleniu.

Ponad siebie budować winieneś. Lecz przedewszystkiem musisz mi być sam zbudowany, umierny na ciele i duchu.

Nietylko w liczbę mnożyć się winieneś, lecz wzwyż. I niech ci ku temu służy ogrójec małżeństwa!

Wyższe ciało stworzyć winieneś, pierwszy ruch, z siebie toczące się koło, — tworzącego stworzyć powinieneś.

Małżeństwo: tak oto zwę wolę dwojga, aby stworzyć jedno, które stanie się czemś więcej, niźli ci, co je stworzyli. Pokorą wzajemną zwę małżeństwo, pokorą przed piastującymi wolę taką.

To niechaj będzie treścią i prawdą twego małżeństwa. Lecz co ci przeliczni, ci zbyteczni małżeństwem zową, — och, jakżebym ja to nazwać miał?

O, to ubóstwo dusz we dwoje! Ten brud dusz we dwoje! Ta żałosna błogość we dwoje!

Małżeństwem zwą oni to wszystko; i twierdzą przytem, że ich małżeństwa w niebie zostały zawarte.

Obmierzły mi niebiosa tych zbytecznych! Obmierzły mi te, w niebiańskie sieci zaplątane, pary zwierząt!

Obcym niechaj mi będzie i ten Bóg, co oto przykulał, aby pobłogosławić, czego nie spoił!

Nie śmiejcie mi się z tych małżeństw! Któreżby dziecko nie miało powodu płakać nad swymi rodzicami?

Godnym wydał mi się ten człowiek i dojrzałym ku ziemskiej treści życia; gdym jednak żonę jego ujrzał, wydała mi się ziemia domem obłąkanych.

O, bodajżeby ziemia w posadach swych drżała, ilekroć się święty z gęsią parzy.

Ten oto wyruszał jak bohater na zdobycz prawd, wreszcie przyniósł jako łup małe strojne kłamstwo: zwie to małżeństwem swojem.

Ów był nieprzystępny i czynił wybredny wybór. Lecz oto za jednym zamachem zepsuł raz na zawsze swe towarzystwo: zwie to małżeństwem swojem.

Tamten poszukiwał dziewki z cnotami anioła. Lecz oto za jednym zamachem stał się dziewką kobiety; brak tylko, aby się sam w tej służbie nie rozanielił.

Pełnemi troski widzę dziś kupczących, a wszyscy oni mają przebiegłe oczy. Lecz żonę kupuje najprzebieglejszy w worku.

Wiele krótkich szaleństw, — oto co się zwie u was miłością. Zaś wasze małżeństwa czynią tym wielu krótkim szaleństwom ostateczny koniec, jako jedno długie głupstwo.

Wasza miłość dla kobiety i miłość kobiety dla mężczyzny: o, gdybyż one były współczuciem dla cierpiących i ukrytych bóstw! Lecz zazwyczaj odgaduje się wzajemnie para zwierząt.

Lecz nawet wasza najlepsza miłość jest tylko zachwytliwą przenośnią i żarem bolesnym. Pochodnią jest ona, co wam na wyższe drogi przyświecać powinna.

Ponad samych siebie winniście się kiedyś umiłować! Więc się wprzódy kochać nauczcie! I dlatego właśnie winniście byli wypić gorzki kielich swego kochania.

Gorycz jest w kielichu najlepszej nawet miłości: i tem oto rodzi tęsknotę ku nadczłowiekowi, tem nieci pragnienie twórcze!

Pragnieniem twórcy, strzałą i tęsknotą ku nadczłowiekowi: o powiedz, bracie mój, jestże li tem twe pragnienie małżeństwa?

Święta jest niewola taka, święte takiego małżeństwa śluby. —

Tako rzecze Zaratustra.

O WOLNEJ ŚMIERCI.

Wielu umiera za późno, niektórzy umierają zbyt wcześnie. Obco brzmi jeszcze nauka: »umieraj w porę!«

Umieraj w porę; tak poucza Zaratustra.

Oczywiście, kto nigdy w porę nie żył, jakżeby ten miał w porę umrzeć? Oby raczej nie był się narodził! — Tak radzę zbytecznym.

Lecz i zbyteczni ważą sobie wielce swą śmierć: nawet najbardziej pusty orzech pragnie, aby go wyłuskano.

Niepomiernie ważą sobie wszyscy skon swój; lecz śmierć nie jest jeszcze świętem uroczystem. Jeszcze się ludzie nie nauczyli, jako się święci najpiękniejsze gody.

Ja wam wskazuję skon dokonywujący, skon co dla żywych bodźcem i ślubowaniem się staje.

Własną śmiercią umiera dokonywujący, umiera zwycięski w otoczeniu ślubujących i nadziei pełnych.

Tako umierać powinni się ludzie uczyć. I nie powinno być żadnej uroczystości tam, gdzie taki ślubujący nie uświęca ślubowania żywych!

Tak umierać jest rzeczą najlepszą; rzeczą wtórą jest: w walce umrzeć i wielką duszę roztrwonić.

Lecz nienawidzona, zarówno przez wojującego jak i przez zwycięzcę, jest śmierć, co zęby szczerzy i niby złodziej się skrada, — mimo że jako władca zawsze przychodzi.

Moją śmierć sławię ja wam, śmierć wolną, która po mnie przyjdzie, ponieważ ja tego chcę.

Lecz kiedyż to ja zechcę? — Kto ma cel swój i puściznę po sobie, ten pragnie śmierci w porę dla celu i puścizny.

Z pokory przed celem i puścizną nie zechce zawieszać zeschłych wieńców na świątyni życia.

Zaprawdę, nie chcę być jako powroźnicy, co wysnuwają nić coraz dłuższą, sami przytem wstecz się cofając.

Niejeden staje się zbyt stary dla własnych prawd i zwycięstw; bezzębne usta nie mają prawa do każdej prawdy.

Zaś, kto sławę mieć pragnie, powinien zawczasu z czcią się pożegnać i ćwiczyć się w ciężkiej sztuce — odchodzenia w porę.

Należy nie dopuszczać, aby nas zjadano doszczętnie wtedy właśnie, kiedy najlepiej smakujemy: wiedzą o tem ci, co pragną, aby ich długo kochano.

Bywają wprawdzie kwaśne jabłka, których dola chce, aby oczekiwały aż do ostatniego dnia jesieni: wówczas stają się jednocześnie dojrzałe, żółte i pomarszczone.

Jednym starzeje się wprzódy serce, drugim duch. Bywają wreszcie i zgrzybiałe za młodu: lecz późna młodość czyni młodość długą.

Niejednemu chybiło życie: robak jadowity toczy mu serce. Niechże więc tembardziej baczy, aby mu się skon udał.

Niejeden nigdy słodkim się nie stanie, on już latem gnije. Tchórzostwo jedynie trzyma go na gałęzi.

Zbyt wielu żyje i zbyt długo wisi na gałęziach. Obyż przyszła nawałnica, któraby to wszystko zgniłe i robaczywe z drzew pootrząsała!

Obyż przyszli kaznodzieje rychłej śmierci! Toby mi były wichry pożądane i otrząsacze drzewa życia! Zewsząd słyszę jednak tylko kaznodziei powolnej śmierci i cierpliwości na wszystko, co »ziemskie«.

Ach, wy to każecie o cierpliwości na wszystko, co ziemskie? Wszak to ziemskie zbyt długo was cierpi, wy języki bluźniercze!

Zaprawdę, zbyt wcześnie umarł ów Hebrajczyk, którego czczą kaznodzieje powolnej śmierci, dla wielu stała się fatalnością ta wczesna śmierć jego.

On poznał zaledwie łzy i posępność Hebrajczyka, tudzież nienawiść dobrych i sprawiedliwych, — ów Hebrajczyk Jezus: i oto opadła go tęsknica za śmiercią.

Gdybyż on na pustyni pozostał i zdala od dobrych i sprawiedliwych! Możeby wówczas nauczył się żyć i ziemię kochać, — i dar śmiechu pozyskałby może nadto.

Wierzajcie mi, bracia! Zawcześnie on umarł, samby odwołał swą naukę, gdyby do mego wieku dożył! Szlachetny był dość, by odwołać!

Lecz on nie dojrzał był jeszcze. Niedojrzale kocha młodzieniec, niedojrzale nienawidzi ludzi i świata. Spętane i ciężkie są jego czucia oraz skrzydła ducha jego.

W mężczyźnie jest więcej dziecka, niźli w młodzieńcu, i mniej posępności: lepiej rozumie się on na życiu i śmierci.

Wolny na śmierć i wolny w śmierci: święty głosiciel »nie«, gdy już nie czas na «tak»: oto jak się on na życiu i śmierci rozumie.

Niechże skon wasz nie będzie bluźnierstwem człowiekowi i ziemi, przyjaciele moi: upraszam to sobie od miodu dusz waszych.

W skonie waszym niech płonie duch i cnota wasza, jako zorza wieczorna ponad ziemią, — inaczej nie udał się wam skon.

Tak też ja sam umrzeć pragnę, abyście, przyjaciele, w imię moje tembardziej ukochali ziemię, w ziemię się oto obrócę, abym znalazł pokój w tej, która mnie zrodziła.

Zaprawdę, cel miał Zaratustra, piłkę swą wyrzucił: i oto wy, przyjaciele moi, jesteście celu mego dziedzice, wam też przerzucam piłkę swą złotą.

Nadewszystko drogim jest mi wasz widok, przyjaciele, kiedy złotą rzucacie piłką! I dlatego też pobędę jeszcze nieco na ziemi; wybaczcież mi to, proszę! —

Tako rzecze Zaratustra.

O CNOCIE DARZĄCEJ.

I.

Gdy Zaratustra pożegnał miasto, ku któremu skłonne było serce jego, miasto, zwane »pstrą krową« — podążyli za nim ci, co się uczniami jego zwali, liczną towarzysząc mu drużyną. Doszli tako do rozstaju dróg: wówczas rzekł Zaratustra, iż dalej samotny pójść pragnie, jako że umiłował był chadzanie samotne. Uczniowie wręczyli mu na pożegnanie posoch, w którego złotej rękojeści wił się wąż wokół słońca. Zaratustra uradował się posochowi i wsparł się na nim; poczem zwrócił się temi słowy do drużyny uczniów swoich:

Powiedzcież mi: czemu złoto zdobyło sobie wartość najwyższą? Ponieważ jest niepospolite, niepożyteczne, jaśniejące i w blasku swym łagodne; ono się zawsze darowuje.

Tylko jako odzwierciedlenie najwyższej cnoty, zdobyło złoto wartość najwyższą. Jako złoto świeci

spojrzenie darzącego. Złota blask czyni przymierze między księżycem i słońcem.

Niepospolita jest najwyższa cnota i niepożyteczna, jaśniejąca jest ona, a w blasku łagodna: cnota darząca jest najwyższą cnotą.

Zaprawdę, zgaduję ja was, uczniowie moi: dążycie, jako ja, ku cnocie obdarzającej. Cóż wy mieć możecie wspólnego z kotami i wilkami?

I takie jest pragnienie wasze, aby stać się ofiarą i darem: i dlatego też łakniecie zgromadzenia dóbr i bogactw wszelkich we własnej duszy.

Nienasycenie podąża dusza wasza skarbów i klejnotów, gdyż nienasycona jest cnota wasza w pragnieniu obdarzania.

Pociągacie wszystkie rzeczy ku sobie i wmuszacie je w siebie, aby z waszych studzien biły źródłem waszych darów miłosnych.

Zaprawdę, rabusiem wobec wszystkich wartości czyni cnota darząca; jednak błogosławię ja i uświęcam samolubstwo takie. —

Bywa wszakże inne samolubstwo, nad miarę ubogie, głodne, zawsze kraść gotowe, — chciwość chorych, samolubstwo chore.

Oczami złodzieja spogląda ono na wszystko świecące; żarłocznością głodu mierzy tych wszystkich, którzy mają obfite pokarmy; zawsze pełza ono wokół hojnych stołów.

Choroba przemawia z takiej pożądliwości i ukryte zwyrodnienie; o mdłem ciele mówi żarłoczność tego samolubstwa.

Powiedzcież mi bracia: cóż jest dla nas złem i najgorszem? Nie jestże niem z w y r o d n i e n i e? —

Zaś zwyrodnienie odgadujemy wszędzie tam, gdzie brak duszy obdarzającej.

Wzwyż wiedzie nasza droga przez gatunek do nadgatunku. Ohydę wszakże budzą w nas te zwyrodniające się skłonności, co wołają: »Wszystko dla mnie«.

Wzwyż wzlatują ducha naszego zamysły: i tem są one przenośnią naszego ciała; są przenośnią jego wywyższenia. Takich wywyższeń przenośnie są imionami cnót.

Tako przechodzi ciało szlakiem dziejów, jako stające się i walczące. Zaś duch — czemże jest dlań duch? Jego walk i zwycięstw heroldem, towarzyszem i oddźwiękiem.

Przenośniami są wszystkie imiona zła i dobra: one nie dowodzą, lecz napomykają jedynie. Głupiec, kto w nich wiedzy szuka!

Baczcież mi, bracia, na tę godzinę, gdy duch wasz w przenośniach mówić zechce: gdyż owo jest zaczątek cnoty waszej.

Dźwigniętem staje się naonczas wasze ciało i wywyższonem; a błogością swoją tako ducha zachwyca, że czyni zeń twórcę, nadawcę wartości, miłującego i wszechrzeczy dobroczyńcę.

Gdy przepełne serce wasze wzburzy się rozlewnie, jako strumień, co jest błogosławieństwem i trwogą dla nadbrzeżnych: owo jest zaczątek cnoty waszej.

Gdyście ponad pochwałę się wznieśli i przygany, i gdy wola wasza rzeczom wszystkim rozkazywać zapragnęła, jako wola miłującego: owo jest zaczątek cnoty waszej.

Gdyście wzgardzili wszystkiem, co przyjemne, gdy wam obmierzło miękkie łoże, gdy od wszelkiego

miękczenia nigdy wam dosyć daleko łoża waszego nie ścielą: owo jest zaczątek cnoty waszej.

Gdyście jednej woli powolni i gdy ta wszelkiej odwrótnica niedoli jest wam doli musem niechybnym: owo jest zaczątek cnoty waszej.

Zaprawdę, nowem złem i nowem dobrem jest takowa cnota! Zaprawdę, jest ona jako nowe głębokie poszumy, nowego źródliska podziemny głos!

Potęga to jest; myśl to władna, a wokół niej dusza mądra: złote to słońce, a na niem wkrąg poznania wąż.

2.

Tu zamilkł Zaratustra i spojrzał z miłością na uczni swoich. Niebawem podjął w te słowa: — a przemienił się głos jego.

Pozostańcie wierni ziemi, bracia moi, wierni potęgą swej cnoty! Wasza miłość darząca i wasze poznanie niechaj służą ziemskiej treści! Tako proszę i zaklinam was.

Nie dozwalajcież jej odlatywać od ziemi i skrzydłami o ściany wieczności łopotać! Och, bywało zawsze tyle cnót w locie zbłąkanych!

Wiedźcież zbłąkaną cnotę na ziemię, jako ja to czynię, wiedźcież ją nawrotem ku ciału i ziemi: aby ziemi właściwą treść nadała, treść ludzką!

Stokrotnie zbłąkiwały się w polotach i chybiały zarówno duch, jak i cnota. Och, w ciele naszem tkwią wciąż jeszcze wszystkie te urojenia i złudy: ciałem i wolą stały się tu one.

Stokrotnie doświadczały się i błądziły zarówno duch, jak i cnota. O tak, próbą człowiek był. Och, ileż niewiedzy i błędu naszem stało się ciałem!

Nietylko rozum tysiącleci, lecz i ich szaleństwo wybucha oto w nas. Niebezpiecznie jest być spadkobiercą.

Jeszcze walczymy krok za krokiem z olbrzymem przypadku, a ponad całą ludzkością sprawowały dotychczas rządy nierozum i niedorzeczność.

Duch wasz, bracia moi, oraz cnota wasza ziemskiej niech służą treści: zaś rzeczy wszelkich wartość niech przez was nanowo nadaną zostanie. Przeto winniście być walczącymi! Przeto twórczymi być powinniście!

Wiedzą oczyszcza się ciało; wśród wiedzy doświadczeń wywyższa się ono. Wszystkie popędy poznającego uświęcają się; dusza wywyższonego radosną się staje.

Siebie zlecz, lekarzu: tako i chorym najlepiej pomożesz. Niech to będzie twą najlepszą pomocą, że oczy jego ujrzą, jakeś się sam uleczył.

Jest dróg tysiące, któremi jeszcze nie chadzano, tysiączne zdrowia przejawy i tysiące ukrytych ogrójców życia. Niewyczerpany i nieodkryty jest jeszcze człowiek, a wraz i ziemia ludzka.

Baczcie i czuwajcie, samotnicy! Z tajemnym skrzydeł łopotem przyszłości ciągną wiewy; czujnym uszom dobra zwiastuje się nowina.

Samotnicy dnia dzisiejszego, wy, odosobniający się, ludem wy kiedyś będziecie: z was, którzyście się sami wybrali, powstanie lud wybrany: — a z niego nadczłowiek.

Zaprawdę, siedliskiem uzdrowienia stać się jeszcze winna ziemia! Oto unosi się już nad nią nowa woń zwiastującej się szczęśliwości, — i nowa wróży się nadzieja!

3.

Gdy Zaratustra te słowa wyrzekł, zamilkł wonczas, jako milknie, kto ostatniego słowa jeszcze nie wygłosił; pełen niezdecydowania ważył długo posoch w dłoni. Wreszcie tak się odezwał: — a przemienił się głos jego.

Sam oto idę dalej, młodzi moja! I wy takoż idźcie stąd, a samopas! Tak chcę.

Zaprawdę, radzę ja wam: idźcie precz ode mnie i brońcie się przeciw Zaratustrze! Lub lepiej jeszcze: wstydźcie się jego! Może on was oszukał.

Człowiek oddany poznaniu winien nietylko kochać swych wrogów, lecz i umieć nienawidzieć swych przyjaciół.

Źle się wywdzięcza mistrzowi, kto zawsze tylko jego uczniem zostaje. I czemuż nie chcecie z wieńca mego uszczknąć?

Uwielbiacie mnie; lecz cóż się stanie, gdy to wasze uwielbienie któregoś dnia runie? Baczcież, aby was posąg nie przygniótł!

Mówicie, iż wierzycie w Zaratustrę? Lecz cóż zależy na Zaratustrze! Jesteście mymi wyznawcami: lecz cóż zależy na wszelkich wyznawcach!

Jeszczeście samych siebie nie szukali: a oto jużeście mnie znaleźli. Tak czynią wszyscy wyznawcy; przeto tak niewiele waży wszelka wiara.

Tak więc wzywam was, abyście mnie zgubili, a wzamian samych siebie znaleźli; i kiedy wszyscy mnie się zaprzecie, naonczas dopiero do was powrócę.

Zaprawdę, innemi oczami, bracia moi, szukać wonczas będę swych straconych; inną pokocham was wtedy miłością.

I raz jeszcze przyjaciółmi mymi się staniecie oraz dziećmi jednej nadziei: zaczem po raz trzeci nawiedzę was, abyśmy społem wielkie święcili południe.

I tem jest to wielkie południe, iż człowiek staje wówczas na połowie drogi między zwierzęciem i nadczłowiekiem i swą drogę ku zachodowi święci, jako swą najwyższą nadzieję: jako że ta jest droga, wiodąca do nowego zaranku.

Naonczas zachodzący sam siebie błogosławić będzie, iż jest poza rubież przechodzącym; a słońce jego poznania stać będzie na południu.

»Pomarli bogowie wszyscy: niechże więc za wolą naszą nadczłowiek żyje« — taką niechaj będzie czasu wielkiego południa nasza wola ostatnia! —

Tako rzecze Zaratustra.





TAKO RZECZE ZARATUSTRA

CZĘŚĆ DRUGA.

„— i kiedy wszyscy mnie się zaprzecie, naonczas dopiero do was powrócę.

Zaprawdę, innemi oczami, bracia moi, szukać wonczas będę swych straconych; inną pokocham was wtedy miłością".

Zaratustra:
O cnocie darzącej (I, str. 105).



DZIECIĘ ZE ZWIERCIADŁEM.

Zaczem powrócił Zaratustra w góry i do samotni swej jaskini; oddaliwszy się od ludzi, czekał, jako siewca, gdy swój posiew rzuci. Wzbierała wszakże jego dusza niecierpliwością i pożądaniem tych, których ukochał: gdyż wiele miał im jeszcze do rozdania. Jakowoż najcięższą to dolą: z miłości zawrzeć dłoń otwartą i jako darodawca wstydu się nie wyzbyć.

Tako mijały samotnikowi miesiące i lata. Mądrość jego wzrastała wszelako i dolegała mu boleśnie pełnią swoją.

Lecz oto pewnego zaranku zbudził się wraz z jutrznią, myślał długo na swem posłaniu i rzekł wreszcie do swego serca:

»Jakiż to sen mnie tak przeraził, żem się aż oto zbudził? Nie zjawiłoż mi się dziecię, przystępujące do mnie ze zwierciadłem?

»O, Zaratustro — rzekło do mnie dziecię — przejrzyj się w zwierciedle!«

A gdym w owo lustro spojrzał, krzyknąłem z przerażenia i ścisnęło się serce moje: gdyż nie siebie tam ujrzałem, lecz dyabła maszkarę i śmiech jego szyderczy.

Zaprawdę, aż nadto pojmuję tego snu przestrogę i znak: nauka moja jest w niebezpieczeństwie, zielsko za pszenicę się podaje!

Spotężnieli wrogowie moi i spotwornili obraz mej nauki tak, że najdrożsi moi wstydzić się muszą darów, którymi ich obdarowałem.

Straciłem przyjaciół swych; nastała godzina, abym szukał straconych!« —

Z temi słowy zerwał się Zaratustra, lecz nie jako przepłoszony, co ucieczki szuka, raczej jako jasnowidz i pieśniarz, na którego duch zstąpił. W zdumieniu spoglądały na niego orzeł i wąż: gdyż jako jutrznia promieniało mu na obliczu zbliżające się szczęście.

Cóż to się ze mną stało, zwierzęta me? — rzekł do nich Zaratustra. Czyżem nie przeistoczony? Nie naszłaż na mnie ma szczęśliwość, jako wichura?

Szaleńcze jest to moje szczęście i szalone rzeczy głosić będzie: za młode jest ono jeszcze, — pobłażanie miejcie!

Ranny jestem szczęściem mojem: cierpiący wszyscy niechże mi lekarzami będą!

Do przyjaciół wolno mi znijść ponownie i do wrogów swoich! Wolno znowuż Zaratustrze przemawiać, darowywać, miłowanie najdroższe czynić!

Miłość ma niecierpliwa potokami zlewa się na niże, na wschód i zachód. Z milczących gór, z boleści burz prądem rwie ma dusza na doliny.

Za długo tęskniłem i wyzierałem w dal. Zbyt

długo władała mną samotność: i tak oto oduczyłem się milczenia.

Ustami jam się stał wskroś, wzburzonym na graniach stałem się strumieniem: chcę mą mowę zwalić na doliny, w dół!

I niechże mi ten potok miłości na bezdroża nawet runie! Jakżeby nie miał potok drogi ku morzu wreszcie odnaleźć!

Mam ja wprawdzie jezioro w duszy pustelnicze i na sobie przestające; lecz nurty mej miłości porwą je wraz z sobą — ku morzu, hen!

Nowemi drogi idę, nowa nawiedza mnie mowa; jako wszystkich twórców, stare znużyły mnie języki. Nie chce mi duch mój już na zdartych podeszwach biegać.

Zbyt wolno wlecze mi się wszelka mowa: — w twój wóz skaczę, nawałnico! I ciebie jeszcze chłostać będę, a naglić swą złośliwością!

Jako krzyk i zawołanie radosne, popłynę po toni mórz dalekich, hen, ku wyspom szczęśliwości, gdzie przyjaciele moi bawią: —

I wrogi me pośród nich! Jakże ja kocham każdego, do kogo przemawiać mi wolno! I wrogów mi trzeba do szczęścia!

A gdy najdzikszego z mych koni dosiąść pragnę, włócznia mi moja najlepiej wonczas wygadza: ona mej nodze każdego czasu rada służy: —

Włócznia, którą w swych wrogów cisnę! Jakżem wdzięczny nieprzyjaciołom swoim, że wreszcie włócznią miotać mogę!

Zbyt wielkie było napięcie mojej chmury: między jednym a drugim uśmiechem błyskawicy chcę popłoch gradobicia cisnąć na doliny.

Potężnie dźwignie się ma pierś, burzą swą zadmie potężnie ponad górami: ulgę jej to przyniesie.

Zaprawdę, jako burza nadciąga me szczęście i wolność moja! Niechże myślą wrogowie, że to zły szaleje ponad ich głowami.

Lecz i wy, przyjaciele moi, przerazicie się mej dzikiej mądrości; i może mi umkniecie wraz z wrogami.

Och, bodajżebym ja potrafił fletnią pasterczą przywabić was z powrotem! Och, bodajżeby ma lwia mądrość tkliwych nauczyła się poryków! Wszak tyle nauczyliśmy się już społem!

Ma dzika mądrość brzemienną się stała w górach samotnych, na surowym głazie porodziła swe młode, swe najmłodsze.

Biega tedy szalona po twardem pustkowiu, a miękkiej darni szuka i szuka daremnie — ma stara, dzika mądrość!

W serc waszych, przyjaciele, łagodną darń, w waszą miłość pragnie ona złożyć najdroższy swój płód! —

Tako rzecze Zaratustra.

NA WYSPACH SZCZĘŚLIWOŚCI.

Figi padają z drzew, dobre są one i słodkie; a gdy padają, pęka na nich skóra czerwona. Jestem wichrem północnym dla dojrzałych fig.

I jako figi spadają ku wam, przyjaciele, nauki me: pijcież ich sok i słodką ich miąższ! Jesień naokół, niebiosa pogodne, a pora jest popołudniowa.

Spojrzyjcież, jaka tu bujność wokół nas! A z poza tej obfitości jakże błogo wyjrzeć w dal na toń morza daleką.

Niegdyś mawiano Bóg, gdy spoglądano na dalekie morze; ja was nauczyłem mawiać: nadczłowiek.

Bóg jest domniemaniem: lecz ja pragnę, aby domniemania wasze nie sięgały dalej, niźli wasza wola twórcza.

Czybyście zdołali Boga stworzyć? — Więc milczcież mi o wszystkich bogach! Wszakże nadczłowieka stworzyć zdołacie.

Być może, iż nie wy sami, bracia moi! Lecz na ojców i przodków nadczłowieka przetworzyć się mo-

żecie: niechże więc to będzie waszą najlepszą twórczością! —

Bóg jest domniemaniem: lecz ja pragnę, aby domniemania wasze nie wykraczały poza to, co jest do pomyślenia.

Czybyście zdołali pomyśleć sobie Boga? — Lecz niech wam to wolę prawdy znamionuje, iż wszystko przeistacza się w myślne po ludzku, po ludzku widzialne, po ludzku odczuwane! Swoje własne zmysły powinniście domyśleć do końca!

Zaś to, coście światem zwali, to przez was dopiero stworzone być winno: waszym rozumem, waszą wolą i miłością, obrazem was samych stać się to winno! I zaprawdę, dla waszej szczęśliwości, wy poznający!

Jakżebyście mogli znieść to życie bez takiej nadziei, wy poznający? Wy nie powinniście być wszczepieni ani w niepojętość, ani w niedorzeczność.

Wreszcie, abym wam, przyjaciele, całkowicie swe serce objawił: jeźliby bogowie byli, jakżebym ja zniósł, abym bogiem nie był! Przeto niema bogów.

Wyciągnąłem wniosek; lecz oto on mnie pociąga. —

Bóg jest domniemaniem: lecz któż zdoła wypić całą mękę tego domniemania, nie przypłaciwszy jej życiem? Maż być odebraną tworzącemu jego wiara, orłu jego poloty po orlich dalach?

Bóg jest myślą, co wszystko proste krzywem czyni, a wszystko co stoi krętem. Jakże to? Czas miałby się zaprzepaścić, a znikomość być tylko kłamstwem?

Myśl taka jest krętym zawrotem dla nóg ludzkich, dla żołądka mdłością: zaprawdę, kołowacizną zwę takie domniemania.

Złe są mi one i wrogie dla ludzkości: te wszystkie nauki o jednem, pełnem, nieruchomem, sytem i wiekuistem.

Wszystko, co nie przemija — przeniośnia to tylko! A poeci łżą zbyt wiele. —

Lecz o czasie i stawaniu się winny mówić najlepsze przenośnie: chwałą winny być one i usprawiedliwieniem wszelkiego, co przemija!

Twórczość — oto jest wielkie wyzwolenie z cierpień i ulżenie życia. Lecz, żeby twórca powstał, wiele cierpień tu trzeba i wiele przeistoczeń.

Wiele gorzkiego zamierania musi być w waszem życiu, wy twórcy! I tako stajecie się orędownikami i obrońcami wszelkiego, co przemija.

Aby twórca dziecięciem się stał, dziecięciem nowonarodzonem, nato musi być rodzicielką i bolami rodzicielki.

Zaprawdę, przez sto dusz wiodła ma droga, przez sto kołysek i boli porodowych. Niejednom pożegnanie przeżyć musiał i znam, rozdzierające serce, ostatnie godziny.

Lecz tako chce ma wola twórcza, dola ma. Lub obym wam rzetelniej powiedział: takiej właśnie doli — pożąda wola ma.

Wszystko, co czuje, cierpi we mnie i jest w więzieniu zamknięte: lecz wola ma zjawia mi się zawsze, jako wybawca i zwiastun radosny.

Wola wyswobadza: oto jest prawdziwa nauka o woli i wolności — tak was uczy Zaratustra.

Już nie chcieć niczego, już niczego nie cenić nawet, już nie tworzyć więcej! och, gdybyż to wielkie zmęczenie omijało mnie zawsze z daleka!

I w poznawaniu czuję tylko swej woli pochop-

ność do tworzenia i stawania się; a jeśli niewinność jest w poznaniu mem, dzieje się to dlatego, iż jest w niem wola twórcza.

Precz od Boga i od bóstw wabi mnie ma wola twórcza; cóżby bo pozostawało do tworzenia, gdyby bogowie istnieli!

Lecz do człowieka pociąga mnie raz po raz ma płomienna wola twórcza; tako pociąga młot ku głazowi.

W kamieniu, o ludzie, drzemie posąg mój, posąg mych posągów! O, że też w najtwardszym głazie tkwić on musi!

I oto wali mój młot okrutnie w to więzienie. Z głazu pryskają odłamy: lecz nie dbam ja o to!

Dzieła mego dokonać chcę, gdyż mara nawiedziła mnie: co w rzeczach wszelkich jest najcichsze, a najdoskonalsze, wszystko to nawiedziło mnie!

Piękno nadczłowieka marą ku mnie przyszło. O, bracia moi! Cóż mnie wobec tego obchodzić mogą — bogowie! —

Tako rzecze Zaratustra.





O LITOŚCIWYCH.

Przyjaciele moi, głos mowy szyderczej dobiegł do waszego drucha: »patrzcież na Zaratustrę! czyż nie obcuje on z nami, jako ze zwierzętami?«

Lecz tak oto słuszniej rzecby należało: »poznający przebywa pośród ludzi, j a k o pośród zwierząt«.

Człowiek zasie jest dla poznającego: zwierzęciem o czerwonych policzkach.

Jakże mu na to przyszło? Czyż nie dlatego, że zbyt często sromać się musiał?

O, przyjaciele moi! Te są słowa poznającego: wstyd, wstyd, wstyd — oto dzieje człowieka!

Przeto ślubuje sobie szlachetny, iż nigdy zawstydzać nie będzie: ślubuje on sobie wstyd przed wszystkiem, co cierpi.

Zaprawdę, nie znoszę ja tych miłosiernych, których własna litość błogością przejmuje: zbyt mało wstydu mają mi ci ludzie.

Jeśli litościwym być muszę, nie chcę się nim zwać; a skoro nim jestem, pragnę nim być z daleka.

Rad głowę osłonię i precz się umknę, zanim poznanym być mogę: tako i wam czynić przykazuję, przyjaciele moi!

Obyż mię dola wiodła na drogę życia ludzi wolnych od cierpień oraz takich, z którymiby wolno było mieć wspólny posiłek, nadzieję i miód.

Zaprawdę, tem i owem wygodziłem cierpiącym: lecz bodaj, iż zawsze rzecz lepszą czyniłem, gdym się uczył, jakbym się lepiej radował.

Od czasu gdy ludzie istnieją, za mało weselił się człowiek: to jedynie, bracia moi, jest naszym grzechem pierworodnym!

A skoro się nauczymy lepiej weselić, oduczymy się tem najskuteczniej innym boleści przyczyniać i bolesności zamyślać.

Przeto umywam rękę, co wspomagała cierpiących, przetobym rad obmył i duszę.

Bo iżem cierpiącego w cierpieniu widział, tego się wstydzę w imię jego wstydu, a gdym mu pomagał, zawiniłem ciężko przed jego dumą.

Wielkie zobowiązania nie czynią wdzięcznym, lecz mściwym; zaś gdy małe dobrodziejstwo zapomnianem rychło nie bywa, staje się ono łacno zaczerwiem toczącego robaka.

«Bądźcie hardzi w przyjmowaniu! Umiejcie wyróżniać tem, że przyjmować raczycie!« — tako radzę tym, co nie mają nic do darowania.

Ja wszakże jestem darodawcą: rad rozdaję, jako przyjaciel przyjaciołom. Obcy zaś i ubodzy niechże sobie sami owoc z mego drzewa zerwą: mniej ich to zawstydzać będzie.

Żebraków jednakby należało całkowicie usunąć!

Zaprawdę, gniewa to, gdy im się daje, i gniewa, gdy im się nie daje.

Podobnież i grzeszników oraz sumienia nieczyste! Wierzajcie mi, przyjaciele, zgryzoty sumienia uczą gryźć.

Zasie rzeczą najgorszą są myśli małe. Zaprawdę, lepszy jest zły czyn, niźli mała myśl!

Wprawdzie powiadacie: »rozkosz z małych złośliwości oszczędza nam nieraz wielkigo czynu«. Lecz tu nie należy chcieć oszczędzać.

Zły czyn jest, jako wrzód: swędzi, drapie, wreszcie na zewnątrz przebija, — mowa jego jest rzetelna. »Patrz, jam jest chorobą« — tak mówi zły czyn; i to jest jego uczciwość.

Lecz myśl mała jest, jako plecha grzybia: pełznie, przeciska się, i, zda się, nigdzie jej niema — aż póki całe ciało nie zmurszeje i uwiędnie od małych grzybów.

Którego zaś dyabeł opętał, temu szepnę te słowa na ucho: »lepiej snadnie uczynisz, gdy wyhodujesz swego dyabła ku wybujałości! I dla ciebie jest jeszcze droga do wielkości!« —

Och, bracia moi! O każdym wie się nieco za wiele! Zaś niejeden staje się dla nas wprost przezroczysty; wszakże mimo to przejść wskroś niego bynajmniej nie można.

Trudno żyć z ludźmi, ponieważ milczeć jest tak trudno.

A nie dla tych jesteśmy najmniej wyrozumiali, którzy nam obmierźli, lecz dla tych, którzy nas zgoła nie obchodzą.

Gdy masz przyjaciela cierpiącego, bądźże dla jego cierpienia miejscem spoczynku, lecz zarazem

twardem łożem, łożem polowem: tak oto najlepiej mu się wysłużysz.

A gdy przyjaciel krzywdę ci wyrządzi, mawiaj wonczas: »wybaczam, coś mi uczynił, lecz żeś ty to s o b i e wyrządził, — jakżebym ci to mógł wybaczyć!«

Tak oto mawia wielka miłość: ona przezwycięża nawet i przebaczenie wraz z współczuciem.

Należy krzepko dzierżyć serce swe; jeśli mu pozwolić rządzić, jako zechce, zaprzepaści się wraz z sercem i głową!

Och, gdzież na świecie działy się większe szaleństwa, niźli pośród litościwych? I cóż stworzyło więcej cierpień na świecie, nad szaleństwa litościwych?

Biada wszystkim kochającym, którzy nie mają wyżyny, sięgającej ponad litość!

Tak oto przemówił raz do mnie dyabeł: »i Bóg ma swe piekło: jest niem miłość ludzi«.

Zaś niedawno te słowa zasłyszałem: Bóg nie żyje; litość nad człowiekiem przyprawiła Boga o śmierć«. —

Więc miejcież się na baczności przed litością: s t ą d oto zwiastuje się jeszcze człowiekowi ciężka chmura! Zaprawdę, znam ja się na znakach, zwiastujących niepogodę!

Zważcież i to słowo jeszcze: każda wielka miłość jest ponad współczuciem: gdyż ona chce rzecz ukochania dopiero — stworzyć!

»Samego siebie swą miłością darzę i s w y c h b l i ź n i c h, j a k o s i e b i e« — taka jest mowa wszystkich, co tworzą.

Zaś twórcy wszyscy twardzi są. —

Tako rzecze Zaratustra.

O KAPŁANACH.

Razu pewnego Zaratustra dał znak uczniom swoim i rzekł temi słowy.:

»Kapłani tu są: aczkolwiek to wrogowie moi, mijajcie ich w ciszy, i niech spoczywa oręż wasz!

I między nimi są bohaterzy; wielu z nich cierpiało zanadto —: pragną przeto innym cierpienia przyczyniać.

Źli to wrogowie: nic mściwszego nad ich pokorę. I łatwo kala się ten, kto ich dotyka.

Lecz krwią spokrewniony jestem z nimi; i chcę swą krew nawet w nich uszanować.« —

Lecz gdy minęli ich, ból ogarnął Zaratustrę; nie długo borykał się wszakże ze swym bólem, niebawem rzekł temi słowy:

Żałosnym zda mi się ten kapłan. Nie w smak są mi też oni; wprawdzie od czasu gdy między ludźmi bawię, jest mi to rzecz najbłahsza.

Lecz cierpiałem i cierpię wraz z nimi: więźnie to są i piętnowani. Ten, którego zbawicielem zową, zakuł ich w okowy: —

W okowy fałszywych wartości i słów obłędnych! Och, gdybyż wybawił ich kto od ich zbawiciela!

Ongi, gdy ich morze ponosiło, zdawało się im, że oto do wyspy przybili; lecz niestety był to potwór śpiący!

Fałszywe wartości i słowa obłędne: najgorsze to potwory dla śmiertelnych, — długo drzemie i ukrywa się w nich klęska.

Wreszcie jawi się, budzi się potwór, pożera i chłonie wszystkich, co na nim pobudowali schroniska.

Patrzcież mi na te schroniska kapłanów! Świątyniami zwą oni te słodkowonne jaskinie.

Och, to fałszowane światło, to zdławione powietrze! Tu duszy do własnych wyżyn — wzbijać się nie wolno!

Gdyż tak oto brzmi nakaz ich wiary: »na klęczkach czołgać się będziecie po stopniach, grzesznicy!«

Zaprawdę, chętniej widzę bezwstydnika, niźli te zezujące oczy ich wstydu i nabożności!

Któż to stworzył sobie takie jaskinie i te stopnie pokutne? Zaliż nie byli to ci, co się ukryć pragnęli, co się jasnego nieba wstydzili?

Gdy jasne niebo znowóż poprzez zburzone sklepienie wejrzy na murawę i kraśne maki, porastające rozwalone mury, — wonczas dopiero serce swe skłonię ku przybytkom tego Boga.

Przezwali Bogiem wszystko, co im się przeciwiało i sprawiało ból: zaprawdę wiele bohaterskości było w tem ich bohomolstwie!

Zaś inaczej Boga swego kochać nie umieli, jeno przybijając do krzyża człowieka!

Jako trupy żyć pragnęli, kirem czernili trupy

swe; nawet w ich mowach wietrzę przykre zaduchy trupiarni.

A kto w ich blizkości przebywa, zamieszkuje w blizkości czarnych stawów, z których kumaki pieśń swą zawodzą słodkim głębokiej zadumy przyśpiewem.

Lepsze pieśni śpiewać mi winni, abym w ich wyzwoliciela uwierzyć zdołał: bardziej wyzwolonymi jawić mi się winni jego wyznawcy!

Nago pragnąłbym ich ujrzeć: gdyż piękno jedynie winno wzywać do pokuty. Lecz któż podmówi ku temu ten zakapturzony posępek!

Zaprawdę, nawet ich zbawiciele nie przybyli z wolności i z siódmego tej wolności nieba! Zaprawdę, oni nie wędrowali nigdy po kobiercach poznania!

Z luk składał się duch tych zbawicieli; a w każdą taką pustkę wtykali oni swój omam, swego pokutnika duchowych niedostatków, którego Bogiem przezwali.

W litości duch ich zatonął, a gdy pęcznieli i rozpęczniali litowaniem, wypływało zawsze ku górze wielkie głupstwo.

Krzętnie i wrzaskliwie pędzali swe trzody przez swoją kładkę: jak gdyby ku przyszłości tylko jedna ścieżka wiodła! Zaprawdę, i pasterze ci należeli do owiec!

Małe duchy a obszerne dusze posiadali ci pasterze: lecz, bracia moi, jakże małemi krainami bywały dotychczas najobszerniejsze dusze!

Krwawe znaki wypisywali na drodze, po której chadzali, a szaleństwo ich pouczało, że krwią dowodzi się prawdy.

Lecz krew jest najgorszym świadkiem prawdy; krew zatruwa najczystszą nawet naukę, czyniąc z niej obłęd i nienawiść serc.

A jeśli ktoś dla swej nauki przez ogień przejdzie, — czegóż to dowodzi! Zaprawdę, więcej waży to, gdy własna nauka z własnego rodzi się żaru!

Serce wezbrane, a głowa zimna: gdzie one się zetkną, tam rodzi się zawierucha, tam powstaje »wybawiciel«.

Bywali więksi i zaprawdę, bardziej wysoko urodzeni od tych, których lud zbawicielami zowie, te ponoszące zawieruchy!

Lecz i od tych większych, niźli wszyscy wyzwoliciele, winniście się wyzwolić bracia moi, abyście drogę ku wolności znaleźli!

Nigdy nie istniał jeszcze nadczłowiek. Nago ujrzałem ich obu, największego i najmniejszego człowieka: —

Zbyt podobni są obaj. Zaprawdę, i największy był mi — nadto ludzki! —

Tako rzecze Zaratustra.

O CNOTLIWYCH.

Piorunami i ogniem niebieskim należy przemawiać do śpiących i do sennych zmysłów.

Lecz głos piękności cichy jest: on wkrada się tylko do najczujniejszych dusz.

Lekko zadrżała i zaśmiała się dziś tarcza ma; to piękna święty śmiech i drżenie.

Z was, cnotliwi, śmiało się dziś me piękno. I tak oto nawiedził mię głos jego: »oni chcą jeszcze — być zapłaceni!«.

Wy chcecie jeszcze być zapłaceni, wy cnotliwi! Chcecie zapłaty za cnotę, nieba za ziemię i wieczności za wasze dziś?

I oto złorzeczycie mi zato, że pouczam, iż niema zapłaty, niemasz płatmistrza? I zaprawdę, uczyłem ja nieraz, że cnota jest własną swą zapłatą.

Och, tem jest smutek mój: iż na dno rzeczy wtłaczano nagrodę i karę — i wreszcie na dno dusz waszych, wy cnotliwi!

Lecz jako kieł dzika niechaj słowa me będą

i niech wam dusze aż do dna rozerwą; lemieszem chcę wam być.

Wszystkich skrytości waszych głębi na światło dobędę; a gdy tak lemieszem przeorani i skruszeni na słońcu legniecie, wówczas kłamstwo wasze od prawdy łacno się oddzieli.

Gdyż tem jest prawda wasza: jesteście za s c h l u d n i na brud słów takich, jak: zemsta, kara, zapłata, odwet.

Kochacie swą cnotę, jak matka dziecię kocha, i któż słyszał kiedy, żeby matka za tę miłość opłacona być chciała?

Cnota wasza — to wasze najdroższe własne ja. Pragnienie pierścienia jest w was: by samego siebie dosięgnąć, toczy się i obraca każdy pierścień.

Jako gwiazda, co gaśnie, jest każdy postępek cnoty waszej: światło jej wciąż jeszcze w drodze, wędruje wciąż — i kiedyż ono drogę swą ukończy?

Tak i światło cnoty waszej wciąż jeszcze jest w drodze, choć dzieło już dokonane jest. Niechaj zapomniane będzie, niech zamrze: promień światła jego wciąż jeszcze wędruje.

Że cnota wasza jest waszą samością, nie zaś czemś obcem, ani skórą, ani płaszczem: to prawda, że dna duszy wam wydarta, wy cnotliwi! —

Bywają wprawdzie i tacy, których cnotą jest kurcz pod biczem: baczyliście mi zanadto na krzyk takich cnotliwców!

Bywają i tacy, którzy cnotą zwą zleniwienie swych nałogów: a gdy ich zemsta oraz ich zawiść członki swe prężą, ożywia się wówczas ich »sprawiedliwość«; przeciera zaspane oczy.

Bywają i tacy, którzy wstecz bywają pociągani: ciągną ich własne dyabły. Lecz im głębiej padają, tem płomienniej żarzą się ich oczy oraz pożądanie Boga.

Och, i takie wołania dobiegły uszu waszych, wy cnotliwi: »czem ja nie jestem, to jest mi Bogiem, i cnotą!«

Bywają i tacy, co wloką się ciężko i zgrzytliwie, jako wozy, kamienie w dół zwożące: ci mówią wiele o cnocie i godności, — hamulec swój cnotą zowiąc!

Bywają i tacy, co są jak zegary powszedniości nakręcane codziennie; cykają i chcą, by się to cykanie — cnotą zwało.

Zaprawdę, uciechę mi oni gotują: gdzie ujrzę zegar taki, będę go nakręcał swym szyderstwem; i warczeć mi one przytem jaszcze winny!

Bywają też i dumni z pełnej garści sprawiedliwości, aby w jej imię pastwić się nad każdą rzeczą: tak iż świat w ich niesprawiedliwości tonie.

Och, jakże fałszywie wypada słowo »cnota« z ich ust! A gdy mówią »jestem sprawiedliwy« brzmi to jak: »jestem pomszczony!«

Cnotą swą radzi wrogom swoim oczy wydrapać; wywyższają się nato tylko, aby innych poniżyć.

Bywają również i tacy, co w bagnie siedząc, tak z sitowia przemawiają: »Cnotą — jest cicho w bagnie siedzieć.

Nie kąsamy nikogo i schodzimy z drogi każdemu, co gryźć chce; we wszystkiem jesteśmy tego przekonania, jakie nam da«.

Bywają również i tacy, co umiłowawszy giesty, mniemają: cnota jest pewnego rodzaju giestykulacyą.

Ich kolana zawsze nabożeństwa czynią; dłonie są sławieniem cnoty, lecz serce nic nie wie o tem.

Bywają wreszcie i tacy, co głosić zwykli o cnocie: »cnota jest konieczna«; w głębi duszy wierzą jednak w to tylko, iż policya jest niezbędna.

A niejeden, co wyżyn człowieczych dojrzeć nie jest w stanie, zwie to cnotą, iż nizkość ludzką zbyt blizko ogląda: i ten zły swój wzrok chrzci mianem cnoty.

Niektórzy chcą być zbudowani i wydźwignięci i zwą to cnotą, inni znów pragną być powaleni — i zwą to również cnotą.

Tak oto mniemają nieomal wszyscy, iż uczestniczą w cnocie; zaś co najmniej każdy chce być znawcą w rzeczach »dobra« i »zła«.

Lecz nie nato przyszedł Zaratustra, by tym łgarzom i błaznom powiadać: «I cóż wy wiecie o cnocie! I cóż wy o niej wiedzieć możecie!« —

Lecz obyście się staremi słowy znużyli, przyjaciele moi, słowy nabytemi od błaznów i łgarzy: Umęczcie się słowami: »nagroda«, »odwet«, »kara«, »zemsta w sprawiedliwości« —

Umęczcie się mówieniem: »że ten postępek jest dobry, ponieważ jest niesamolubny.«

Och, przyjaciele moi! Że wasza samość tkwi w postępku, jak matka w dziecięciu: takiemi niech będą wasze słowa o cnocie!

Zaprawdę, zabrałem wam setkę słów miłych i lube igraszki waszej cnoty; i oto dąsacie się na mnie, jak dzieci.

Igrały oto nad morzem, — przyszła fala i porwała im igraszkę w głębie: płaczą tedy.

Lecz ta sama fala przyniesie im nowe igraszki i wyrzuci przed niemi nowe barwiste muszelki!

Pocieszą się wnet dzieci; podobnież i wy, przyjaciele moi, znajdziecie niebawem swe pocieszenia — i nowe barwiste muszelki! —

Tako rzecze Zaratustra.



O HOŁOCIE.

Zycie jest krynicą rozkoszy; lecz gdzie i hołota pija, tam wszystkie studnie są zatrute.

Sprzyjam wszystkiemu, co schludne; ale tych wyszczerzonych pysków ścierpieć nie mogę, nie znoszę pragnienia niechlujnych.

Rzucili spojrzenie w głąb studni: i oto wyziera mi ze studni ich przemierzły chichot.

Świętą wodę zatruli swą lubieżnością; a gdy swe brudne sny rozkoszą nazwali, zatruli nawet i słowa.

Niechętnym staje się i płomień, gdy oni swe wilgłe serca do ognia znoszą. Nawet duch dymi i swąd dawać poczyna, gdzie się hołota do ognia tłoczy.

Mierźle słodkawym i omiękłym staje się w ich dłoniach każdy owoc: spojrzenie ich czyni każde drzewo owocne uschłem na wierzchołku i wywrotnem od lada wiatru.

A niejeden, co się z życia wycofał, wycofał się tylko od hołoty: nie chciał z nią wspólności przy studni, ognisku i owocach.

A niejeden, co na pustynię poszedł i z drapieżnemi zwierzęty pragnienie cierpiał, nie chciał tylko wraz z niechlujnymi poganiaczami wielbłądów zasiadać u cysterny.

A niejeden, co jako burzyciel przychodził, jako gradobicie pola uprawne nawiedzał, chciał tylko hołocie nogę wetknąć w paszczę i tako gardziel jej zatkać.

Owym kęsem, przy którym namordowałem się najbardziej, nie była wątpliwość, zali życie potrzebuje koniecznie wróżdy, śmierci i krzyżów męczeńskich: —

Lecz, żem się pytał samego siebie i dusił nieomal swem pytaniem: czyżby? czyżby życie potrzebowało nawet i hołoty?

Sąże koniecznie studnie zatrute, ogniska cuchnące, marzenia skalane i czerwie w chlebie życia?

Nie nienawiść moja, lecz mój wstręt żerował głodny na życiu! Och, i ducham sobie obmierził, gdym spostrzegł, że i hołota miewa błyskotliwego ducha!

I do panujących tyłem się odwróciłem, gdym ujrzał, co oni zwą panowaniem swem: szacherkę i targi o władzę — z hołotą!

Wśród ludów obcej mieszkałem mowy z zatulonemi uszy: aby mi język ich szacherki obcym pozostawał, oraz ich targi o władzę.

Nos sobie przysłaniając, mijałem niechętny wszelkie wczoraj i dziś: zaprawdę, wszelkie dziś i wczoraj cuchnie piszącą hołotą!

Jako kaleka, — głuchy, niemy i ślepy: tak oto

przeżywałem długie czasy, abym nie potrzebował żyć pośród hołoty rządzącej, piszącej i używającej.

Mozolnie wspinał się duch mój na stopnie i ostrożnie przytem; liche jałmużny rozkoszy orzeźwieniem mi były; przy kiju spełzło ślepcowi życie.

I cóż się stało ze mną? Jakżem się ja wyzwolił ze swego wstrętu? Jakżem odmłodził swe oko? Jakżem się ja wzbił na te wyżyny, gdzie żadna hołota u studzien nie zasiada?

Nadarzyłże mnie wstręt własny skrzydły i źródliska wyczuwającemi siły? Zaprawdę, na najwyższe szczyty wzlecieć musiałem, aby odnaleźć krynicę rozkoszy!

O, znalazłem ja ją, bracia moi! Tu na wyniosłościach najwyższych tryska mi krynica rozkoszy! — Jest więc życie, do którego spragniona nie ciśnie się hołota!

Zbyt gwałtownie bijesz ty mi, rozkoszy źródle! I często kielich opróżniasz dlatego tylko, że go ponownie napełnić pragniesz!

I uczyć się jeszcze muszę z większą do ciebie zbliżać się skromnością: zbyt gwałtownie rwie się me serce ku tobie: —

To serce moje, na którem lato w słońcu płonie, lato krótkie, gorące i posępne, a tak ogromnie szczęśliwe: jakże me serce latowe twojej pożąda ochłody!

Minął ociągający się smętek mej wiosny! Minęła złośliwość płatów śniegu czerwcowych! Latem stałem się nawskroś i letniem południem!

Latem na wzniesieniach najwyższych i chłodnemi źródły, i błogą ciszą: o, chodźcież, przyjaciele moi, aby się ta cisza jeszcze bardziej błogą stała!

Gdyż to jest nasza wyżyna i nasza ojczyzna: za wysoko i zbyt stromo mieszkamy dla wszystkich niechlujnych, oraz dla ich pragnienia.

Czyste oczy wasze, przyjaciele, niechże wejrzą w krynicę mojej rozkoszy! Jakżeby się ona tem zmącić miała! Odeśmieje się ona wam własną swą czystością.

Na drzewie przyszłości zbudujemy swe gniazdo; orły niech samotnikom pokarm w dziobach znoszą!

Zaprawdę, nie jest to strawa, którąby i niechlujni spożywać z nami mogli! Zdawałoby się im, że ogień żrą i pyski popalić sobie gotowi!

Zaprawdę, niemasz tu u nas przytułku dla niechlujnych. Lodową jaskinią zda się nasze szczęście ich ciałom i duchom!

I jako wichry ponad nimi przebywać będziemy, sąsiedzi orłów, sąsiedzi śniegu, sąsiedzi słońca: tako żyją wichry.

I jako wicher wionę ja kiedyś między nich, a własnym duchem odbiorę tchnienie ich duchowi: przyszłość ma tego chce.

Zaprawdę, wichrem jest Zaratustra dla wszelkich nizin; i tą radą radzę wrogom swoim, oraz wszystkiemu, co tam pluje i śliną miota: »strzeżcie się plucia pod wiatr!« —

Tako rzecze Zaratustra.

O TARANTULACH.

Patrz, oto jest jaskinia tarantul! Chceszże samo zwierzę ujrzeć? Tu wisi jego pajęczyna: dotknij tylko, aby zadrżała.

Otóż i ona: witaj, tarantulo! Czarno tkwi na twym grzbiecie twój trójkąt i znak wróżebny; ja zaś wiem nawet, co w twej duszy tkwi.

Zemsta tkwi w twojej duszy: gdziekolwiek ugryziesz, tam wyrasta czarny strup; jadem swoim o kołowaciznę zemsty przyprawiasz ty duszę!

Tako mówię w przypowieści do was, którzy o kołowaciznę przyprawiacie dusze, wy kaznodzieje równości! Tarantulami jesteście wy dla mnie i ukrytymi mściwcami!

Lecz dobędę ja wnet na jaw kryjówki wasze: i przeto rzucam wam w twarz swój wyżyn śmiech.

I przeto szarpię tę waszą pajęczynę, aby wasza wściekłość wywabiła was z jaskini kłamstwa, i aby zemsta wasza wyskoczyła z poza waszego słowa »sprawiedliwość«.

Gdyż wyzwolenie człowieka z zemsty: oto co mi jest mostem ku najwyższej nadziei i tęczą po długiej słocie.

Lecz tarantule pragną oczywiście inaczej. »To właśnie niech nam będzie sprawiedliwością, że świat się wypełnia burzami zemsty naszej« — tak oto mawiają między sobą.

»Darzmy zemstą i spotwarzaniem tych wszystkich, którzy nie są nam równi« — tak oto ślubują sobie serca tarantul.

Nadto »wola sprawiedliwości« ona to winna być nadal imieniem cnoty; zaś przeciw wszystkiemu, co władzę posiada, wszczynajmy swój krzyk!

Kaznodzieje wy równości, tyrańskiwa to obłęd w niemocy woła tak przez was »sprawiedliwość«: wasze najskrytsze zachcianki tyrańskiwa kapturzą się tak oto słowami cnoty!

Utrapieńcza pycha i tłumiona zawiść, może ojców waszych pycha i zawiść: oto co z was płomieniem bucha i zemsty obłędem.

Co ojciec przemilczał, to się w synu głosi; i nieraz był mi syn tylko obnażoną tajemnicą ojca.

Zdają się pełnymi zapału: lecz nie serce zapał w nich nieci — lecz zemsta. A gdy się subtelni i zimni stają, nie duch, lecz zawiść subtelnymi i zimnymi ich czyni.

Zawiść wiedzie ich na ścieżki myślicieli; i to jest znamieniem ich zawiści — zawsze wiedzie ich ona za daleko: aż wreszcie ich znużenie zledz musi na śniegu.

W każdej ich skardze brzmi zemsta, w każdej pochwale dokuczliwość; a być sędzią zda im się snadnie najwyższą błogością.

Aliści radzę ja wam, przyjaciele moi: nie dowierzajcie nikomu, w kim popęd do karania jest zbyt silny!

Lud to złego obyczaju i złego rodu: z twarzy jego wyziera kat i wyżeł tropiący.

Nie dowierzajcie nikomu, co o swej sprawiedliwości mawiać rad! Zaprawdę, ich duszom brak nie tylko miodu.

A gdy się sami za »dobrych a sprawiedliwych« podają, nie zapominajcie, że, aby stać się faryzeuszami, brak im tylko — władzy!

Przyjaciele moi, ani pomieszany być z innymi, ani uchodzić za kogo innego nie pragnę.

Bywają i tacy, co głoszą mą naukę o życiu: lecz są zarazem kaznodziejami równości i tarantulami.

A że kwoli życia przemawiają, aczkolwiek, z życia wycofani, w norach swych tkwią, pająki te jadowite! — czynią to dlatego, że chcą tem właśnie bólu przyczyniać.

Dokuczyć chcą tym, co teraz władzę mają: gdyż u tych ludzi kaznodziejstwa śmierci najchętniej bywają widziane.

Gdyby inaczej było, inaczejby też pouczały i tarantule; wszak to one właśnie były niegdyś najlepszymi oszczercami życia i podpalaczami stosów kacerskich.

Z tymi kaznodziejami równości pomieszany być nie chcę, ani za jednego z nich uchodzić nie pragnę. Gdyż tak oto mówi mi sprawiedliwość: »ludzie równi nie są«.

I stać się równymi nawet nie powinni! Czemżeby była ma miłość nadczłowieka, gdybym pouczał inaczej?

Na tysiącu mostów i po stopni tysiącu winni się tłoczyć ku przyszłości, coraz więcej wojny a nierówności niecić między nimi należy: tak mi ma wielka miłość mówić każe!

Wynalazcami obrazów i upiorów stawać się winni w zwalczaniu się wzajemnem, i tymi obrazami a upiorami winni najwyższe walki staczać!

Dobro i zło, bogactwo i ubóstwo, wyniosłość i gminność, oraz wszystkie imiona wartości: orężem winny być one, a zbrojnym swym poszczękiem znamionować, iż życie samo siebie ustawicznie przezwyciężać musi!

Na wysokościach w stopnie i kolumny spiętrzać się pragnie życie samo: w odległe chce spoglądać dale, ku błogim chce wyzierać pięknościom, — p r z e t o wyży potrzebuje!

A że wyniosłości wymaga, wymaga też i stopni oraz przeciwieństwa stopni i wstępujących! Wspinać się pragnie życie, a wspinając, przezwyciężać siebie.

I patrzcież mi, przyjaciele! Tu oto, gdzie tarantuli nora, wznoszą się ku górze ruiny starej świątyni, — spojrzyjcież mi tylko rozjaśnionemi oczy!

Zaprawdę, kto tu niegdyś myśli swoje w kamieniu spiętrzył, ten życia tajemnicę pojmował, jako najwięksi pojmują mędrcowie!

Że walka i nierówność w pięknie nawet bywa, oraz wojna o moc, a przemoc: o tem poucza on nas w dobitnej przenośni.

Jakże się tu bosko załamują w zapasach łuki i sklepienia: jakże światłem i cieniem prą i dążą przeciw sobie, boskiemi usiłowaniami dążne!

Tako pewnie i tak pięknie bądźmyż i my wrogami sobie, przyjaciele moi! Dążmyż bosko wzajem p r z e c i w sobie! —

Biada! oto ugryzła mnie tarantula, ma stara nieprzyjaciółka! Z boską pewnością i pięknie ugryzła mnie w palec!

»Kara być musi i sprawiedliwość, — myśli tarantula, — nie darmo będziesz mi na cześć wróżdy swe pieśni tu głosił!«

Zemściła się przecie! I biada! teraz jej jad zemsty mą duszę o kołowaciznę przyprawić gotów!

Ażebym w ów kołowrót nie wpadł, przywiążcie mnie, przyjaciele, do tego słupa! Wolę być raczej świętym u słupa, niźli wirem mściwości!

Zaprawdę, zawieruchą ani wichurą Zaratustra nie jest; a jeśli tancerzem bywa, przenigdy być nie chce tarantul tancerzem! —

Tako rzecze Zaratustra.



O SŁAWNYCH MĘDRCACH.

Ludowi służyliście i ludu przesądom, mędrcy wy wszyscy sławni! — nie zaś prawdzie! I za to właśnie hołdowano wam w pokorze.

I dlatego też cierpiano i waszą niewiarę, gdyż była ona wybiegiem i wykrętem w stronę ludu. Tako pan niewolnikom swoim na niejedno zezwala i raduje się jeszcze ich zuchwalstwu.

Lecz kto przez lud nienawidzony bywa, jako wilk przez psy: oto duch wolny, ten wróg pęt, nieczołobitnik ten, ów po lasach mieszkający.

Jego z kryjówek przepędzić — to nazywało się u ludu zawsze »mieć poczucie sprawiedliwości«: przeciw niemu szczuł on zawsze swe psy o najostrzejszych zębach.

»Gdyż prawda jest: skoro lud jest przecie! Biada, biada szukającym!« — tak oto rozbrzmiewało z dawien dawna.

Ludowi swemu chcecie wywalczyć słuszność dla jego uwielbień: to było waszą »wolą prawdy«, mędrcowie wy sławni!

A serce wasze mawiało zawsze do siebie: »z ludu pochodzę, stamtąd też i głos Boga mnie dochodzi«.

Uporni a roztropni, na podobieństwo osła, byliście mi zawsze jako ludu orędownicy.

Zaś niejeden możny, co dobrze z ludem wychodzić pragnął, zaprzęgał przed swe rumaki jeszcze i — osiołka, mędrca sławnego.

I oto pragnę, mydrcy wy sławni, abyście nareszcie skórę lwa precz z siebie zrzucili!

Futro zwierza drapieżnego barwiste, oraz kudły badacza, poszukiwacza, zdobywcy!

Och, ażebym ja w waszą »prawdziwość« uwierzyć miał, musielibyście mi wprzódy skruszyć swoją wolę uwielbiającą.

Prawdziwy — tak oto zwę tego, co w bezbożną pustynię idzie i swe żądne uwielbień serce kruszy.

Z żółtych piasków, z pod słonecznej spiekoty spoziera i on wprawdzie, spragniony, w stronę źródłopłynnych ogrójców, gdzie żywe twory pod ciemnemi spoczywają drzewy.

Lecz pragnienie nie skusi go nigdy, ażeby się zrównał z tymi opieszałymi: bo gdzie oazy, tam są i bożyszcz posągi.

Zgłodniałą, przemoc czyniącą, samotną i bezbożną: taką chce się mieć lwia wola.

Wyzbytą ze szczęścia pachołków, wyzwoloną od bogów i bogomolstwa, nieustraszoną i straszliwą, wielką a samotną: taką jest wola prawdziwego.

Na pustyni przebywały z dawien dawna rzetelne duchy wolne, jako pustyni władcy; lecz po miastach mieszkają dobrze odkarmiani mędrcy sławni, — zwierzęta pociągowe.

Jakoż zawsze ciągną oni, niby osły — ludu taczkę!

Nie przeto powiadam, abym im za to złorzeczył: wszakże służebnymi i zaprzęgowymi pozostają mi oni mimo wszystko, nawet wówczas, gdy ich uprząż od złota połyskuje.

Dobra to bywała nieraz służba i ceny swej warta. Gdyż tak mówi cnota: »skoro masz być sługą, szukajże takiego, komu twa służba największą przyniesie korzyść!

»Duch i cnota twego pana winny wzrastać przez to, że tyś jest jego sługą: tak oto wzrastasz i sam wraz z jego duchem i cnotą!«

I zaprawdę, wy sławni mędrcowie, wy ludu sługi! Wyście wzrośli ludu duchem i cnotą — a lud przez was wzrastał! Temi słowy godność wam świadczę!

Lecz ludem jesteście mi nawet w cnotach swoich, ludem z głupawemi oczy, — ludem, nie wiedzącym, czem jest duch!

Duch jest życiem, co się sam w życie wrzyna: we własnej męce mnoży on swą wiedzę, — czyście wiedzieli już o tem?

Zaś szczęściem ducha jest: namaszczonym być i uświęconym łzami na zwierzę ofiarne, — czyście wiedzieli już o tem?

I ślepota ślepca, i jego szukanie, i błąkanie omackiem winny świadczyć o potędze słońca, w które wejrzał, — czyście wiedzieli już o tem?

Górami winien poznający uczyć się budować! Zbyt mało to, że duch góry z posad porusza, — czyście wiedzieli już o tem?

Wy znacie zaledwie ducha błyski: lecz nie wi-

dzicie kowadła, którem on zasie jest, oraz okrucieństwa jego młotu!

Zaprawdę, obca wam jest duma ducha! Lecz tembardziej nie znieślibyście skromności ducha gdyby ona przemówić zechciała!

I nigdy jeszcze nie wolno wam było rzucić ducha w jamę śniegową: nie jesteście na to dosyć gorący! Przeto obce wam są też jego chłodu oczarowania.

A we wszystkiem zbyt poufale obcujecie mi z duchem; a z mądrości czynicie często przytułek i szpital dla złych poetów.

Orłami nie jesteście: przeto nie zaznaliście i szczęścia w przerażeniu ducha. A kto orłem nie jest, nad przepaściami spoczywać nie powinien.

Jesteście mi letni: lecz zimnym jest prąd głębokiego poznania. Jako lód mroźne bywają najgłębsze studnie ducha: orzeźwienie cudowne dla dłoni gorących, czynnych.

Czcigodnie stoicie mi oto tutaj, sztywno i z wyprostowanym karkiem, mędrcy wy sławni! — was żaden silny wicher i wola silna nie porywa.

Czyście nie widzieli nigdy żagla, jak po morzu sunie; wypuklony, napięty i drżący od niepohamowania wichrowego pędu?

Jako żagiel od niepohamowania ducha, drżąca ponosi się ma mądrość po morzu — dzika ma mądrość!

Lecz wy ludu sługi, sławni wy mędrcy, — jakżebyście zdołali za mną podążyć! —

Tako rzecze Zaratustra.

PIEŚŃ PO NOCY.

Nastała noc: zagadały głośniej wszystkie źródła bijące. I dusza moja jest źródłem bijącem.

Nastała noc: ocknęły się wszystkie pieśni kochających. I dusza moja jest pieśnią kochającego.

Coś nieukojonego, ukoić się nie dającego jest we mnie; i owo głosić się pragnie. Pożądanie miłości jest we mnie; onoć to mową przemawia miłości.

Jam światłem jest: och, gdybymż ja był nocą! Lecz tem jest samotność moja, żem światłem w krąg opasan.

O, bodajżebym ja był ciemnym a ponocnym! Jakżebym ja ssał u piersi światła!

I was błogosławiłbym nawet roziskrzone gwiazd mrowia i łuki świetlne na podniebiu! — a błogosławiąc, uszczęśliwiał ducha waszymi dary świetlnymi.

Lecz ja we własnem świetle żyję, spijam z powrotem te płomienie, co ze mnie buchają.

Nie znam ja szczęścia biorących; i nie raz marzy mi się, iż kradzenie bodaj że bardziej jeszcze uszczęśliwiać winno, niźli branie.

Tem jest me ubóstwo, że ma dłoń od obdarzania nigdy nie wypoczywa; tem jest ma zawiść, że wyczekujące widzę oczy i rozjaśnione noce tęsknoty.

O, niedolo wszystkich obdarzających! O, przyćmienie słońca mego! O, upragnienie pożądania! O, głodzie trawiący w sytości!

Biorą wprawdzie ode mnie: lecz czy poruszam ja też ich dusze? Rozłam jest między dawaniem a braniem, a najmniejszy rozłam przekroczyć bywa najtrudniej.

Głód wyrasta z mego piękna: ból radbym sprawiać tym, komu świecę, zrabować pragnąłbym swoich obdarzonych: — tak oto łaknę złośliwości.

Radbym cofał rękę w chwili, gdy się ku niej cudza dłoń już wyciąga; ociągając się jako w dół lecąca kaskada, co się w spadzie swoim wciąż jeszcze ociąga: — tak oto łaknę złośliwości.

Taką zemstę wydumała ma pełnia: taka przebiegłość wyłania się z mej samotności.

Me szczęście obdarzania zmarło w obdarowywaniu, umęczyła się sobą ma cnota w nadmiarze własnym!

Kto zawsze obdarza, niebezpieczeństwo mu grozi, iż wstyd zatraci; kto zawsze rozdaje, tego dłoń i serce mają twarde odciski od ustawicznego rozdawania.

Nie zwilża się już me oko wobec wstydu proszących; ręka moja stała się zbyt twarda na drżenie wypełnionych dłoni.

Skądże ta łza na mem oku i to serca zmiękcze-

nie nagłe? O, samotności wszystkich obdarzających! O, niemowna skrytości wszystkich świecących!

Wiele słońc krąży w pustej przestrzeni: do wszystkiego, co ciemne, przemawiają one swem światłem, — mnie nic one nie mówią.

O, taka jest wróżda światła względem wszystkiego, co świeci: bezlitośnie krąży ono swemi drogi.

Niesprawiedliwe w głębi serca względem wszystkiego, co świeci, zimne dla słońc innych, — tak oto krąży każde słońce.

Jako nawałnica, ponoszą się słońca drogi swemi, i tem jest ich krążenie. Nieubłaganej woli swej ulegają one, i tem jest ich chłód.

O, wy to wszak, ciemni i ponocni, wytwarzacie dopiero ciepło ze wszystkiego, co świeci! O, wy to wszak spijacie dopiero mleko i błogie nektary z wymion światła!

Och, lód jest naokół mnie, dłoń moją lodowate parzą dotknięcia! Och, pragnienie mi dolega, a łaknie ono waszego pragnienia!

Nastała noc: och, że też światłem ja być muszę! I pragnieniem pragnień ponocnych! I samotnością!

Nastała noc: i oto wytryskiem krynicy zrywa się we mnie pożądanie me, — przemawiać pragnę.

Nastała noc: zagadały głośniej wszystkie źródła bijące. I dusza moja jest źródłem bijącem.

Nastała noc: ocknęły się wszystkie pieśni kochanków. I dusza moja jest pieśnią kochanka. —

Tako rzecze Zaratustra.



PIEŚŃ TANECZNA.

Pewnego wieczoru szedł Zaratustra wraz z uczniami przez las, a gdy zboczył z drogi w poszukiwaniu źródła, ujrzał się nagle na zielonej polanie, otoczonej zacisznie drzewami i zaroślą. Na murawie tańcowały dziewczęta, lecz skoro tylko spostrzegły Zaratustrę, zaniechały tańca. Zaratustra wszakże zbliżył się do nich przyjaźnie i rzekł w te słowa:

Nie przerywajcież sobie tańca, miłe dziewczęta! Nie zbliża się ku wam psowacz zabawy o złem spojrzeniu, ani też dziewcząt wróg.

Jam jest Boga obrońcą przed dyabłem: ten zasię jest duchem ociężałości. Jakżebym ja, o lekkie, mógł być wrogiem boskich tańców? Lub też nóżek dziewczęcych o pięknych kostkach?

Lasem wprawdzie jestem i nocą drzew ciemnych: lecz kto się ciemni mej nie trwoży, znajdzie i girlandy róż pod mymi cyprysami.

Znajdzie również i tego boga małego, który dziewczętom jest najdroższy: przy źródle spoczął on cicho z zamkniętemi oczy.

Zaprawdę, wśród jasnego dnia zasnął mi nicpoń! Czyżby za motylami zbytnio się uganiał?

Nie dąsajcież się na mnie, piękne tanecznice, jeśli skarcę nieco małego boga! Krzyczeć pewno będzie i płakać, — lecz śmiechu wart on i wtedy nawet, gdy płacze!

Ze łzami w oczach winien was w tan prosić; zaś wam do tańca ja sam zaśpiewam:

Pieśń taneczną i naigrawającą się z boga ociężałości, mego przenajwyższego, wielce potężnego dyabła, o którym powiadają, jakoby był »panem świata«.

Taka jest pieśń, którą zaśpiewał Zaratustra, gdy Kupido z dziewczętami tańcowali społem:

W oczy twe spojrzałem niedawno, o życie! I w bezdeń, zda mi się, zapadłem.

Lecz ty wyciągnęłaś mnie złotą swą wędką, śmiejąc się drwiąco z tego, żem cię zwał bezdennem.

»Taka jest mowa wszystkich ryb, — rzekłaś, — czego one nie zgłębią, jest bezdenne.

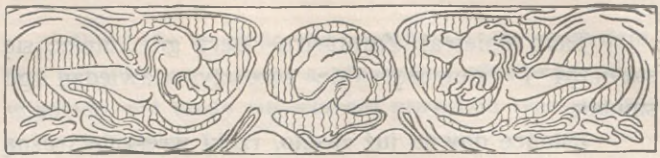
A jam jest tylko zmienna, dzika, i we wszystkiem kobieta, i bynajmniej nie cnotliwa:

Aczkolwiek pośród was mężczyzn uchodzę za »głęboką«, »wierną« i »tajemniczą«.

Lecz wy mężczyźni obdarzacie nas zawsze własnemi cnoty — o, wy cnotliwcy!«

I tak oto śmiała się, niepojęta; lecz ja niedowierzam ani jej, ani jej śmiechowi, ilekroć źle o sobie mówi.

A gdym raz z swą dziką mądrością sam na sam o niej rozmawiał, odparła mi gniewnie: »Ty pragniesz, ty pożądasz, ty kochasz, i dlatego tylko chwalisz życie!«



PIEŚŃ GROBOWA.

»Tam wyspa grobów leży milcząca; na niej są też i groby młodości mej. Niewiędnący wieniec życia zaniosę ja tam«.

Co postanowiwszy w sercu swojem, przeprawiłem się przez morze. —

O, wy, młodości mojej oblicza i zjawy! O, wy, wejrzenia miłości, o boskie wy mgnienia! Jakżeście rychło mi pomarły! I oto wspominam was, jako nieboszczyków swoich.

Od was to, najdrożsi zmarli, bije ku mnie błoga woń, co serce i łzy zniewala. Zaprawdę, wstrząsa ona do głębi i zniewala serce samotnego żeglarza.

Otom jest wciąż jeszcze najbogatszy i najbardziej zazdrości godny — ja, najbardziej samotny! Gdyż ja miałem was przecie, zasię wy macie mnie jeszcze: powiedzcież, komu padły, jako mnie, takie jabłka różane z drzewa?

Otom jest wciąż jeszcze waszej miłości dziedzicem i światem jej całym, ku waszej pamięci

kwitnący w barwiste, dziko wzrosłe cnoty, o wy serdecznie umiłowani!

O, wszak my stworzeni byliśmy do blizkiego współżycia, wy miłe, dziwne cuda; bo nie jako ptactwo płochliwe zbliżacie się ku mnie i ku mojej żądzy, — szliście, jako idą żałobnicy ku żałobnikowi!

Ku wierności niezłomnej stworzeni byliście jako i ja, i ku tkliwym wiecznościom: mamże was teraz wedle sprzeniewierzeń waszych zwać, boskie wy wejrzenia i mgnienia: otom nie nauczył się jeszcze innych dla was imion.

Zaprawdę, za wcześnie pomarliście mi, zbiegowie pierzchliwi. Wszakże ani wy odbiegliście mnie, anim ja was nie opuścił: bez winy jesteśmy wobec siebie w sprzeniewierzeniu swojem.

Aby m n i e zabić, duszono was, ptaki śpiewające mej nadziei! Ku wam, umiłowaniu memu, padała zawsze strzała złośliwości, aby w me serce trafić!

I trafiała przecie! Wyście to wszak byli zawsze mego serca miąższą, władaniem i obezwładnieniem mojem: d l a t e g o t e ż umrzeć musieliście za młodu — i nazbyt wcześnie!

W coś najboleśniej wrażliwego ze wszystkiego, com posiadał, miotano strzały: wyście to byli, wy, których naskórek jest jako puch wrażliwy, lub jak ów uśmiech, co od jednego spojrzenia zamiera!

Lecz to słowo chcę wrogom swoim rzec: czemże są wszystkie morderstwa ludzkie wobec tego, coście mnie ucznili!

Rzecz gorszą uczyniliście mi, niźli wszystkie morderstwa ludzkie; rzecz niepowetowaną odebraliście mi: — wam to mówię, wrogowie moi!

Zamordowaliście mi mej młodości oblicza i umi-

łowane cuda! Rówieśników dziecięctwa odebraliście mi, te błogiej pamięci duchy! Im ku pamięci składam ten wieniec i klątwę tę.

Tę klątwę na wasze głowy, wrogowie moi! Wyście to wszak uczynili mą »wieczność« kruchą, jako glina, co pęka w mroźną noc! Zaledwie jako olśnienie boskich oczu nawiedziło mnie ono, — jako oka mgnienie!

Temi słowy mówiła raz w dobrą godzinę ma czystość: »boskiemi niechaj mi będą wszystkie istoty«.

Wówczas opadliście mnie brudnymi upiory; och, dokądże pierzchła owa dobra godzina!

»Dnie wszystkie niech mi uświęcone będą« — mawiała niegdyś mądrość mej młodości: zaprawdę, radosnej mądrości to mowa!

Lecz wówczas ukradliście mi, wrogowie, me noce, aby je zaprzedać męce bezsennej: och, dokądże pierzchła owa mądrość radosna?

Pożądliwie wyglądałem niegdyś z ptasich polotów znaków szczęścia na niebie wróżebnych: wonczas wywiedliście mi w poprzek drogi potwora — sowę ohydną. Och, dokądże pierzchło me tkliwe pragnienie?

Ślubowałem niegdyś wyrzec się wszelkiego wstrętu: i oto zamieniliście mych blizkich i najbliższych we wrzody ropne. Och, gdzież się podziała najszlachetniejsza ma obiata?

Jako ślepiec szedłem niegdyś błogosławionemi drogi: wonczas rzucaliście plugawstwa ślepemu na drogę: i oto obmierził sobie stare ścieżki ślepca.

A gdym najcięższą rzecz czynił i swych przemożeń zwycięstwa święcił: zdziałaliście tako, iż ci,

których miłowałem, zawodzić jęli, iż im to sprawiam ja ból najdokuczliwszy.

Zaprawdę, takiemi były zawsze zdziaływania wasze: zatruwaliście mi żółcią me najlepsze miody i pilność mych pszczół najskrzętniejszych.

Memu miłosierdziu nasyłaliście zawsze najbezczelniejszych żebraków; wokół mej litości czyniliście zawsze natłok nieuleczalnie bezwstydnych. I tako okaleczyliście mą cnotę na jej własnej wierze.

A gdym swą największą świętość na ofiarę złożył, wasza »pobożność« dołożyła czemprędzej swych tłustych datków: tak, że w wyparach waszych tłuszczy zdusiła się ma żertwa najświętsza.

I zatańczyć chciałem niegdyś, jakom nigdy jeszcze nie tańcował: poprzez wszystkie nieba w tan pójść chciałem. Wówczas podmówiliście najdroższego mi śpiewaka.

I oto wszczął pieśń ohydną, zahuczała mi ona w uszach, jako głuchy róg!

Śpiewaku morderczy! złośliwości narzędzie! ty najniewinniejszy! Otom stał już w pogotowiu do najlepszego tańca: zamordowałeś nutą swoją me zachwytliwe natchnienie!

W tańcu tylko wypowiadać potrafię najwyższych rzeczy przenośnie: — i oto ma najwyższa nadzieja utkwiła niewypowiedziana w członkach mych!

Niewypowiedziana i niewyzwolona pozostała ma najwyższa nadzieja! A zmarły mi wszystkie oblicza i ukojenia młodości!

Jakżem ja to zniósł? Jakżem przebolał i zmógł takie dopuszczenia? Jakże powstała ma dusza z tych grobów?

Jest we mnie coś nierannego, co się pogrześć

nie da, a skały kruszyć zdolne: zwie się to mą wolą. Milcząc kroczy ona niezmienna przez lata.

W swoim pochodzie na moich nogach kroczyć ona pragnie, wola ma stara; hartownego jest ona ducha i nierannej siły.

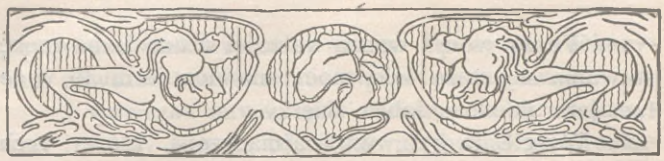
Nieranny jestem jedynie na pięcie swojej. Wciąż żyjesz ty mi jeszcze, ma wolo, i zawsześ mi jednaka, — ty przenajcierpliwsza! Zawszeć przebijałaś mi się poprzez wszystkie groby!

W tobie żywie jeszcze wszystko dotychczas niewyzwolone z mej młodości; jako młodość i życie siedzisz, nadziei pełna, na żółtych grobów rumowiskach.

Jeszcześ ty mi jest wszystkich grobów burzycielką: chwała ci, ma wolo! A gdzie groby, tam tylko bywają zmartwychpowstania. —

Tako rzecze Zaratustra.





O PRZEZWYCIĘŻENIU SAMEGO SIEBIE.

»Wolą prawdy« zwiecie wszak, wy najmędrsi, to, co was zapałem i gorliwością darzy?

Wola wyrozumienia wszelkiego bytu: tak oto mianuję wolę waszą!

Wszelki byt chcecie u c z y n i ć dającym się pomyśleć: gdyż wątpicie dobrem niedowierzaniem, zali on da się pomyśleć.

Lecz musi się on nakłonić i nagiąć! Tak chce wola wasza. Wygładzić się on musi i stać się duchowi uległy, jako jego zwierciadło i obraz lustrzany.

Tem jest wola wasza cała, jako wola mocy; i nawet wówczas, gdy o złem i dobrem mówicie, oraz o nadawaniu wartości.

Stworzyć chcecie dopiero świat, przed którymbyście uklęknąć mogli: tem jest wasza ostatnia nadzieja i upojenie ostatnie.

Nieuczeni, oczywiście, lud, — ci są, jako rzeka, po której łódź się niesie: w łodzi zaś siedzą uroczyste i zakapturzone wyobrażenia wartości.

Waszą wolę i wasze wartości rzucacie na rzekę stawania się; starą wolę mocy znamionuje mi to, w co lud, jako w zło i dobro, wierzy.

Wyście to byli, wy najmądrzejsi, którzy tych gości w łodzi umieścili, nadawszy im świetność oraz dumne imiona, — wy oraz wola wasza władna!

Rzeka dalej łódź waszą unosi: unosić ją m u s i. Nic to, że się rozbita fala pieni i gniewnie statkowi przeciwi!

Nie rzeka jest waszym niebezpieczeństwem i końcem waszego zła i dobra, wy najmędrsi: lecz własna wola wasza, wola mocy — niewyczerpana, twórcza wola życia.

Lecz abyście pojęli me słowo o dobru i złu: chcę wam ku temu me słowo o życiu rzec, oraz o przyrodzeniu wszystkiego, co żyje.

W ślady żyjącego szedłem, chadzałem wielkiemi i małemi drogi, abym jego przyrodzenie poznał.

Stokrotnemi zwierciadły łowiłem jego spojrzenie, wonczas gdy usta miał zamknięte: aby mi oko jego mówiło. I mawiałoć do mnie oko jego.

Lecz gdzie żywe znalazłem istoty, tam też słyszałem i mowę o posłuszeństwie. Wszystko, co żyje, jest posłuszne.

A to jest rzeczą wtórą: Rozkazują temu, kto samemu sobie ulegać nie zdoła. Takie jest przyrodzenie wszystkiego, co żywie.

Zaś to jest rzecz trzecia, którą zasłyszałem: iż rozkazywanie cięższe jest, niźli uleganie. I nie przeto tylko, iż rozkazujący bierze na się brzemię wszystkich posłusznych, i że go to brzemię łatwo zmiażdżyć może: —

Próbą i ważeniem się zuchwałem wydawałoć mi

się zawsze rozkazywanie; ilekroć kto żywy rozkazywał, zawszeć swe istnienie ważył on zuchwale.

I wówczas nawet, gdy samemu sobie rozkazywał: i wtedy jeszcze odpokutować musiał swe rozkazywanie. Własnego prawa stać się musi sędzią, mścicielem i ofiarą.

Jakże się to dzieje! — pytałem się nieraz. Któż to zdoła nakłonić wszystko, co żyje, aby ulegało, rozkazywało i, rozkazując nawet, posłuszeństwo świadczyło?

Baczcież mi na to słowo moje, wy najmędrsi! Zgłębcież poważnie, zalim ja życiu w serce nie wpełznął, w najskrytsze tego serca kryjówki!

Gdziem żywe istoty znalazł, tamem też znajdował wolę mocy; i nawet w woli służebnych znajdowałem wolę panowania.

Aby silniejszemu słabsze służyło, ku temu podmawia własna wola słabszego, która jeszcze wątlejszego panem wzamian być pragnie; bez tej jedynie rozkoszy obejść się ono nie może.

I jako się małe większemu oddaje, wzamian za rozkosz przewagi nad najmniejszym: tak też oddaje się i największe, poświęcając kwoli mocy — życie własne.

I tem jest poświęcanie się największego, iż ono jest zuchwałem pokuszeniem i niebezpieczeństwem, grą w kości o cenę śmierci.

I gdzie jest ofiarność, usłużność i wejrzenia miłosne: i tam też wola panowania. Na krętych ścieżkach wkrada się tu słabszy w warownię i serce potężniejszego i wykrada — przemoc.

I z tej tajemnicy zwierzyło mi się życie samo; »Patrz, jam jest tem, co się zawsze samo pokonywać musi.

»Aliści zwiecie wy to wolą tworzenia, popędem ku celowi, ku czemuś wyższemu, odległemu, wielorakiemu: wszakże wszystko to jednem jest tylko i jedną tajemnicą.

»Raczej zaniknę, niźli się tego jednego wyrzeknę; i zaprawdę, gdzie bywa zanik i liści opadanie, spojrzyj! tam oto życie w ofierze się daje — wzamian za moc!

»Iż walką być muszę i stawaniem się i celem, i wielu celi sprzecznością: — och, kto wolę moją odgadnie, odgadnie zarazem, jak krętemi drogi chadzać ja muszę!

»Cokolwiek stwarzam i jakkolwiek to umiłuję, — wnet przeciwnikiem stawać się muszę tworowi swemu i miłości swej: tak chce ma wola.

»I nawet, ty poznający, jesteś tylko ścieżką i miedzą mojej woli: zaprawdę, ma wola potęgi chadza na nogach twej woli prawdy!

» Aliści prawdy nie utrafił, kto za nią strzelił słowami »wola istnienia«: takiej woli — niemasz!

»Jakowoż: czego niema, to chcieć nie może; zaś co w istnieniu już jest, jakżeby to mogło do tego istnienia chęcią się jeszcze wyrywać!

»Tam tylko gdzie życie, tam jest i wola: wszakże nie wola życia, lecz — tak oto uczę ciebie — wola mocy!

»Niejedno ceni sobie żyjący wyżej ponad własne życie; lecz nawet i z tejże oceny przemawia — wola mocy!« —

Tak oto pouczało mnie niegdyś życie: a z tego pouczania wyłuszczę ja wam, najmędrsi, jeszcze i zagadkę serc waszych.

Zaprawdę, powiadam ja wam: zło i dobro, któ-

reby nieprzemijające być miały — tego niemasz! Ze zła i dobra wyrastać muszą ich pokonania.

Waszemi wartości i słowy o złem i dobrem czynicie przemoc, wy twórcy wartości: i tem jest wasza ukryta miłość i dusz waszych blaski, drżenia i rozlewność.

Lecz silniejsza jeszcze przemoc wyrasta z wartości waszych i nowe przezwyciężenie: na niej kruszy się jaje i skorupa.

A kto twórcą być musi w złem i dobrem: zaprawdę, burzycielem być on wprzódy musi i winien kruszyć wartości.

I tak oto nieodłączne jest najwyższe zło od najwyższej dobroci: ta jednak jest twórcza. —

Mówmy wszakże o tem, wy najmędrsi, aczkolwiek i to jest zgubne. Milczenie jest gorsze; wszystkie przemilczane prawdy stają się jadowite.

I niechże się wszystko pokruszy, co w prawdach naszych — pokruszyć się może! Niejeden dom zbudować nam jeszcze należy! —

Tako rzecze Zaratustra.

O LUDZIACH WZNIOSŁYCH.

Ciche jest dno mego morza: któżby odgadł, że kryją się na nim kapryśne potwory!

Nieporuszona jest ma głębia: jednakże lśni się ona od pływających zagadek i uśmiechów.

Wzniosłego widziałem dziś, uroczystego, — pokutnika ducha: o, jakże śmiała się ma dusza z jego brzydoty!

O piersi wzdętej, jako ów, co oddech w sobie zaparł: tak oto stał tutaj wzniosły i milczący:

Obwieszony szpetnemi prawdy, tym łupem łowów swoich, w potargane szaty zasobny; wiele też i cierni na nim widziałem, — wszakże róży jeszcze nie dostrzegłem.

Nie nauczył się on jeszcze śmiechu i piękna jeszcze nie pojął. Ponury powrócił ten łowca z lasu poznania.

Powrócił on z walki z dzikiemi zwierzęty, lecz z jego powagi wyziera jeszcze dzikie zwierzę, — nieprzezwyciężone!

Oto stoi on tu jako tygrys, gotów do skoku; nie znoszę ja jednak tych napiętych dusz, nie do gustu są mi ci wszyscy powściągliwi!

Powiadacie mi, przyjaciele, że o gusty i smaki spierać się niepodobna? Ależ wszelkie życie jest waśnią o gusty i smaki!

Smak: to jest waga zarazem i ciężarki i ważący; a biada żyjącemu, któryby żyć zechciał bez waśni o wagę, ciężarki i ważących!

Bodajżeby się on znużył swą wzniosłością, ów wzniosły: wówczas dopiero jego piękno wznosić się pocznie, — wtedy go skosztuję i zasmakuję w nim.

I wówczas dopiero, kiedy się od siebie odwróci, przeskoczy on swój cień własny — i zaprawdę! we własne skoczy on słońce.

Zbyt długo w cieniu siedział, wyblakły lica pokutnikowi ducha; nieomal że się nie zagłodził oczekiwaniami swemi.

Wzgarda kryje się jeszcze w jego oku, a wstręt okala usta jego. Spoczywa wprawdzie teraz, lecz jego spokój nie ułożył się jeszcze w słońcu.

Jako byk czynić powinien; a szczęście jego ziemią pachnieć powinno, nie zaś wzgardą ziemi.

Jako białego byka widziećbym go pragnął, gdy parskając i rycząc lemiesz wiedzie: a ryk jego powinien wszystko, co ziemskie, sławić!

Ciemne jest jeszcze jego oblicze; cień dłoni błąka się po niem. Ocienionym jest jeszcze zmysł oka jego.

Czyn jego jest jeszcze cieniem na nim samym: dłoń zaćmiewa działacza. Jeszcze czynu swego on nie przezwyciężył.

Lubię ja wprawdzie jego kark byka: chcę jednak i oczy anioła w nim ujrzeć.

I swej woli bohaterskiej oduczyć się jeszcze musi: wyniesionym być mi powinien, a nie wzniosłym: sam eter winien go unosić — bezwolnego.

Poskramiał potwory, rozwiązywał zagadki: lecz wyzwolić winien on jeszcze nawet i swoje potwory oraz zagadki, niebiańskiemi dziećmi uczynić je winien.

Jeszcze się jego poznanie śmiać nie nauczyło i bez zawiści być; jeszcze się jego rwąca namiętność nie ukoiła w pięknie.

Zaprawdę, nie w sytości winno zamilknąć i zatonąć jego pożądanie, lecz w pięknie! Wdzięk jest we wspaniałomyślności wielkodusznego.

Ramię założywszy ponad głowę: tak oto wypoczywać powinien bohater, tako winien przemagać i wypoczynek nawet.

Lecz właśnie dla bohatera p i ę k n o jest rzeczą najtrudniejsze. Niedościgłe jest piękno dla wszelkiej woli gwałtownej.

Nieco mniej, nieco więcej: to właśnie stanowi tu wiele, jest niemal wszystkiem.

O zwiotczałych mięśniach stać i o wyprzęgniętej woli: to jest dla was wszystkich rzecz najcięższa, wy wzniośli!

Gdy się moc łaskawą staje i znijść raczy ku widoczności: pięknem mianuję znijście takie.

Od nikogo tak piękna nie pragnę, jak od ciebie, ty potężny: dobroć twa winna być twem ostatniem pokonaniem samego siebie.

Posądzam cię o zdolność do wszelkiego złego: przeto właśnie chcę dobra od ciebie!

Zaprawdę, śmiałem się nieraz z tej słabizny, co się za dobrą uważa, ponieważ ma wątłe łapy!

Cnotę kolumny naśladować winieneś: w miarę

jak wzwyż sięga, staje się ona piękniejszą i coraz to bardziej smukłą, a wnętrznie coraz to twardszą i wytrzymalszą.

Pięknym stać mi się jeszcze winieneś, ty wzniosły, a pięknu własnemu zwierciadło w pogotowiu trzymać.

Wówczas dusza twoja boskiemi zapłonie pożądaniami; a uwielbienie będzie nawet i w twej próżności!

Gdyż to jest tajemnicą duszy: wprzódy bohater opuścić ją musi, zanim nawiedzi ją w marzeniu — nadbohater. —

Tako rzecze Zaratustra.





Z KRAINY OŚWIATY.

Za daleko wybiegłem w przyszłość: dreszcz zgrozy mnie przejął.

Bo kiedym się obejrzał, oto czas tylko był jedynym moim współcześnikiem!

Pierzchnąłem czemprędzej wstecz, w czasy ojczyste i z coraz to większym pośpiechem: takem do was trafił, współcześni moi, w krainę oświaty.

Po raz pierwszy przyniosłem ze sobą oczy skłonne i szczere pożądanie: zaprawdę, z tęsknotą w sercu przybyłem między was.

Lecz cóż się ze mną stało? Choć trwogę czuję, — śmiać się muszę! Przenigdy oczy moje nie widziały takiej pstrokacizny!

Śmiałem się, wciąż się śmiałem, choć nogi mi jeszcze drżały, choć serce się zżymało. »Ależ to jest ojczyzna garnków z farbami!« — rzekłem do siebie.

Pięćdziesięcioma kleksami pomazani na twarzy i członkach: takiemi ujrzałem was ze szczerem zdumieniem, współcześni moi!

I pięćdziesiąt luster wokół was, co te pstre plamy powtarzają bez końca i schlebiają wam niemi!

Dalibóg, lepszychbyście masek nie mogli znaleźć, moi współcześni, nad własne swe twarze! I któżby mógł was — p o z n a ć!

Zapisani od góry do dołu znakami przeszłości, zaś te znaki zasmarowane nowymi znakami: takeście się znakomicie ukryli przed wszystkimi, co znaki tłumaczyć umieją!

I choćby się było badaczem nerek: któżby uwierzył, że wy nerki posiadacie! Z farb was upieczono i ze sklejonych świstków.

Wszystkie czasy i ludy wyzierają pstro z poza waszych zasłon; wszystkie obyczaje i wiary wołają natrętnie z giestów waszych.

A gdyby kto z was wyzbył się swych zasłon, zawoi, barw swych i giestów swoich, — pozostałoby właśnie dość, aby straszyć ptaki tą pozostałością.

Zaprawdę, sam jestem takim wystraszonym ptakiem, co niegdyś nago was ujrzał i bez farby i uciekałem w popłochu, gdy ten kościotrup miłośnie mnie przyzywał.

Wolałbym raczej być wyrobnikiem w jakiemś dawnem piekle u cieniów! — Pełniejsi, jędrniejsi od was byli z pewnością nawet ci podziemcy!

To, tak, to jest goryczą trzewi moich, że — nagich czy odzianych — znieść was nie mogę, współcześni moi!

Cała tajemnicza groza przyszłości, i to wszystko, co kiedykolwiek trwożyło ptaki zabłąkane w polotach, jest stokroć pewniejsze, przytulne niemal, w porównaniu z tą waszą »rzeczywistością!«

A gdy mówicie: »Jesteśmy rzeczywiści, na-

wskroś prawdziwi, bez wiary i bez przesądów«: wydymacie chełpliwie piersi — ach, piersi nawet nie mając!

Jakżebyście wy mogli wierzyć, wy pstrokacizną wszelaką zbryzgani! — wy, co jesteście malowanymi obrazami wszystkiego, w co kiedykolwiek wierzono!

Jesteście żywem zaprzeczeniem samej wiary i torturowem kołem dla wszelkich myśli. Niewiarogodni! tako zwę was, wy rzeczywiści!

Wszystkie czasy swarzą się kłótliwie w waszych duchach; a wszystkich czasów sny i gawędy były stokroć prawdziwsze od waszych rzeczywistości!

Bezpłodni jesteście: dlatego wiary wam brak. Kto tworzyć musiał, ten miewał zawsze swe sny prawdziwe i znaki gwiezdne na swojem niebie — on wierzył w wiarę! —

Jesteście napół uchylonemi wrotami, u których czuwają grabarze. I to jest wam rzeczywistością: »Wszystko wokół jest godne, aby zniszczało«.

O, gdy tak na was patrzę, wy jałowi, na tę nędzę żeber waszych! A niejeden z was wejrzał zapewne nieraz już na tę nędzę swoją.

I rzekł do siebie: »czy jakiś bóg nie zabrał mi czegoś tajemnie podczas snu mego. Zaprawdę, dość, aby sobie z tego ulepić samiczkę!

Przedziwne jest ubóstwo żeber moich!« — tak mawiał zapewne niejeden ze współczesnych.

O, pośmiewiskiem jesteście mi, współcześni moi! I osobliwie, gdy samym sobie się dziwujecie!

I biada mi, gdybym śmiać się nie umiał z waszych zdumień nad sobą, gdybym wszelką obrzydliwość z czar waszych wypijać musiał!

Lecz oto lżej was brać muszę, bo mam rzecz ciężką do dźwigania. Krzywdy mi nie czynią żuki i robactwo skrzydlate, gdy na mym węzełku osiądą!

Zaprawdę, nie zaciążą mi one w pochodzie moim! I nie przez was, współcześni moi, ogarnie mnie zmęczenie wielkie. —

O, dokądże dążyć mi jeszcze, dokąd się wspinać z tęsknotą swoją! Z gór wszystkich, ze szczytów wszelkich, spozieram na ziemie ojczyste i macierzyste.

Ale ojczyzny nie znalazłem nigdzie. Przechodniem jestem w każdem mieście, tułaczem pod każdą bramą.

Obcy mi są i godni pośmiewiska współcześni, do których niedawno jeszcze rwało się serce! I oto wygnany jestem z ziem ojczystych i macierzystych.

I kocham jeszcze tylko ziemię dzieci swoich, tę nieodkrytą, na wielkich rozłogach mórz dalekich. Tej ziemi, tej krainy nakażę żaglom swoim szukać i szukać bez końca.

Na dzieciach swoich chcę naprawić to, żem jest dzieckiem ojców swych: na wszelkiej przyszłości — taką teraźniejszość! —

Tako rzecze Zaratustra.

O NIEPOKALANEM POZNANIU.

Wczoraj gdy księżyc wschodził, mniemałem, że chyba słońce porodzi: tak szeroko i brzemiennie zaległ on na widnokręgu.

Lecz kłamcą był on wraz ze swoją brzemiennością; zaś ja raczej w owego chłopa na księżycu gotów jestem uwierzyć, niźli w kobietę.

Oczywiście, nie wiele z męża jest, w tym płochliwym łazędze nocnym. Zaprawdę, z nieczystem sumieniem snuje on się po dachach.

Jako że lubieżny i zazdrosny jest ów mnich w księżycu, tuży za ziemią i za wszystkiemi uciechami kochanków.

Nie! znieść ja nie mogę tego koczura na dachach! Wstręt budzą we mnie ci wszyscy, co wokół odchylonych okiennic szwendają się po nocach!

Pobożnie i milcząco sunie oto księżyc po gwiezdnym dywanie: — nie cierpię jednak cicho stąpających męskich nóg, przy których ostroga nie szczęka.

Krok rzetelnego głosi się; kot wszakże pomyka ponad ziemią. Patrz, kociem pomykaniem zbliża się oto księżyc, zbliża się nierzetelnie. —

Tę przypowieść daję wam, tkliwe obłudniki »czystego poznania«! Was to zwę — lubieżnikami!

I wy kochacie ziemię, oraz wszystko, co ziemskie: przejrzałem ja was przecie! — lecz wstyd jest w tej waszej miłości i nieczyste jest jej sumienie, — jesteście mi jako księżyc!

Ku wzgardzie rzeczy ziemskich podmówiono ducha waszego, lecz nie trzewia wasze: o n e jednak potężniejszemi w was są!

I oto sroma się duch wasz, iż trzewiom powolnym być musi, i ze wstydu bocznemi skrada się ścieżki i kłamliwemi drogi.

»Toby było dla mnie najszczytniejsze — mawia do siebie zakłamany duch — módz spoglądać na życie bez pożądania, a nie jako pies z wywieszonym językiem:

»Szczęśliwym się czuć w przypatrywaniu, z obumarłą spozierać wolą, bez zachwytu i żądzy samolubstwa — zimny, spopielony na całem ciele, lecz z pijanemi księżycowemi oczy!

»Toby było dla mnie najmilsze, — zwodzi siebie zwiedziony, — ukochać ziemię, jako księżyc ją kocha, i tylko oczyma dotykać jej piękna.

»I to niech mi będzie rzeczy wszelkich n i e p o k a l a n e m poznaniem, iż niczego od nich nie pożądam, oprócz możności spoczywania przed niemi, jako zwierciadło o stu źrenicach«. —

O, wy tkliwe obłudniki, wy lubieżni! Brak wam niewinności pożądania: oto dlaczego spotwarzacie pożądanie!

Zaprawdę, nie jako tworzący, płodzący, stawający się ochotnie, ukochaliście mi ziemię!

Gdzież jest niewinność? Tam, gdzie jest wola płodzenia. Kto ponad siebie tworzyć pragnie, ten ma mi wolę najczystszą.

Gdzież jest piękno? Tam, gdzie całą wolą chcieć muszę, gdzie kochać i zginąć pragnę, aby obraz nietylko obrazem pozostał.

Kochać i zginąć: od wieków idzie to w parze. Wola miłości: znaczy to być powolnym i śmierci wezwaniu. Wam to mówię, tchórze!

Lecz to wasze niemęskie zezowanie ma się zwać »rozpamiętywaniem«! A co się tchórzliwemi oczyma omacać pozwala, ochrzczonem ma być, jako »piękno«! O, wy, brudziciele imion szlachetnych!

Lecz to niechaj klątwą waszą będzie, wy niepokalani, czystego poznania hołdownicy, iż nigdy rodzić nie będziecie: chociażbyście nie wiem jak szeroko i brzemiennie zalegli na widnokręgu!

Zaprawdę, pełne są usta wasze słów szlachetnych, a my wierzyć mamy, iż wam, łgarze, serce tak wezbrało?

Lecz słowa moje, to słowa liche, wzgardzone, ułomne: chętnie podejmuję, co z ust waszych pod stoły padło.

Aliści zdołam ja niemi jeszcze — wam, obłudnicy, prawdę w oczy rzec! O tak, te ości moje, małżowiny i liście kolczaste — jeszcze one wam, obłudnicy, — nosy połechczą!

Złe powietrze jest zawsze wokół was i wokół uczt waszych: wasze myśli lubieżne, wasze kłamstwa i skrytości obciążają powietrze!

Odważcież się wreszcie samym sobie zaufać, — sobie i trzewiom własnym! Kto sobie nie ufa, kłamie zawsze.

Boga maskę zawieszacie przed własnem obliczem, wy »czyści«: w larwę boga wpełznęła wasza ohydna pierściennica.

Zaprawdę, ludzicie wy się, wy »rozpamiętujący«! I Zaratustra był niegdyś błaznem boskich wylin waszych; nie odgadł przecie wężowych pierścieni, którymi one wypchane były.

Zdawało mi się, że tu Boga jakiegoś dusza gra, w tej grze waszej, wy mistrze »czystego poznania!« I mniemałem, że niemasz sztuki lepszej ponad te wasze sztuki!

Plugawstwo wężowe i woń nieznośna utaiły przede mną dale: oraz i to, że tu gdzieś jaszczurcza chytrość przemykała się lubieżnie.

Lecz z b l i ż y ł e m ja się ku wam: i oto dzień mi nastał, — nastaje on wreszcie i dla was, — przyszło wreszcie na koniec księżycowym miłostkom!

Spojrzyjcież bo tylko! Przydybany i blady stoi oto księżyc — wobec jutrzni!

Gdyż oto nadchodzi już płomienna! — nadchodzi j e j miłość ku ziemi! Niewinnością i twórczem pożądaniem jest wszelka miłość słoneczna!

Patrzcież, jak niecierpliwa wschodzi ona ponad morzem! Nie czujecież jej pragnienia i gorącego oddechu jej miłości?

Morze chce ona wyssać i głębię jego ku swojej wyżynie wypić: i oto morza pożądanie podnosi się ku niej tysiącznemi piersi.

Całowane c h c e być ono i pite przez słoneczne pragnienie; powietrzem stać się c h c e i wy-

żyną, ścieżką światła być pragnie i samo światłem się stać!

Zaprawdę, jako słońce kocham ja życie i wszystkie morza głębokie.

Zaś dla mnie poznaniem jest to: wszelka głębia dźwignięta ma być — ku mojej wyżynie! —

Tako rzecze Zaratustra.



O UCZONYCH.

Gdym we śnie spoczywał, pożerała owca wieniec bluszczowy z mego czoła, — pasła się i mówiła przytem: »Zaratustra nie jest już uczonym«.

Co rzekłszy, odeszła precz, nadęta i dumy pełna. Opowiedziało mi to dziecko.

Chętnie spoczywam tutaj, gdzie dzieci igrają, pod rozwalonym murem pośród pokrzyw i maków kraśnych.

Uczonym jestem jeszcze dla dzieci, dla pokrzyw i dla maków kraśnych. Niewinne są one nawet w złośliwości swej.

Lecz dla owiec już nim nie jestem: dola ma tak chciała, — błogosławiona niech będzie ma dola!

Gdyż prawdą jest to: wyprowadziłem się z domu uczonych i drzwi za sobą zatrzasnąłem w dodatku.

Zbyt długo siedziała ma dusza o głodzie przy ich stole; nie jestem, jak oni, ułożony do poznania, niby do łuskania orzechów.

Swobodę kocham i świeże tchnienie ziemi i ra-

czej na skórach wołowych spoczywać zechcę, niźli na ich godnościach i dostojeństwach.

Jam jest zbyt gorący, własnemi myślami spalony: nieraz mi oddech one zapierają. Wówczas na wolne powietrze uciekać muszę, zdala od wszystkich zakurzonych pokoi.

Oni jednak siedzą chłodni w chłodnym cieniu: zawsze pragną być tylko widzami i wystrzegają się, aby tam nie siąść, gdzie słońce stopnie przypala.

Jako ci, co na ulicach wystawają, gapią się na przechodniów, tako wyczekują i oni, gapiąc się na te myśli, które inni pomyśleli.

Gdy się ich dłońmi chwyci, pylą jako wory mączne, pylą niewolnie: lecz któż odgadnie, że ten pył z ziaren pochodzi i z żółtego przepychu letnich pól?

Gdy się za mędrców podają, wówczas mrozi mnie od ich drobnych powiedzeń i prawd; i taka woń czepia się nieraz ich prawd, jak gdyby one z bagna pochodziły: zaprawdę, słyszałem również i żabę, co z nich rechocze!

Zręczni są i mają mądre palce: czemże jest m o j a prostota w ujęciu wobec ich złożonych chwytów. Na wszelkiem nizaniu, supłaniu i snowaniu rozumieją się ich palce: i tak oto zgotowują pończochy ducha!

Dobre to zegary: należy je tylko umiejętnie nakręcać! Wówczas bez omyłki wskażą godzinę, czyniąc przytem skromny zresztą hałas.

Pracują, jako młyny stępakowe, należy im tylko płodnych ziaren dorzucać! — sami już umieją rozemleć na drobne owe ziarna i biały kurz z nich uczynić.

Dobrze baczą sobie wzajem na palce i nie dowierzają sobie nadto. Wynalazcy w małych podstępach czyhają na tych, których wiedza na chromych nogach stąpa, — czyhają, jako pająki.

Widziałem, jak zawsze z wielką przezornością przyrządzali trucizny, nakładając przytem na swe palce szklane rękawice.

I w fałszywe kości grać także potrafią; widziałem ich tak gorliwie oddanych grze, iż pocili się aż przytem.

Obcymi jesteśmy dla siebie: zaś ich cnoty obrażają mój smak bardziej jeszcze, niźli ich fałsze i kości fałszywe.

A gdym u nich mieszkał, mieszkałem ponad nimi. To ich rozgoryczyło ku mnie.

Słyszeć o tem nie chcą, że ktoś ponad ich głowami kroczy; ułożyli przeto drwa, mierzwę i śmieć wszelaki między mną i głowami swemi.

I tak oto zagłuszyli oddźwięk kroków moich: najgorzej słuchano mnie dotychczas pośród najbardziej uczonych.

Wszystkie ludzkie słabostki i niedomagania ułożyli między mną i sobą: — »fałszywą posadzką, zwą to w domach swoich.

Lecz mimo to kroczę oto wraz z myślami swemi ponad ich głowami; i gdybym nawet po własnych błędach kroczył, znajdowałbym się wciąż jeszcze ponad nimi i ponad ich głowami.

Gdyż ludzie jednakowymi nie są: tak mówi sprawiedliwość. I czego ja chcę, tego im chcieć nie wolno!

Tako rzecze Zaratustra.

O POETACH.

»Od czasu gdym ciało lepiej poznał, — mówił Zaratustra do jednego z uczni swoich — jest mi duch już tylko niejako duchem; zaś wszystko »nieprzemijające« — przenośnią jest tylko.

»Słyszałem już raz o tem, odparł uczeń; lecz wówczas dodałeś: »poeci jednak kłamią za wiele«! Dlaczego rzekłeś wówczas, iż za wiele kłamią poeci?

»Dlaczego? odparł Zaratustra. Pytasz dlaczego? Nie należę do tych, których wolno nagabywać o ich »dlaczego«.

Czyż me doświadczenia datują się od wczoraj? Dawno już temu, gdy przeżywałem powody swych zapatrywań.

Czyżbym nie musiał się stać beczką pamięci, abym swe powody miał zawsze przy sobie?

Już mi tego nieomal za wiele, że wszystkie swe zapatrywania zachowywać muszę; wymyka mi się przytem niejeden ptak.

Przytrafia mi się też, że znajduję w mym go-

łębniku i przylotne, obce mi, zwierzę, co drży, gdy nań dłoń położę.

Lecz cóż takiego rzekł Zaratustra? Że poeci kłamią za wiele? — Lecz i Zaratustra jest poetą.

Wierzyszże wobec tego, że on tu prawdę mówił? Czemu w to wierzysz?«

Uczeń odparł: »wierzę w Zaratustrę«. Zaratustra jednak kiwał głową i uśmiechał się.

Wiara nie zbawia — odparł — zwłaszcza wiara we mnie.

Przypuśćmy jednak, że ktoś z całą powagą twierdzi, że poeci kłamią zbyt wiele: ten człowiek ma racyę, — m y kłamiemy zbyt wiele.

Umiemy zbyt mało i licha jest nasza ochoczość do nauki: przeto kłamać musimy.

I któryż z nas poetów nie fałszował swego wina? Niejedna trująca mieszanina zdziałana była w naszych piwnicach, stała się tam niejedna rzecz nie do opisania.

A ponieważ mało wiemy, upodobaliśmy sobie ubogich w duchu, osobliwie zaś młode niewiasty!

I nawet tych rzeczy jesteśmy pożądliwi, o których stare babiny wieczorami gawędzą. A zwiemy to w sobie wieczną kobiecością.

Jak gdyby było jakieś tajemnicze dojście do wiedzy, które z a s y p u j e s i ę przed każdym, kto się czegokolwiek nauczył: tak mocno wierzymy w lud i w jego »mądrość«.

Wszakże w to wierzą wszyscy poeci: że kto na samotnym skłonie w trawie legnie i uszu nastawi, dowie się czegoś o rzeczach, które są między niebem a ziemią.

A gdy ich tkliwe nawiedzają wzruszenia, wie-

rzą wówczas poeci, że sama natura jest w nich zakochana:

I że oto przyłasza się do ich uszu, aby w nie szeptać skrytości tajemnicze i miłosne pochlebstwa: z tego tak się pysznią i chełpią przed wszystkimi śmiertelnikami!

Och, tyle jest rzeczy między niebem i ziemią, o których tylko poetom coś niecoś śnić się raczyło!

A zwłaszcza p o n a d niebem: gdyż wszyscy bogowie są poetów przenośnią, poetów podejściem!

Zaprawdę, wiecznie nas coś pociąga, — mianowicie w krainę chmur: na nich też królować każemy jaskrawym bałwanom swoim, zwąc je bogami i nadludźmi: —

Wszakże są dosyć lekcy na takie właśnie trony! — ci wszyscy bogowie i nadludzie.

Och, jakżem ja znużony tem wszystkiem nieosiągalnem, co koniecznie ma się stać zjawiskiem! Och, jakżem znużony poetami! —

Gdy Zaratustra te słowa wyrzekł, żachnął się nań uczeń, wszakże nie odzywał się. Milczał też i Zaratustra; zaś oczy jego obróciły się ku wnętrzu, jak gdyby w odległe patrzały dale. Wreszcie westchnął i zaczerpnął oddechu.

Jam jest z dzisiaj i niegdyś, — rzekł wreszcie, — lecz jest we mnie coś, co jest z jutra, pojutrza i kiedyś.

Umęczyli mnie poeci, starzy i nowi: powierzchnie to są tylko i płytkie morza.

Nie myśleli dostatecznie w głąb: przeto ich uczucie nie spadło aż do dna rzeczy.

Nieco rozpusty i nieco znudzenia: to było dotychczas ich najlepszem zastanowieniem.

Upiorne tchnienia i widm upiorne pomykania: — tem są dla mnie ich harfowe pobrzęki; cóż oni wiedzieli dotychczas o wnętrznym żarze tonów! —

I nie dość mi są schludni: mącą swe wody, aby się głębszemi wydały.

A chętnie podają się przytem jako pojednawcy: lecz dla mnie są to zawsze ludzie połowiczni, zgatawiacze mieszanin, jako tako zbywający i nierzetelni! —

Och, zanurzałem i ja swe sieci w ich morze w nadziei dobrego połowu; lecz zawsze wyciągałem z toni głowę starego boga.

Tak oto zgłodniałemu dawało morze kamień. I oni sami bodaj że z morza pochodzą.

Oczywiście, i perły znajdują się w nich: tem bardziej podobni są do twardych małży. I zamiast duszy znajdowałem w nich często słony śluz.

Od morza nauczyli się przytem jego próżności: bo czyż morze nie jest pawiem pawi?

Przed najszpetniejszym ze wszystkich bawołów roztacza ono swój ogon, nie nużąc się nigdy swym koronkowym wachlarzem z jedwabiu i srebra.

Tępo spogląda na to bawół, czując się w swej duszy blizkim piachów, jeszcze bliższym gąszczy, a najbliższym bagna.

Bo czemże jest dlań morze, i czem są pawie ozdóbki! Tę przypowieść daję poetom.

Zaprawdę, ich duch jest pawiem pawi i morzem próżności!

Widzów pragnie duch poety: chociażby to były nawet woły! —

Lecz umęczon jestem duchem tym: i przeczuwam, że on sam sobą się umęczy.

Przeistoczonych widziałem już poetów i zwracających wzrok przeciw samym sobie.

Pokutników ducha widziałem nadchodzących: z poetów oni wyrośli. —

Tako rzecze Zaratustra.



O WIELKICH ZDARZENIACH.

Leży wyspa na morzu, — niedaleko wysp szczęśliwości Zaratustry — na której góra ognista dymi ustawicznie; opowiada o niej lud, osobliwie stare z pośród ludu babiny, że jest to zwał skalny, położony u wrót podziemia: zaś wskroś przez górę prowadzi w głąb wązka ścieżyna aż do wrót podziemnego świata.

Czasu, gdy Zaratustra bawił na wyspach szczęśliwości, przyjezdny okręt zarzucił kotwicę u wyspy z górą ognistą; a załoga jego przybiła do lądu na łowy królików. W południowej porze, gdy kapitan z ludźmi swymi powrócił już na pokład, ujrzano nagle w powietrzu postać człowieka i usłyszano zarazem głos wyraźny: »czas już! czas najwyższy!« Gdy postać owa zbliżyła się do okrętu, — a niosła się ona chyżo, sunąc jako cień w stronę góry ognistej, — poznano ku wielkiemu przerażeniu, że to Zaratustra; gdyż widzieli go już oni wszyscy, wy-

jąwszy kapitana, i polubili go nawet, jako lud zwykł kochać: uczuciem, w którem miłość z obawą w parze idą.

»Patrzcież mi! wołał stary sternik, oto Zaratustra pomyka do piekła!« —

O tymże czasie obiegała na wyspach szczęśliwości pogłoska, że Zaratustra zniknął; a gdy pytano jego przyjaciół, odpowiadali, że poszedł nocą na okręt, nie mówiąc, dokąd odjechać zamierza.

Tak oto zrodził się niepokój; po trzech dniach przyłączyła się do tego niepokoju opowieść marynarzy, — że wreszcie lud cały rozpowiadać jął, iż dyabeł porwał Zaratustrę. Uczniowie jego śmiali się z tej gadaniny; jeden z nich rzekł nawet: »uwierzyłbym raczej, że to Zaratustra porwał sobie dyabła«. Jednak w głębi duszy byli wszyscy uczniowie pełni troski i tęsknoty: to też wielka była ich radość, gdy piątego dnia zjawił się nagle Zaratustra pośród nich.

I oto jest opowieść o rozmowie Zaratustry z psem ognistym:

Ziemia — mówił on — ma skórę; na skórze tej są choroby. Jedna z tych chorób zwie się, naprzykład: »człowiek«.

Inna znowuż z pośród tych chorób zwie się »pies ognisty«: o nim nakłamali ludzie zbyt wiele i nad miarę obełgiwać się pozwalali.

Aby tę tajemnicę zgłębić, przeprawiłem się przez morze: ujrzałem prawdę nagą, zaprawdę! bosą aż po szyję.

Co znaczą gawędy o psie ognistym, wiem teraz, wiem również, co mniemać o tych wyrzutkowych i przewrotowych dyabłach, których obawiają się nietylko stare babiny.

»Bywaj, psie ognisty, wołałem, wyłaź ze swej głębi! wyznaj, jak głęboka jest twa głębia! Z jakich to czeluści ziejesz ku górze?

Obficie poisz się u morza: świadczy o tem twa przesolona wymowa! Zaprawdę, jak na psa z głębin, czerpiesz karm nadto z powierzchni!

Mam cię co najwyżej za brzuchomówcę ziemi: ilekroć przewrotowych i wyrzutkowych dyabłów słyszeć mi się zdarzało, bywali mi zawsze jednacy: słoni, kłamliwi i płytcy.

Potraficie ryczeć i popiołem przyciemniać! Jesteście najlepszymi pyskaczami i posiedliście aż nadto sztukę warzenia błota aż do rozgaru.

Gdzie wy jesteście, tam błoto musi być w pobliżu, i wiele plechowego, jaskiniowego, zdławionego, co się na swobodę rwie.

»Wolność« ryczycie najchętniej: lecz ja wyzbyłem się wiary w »wielkie wydarzenia«, ilekroć wiele ryku i dymu wokół nich się wszczyna.

I wierzaj mi, luby wrzasku piekielny! Największe wydarzenia — to nie nasze najgłośniejsze, lecz nasze najcichsze godziny.

Nie wokół wynalazców nowej wrzawy: wokół twórców nowych wartości obraca się świat ten; obraca się niesłyszalnie.

I wyznajcież mi! Niewiele stawać się zwykło wkońcu, gdy wrzawa i dym rozwiały się wreszcie. I cóż z tego, że jedno miasto mumią się stało, że jeden posąg w błocie legł!

I to słowo jeszcze powiadam posągoburcom. Największe to szaleństwo sól w morze sypać i po sągi w błoto zwalać.

W błocie wzgardy waszej leżał posąg: lecz to

właśnie jest jego prawem, że ze wzgardy wykwita dlań nowe życie i nowe żywe piękno!

Z boskimi swymi rysy powstaje on oto, tak boleśnie ponętny; i zaprawdę, dziękować on wam jeszcze będzie, żeście go wywrócili, wywrotowcy!

Tą radą służę królom, kościołom oraz wszystkiemu, co na uwiąd starości i cnoty cierpi, — pozwólcie się tylko wywrócić! Abyście znowuż do życia powrócili, a do was — cnota! —«

Tak oto mówiłem przed psem ognistym: wówczas przerwał mi mrukliwie i pytał: »Kościół? Cóż to jest?«

»Kościół, odpowiedziałem, jest rodzajem państwa, i to najbardziej zakłamanym. Lecz milcz, ty psie obłudny! Znasz przecie najlepiej to wszystko, co twego jest pokroju!

Państwo jest, jako ty, psem obłudnym; jako ty, głosi się ono chętnie dymem i rykiem, — aby, jako ty to czynisz, wzbudzić mniemanie, iż przemawia z brzucha rzeczy wszelkich.

Gdyż chce być najważniejszem zwierzęciem na ziemi; i ludzie wierzą mu«. —

Skorom to wyrzekł, pies ognisty jął się zachowywać, jak opętany z zawiści. »Co? krzyczał, najważniejszem zwierzęciem na ziemi? I ludzie wierzą mu nadomiar?« I tyle pary i ohydnych wygłosów dobywać się poczęło z jego gardzieli, że myślałem, iż gniewem i zawiścią udławi się wnet.

Wreszcie uciszył się i uspokoił się jego krztusiec. Skoro się wreszcie uspokoił, rzekłem do niego ze śmiechem:

»Gniewasz się, psie ognisty: słuszne są zatem me mniemania o tobie!

Abym tę słuszność zachował, posłuchaj i o innym psie ognistym: ten przemawia rzeczywiście z serca ziemi.

Złoto wyziewa tchnienie jego i deszcz złocisty: tak chce serce jego. Czemże dlań popiół, dym i namuł gorący!

Śmiech wylatuje z niego, jak obłok barwisty; niechętny jest on wszelkiemu rzężeniu, pluciu oraz zżymaniu się trzewi!

Złoto wszakże i śmiech — czerpie on z serca ziemi: gdyż, abyś wiedział o tem, — serce ziemi jest ze złota«.

Gdy pies ognisty usłyszał to, nie mógł słuchać dłużej. Pełen zawstydzenia podwinął ogon, rzekł cienko i żałośnie ham, ham! i wpełznął z powrotem do swej jaskini. —

Tak opowiadał Zaratustra. Uczniowie jego zaś nieomal, że puszczali to wszystko mimo uszu: tak wielka była ich pożądliwość opowiadania mu o żeglarzach, królikach i o latającym człowieku.

»I cóż mam sądzić o tem! — rzekł Zaratustra. Zaliż jestem upiorem?

Lecz był to może mój cień. Słyszeliście chyba coś nie coś o pielgrzymie i jego cieniu?

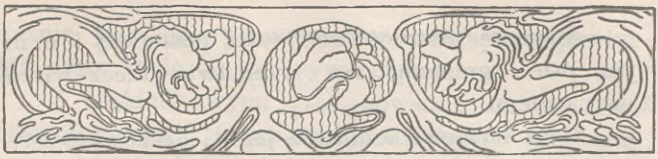
To pewna tylko: krócej muszę go trzymać, — gdyż gotów mnie on jeszcze zniesławić«.

I po raz wtóry potrząsł Zaratustra głową i dziwił się. »I cóż mam sądzić o tem!« — rzekł powtórnie.

»Czemu to krzyczał ów upiór: »Czas już! Czas najwyższy?«.

Na cóż to — czas najwyższy?« —

Tako rzecze Zaratustra.



WRÓŻBIARZ.

»— i widziałem, jako wielkie zasmucenie nawiedziło ludzi. Najlepsi umęczyli się dzieły swemi.

Nastała nauka, wiara tuż obok śpieszyła, iż »wszystko puste, wszystko jednakie, wszystko już było!«

I ze wszystkich pagórków odzywało się echem: »wszystko puste, wszystko jednakie, wszystko już było!«

Zebraliśmy wprawdzie plon: lecz czemu owoce nasze wszystkie stały się gnilne, a brunatne? Jakiż to urok padł z księżyca ostatniej nocy?

Daremna była cała praca, trucizną wino stało się nasze, złe spojrzenie zwarzyło pola i serca nasze na więdłą żółciznę.

Suchymi staliśmy się wszyscy; nawet gdy ogień na nas padnie, pylimy, jako popiół: — i ogień nawet umęczyliśmy sobą.

Studnie wszystkie wyschły nam, — i morze na-

wet się cofnęło. Wszystkie podwaliny zawaleniem grożą, a głębia nie chce pochłaniać!

»Och, gdzież jest to morze, w któremby zatonąć można«: tak rozbrzmiewa skarga nasza — ponad płytkiemi bagny.

Zaprawdę, nawet na skon nas nie stać, zbyt jesteśmy umęczeni: czuwamy przeto wciąż jeszcze i żyjemy wciąż — w konurach grobowych!« —

Temi słowy mówił wróżbiarz do Zaratustry; a te jego proroctwa padły Zaratustrze na serce i przeistoczyły je. Chadzał smutny i zmęczony; i stał się podobnym do tych, o których wróżbiarz powiadał.

Zaprawdę, rzekł do swych uczni, niewiele brakuje, a nastanie ów długi zmrok. Och, jakże tu uratować swe światło!

Aby się ono nie zdusiło w tem zasmętnieniu! Odległym wszak winno światom świecić i nocom jak najdalszym!

Tako w sercu zatroskany chadzał Zaratustra, trzy dni napoju i pokarmu nie przyjmował, spokoju nie zaznawał i utracił mowę. Wreszcie stało się, iż zapadł w sen głęboki. Uczniowie jego zasiedli wokół łoża i w długich nocnych czuwaniach wyglądali w niepokoju, zali się nie zbudzi, mówić znów nie pocznie i nie zleczy swej osmętnicy.

Lecz oto jest mowa, którą wygłosił Zaratustra, gdy się był przebudził; zaś głos jego dochodził do uczni, jakoby z wielkiej dali:

»Posłuchajcież, przyjaciele, snu, który mi się przyśnił, i pomóżcież odgadnąć jego znaczenie!

Zagadką jest mi jeszcze ten sen; znaczenie jego

tkwi w nim ukryte, lub polatuje ponad nim na wolnych skrzydłach.

Wszelkiego życia wyrzekłem się był we śnie. Stróżem nocy i grobów stałem się, tam na samotnej opoce, gdzie śmierci zamczysko.

Jej trumien strzegłem tam na górze: pełne były głuche sklepienia tych znaków zwycięstwa. Ze szklanych trumien spoglądało ku mnie pokonane życie.

Wdychałem zakurzonych wieczności woń: w zaduchu i w kurzu spoczywała ma dusza. I któżby tam zdołał przewietrzyć swą duszę!

Jasność północy była wokół mnie, samotność przyczaiła się tuż obok, a w samotności rechotała cisza śmiertelna, najdokuczliwsza z mych przyjaciółek.

Kluczem dźwigał, najbardziej ordzewiałe ze wszystkich kluczy; i potrafiłem najbardziej skrzypiące wrota nimi otwierać.

Jako złowieszcze krakanie, przebiegał dźwięk długimi lochy, gdym skrzydła wrót podźwignął: niechętnie darł się ten ptak, nie rad dawał się on budzić.

Lecz straszniejszą jeszcze i bardziej przytłaczającą stawała się chwila, gdy echa milkły, cisza zalegała naokół i gdy sam oto pozostawałem w przyczajonem milczeniu.

I tak oto wlókł się i pełzł czas, jeśli czas był jeszcze: lecz cóżem ja o tem wiedział! Wreszcie stało się to, co mnie zbudziło.

Trzykrotny łom uderzył we wrota, jako piorun; zahuczały i zawyły sklepienia we wtór trzykrotny: wówczas zbliżyłem się do wrót.

Alpa! wołałem, kto niesie swój popiół na górę? Alpa! Alpa! Kto wnosi swój popiół na górę?

Obróciłem klucze, próbuję podźwignąć wrota: mozolę się. Lecz jeszczem ani na szczelinę rozewrzeć ich nie zdołał:

Gdy wicher huczący rozerwał naoścież oba skrzydła wrót: gwiżdżąc, świszcząc i mroźnem tchnieniem biczując, odrzucił mnie na czarną trumnę:

Z łoskotem, poświstem i skowytem załamała się trumna i zionęła tysiąckrotnym chichotem.

Tysiączne dziwotwory dzieci, aniołów, sów, błaznów, jak dzieci wielkich motyli śmiały się, szydziły i huczały ku mnie.

Okrutnie przerażonego powaliło mnie na ziemię. Począłem krzyczeć ze zgrozy, jakem nigdy jeszcze nie krzyczał.

Lecz własny krzyk zbudził mnie: — i otom przyszedł do siebie --«.

Tako opowiedział Zaratustra swój sen i zamilkł potem: gdyż nie wiedział, jako ma sobie wykładać to widzenie senne. Lecz uczeń, którego najbardziej miłował, powstał szybko, schwycił rękę Zaratustry i rzekł:

»Twe życie, o Zaratustro, wykłada nam twój sen!

Nie jestżeś ty wichrem, co z ostrym poświstem wywala wrota w zamczysku śmierci?

Nie jestżeś trumną pełną jaskrawych szyderstw i anielskich dziwotworów życia?

Zaprawdę, tysiąckrotnym śmiechem dziecięcym nawiedza Zaratustra wszystkie konury śmierci, śmiejąc się ze wszystkich stróży nocy i grobów, i z każdego, kto tam głuchymi poszczękuje kluczy.

Przerazić i obalić pragniesz swym śmiechem; bezwładny opad i przebudzenie dowiedzie twej nad nimi potęgi.

A nawet i wonczas, gdy ów długi zmrok i znużenie śmiertelne nadejdą, nie zajdziesz ty nam jeszcze na niebie naszem, życia ty orędowniku!

Nowe gwiazdy ujrzeć nam pozwoliłeś i nowe czary nocy; zaprawdę, śmiech rozpiąłeś ty ponad naszemi głowy, jako sklepienie barwiste.

Odtąd śmiech dziecięcy z trumien tryskać będzie, odtąd wszystkie znużenia śmiertelne wicher zwycięski zawsze nawiedzi: tegoś ty nam jest poręką i wróżbiarzem!

Zaprawdę, o nich to właśnie śniłeś, o wrogach swoich: — i sen to był twój najcięższy!

Lecz jakoś ty się zbudził i do siebie przyszedł, tako i oni ze swego istnienia przebudzić się winni i przyjść — do ciebie! —«

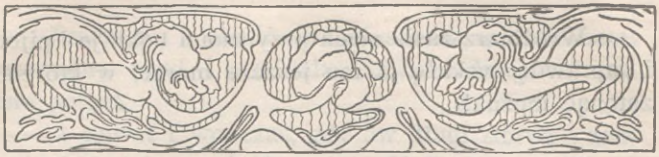
Tako mówił uczeń: zaś wszyscy inni cisnęli się do Zaratustry, chwytali jego ręce, pragnąc go namówić, aby porzucił łoże, zaniechał posępnicy i powrócił do nich. Zaratustra siedział jednak wyprosto wany na łożu i spoglądał nie swojem wejrzeniem. Jako ten, co z długiej obczyzny powraca, przypatrywał się swym uczniom, badał ich oblicza i nie poznawał ich. Gdy go wszakże podnieśli z łoża i postawili na nogi — patrzą! — aż tu przemieniły się nagle jego oczy; pojął wszystko, co się przytrafiło, pogładził brodę i rzekł mocnym głosem:

»Dalej więc! czas bo najwyższy zaniechać tego! Baczcież mi, drodzy, abyśmy dobrą spożyli wieczerzę, a rychło! Tako chcę czynić pokutę za niedobre sny!

Wróżbiarz zasie niech przy moim boku je i pije: i zaprawdę, wskażę ja mu jeszcze morze, w którem zatonąć można!«

Tako rzekł Zaratustra. — Poczem wszakże spojrzał na ucznia, co jako wykładacz snu wystąpił, długo mu w oblicze patrzał i kiwał przytem głową. —





O WYZWOLENIU.

Gdy Zaratustra przechodził pewnego dnia przez most, otoczyli go kalecy i żebracy, a pewien garbaty zagadnął go temi słowy:

»Spojrzyj, Zaratustro! Oto i lud uczy się od ciebie i zaczyna ufać twej nauce: lecz aby całkowicie w ciebie uwierzył, potrzeba na to jednego — winieneś przekonać i nas, kaleki wszelkie. Tu oto masz piękny dobór i sposobność do roboty z niejednym czubem! Ślepców możesz zleczyć, kulawych do biegu przysposabiać; zaś temu, co zbyt wiele na sobie dźwiga, mógłbyś ująć coś niecoś z grzbietu: — Oto, według mnie, najwłaściwsza droga, aby i kalecy uwierzyli w Zaratustrę!«

Zaratustra zaś odparł onemu w te słowa: »Gdy się garbatemu odbiera jego garb, odbiera mu się jego ducha, — tak uczy lud. Gdy się ślepemu wzrok przywraca, widzi zbyt wiele złego na świecie: tak, iż przeklina tych, co go zleczyli. Ten zaś, kto kulawemu zdolność biegu przywróci, czyni mu najwięk-

szą krzywdę: gdyż ledwo biegać się nauczy, a rozbiegną się wraz z nim i jego niecnoty — tak oto poucza lud o kalekach. I czemużby nie miał Zaratustra uczyć się od ludu, skoro lud uczy się od Zaratustry?

Jest mi to jednak rzeczą najbłahszą jeszcze, iż od czasu, gdy pośród ludzi przebywam, widzę raz po raz, że temu brakuje oka, tamtemu ucha, trzeciemu nogi; lub też, że inni stracili język, nos lub głowę.

Widuję i widywałem rzeczy gorsze, nieraz tak ohydne, że nie o każdej mówić mogę, a niejednejbym nawet widzieć nie pragnął: widuję mianowicie ludzi, którym brak wszystkiego oprócz jednego członka, który jest w takich razach zwykle za wielki, ludzi, którzy niczem już więcej nie są, tylko wielkiem okiem, wielkim pyskiem, wielkim brzuchem, zgoła czembądź wielkiem, — kalekami na wywrót zwę ja takich.

Gdy, powracając z mej samotni, po raz pierwszy przechodziłem przez ten most: nie dowierzałem oczom własnym: spoglądam, patrzę i mówię wreszcie: »toż to jest ucho! ucho wielkości człowieka!« Przyglądam się jeszcze lepiej: pod uchem porusza się coś żałośnie małego, ubożuchnego i mizernego. I rzeczywiście, potworne uszysko było osadzone na malutkiej, cienkiej łodyżce; łodyżka ta była — człowiekiem! Gdym szkła do oczu podniósł, mogłem dojrzeć nawet maleńką, zazdrosną twarzyczkę i to nawet, że na łodydze kiwała się nadęta duszyczka. Lud zaś pouczył mnie, że to wielkie ucho to nietylko człowiek, lecz człowiek wielki, gieniusz. Lecz ja nie dowierzam nigdy ludowi, gdy o wielkich ludziach mówi — i pozostałem przy swojem przekonaniu, że

to jest kaleka na wywrót, który ma wszystkiego za mało, a jednego za wiele.«

Gdy Zaratustra tak oto odparł garbusowi oraz tym wszystkim, których on był głosem i orędownikiem, zwrócił się pełen głębokiej goryczy do uczni swoich i rzekł:

»Zaprawdę, przyjaciele moi, obracam ja się między ludźmi, jak pośród ułomków i członków ludzkich!

To jest dla mego oka rzeczą najstraszniejszą, iż widzę człowieka podruzgotanego o porozpraszanych członkach niby na pobojowisku lub na podwórzu rzeźni.

A gdy się me oko umknie od »teraz« ku »niegdyś«, znajduje zawsze to samo: ułomki, członki i okrutne przypadki — ludzi nie widzi!

Owo »teraz« i »niegdyś« na ziemi, — och! przyjaciele moi — to jest m o j e brzemię, najdokuczliwsze, i żyćbym przecie nie zdołał, gdybym nie był jasnowidzem tego, co przyjść musi.

Wieszczący, chcący, tworzący, sam przyszłością i sam sobie mostem ku przyszłości — i niestety! również i kaleką przy tymże moście: oto czem jest Zaratustra.

I wy zagadywaliście nieraz samych siebie: »kimże jest Zaratustra? Czemże ma być on dla nas?« I dawaliście sobie, jako ja to czynię, w odpowiedzi — pytania.

Jestże on zwiastunem? Czy dokonawcą? Zdobywcą? Czy też dziedzicem? Jestże jesienią? Lemieszem? Lekarzem? Czy też ozdrowiałym?

Jestże on poetą? Czy też prawdomówcą? Wyzwolicielem? Czy też pogromcą? Jestże dobrym? — Złym?

Błąkam się między ludźmi, jak pośród ułomków przyszłości: przyszłości, którą ja oglądam.

I tem jest ma twórczość i dążenie, iż w jedno przetwarzam i w całość skupiam, co jest ułomkiem i zagadką i okrutnym przypadkiem.

Jakżebym ja zniósł, żem jest człowiekiem, gdyby człowiek nie był wieszczem i zagadek odgadywaczem, i wyzwolicielem przypadku!

Przeszłych wyzwolić, wszelkie »Było« przetworzyć w »Takom ja właśnie pragnął!« — oto cobym dopiero wyzwoleniem zwał!

Wola — tako zwie się oswobodziciel i zwiastun radosny: tako i ja was pouczam, przyjaciele moi! Douczcież się wszakże i tego jeszcze: wola sama jest jeszcze więźniem.

Chęć oswobadza: lecz jakże się to zwie, co nawet i oswobodziciela w kajdany zakuwa?

»To było«: oto zębów zgrzytanie i najsamotniejsza zgryzota woli. Bezsilna wobec wszystkiego, co już dokonane, jest wszelkiej przeszłości wrogim widzem.

Bo że wstecz wola chcieć nie może; że czasu przełamać nie zdoła, ani czasu pożądliwości, — tem jest woli zgryzota najsamotniejsza.

Wola oswobadza: cóż więc obmyśli sobie ona, aby się pozbyła własnego posępku i szydziła z własnego więzienia?

Och, błaznem staje się każdy więzień! Szaleńczo wyzwala się też i więziona wola.

Że czas wstecz się nie cofnie, to rodzi jej gniew zawzięty. »To, co było« — tak zwie się kamień, którego nie zdoła potoczyć.

Toczy więc kamienie zawziętości i niechęci

i wywiera zemstę na wszystkiem, co wraz z nią nie odczuwa zawziętości i niechęci.

I tak oto staje się wola, oswobodzicielka, sprawczynią bólu: na wszystkiem, co cierpieć zdolne, wywiera zemstę za to, iż cofnąć się nie może.

I tem oto, wyłącznie tem tylko, jest i zemsta sama: woli niechęcią do czasu i jego »to było«.

Zaprawdę, wielkie szaleństwo tkwi w naszej woli; zaś dla wszystkiego, co ludzkie, klątwą się stało, iż to szaleństwo ducha sobie zdobyło!

Duch zemsty: przyjaciele moi, to było dotychczas najlepszem zastanowieniem się człowieka; a gdzie cierpienie było, tam kara zawsze być musiała.

»Kara«, tem słowem przezwała zemsta samą siebie: słowem kłamliwem udaje ona obłudnie czyste sumienie.

A że w chcącym jest wiele cierpienia, iż wstecz chcieć nie może, — przeto i chęć sama i życie wszelkie — winny być karą!

I oto chmura za chmurą zachodziły na ducha: aż wreszcie obłęd kazać począł: »Wszystko zanika, przeto wszystko zaniku jest warte!«

»I tem jest sprawiedliwość sama: owo prawo czasu, co dzieci swoje pożerać musi«: tak kazał obłęd.

»Moralnym stoją rzeczy ładem wedle prawa i kary. Och, gdzież jest wyzwolenie z toku rzeczy i z kary »istnienia?« Tako kazał obłęd.

»Czyż możebne jest wyzwolenie, skoro istnieje wieczne prawo? Och, nie do dźwignięcia jest ów kamień »to było«: wieczne muszą być też i wszelkie kary!« Tako kazał obłęd.

»Żaden czyn zgładzonym być nie może: jakżeby on mógł dzięki karze stać się niedokonanym! To,

właśnie to jest wiecznem w karze »istnienia«, iż istnienie wiecznie i czynem, i karą być musi!

Chyba że wola wreszcie samą siebie wyzwoli, że chcenie niechceniem się stanie —«: lecz wszak wy znacie, bracia moi, tę starą piosnkę obłędu!

Odwodziłem was od tych starych baśni, gdym uczył: »wola jest twórcą«.

Wszelkie »to było« jest ułomkiem, zagadką, okrutnym przypadkiem, póki wola twórcza na to nie powie: »lecz tak ja właśnie chciałam!«

— Aż póki wola twórcza na to nie rzeknie: »Lecz tako chcę właśnie! Tako chcieć będę!«

Lecz czyż mówiła ona już tak? I kiedyż się to stanie? Czy wola jest już odprzęgnięta od własnego szaleństwa?

Stałaż się już wola zbawcą i zwiastunem radosnym dla samej siebie? Oduczyłaż się ona ducha zemsty i zębów zgrzytania?

I któż nauczył ją pojednania z czasem i czegoś wyższego ponad wszelkie pojednanie?

Czegoś wyższego ponad wszelkie pojednanie chcieć musi wola, która jest wolą mocy —: lecz jakże jej na to przyjdzie? Któż pouczył ją nawet i o chceniu wstecz?«

— Lecz w tem miejscu przerwał Zaratustra nagle swą mowę i czynił wrażenie człowieka, którego ostateczne przerażenie ogarnia. Przestraszonemi oczyma wodził po uczniach swoich, a oczy te przebijały jak strzały ich myśli jawne i ukryte. Po chwili zaśmiał się jednak i rzekł w dobroci:

»Trudno żyć z ludźmi, ponieważ milczeć jest tak trudno. Osobliwie dla gaduły«. —

Tako rzekł Zaratustra. Garbus jednak przysłuchiwał się rozmowie, przysłoniwszy przytem twarz; gdy usłyszał śmiech Zaratustry, wejrzał ciekawie i rzekł powoli:

»Lecz dlaczegóż to Zaratustra mówi inaczej do nas, niźli do uczni swoich?«

Zaratustra odparł: »Cóż w tem dziwnego! Z koszlawym wolno i koszlawo pogadać!«

»Pięknie, — odparł garbus; — zaś wobec uczni wolno bajać, jak w uczelni.

Lecz czemuż to Zaratustra mówi inaczej do swych uczni, niźli do samego siebie?« —



O ROZTROPNOŚCI LUDZKIEJ.

Nie wyż: urwa jest rzeczą straszną!

Urwa, gdzie spojrzenie w d ó ł zapada, a ręka w z w y ż chwyta. Zawrót wówczas serce ogarnia od tej podwójnej jego chęci.

Och, przyjaciele, odgadujecież serca mego wolę podwójną?

Tem jest m o j e urwisko i niebezpieczeństwo moje, że spojrzenie me wzwyż pada, podczas gdy dłoń trzymać się pragnie i wesprzeć — na głębi!

Człowieka czepia się ma wola, kajdanami skuwam się z człowiekiem, ponieważ porywa mnie wzwyż ku nadczłowiekowi: jako że tam pragnie inna ma wola.

I d l a t e g o t e ż żyję ja ślepy między ludźmi; jakobym ich nie znał wcale: aby ma dłoń nie straciła wiary w mocne oparcie.

Nie znam was, ludzie: ta oćma i otucha rozściela się wokoł mnie.

Siedzę przy gościńcu dla każdego łotra dostępny i pytam: kto chce mnie oszukać?

Tem jest ma pierwsza roztropność ludzka, że się oszukiwać pozwalam, aby nie mieć się na baczności przed oszustami.

Och, gdybym na baczności przed człowiekiem mieć się musiał: jakżeby mógł człowiek być bani mej kotwicą! Zbyt łatwo oderwałoby mnie wzwyż i odniosło precz!

Ta opatrzność jest nad mą dolą, że bez przezorności być muszę.

Zaś kto pośród ludzi zmarnieć nie chce, musi się nauczyć z każdej pijać szklanicy; kto zaś między ludźmi czystym pozostać pragnie, winien potrafić i w brudnej umywać się wodzie.

I tak oto mawiałem nieraz ku swej otusze: »Dalejże! Dalej! Stare serce! Chybiło ci nieszczęście: zażywaj go więc jako swego — szczęścia!«

Lecz oto ma druga roztropność ludzka: oszczędzam p r ó ż n y c h bardziej, niźli dumnych.

Czyż urażona próżność nie jest matką wszelkich tragiedyi? Lecz gdzie duma urażona bywa, tam zwykło wyrastać jeszcze i coś lepszego, niźli duma.

Aby widok życia znośnym się wydał, winna być gra życiowa dobrze odgrywana: lecz na to dobrych potrzeba aktorów.

Dobrymi aktorami byli mi zawsze ludzie próżni: oni grają i pragną, aby im się chętnie przyglądano, — cały ich duch tkwi w tej chęci.

Oni wystawiają się na widowni, oni odkrywają samych siebie; lubię w ich blizkości przyglądać się życiu, — to leczy z przygnębienia.

Przeto oszczędzam próżnych, iż mi są lekarzami

w przygnębieniu i przywiązują do człowieka, jako do widowiska.

A wreszcie: któż wymierzy w próżnym całą głąb skromności! Jestem dlań dobry i pełen współczucia, dla tej jego skromności.

Od was pragnie on zaczerpnąć wiary w samego siebie; on pasie się waszemi spojrzeniami, pożera pochwały z waszych rąk.

Nawet i kłamstwom waszym rad uwierzy, jeśli dobrze o nim kłamiecie: gdyż w najskrytszej głębi wzdycha jego serce: »czemże ja bo jestem!«

A skoro ta cnota jest prawdziwa, która nie wie o sobie: — otóż, próżny nie wie o swej skromności! —

I tem jest ma trzecia roztropność ludzka, że widoku ludzi złych nie pozwalam obmierzić sobie waszą lękliwością.

Szczęśliw widzę te dziwy, które wylęga słońce upalne: tygrysy, palmy i grzechotniki.

I pośród ludzi jest wiele pięknego wylęgu upalnego słońca i w złych wiele godnego podziwu.

Wprawdzie, jako i wasi najmędrsi nie wydają mi się bynajmniej tak bardzo mądrymi, podobnież i złość ludzka jest mi znacznie mniejsza od swego osławienia.

I nieraz dziwiłem się, kiwając głową: I czegóż wy jeszcze grzechoczecie, grzechotniki?

Zaprawdę, i zło nawet ma przyszłość przed sobą! A najgorętszych południ jeszcze nie odkryto dla człowieka.

Wszakże niejedno zwie się dziś ostateczną złością, co jest zaledwie dwanaście stóp szerokie

i trzy miesiące długie! Kiedyś będą się większe rodziły smoki.

Aby nadczłowiekowi nie zbrakło swego smoka, nadsmoka, któryby jego był godzien, lecz na to wiele słońca upalnego prażyć musi puszcze wilgotne!

Wasze koty dzikie przedzierzgnąć się wprzódy muszą w tygrysy, a wasze ropuchy jadowite w krokodyle: aby dobrego myśliwca dobre oczekiwały łowy!

Zaprawdę, wy dobrzy i sprawiedliwi! Wiele w was śmiechu jest godne, a osobliwie wasz lęk przed tem, co się dotychczas »dyabłem« zwało!

Tak dalecy jesteście w duszach swoich wszelkiej wielkości, że nawet nadczłowiek w swej dobroci wydałby się wam s t r a s z n y m!

Zaś wy, mędrcy i uczeni, ucieklibyście przed słonecznym pożarem mądrości, w której nadczłowiek ochoczo swą nagość pławić będzie!

Wy najszczytniejsi, których oczy me napotkały! Tem oto jest me zwątpienie o was i śmiech mój ukryty: przewiduję wszak, nadczłowieka nazwalibyście dyabłem!

Och, umęczyłem się tymi najszczytniejszymi i najlepszymi: z ich »szczytów« parło mnie wzwyż, wdal, precz — ku nadczłowiekowi!

Dreszcz zgrozy przebiegł mnie, gdym tych najlepszych ujrzał nago: i oto wyrosły mi skrzydła, aby odlecieć w dalekie przyszłości!

W dalsze przyszłości, w bardziej południowe południa, niźli je kiedykolwiek jaki twórca wymarzył: tam, gdzie bogowie szat wszelkich się wstydzą!

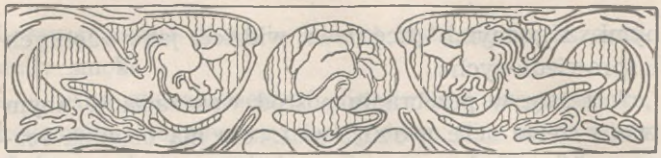
Lecz w a s w przebraniu widzieć pragnę, wy blizcy i bliźni moi, pięknie przyobleczonymi i próż-

nymi, i godnymi chcę was widzieć, jako »dobrych i sprawiedliwych«.

I sam w przebraniu pośród was zasiądę, abym was i siebie nie poznawał: oto ma ostatnia roztropność człowiecza. —

Tako rzecze Zaratustra.





W NAJCICHSZĄ GODZINĘ.

Cóż to się ze mną stało, przyjaciele? Patrzcie, jakem jest wzburzony, gdzieś przed się party, niewolnie uległy, gotów do odejścia, — och, do odejścia od w a s!

Niestety, raz jeszcze musi Zaratustra do swej powracać samotni: lecz niechętnie wraca tym razem niedźwiedź do swej jaskini!

Cóż to się ze mną stało! Któż mi to nakazuje? — Och, ma gniewna pani życzy sobie tego, przemówiła ona do mnie; — czyż nie nazwałem wam jeszcze jej imienia?

Wczoraj pod wieczór przemówiła do mnie m a n a j c i c h s z a g o d z i n a: oto imię mej strasznej pani.

A stało się to tak, — gdyż wszystko opowiedzieć wam muszę, aby się nie zasklepiły serca wasze dla nagle odchodzącego!

Znacie przestrach w chwili zasypiania?

Aż po palce stóp przeraża się zasypiający, iż ziemia usuwa się przed nim, a sen się poczyna.

Mówię to wam jako przenośnię. Wczoraj, w najcichszą godzinę usunęła się pode mną ziemia: sen się rozpoczął.

Pomknęła się wskazówka, zegar mego życia zaczerpnął oddechu —, nigdym takiej ciszy wokół siebie nie słyszał: aże przeraziło się serce.

Naonczas rzecze bez głosu do mnie: »Ty wiesz wszak o tem, Zaratustro?« —

Jam krzyknął w przerażeniu, zasłyszawszy to szeptanie, a krew mi z oblicza precz odbiegła: milczałem przecie.

Rzecze raz wtóry bez głosu do mnie: »Ty wiesz o tem, Zaratustro, a jednak nie mówisz!« —

Jam odparł nareszcie, rzekąc przekornie: »Wiem ci ja, lecz mówić nie chcę!«

I rzecze znowuż bez głosu do mnie: »Ty nie chcesz, Zaratustro? Jestże to prawda? Nie chowaj ty mi się poza swą przekorność!« —

Płacząc, drżę jako dziecko i powiadam: »Och radbym ja, lecz jakże ja to mogę! Uchyl to tylko ode mnie! Ponad moje to siły!«

I rzecze znowuż bez głosu do mnie: »I cóż po tobie, Zaratustro! Słowo swe powiedz i złam się!« —

Jam odparł: »Och, wszakże moje to słowo? Kimże ja jestem! Godniejszego czekam; jam nie godzien złamać się nawet na onem«.

I rzecze znowuż bez głosu do mnie: »I cóż po tobie! Nie jesteś mi jeszcze dosyć kornym. Pokora ma najtwardszą skórę«. —

Jam odparł: »Czegóż nie zniosła skóra mej pokory! U podnóża swej jaskini mieszkam: jak wysoko

wybujały me wierzchołki? Nikt mi o tem jeszcze nie powiadał. Atoli dobrze znam swe doliny«.

I rzecze znowuż bez głosu do mnie: »O, Zaratustro, kto ma góry z posad wyważać, ten przenosi takoż doliny i niże«. —

Jam odparł: »Jeszcze me słowo nie wyważyło żadnej góry, zaś to co mówię, ludzi jeszcze nie dosięga. Wyszedłem ja wprawdzie ku ludziom, jeszczem ja jednak do nich nie dotarł«.

I rzecze znowuż bez głosu do mnie: »Cóż ty o tem wiesz! Rosa pada na murawę, gdy noce są w przemilczeniach najcichsze.« —

Jam odparł: »Szydzili ze mnie, gdym własną drogę znalazł i nią poszedł; i prawdziwie drżały wonczas nogi moje.

Co widząc powiadali: zbyłeś drogi, zbędziesz i chodzenia!«

Rzecze znowuż bez głosu do mnie: »I czemże ich szyderstwa! Jesteś z tych, co się posłuszeństwa oduczyli: teraz winieneś rozkazywać!

Zali nie wiesz, kto im wszystkim jest najbardziej ku potrzebie? Kto rzecz wielką rozkaże.

Ciężko rzeczy wielkiej dokonać: przecie cięższej rzecz wielką rozkazać.

To jest najbardziej niewybaczalnem w tobie: posiadasz moc, a panować nie chcesz«. —

Jam odparł: »Brak mi głosu lwa do rozkazywania«.

Rzecze znowu, jakby szeptem do mnie: »Najcichsze to słowa są, co burzę niosą. Myśli, co gołębim przychodzą krokiem, światem kierują.

O Zaratustro, tyś powinien iść jako cień tego,

co przyjść musi: tako będziesz rozkazywał, a rozkazując przodował«. —

Jam odparł: »Wstydzę się«.

I rzecze znowuż bez głosu do mnie: Dziecięciem stać się jeszcze musisz, a niewstydliwem.

Duma młodzieńcza jest jeszcze w tobie, późnoś młodym się stał: lecz kto dziecięciem stać się chce, ten i młodość swoją przezwyciężyć powinien«. —

Namyślałem się długo i drżałem w sobie. Wreszcie rzekłem, com wprzódy był powiedział: »Nie chcę ja«.

Wonczas uczynił się śmiech wokół mnie. O, jakże mi ten śmiech trzewia targał i serce rozdzierał!

I rzecze po raz ostatni do mnie: »O, Zaratustro, dojrzały twe owoce, lecz tyś nie dojrzał do owoców swoich!

Przeto do samotni ponownie iść musisz, abyś omiękł«. —

Zaśmiało się ponownie i pierzchło: wonczas cisza uczyniła się wokół mnie w zdwojonej jakby cichości. Ja zaś na ziemi leżałem i pot spływał z mych członków.

— Otoście wszystko słyszeli, i czemu do samotni iść muszę. Niczegom przed wami, przyjaciele, nie zataił.

Więc i to usłyszeliście ode mnie, którym jest przed wszystkimi ludźmi najskrytszy — i nim pozostać pragnący.

Och, przyjaciele moi! Miałbym wam jeszcze coś do powiedzenia, miałbym jeszcze coś do darowania. Czemuż więc nie daję? Byłżebym skąpy?« —

Gdy Zaratustra te słowa wyrzekł, opanowała go tak boleśnie potęga bólu i blizkość rozłąki z przyjaciołmi, że zapłakał głośno. A nie było, ktoby go ukoić umiał. Nocą wszakże odszedł samotny i opuścił swych przyjaciół.



TAKO RZECZE ZARATUSTRA

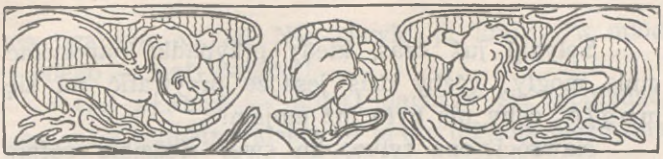
CZĘŚĆ TRZECIA

„Wy spoglądacie w górę, gdy chcecie podniesienia. Ja patrzę na dół, bom jest wyniesiony.

Któż jest między wami, co zarazem i śmiać się potrafi i wzniesionym się czuć?

Kto szczytów najwyższych dosięgnie, ten śmieje się z wszelkich tragikomedyi i tragicznych powag".

Zaratustra,
O czytaniu i pisaniu (I, 48).



PIELGRZYM.

Południe było, gdy Zaratustra wstąpił na drogę, wiodącą przez górzysty grzbiet wyspy, aby wczesnym rankiem na przeciwległym stanąć wybrzeżu i na okręt się przeprawić. Dobra tam była przystań w zatoce i obce okręty chętnie zarzucały w niej kotwice, odpływając brały one na pokład tych, co z wysp szczęśliwości przez morze przeprawić się pragnęli. Gdy Zaratustra wspinał się pod górę, wspominał po drodze wiele swych wędrówek samotnych w młodości, oraz wszystkie te wzgórza, grzbiety górskie i wierzchołki, na które się niegdyś wspinał.

Pielgrzymem jestem i ochotnym po górach wędrownikiem, rzekł do swego serca; nie lubię płaszczyzn i zda mi się, że nie długo na miejscu wysiedzieć zdołam.

I wszelka dola, wszelkie wydarzenie, które mi się przytrafić może, — coś z pielgrzymki w nich będzie i z wędrowań po szczytach: przeżywa bo wszak człowiek samego siebie jedynie.

Spłynął już czas, kiedy przypadki napotykać mnie mogły; cóżby dziś jeszcze przytrafić mi się mogło, coby nie było już mojem!

Nawróci ona tylko, ku swej siedzibie cofnie się wreszcie — ma samość, oraz to wszystko, co z niej na obczyźnie przebywało, rozproszone pośród wszelkich rzeczy i przypadków.

I to jedno wiem jeszcze: oto staję przed swym ostatnim szczytem, przed tem, co mi najdłużej zaoszczędzonem było. Och, na najtwardszą swą drogę wstępuję obecnie! Och, począłem ja swą najsamotniejszą wędrówkę!

Lecz kto z mego jest rodu, ten się takiej nie umknie godzinie, godzinie, która doń rzecze: »Aliści teraz dopiero idziesz drogą swej wielkości! Szczyt i przepaść — w jedno się to teraz zwarło!

Idziesz drogą swej wielkości: ostatnią twą ucieczką stało się to, coć było dotychczas największem niebezpieczeństwem!

Idziesz drogą swej wielkości: odtąd najlepszą winno ci być otuchą, iż poza tobą niema już drogi!

Idziesz drogą swej wielkości: nikt tu za tobą nie popełznie! Twa noga gasiła sama ślady drogi poza sobą, drogi, nad którą widnieje napis: niemożebność.

A gdy ci obecnie wszelkich drabin zbrakło, winieneś się rozumieć i na tem, jako się na głowę własną wspinać należy: jakżebyś ty inaczej wspinać się zdołał?

Na głowę własną i ponad własne serce! Co najłagodniejszego jest w tobie, największą tężyzną stać się to jeszcze musi.

Kto się zanadto zwykł oszczędzać, chorzeje wreszcie z oszczędzania tego. Chwała wszystkiemu,

co twardym czyni! Nie sławię ja krainy w miód i mleko — opływającej!

Od siebie — wdal nauczyć się spoglądać, aby wiele módz widzieć: — ta oto tężyzna niezbędna jest dla każdego, kto się na góry wspina.

Kto zaś, jako poznający, oczyma natrętny bywa, jakżeby on mógł dojrzeć w rzeczach coś więcej nad ich powierzchowne zarysy.

Ty jednak, o Zaratustro, chcesz dojrzeć rzeczy wszelkich spody i podspody: musisz więc przeto ponad samego siebie się wspinać, — w górę, wzwyż, aż póki gwiazd własnych nie ujrzysz pod sobą!

O tak! Na dół spozierać na samego siebie i na gwiazdy własne: to niechaj mi dopiero szczytem moim będzie, pozostało mi to jeszcze do osiągnięcia, jako szczyt mój ostatni! —

Tak przemawiał do siebie Zaratustra, wspinając się na górę, twardemi przypowieściami krzepiąc swe serce: gdyż okaleczone było one, jako nigdy przedtem nie bywało. Gdy zaś na przełęcz wstąpił, patrzy, oto wdali widnieje rozłogiem inne morze: Zaratustra stanął i milczał długo. Noc zaś mroźna była na tej wysokości, widna i gwiaździsta.

Poznaję dolę mą, rzekł wreszcie w smutku. Niech się stanie! Jam gotów. Oto poczęła się w tej chwili ma ostatnia samotność.

Och, to czarne, smutne morze pode mną! Och, ten brzemienny ponocny smętek mój! O, dolo ma i morze! Ku wam to zstąpić muszę!

Przed najwyższą swą górą staję i przed najdłuższą pielgrzymką: przeto głębiej zstąpić muszę, niźlim kiedykolwiek zstępował:

— głębiej w ból, niźlim kiedykolwiek to czynił, w najczarniejszą zanurzać się muszę falę! Dola ma tego chce. Niech się ma wola dokona! Jam gotów.

Skąd pochodzą najwyższe góry? — pytałem się niegdyś. Nauczono mnie, że z morza one pochodzą. Świadectwo to w głazie wypisane mają i w skalnych ścianach swych wierzchołków. Z największej głębi muszą najwyższe szczyty ku swojej wydźwigać się wyży. —

Tak mówił Zaratustra, stojąc na szczycie góry, gdzie chłód panował; gdy jednak w pobliże morza zszedł i gdy wreszcie samotny pośród skał przybrzeżnych stanął, zdrożonym się wówczas poczuł i jeszcze bardziej roztęsknionym.

Oto wszystko we śnie jeszcze spoczywa, rzekł; i morze śpi jeszcze. Sennie i obco spoziera ku mnie jego źrenica.

Oddycha wszakże ciepło, czuję to. I to czuję jeszcze, że ono śni. Oto wije się śniące na twardem podłożu.

Słuchaj! bacz! Jak od złych wspomnień jęczy ono! Lub od złych przeczuć może?

Och, jam jest pełen smutku wraz z tobą, ciemny ty potworze; trapię się również i o ciebie.

Och, że też ma dłoń nie dość siły posiada! Chętnie, zaprawdę, wyzwoliłbym ja cię ze złych snów twoich! —

Gdy Zaratustra te słowa rzekł, zaśmiał się z samego siebie pełen smętku i goryczy. Jakżeto, Zaratustro! więc i morzu nawet chcesz śpiewać ukojenia?

Och, ty szaleńcze, z nadmiaru miłości, radosnem zaufaniem pijany! Lecz takim byłeś mi zawsze: zbliżałeś się zawsze ufnie ku wszelkim okropnościom.

Każdego potwora nawet radbyś głaskać. Jedno tchnienie ciepłego oddechu, nieco miękkich kudłów na łapie —: a wnet gotów bywałeś ukochać to, i ku sobie wabić.

Miłość jest niebezpieczeństwem samotnika, miłość ku wszystkiemu, co tylko żyje! Śmiechu warto, zaprawdę, me szaleństwo i me umiarkowanie w miłości! —

Tako rzekł Zaratustra i zaśmiał się po raz wtóry: lecz oto wspomniał opuszczonych przyjaciół — i zdało mu się, że swemi myślami im się sprzeniewierzył, zapłonął przeto gniewem przeciw własnym myślom. I stało się niebawem, że śmiejący się płakał: — z gniewu i tęsknoty płakał gorzko Zaratustra.



O WIDMIE I ZAGADCE.

Gdy pośród żeglarzy gruchnęła wieść, że Zaratustra bawi na okręcie, — wraz z nim wsiadł był na okręt jeden człowiek z wysp szczęśliwości, — powstała wonczas ciekawość wielka i oczekiwanie. Lecz Zaratustra milczał dwa dni, był tak zimny i głuchy w zasmuceniu swem, że na spojrzenia i pytania nie odpowiadał zgoła. Pod wieczór wszakże dnia drugiego, aczkolwiek milczał wciąż jeszcze, rozwarł przecie uszy swoje: gdyż wiele rzeczy dziwnych a niebezpiecznych usłyszeć można było na tym okręcie, co, z dalekich stron wracając, w dalekie udawał się kraje. Zaratustra zaś miłował tych wszystkich, co dalekie podróże czynią i bez niebezpieczeństwa żyć nie potrafią. I tak oto w słuchaniu rozwiązał się wreszcie i jego język, a lody wokół serca stopniały: — wonczas w te przemówił słowa:

Wam, odważni poszukiwacze, usiłowacze, wam wszystkim, którzy, podstępnym powierzając się żaglom, na groźne wypływacie morza, —

— wam upojeni zagadką, radośni zmrokiem, wam, których duszę w każdą błędną czeluść fletnie wabią:

— bo tchórzliwą dłonią dzierżyć się nici przewodnich wy wszak nie pragniecie; a gdzie odgadnąć zdołacie, tam nienawidzicie dochodzenia —

— wam to wyłącznie opowiem zagadkę, którą ujrzałem, — widmo najsamotniejszego. —

Ponury szedłem oto poprzez trupio siny zmierzch, ponury i twardy na duchu, z zaciśniętemi wargi. Niejedno bo słońce zaszło było już dla mnie.

Ścieżka, co hardo po zwirze się wspina, ścieżka złośliwa, samotna, której już ani chwast, ani krzew nie dogadza: perć górska zgrzytała pod hardem stąpaniem nogi mojej.

Kroczyłem niemy pośród szyderczego zgrzytu krzemieni, depcząc nogą kamienie, które w ruch wprawiałem: tak oto zmagały się me nogi ku górze.

Wzwyż: — temu duchowi na przekorę, co je wstecz, w przepaść ciągnął, duchowi ciężkości, szatanowi memu i wrogowi najzaciętszemu.

Wzwyż: — aczkolwiek na mnie on siedział, na poły karzeł, na poły kret, bezwładny, obezwładniający; ołów w uszy mi sączący, kroplisto ołowiane myśli w mózg mój.

»O, Zaratustro, syczał szyderczo zgłoska w zgłoskę, ty kamieniu mądrości! Wysokoś ty się wyrzucił, lecz każdy wyrzucony kamień musi — opadnąć!

O, Zaratustro, kamieniu mądrości, ty kamieniu z kuszy, gwiazdy druzgoczący kamieniu! Samegoś siebie wyrzucił tak wysoko, — lecz każdy wyrzucony kamień — opadnąć musi!

Skazany na samego siebie i na samoukamieno-

wanie: o, Zaratustro, wysokoś kamień ty wyrzucił, — lecz na c i e b i e kamień ten opadnie!«

Poczem zamilkł karzeł i przycichł na długo. Milczenie jego dławiło mnie wszakże; będąc tak oto we dwuch, jest się zaprawdę samotniejszym, niźli sam ze sobą!

Wspinałem się, wspinałem wciąż, marzyłem, rozmyślałem, — lecz wszystko przygniatało mnie. Byłem, jak człowiek chory, którego bolesne katusze męczą, a zły sen raz po raz z zasypiania budzi. —

Jest we mnie jednak coś, co się odwagą zowie: zabijała ona zawsze wszelkie pognębienie. Odwaga ta nakazywała mi wreszcie stanąć i zapytać: »Karle! Ty! Albo ja!«

Odwaga jest najlepszym zabójcą, — odwaga, która n a c i e r a: gdyż w każdem natarciu dźwięczy surma.

Człowiek jest najdzielniejszym zwierzęciem: tem przemaga każde zwierzę. Dźwiękiem surmy przemagał nawet ból każdy; a ból człowieczy jest bólem najgłębszym.

Odwaga zabija również i zawrót nad przepaścią; a gdzież nie staje człowiek nad brzegami przepaści! Nie jestże widzenie — widzeniem przepaści?

Odwaga jest najlepszym zabójcą: odwaga zabija nawet litość. Zasię litość jest najgłębszą przepaścią: im głębiej człowiek wejrzy w życie, tem głębiej wgląda w cierpienie.

Odwaga jest najlepszym zabójcą: odwaga, co naciera: ona zabija nawet śmierć, gdyż mawia: «Było ż t o życie? Dalejże! Jeszcze raz!«

A w takiem rzeknięciu jest wiele z dźwięcznej surmy. Niech słucha, kto ma uszy!

2.

«Stój! karle! rzekłem. Ja! Albo ty! Jam silniejszy z nas dwuch —: ty nie znasz mej myśli przepaścistej! J e j b y ś udźwignąć nie zdołał!« —

Wówczas stało się coś, co mnie lżejszym uczyniło: zeskoczył mi z ramion karzeł ciekawy! I przykucnął na kamieniu tuż przede mną. Gościniec wiódł właśnie pod bramę w tem miejscu, gdzieśmy się zatrzymali.

«Spojrzyj, karle, na ten gościniec pod bramą; — mówię do niego: dwa oblicza ma on w tem miejscu. Dwie drogi zbiegają się tutaj: nikt jeszcze dróg tych do końca nie zeszedł.

Ta długa droga wstecz: po wieczność ciągnie się ona. Owa zaś droga przed się — to druga jest wieczność.

Przeczą sobie te drogi; zderzają się one ze sobą głowami: — i tu oto przy tej bramie zbiegają się ze sobą. Imię podbramia stoi oto wypisane: »Chwila«.

Lecz gdyby ktoś jedną z tych dróg poszedł dalej, jeszcze dalej i wciąż jeszcze dalej: sądzisz, karle, że te drogi wiecznie sobie przeczą?« —

»Wszystko proste kłamie — odparł karzeł wzgardliwie. Wszelka prawda jest krzywa, czas nawet jest kołem«.

»Ty duchu ciężkości! odparłem gniewnie, nie ułatwiajże sobie zbytnio! Albo cię tu pozostawię, gdzie utkwiłeś, kuternogo! — a zaniosłem cię wszak w y s o k o!

Spojrzyj — mówię dalej — na tę chwilę! Od

tego podbramia chwili bieży długa wieczna droga wstecz: poza nami leży wieczność.

Nie przebiegłoż wszystko, co z rzeczy wielkich biedz tylko zdoła, już raz tej drogi? Nie musiałoż wszystko, co pośród rzeczy wszelkich stać się może, już raz się stawać, dokonywać, przebiegać?

A skoro wszystko już było: co sądzisz, karle, o tej oto chwili? Czyż to podbramie — nie było już raz niegdyś?

I czy rzeczy wszelkie nie są tym ładem ze sobą zwikłane, że ta oto chwila wszystkie przyszłe rzeczy za sobą wlecze? A więc — — i samą siebie nadomiar?

Gdyż co z rzeczy wszelkich biedz może: i tę długą drogę, przed się wiodącą, raz jeszcze przebiedz musi! —

I ten pająk powolny, co w świetle księżycowem pełza, i ta poświata księżycowa, i ja, i ty na gościńcu pod bramą zaszeptani obaj, o rzeczach wiecznych zaszeptani, — czyż my wszyscy nie musieliśmy już niegdyś tu oto być?

— i czyż nie musieliśmy powrócić, — tą oto drogą wciąż na nowo biedz, aby tamtą długą, okrutną drogą — wiecznie na nowo powracać? —«

Takom mówił, a coraz to ciszej: gdyż trwożyły mnie myśli me jawne i ukryte. I oto, nagle, usłyszałem psa wyjącego.

Czyżbym ja już słyszał psa tak wyjącego? Myśl ma wstecz pobiegła. Tak jest! Ongi, gdyż dziecięciem byłem, w najodleglejszem dzieciństwie:

— wówczas słyszałem psa tak oto wyjącego. I widziałem go wówczas o zjeżonej sierści, z głową do góry zadartą, drżącego na całem ciele, w tę

najcichszą widziałem go noc, kiedy i psy, zda się, w upiory wierzą:

— aż mnie litość zdjęła. Właśnie księżyc o tę porę w pełni wschodził, w milczeniu grobowem stanął ponad domem krągłą żagwią, — stanął cicho na płaskim dachu, jako na cudzej własności: —

przeto przeraził się wonczas pies: gdyż psy wierzą w złodziei i upiory. A gdym go po raz drugi tako wyjącego słyszał, zdjęła mnie litość ponownie.

Lecz gdzie się karzeł podział teraz? Gdzie podbramie? I pająk? I szeptanie nasze? Śniłbymże ja? Czyżbym się przebudził? Oto pośród dzikich zwałów skalnych staję nagle samotny w głuszy okolnej, w najgłuchszej poświacie księżyca.

Lecz tam oto leży człowiek! Zaś tu! Pies najeżony skacze do pana, — a skoro mnie tylko ujrzał — zawył ponownie, zakrzyczał: — czyżbym już słyszał niegdyś psa tak o pomoc wołającego?

I, zaprawdę, com ujrzał, tegom nigdy jeszcze nie widział. Ujrzałem młodego pastucha, miotającego się po ziemi, dławiącego się w kurczowych podnietach, o twarzy potwornie wykrzywionej: długi czarny wąż zwisał mu z gęby.

Czyżem widział kiedykolwiek tyle wsrętu i bladego przerażenia w cudzej twarzy? On spał zapewne? I wąż wpełzł mu w gardziel — i wgryzł się w nią mocno.

Dłoń moja targała węża, targała co sił: — daremnie! wydrzeć węża z gardzieli nie zdołała. Wówczas krzyknęło coś ze mnie »Ukąś! Gryź!«

»Głowa precz! Gryź!« — tak oto krzyczały ze mnie przerażenie, nienawiść, wstręt i litość społem: wszystko

me zło i dobro krzynęło ze mnie tym jednym okrzykiem. —

Do mnie, odważni! Wy poszukiwacze, usiłowacze, wy wszyscy, co, podstępnym powierzając się żaglom, na niezbadane wypływacie morza! Wy zagadką weselni!

Zgadnijcież mi oto zagadkę, na którą wonczas patrzałem, wytłumaczcież mi to widmo największego samotnika!

Gdyż widmem to było i przyszłości widzeniem, — com wonczas w przenośni widział? I kim jest ten, co kiedyś przyjść jeszcze musi?

Kim jest ów pastuch, któremu wąż w gardziel wpełzł? Kim jest ten człowiek, któremu tak oto wszystko, co najcięższe, najczarniejsze, w gardziel wpełznie?

— Pastuch wszakże ugryzł, jak mu to krzyk mój radził; przygryzł dobrym kęsem! Daleko od siebie wypluł głowę węża —: i skoczył na nogi. —

Nie pasterz to, nie człowiek już, — przeistoczony, olśniony, co śmiał się wraz! Przenigdy nie śmiał się na świecie człowiek, jako ten się śmiał!

O, bracia moi, śmiech jam słyszał, co człowieczym nie był śmiechem, — — i oto pragnienie mnie pali, tęsknota, co się nigdy nie ukoi.

Tęsknota za owym śmiechem trawi mnie: och, jakże ja zdołam żyć jeszcze! I jakżebym zdołał teraz umrzeć! —

Tako rzecze Zaratustra.

O SZCZĘŚLIWOŚCI WBREW WOLI.

Z takiemi zagadkami i goryczami na dnie serca przeprawiał się Zaratustra przez morze. Gdy jednak cztery już tylko doby oddzielały go od wyspy szczęśliwości i od przyjaciół, wówczas pokonał wszystek ból swój —: zwycięską i pewną nogą stanął znowuż na swej doli. I wówczas przemówił Zaratustra temi słowy do swego weselnego sumienia.

Sam jestem znowuż i sam chcę pozostać, sam z niebem czystem i morzem wolnem; i znowuż popołudniowa stoi wokół pora.

W popołudniową godzinę spotkałem po raz pierwszy swych przyjaciół, o tejże porze po raz wtóry: — w godzinę, kiedy się wszelkie światło ucisza.

Gdyż wszystko, co ze szczęścia jest jeszcze w drodze między niebem i ziemią, szuka sobie przytułku w świetlanej duszy: w szczęściu uciszyło się teraz światło wszelkie.

O popołudniu życia mego! Niegdyś zstąpiło

i moje szczęście w niziny, aby przytułku sobie poszukać: i znalazło te oto otwarte i gościnne dusze.

O popołudniu życia mego! Czegóżem ja nie oddał, com niegdyś posiadał: ten żywy posiew swych myśli i ten blask poranny swej najwyższej nadziei!

Towarzyszy szukał niegdyś twórca i dzieci swej nadziei: i oto tego się wreszcie doszukał, że ich nigdzie znaleźć nie zdoła, chyba że ich wprzódy sam potworzy.

I tak oto jestem w połowie dzieła swego: od dzieci moich idący i do nich powracający: kwoli dzieciom swym winien Zaratustra samego siebie wydoskonalać.

Gdyż z głębi duszy kocha się tylko własne dziecię i dzieło własne; a gdzie jest wielka miłość ku samemu sobie, tam jest i wróżebne znamię brzemienności: takom ja znajdował.

Zielenią mi się jeszcze dziatki moje w pierwszej wiośnie swej, w gęstej gromadzie skupione i społem jednymi miotane wichry: owe drzewa ogrodu mego i mej nadziei ogrójca.

I zaprawdę! Gdzie drzewa takowe zwarto stoją tam są wyspy szczęśliwości!

Lecz rozsadzę kiedyś drzewa swoje i każde na osobności postawię, aby się tako samotności uczyło, zuchwalstwa a baczenia.

Sękate a pokrzywione, jako drzewo górskie o podatnej twardości, niechaj nad morzem stoi, niby wieża ogniowa niepokonanego życia.

Tam, gdzie nawałnice w morze się walą, gdzie olbrzymia trąba gór wodę spija, tam oczekują każdego dzienne straże i nocne czuwania, aby samego siebie poznał i doświadczył.

Poznawanym i doświadczanym ma być każdy, zali jest z mego rodu i pochodzenia, — zali jest panem woli długiej, milczącym nawet wówczas, gdy mówi, i ustępstwa w taki sposób dającym, że w dawaniu bierze: —

— aby kiedyś moim towarzyszem się stał, współtwórcą Zaratustry i wespół z nim świętującym —: aby się stał takim, co moją mi wolę na moich wypisze tablicach: ku rzeczy wszelkich doskonalszemu dokonaniu.

W imię więc jego i jemu podobnych samego siebie udoskonalić muszę: przeto szczęścia się swego teraz oto uchylam i wszelkiej ofiaruję niedoli — kwoli swemu ostatniemu doświadczeniu i poznaniu.

I zaprawdę, czas był już po temu, abym dalej szedł: i pielgrzyma cień i najdłuższa chwila i najcichsza godzina — wszystko mówiło mi: »czas to najwyższy!«

Wionął mi wiatr poprzez szczelinę zamku i powiedział: »Chodź!« Rozwarły się drzwi podstępnie i rzekły: »Pójdź!«

A jam leżał, skowany miłością ku dzieciom swoim: pożądanie zarzuciło na mnie tę pętlę, pożądanie miłości: abym się dzieciom własnym łupem stał i dla nich zaprzepaścił.

Pożądać — znaczy mi to: już się zaprzepaścić; Ja was mam, dzieci moje! W tem posiadaniu niechaj wszystko będzie pewnością i niepożądaniem niczego.

Zapładniająco leżało na mnie słońce mej miłości, we własnych sokach prażył się Zaratustra, — i oto pomknęły ponade mną cienie i wątpliwości.

Stałem się już żądny zimy i mrozu: »O, gdybyż mróz i zima zżymać się znów i parskać mi ka-

zały!« tak oto wzdychałem: — i wnet lodowate mgły wystąpiły ze mnie.

Ma przeszłość groby swe zburzyła, ocknął się niejeden za żywa pochowany ból —: przespał on się tylko w całuny spowity.'

I tak oto nawoływało mnie wszystko wiecznymi znaki: »czas już!« Lecz ja — nie baczyłem na to: aż wreszcie przepaść ma drgnęła i ukąsiła mnie myśl moja.

O myśli przepaścista, któraś moją jest myślą! Kiedyż znajdę tę siłę, aby słysząc, jak się przekopu·esz, nie drżeć w sobie?

Aż pod gardło tłucze się we mnie serce, gdy słyszę, jak się przekopujesz! Nawet twe milczenie dusi mnie, ty, przepastnie milcząca!

Jeszczem się nigdy nie ważył wywoływać ciebie: wystarczało mi już to, żem cię — dźwigał! Nie dosyć jam jeszcze silny był na to lwie zuchwalstwo i ochoczość hardą.

Dosyć grozy było mi zawsze w twoim ciężarze: lecz znajdę ja kiedyś siły ku temu i ten głos lwa znajdę, co ciebie wywoła!

Gdy się ku temu przezwyciężę, przemogę się jeszcze ku czemuś wyższemu, a zwycięstwo niech mi będzie pieczęcią dokonania! —

Tymczasem snuję się jeszcze po niepewnych morzach; zdradliwy schlebia mi przypadek; przed się i wstecz spozieram —, wszakże końca jeszcze nie widzę.

Jeszcze nie wybiła godzina mej ostatniej walki, — lub czyżby się ona teraz oto zbliżała. Zaprawdę, podstępnem pięknem spogląda na mnie zewsząd morze i życie!

O, popołudniowa życia mego godzino! O, szczęście me przedwieczorne! O, przystani na pełnem morzu! O, spokoju wpośród niepewności! Jakże ja wam wszystkim nie dowierzam!

Zaprawdę, nie ufam ja podstępnemu pięknu waszemu! Jestem jak ów kochający, co na zbyt aksamitny uśmiech podejrzliwie baczy.

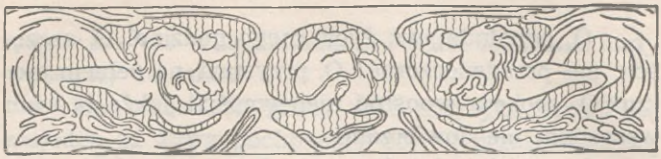
I swą kochankę od siebie odpycha, w surowości nawet jeszcze tkliwy, zazdrośnik ten, — tako i ja odpycham od siebie tę błogą godzinę.

Precz mi stąd, błoga ty godzino! Wraz z tobą nawiedza mnie szczęśliwość wbrew woli! Oto staję tu gotów do najgłębszego cierpienia: — nie w porę nawiedzasz mnie ty!

Precz mi stąd, błoga ty godzino! Zagość raczej tam — pośród dzieci mych! A śpiesz się! i błogosław je przed wieczorem i m o j e m szczęściem!

Lecz oto wieczór się zbliża: chyli się słońce. Przepadło — me szczęście! —

Tako rzecze Zaratustra. — I oczekując noc całą na swą niedolę, oczekiwał daremnie. Noc była jasna i cicha, i oto szczęście zbliżało się ku niemu: bliżej, coraz bliżej. Nad ranem zaśmiał się Zaratustra z całego serca i rzekł drwiąco: »szczęście ugania się za mną. Pochodzi to stąd, że nie uganiam się za kobietami. Szczęście wszakże jest kobietą«.



PRZED WSCHODEM SŁOŃCA.

O niebo ponade mną przeczyste! Głębokie! Świetlana ty przepaści! Ku tobie spozierającego, dreszcz boskich przejmuje mnie pożądań.

W twą wyż siebie rzucić — oto m o j a głębia! W twą czystość siebie ukryć — oto m o j a niewinność!

Boga własne przysłania piękno: tako i ty gwiazdy swe ukrywasz. Ty się mową nie głosisz: i tak oto zwiastujesz mi swą mądrość.

Nieme nad rozfalowanem wszeszłoś mi dziś morzem, twa miłość i wstyd twój rzecze objawieniem do mej rozfalowanej duszy.

A żeś piękne ku mnie wszeszło, przysłonione pięknem swem, że niemo do mnie przemawiasz, objawione w swej mądrości:

O, jakżebym ja mógł nie odgadnąć całej wstydliwości twej duszy! Przed słońcem wszeszłoś ku mnie, najsamotniejszemu.

Myśmy przyjaciele od przedpoczątku: nam troska, groza i dno rzeczy jest wspólne; i okrom tego słońce naszą jest spólnotą.

My nie przemawiamy do siebie, jako że zbyt wiele wiemy —: wzajemnem milczeniem i uśmiechy ślemy sobie wiedzę swoją.

Nie jestżeś ty światłem mego ognia? Nie maszże ty siostrzanej duszy dla mego wnikania?

Społem uczyliśmy się wszystkiego, społem nauczyliśmy się ponad siebie ku sobie wstępować i bezobłocznie uśmiechać: —

— uśmiechać bezobłocznie z świetlanych źrenic, a milowych dali, wonczas gdy na niżach przymusy, cele i winy, jako deszcze, dymią.

A gdym samotny wędrował, c z e g ó ż łaknęła ma dusza po nocach i na ścieżkach swych błędnych? A gdym na góry się wspinał, k o g ó ż, jeśli nie ciebie, szukałem ja na górach?

A wszystkie te moje wędrowania i po górach wędrówki: niedołęstwem były wszak one i wybiegiem niezaradnego: latać chciała jedynie wola ma cała, w c i e b i e oto wlecieć!

I czegóżem ja bardziej nienawidził ponad rozwłóczone chmury i wszystko, co ciebie plami? I swą nienawiść nienawidziłem ponadto, iże ona ciebie kalała!

Dla tych rozwłóczonych chmur złobym ja pełen, dla tych pełzających kotów drapieżnych: mnie i tobie kradną one nasze wspólne, olbrzymie, nieogarnięte »tak!« i »amen!«

Dla tych pośredników i mątw pełni jesteśmy złoby, dla tych chmur rozwłóczonych: dla owych połowicznych, co ani błogosławić, ani kląć nie potrafią.

Raczej pod zamkniętem niebem w beczce tkwić, raczej bez nieba na dnie przepaści trwać, niźli ciebie, świetlany niebios stropie, rozwłóczonemi chmury zbrukanym widzieć!

Po tylekroć brała mnie ochota złotym zygzakiem błyskawicy przygwoździć je do nieba, aby, jako piorun, na ich kałdunach, niby na kotłach, zabębnić: —

— tym gniewem mściwy pałkierz, że mi twe tak! i twoje amen! kradną — niebios ty stropie ponade mną przeczysty! Świetlany! Światła ty przepaści! — że mi moje tak! i moje amen! zrabować chcą.

Bo zcierpię ja raczej łoskoty, gromy i wszystkie klątwy nawałnicy, niźli ten przebiegły, wątpiący spokój kotów; a i pośród ludzi najserdeczniej nienawidzę wszystkich lekko stąpających, połowicznych i wątpiących: te ociągające się rozwłóczone chmury.

A »kto błogosławić nie umie, niechaj kląć się nauczy!« — ta jasna nauka z jasnego spadła mi nieba, ta gwiazda pośród czarnych nawet nocy świeci na moich niebiosach.

Ja zaś jestem błogosławiącym i zawołanie »tak« głoszącym, skoro ty tylko jesteś ponade mną, przeczyste! Świetlane! Światła ty przepaści! — we wszystkie otchłanie wniosę ja jeszcze me błogosławiące »tak!«

Błogosławiącym jam się stał; zawołanie »tak« głoszącym: przetom tak długo się borykał, aby mieć kiedyś wolne dłonie ku błogosławieństwu.

A tem jest błogosławieństwo moje: ponad rzeczą wszelką jako własne jej niebo stać, jako dach jego krągły, jako dzwon jego lazurowy i pewność jego wieczna: błogosławiony zasię ten, kto tak błogosławi!

Gdyż rzeczy wszelkie ochrzczone są przy krynicy wieczności i poza złem a dobrem: dobro zaś i zło międzycienie są to tylko, i wilgłe smętki i chmury rozwłóczone.

Zaprawdę, błogosławieństwo to, a nie lżenie, gdym pouczał: »ponad rzeczami wszystkiemi stoi niebo przypadku, niebo bezwiny, niebo trafu, niebo zuchwałego pokuszenia«.

»Z łaski trafu« — oto najstarsze szlachectwo świata, jam je zwrócił rzeczom wszelkim, wyzwoliłem rzeczy z pod jarzma celu.

Tę swobodę i niebios radosność postawiłem jako dzwon lazurowy ponad rzeczami wszelkiemi, gdym pouczał: »wśród wszystkiego jedno niemożebne — rozsądek!«

N i e c o rozumu wprawdzie, siemię mądrości rozproszone jest od gwiazdy do gwiazdy, — zaczyn ten domieszany jest rzeczom wszelkim: w imię szaleństwa domieszana jest mądrość rzeczom wszelkim!

Nieco mądrości jest wprawdzie możebne; lecz tę błogą pewność znalazłem pośród rzeczy wszelkich: że one bardziej jeszcze rade na nogach przypadku — z a t a ń c z y ć.

O niebios stropie ponade mną przeczysty! Wyniosły! Tem jest mi oto twa czystość, że wieczne pająki rozumu i rozumu pajęczyny nie istnieją wcale: —

— i żeś tanecznem ty boiskiem dla boskich przypadków, żeś mi boskim jest stołem dla boskich kości i graczy! —

Lecz ty rumienisz się oto? Zalimż powiadał o niewypowiadalnem? Zalimż bluźnił, chcąc ciebie błogosławić?

Lub jest to może ów wstyd we dwoje, co nam rumienić się każe? — Nakazujesz mi może odejść i zamilknąć, jako — że dzień się zbliża?

Świat głębią jest —: a głębszą, niźli myślał dzień. Nie wszystkiemu wobec dnia słowem głosić się wolno. Wszakże dzień nadchodzi: rozłączmyż się tedy!

O niebios stropie ponade mną wstydliwy! Płomienny! O, szczęście ty moje przedsłoneczne! Idzie dzień: nam się rozstać należy! —

— Tako rzecze Zaratustra.



O CNOCIE ZMNIEJSZAJĄCEJ.

I.

Gdy Zaratustra znowuż do stałego lądu przybił, nie ruszył on na schwał w góry ku jaskini swej, lecz na drogach okolnych i wśród pytań wielu czynił wywiady o tem i owem, aż wreszcie zaśmiał się z siebie w te słowa: »patrzcie mi na rzekę, która w wielu skrętach płynie wstecz, ku źródłom!« W wywiadach swych pragnął zasięgnąć języka, co w czasach nieobecności jego stało się z człowiekiem: zali większym się stał, czy też zmalał jeszcze. Razu pewnego ujrzał szereg nowych domów; zadziwił się wówczas i rzekł:

»Co oznaczają te domy? Zaprawdę, nie wielka postawiła je dusza, sobie na podobieństwo!

Zda się, ogłupiałe dziecko wyjęło je z pudełka swych zabawek? Obyż czemprędzej przyszło drugie, by je nazad do pudła schować!

Och, te pokoiki i komory: mogąż tu krzątać się mężczyźni? Wydają mi się one raczej zrobione dla

lalek jedwabnych, lub dla tych kotek łakotniś, co rade łasoniom same za łakotkę wysłużyć«.

Zaratustra zatrzymał kroku i popadł w zadumę. Wreszcie rzekł chmurnie: »Wszystko zmalało!

Wszędzie widzę niższe wrota: kto mojego jest rodu, przejdzie przez nie wprawdzie, lecz — pochylić się musi!

Och, kiedyż powrócę do swej ojczyzny, gdzie nie będę potrzebował przechylać się, pochylać — przed małością!« — Zaratustra westchnął i spojrzał wdal. —

Wszakże tegoż dnia jeszcze wygłosił mowę swą o cnocie zmniejszającej.

2.

Chadzam ja pośród tego ludu i otwartemi spoglądam oczyma: nie wybaczą mi tego nigdy, żem nie jest zazdrosny o ich cnoty.

Gryźć mnie chcą za to, że pouczam: dla małych ludzi potrzebne są małe cnoty, — oraz, że z trudem przyswajam sobie tę mądrość, iż mali ludzie są potrzebni!

Jeszczem jest, jako kogut na cudzem podwórzu, którego kury nawet dziobem bodą; wszakże nie jestem tym kwokom niechętny.

Jestem dla nich pełen ugrzecznienia, jak dla każdej małej zgryźliwości; najeżać się wobec błahostek wydaje mi się mądrością jeży.

Wszyscy oni mawiać zwykli o mnie, gdy wie-

czorem wokół ogniska zasiądą, — mówią o mnie, lecz nikt o mnie — nie myśli!

Oto nowa cisza, której zaznałem: »ich gwary wokół mnie rozpościerają płaszcz na myślach moich«.

Czynią więc gwary między sobą: »co znaczy ta ponura chmura? baczmyż, aby nam zarazy nie przyniosła!«

Zaś niedawno porwała kobieta dziecko, co się do mnie garnęło: »zabierajcie dzieci precz! wołała; takie oczy urzekają dusze dziecięce«.

Pokasłują, gdy przemawiam: mniemają, że kasłanie jest zarzutem przeciw silnym wiatrom, — nie odgadują oni wzburzenia mego szczęścia!

»Nie mamy jeszcze czasu na Zaratustrę« — przeciwiają mi się; lecz cóż należy na takim czasie, który dla Zaratustry »nie ma czasu«?

A nawet gdy mnie sławią: jakżebym ja mógł na i c h sławie spocząć? Kolczastym pasem jest mi ich chwalba: drapie mię wówczas jeszcze, gdy go precz odrzucę.

I tego jeszcze nauczyłem się pośród nich: chwalący, zda się, zwraca, w rzeczywistości chce być jeszcze bardziej obdarzonym!

Zapytajcie stopy mej, zali jej dogadzają te wabienia i chwalb sposoby! Zaprawdę, w taki takt i w rytmy takie ani tańczyć nie zechce, ani w miejscu stać nie zapragnie.

Ku małej cnocie chcieliby mnie przywabić i przychwalić; do taktu małego szczęścia radziby stopę mą podmówić.

Chadzam pośród tego ludu i otwartemi oczyma spoglądam: z m a l e l i mi oni i maleją coraz bardziej:— s p r a w i a t o i c h n a u k a o s z c z ę ś c i u i c n o c i e.

Albowiem i w cnocie nawet skromni są, — gdyż dążą do błogiego zadowolenia. Z błogością wszakże godzi się wyłącznie skromna cnota.

Uczą się wprawdzie i oni kroczyć na swój sposób, kroczyć naprzód: chromaniem zwę to w nich. Tem stają się też przeszkodą dla każdego, komu pilno.

A niejeden z nich przed się patrzy, a prężąc szyję wstecz się obziera. Takiego w mym biegu rad z nóg powalam.

Noga i oczy kłamać nie powinny, ani sobie kłamu zadawać. Wiele jest wszakże kłamliwości pośród małych ludzi.

Niektórzy pośród nich mają chęci, większość wszakże ulega chęciom. Niektórzy z nich są prawdziwi, większość jest złymi aktorami.

Bywają między nimi aktorzy wbrew wiedzy i aktorzy wbrew woli —, prawdziwi są zawsze rzadkością, osobliwie prawdziwi aktorzy.

Męskości w tem wszystkiem nie wiele i dlatego też zmężniają swe kobiety. Lecz ten tylko, kogo na twardą męskość stać, zdoła w kobiecie kobietę — wyzwolić.

Zaś ta obłuda zda mi się u nich najgorszą: że nawet i ci, którzy rozkazują, naśladują cnoty tych, co służą.

»Służę, służysz, służymy« — tak modli się ta obłuda panujących, — a biada, gdy pierwszy pan jest tylko pierwszym sługą!

I śladem ich obłudy wybiegało również oko mej ciekawości; i dobrzem ja odgadł całe to ich szczęście musze, oraz to ich bzykanie po słonecznych szybach.

Ile dobroci, tyle słabości widzę. Ile sprawiedliwości i współczucia, tyle słabości.

Gładcy, poczciwi i dobroduszni bywają między sobą; jako ziarnka piasku, gładko, poczciwie i dobrodusznie przylegają do ziarn piasku.

Skromnie małe szczęście przygarnąć — to się u nich nazywa »poddaniem się!« a przytem już zerkają skromnie w stronę nowego małego szczęścia.

Z głębi serca pragną najpoczciwiej jednego tylko: aby im nikt dolegliwości nie przyczyniał. Uprzedzają tedy każdego, czyniąc mu miło.

Jest to wszakże t c h ó r z o s t w e m: aczkolwiek zwie się »cnotą«. —

A gdy nagle szorstko przemówią owi ludzie mali, ja słyszę wówczas tylko ich chrypkę, — każde wiatru tchnienie przyprawia ich o chrypkę.

Roztropni oni są, ich cnoty mają mądre palce. Lecz brak im pięści, ich palce nie potrafią pod pięściami się przyczajać.

Cnotą jest dla nich to, co skromnym i obłaskawionym czyni: i tak oto robią z wilka psa, a z człowieka najlepsze zwierzę domowe.

»My w złotym usadawiamy się ś r o d k u — tyle mi mówią ich umizgi — równie daleko od umierających zapaśników, jak i od zadowolonych świni«.

Jest to wszakże m i e r n o ś c i ą: aczkolwiek zwie się umiarkowaniem.

3.

Chadzam ja pośród ludu tego i niejedno słowo po drodze rzucam: lecz oni brać nie potrafią, ani zachować nie umieją.

Dziwią się, żem nie przyszedł chuci i występków gromić; i zaprawdę, nie natom ja przyszedł, abym przed złodziejami kieszonkowymi ostrzegał!

Dziwią się, żem nie jest pohopny do wysubtelniania i zaostrzania mędrkowań ich rozsądku: jak gdyby nie dość mieli tych mędrków, których głos jest dla mnie, jak zgrzyt szyfra po tablicy!

A gdy wołam: »Przekleństwo wszystkim tym tchórzliwym dyabłom w was, co skwierczą, ręce składają i bogomolstwa czynić gotowi:« wonczas krzyczą: »Zaratustra jest bezbożnikiem«.

Osobliwie mistrze poddania się —; lecz im to właśnie najchętniej w uszy krzyczę: Tak! Jam jest Zaratustra, bezbożnik!

Ci mistrze poddania się! Gdziekolwiek jest tylko mizernie, chorowicie i parszywie, tam pełzają, jak wszy; i wstręt jedynie powstrzymuje mnie od ich rozgniatania.

Oto jest moje kazanie dla ich uszu: jam jest Zaratustra, ów bezbożnik, który powiada: »któż jest bardziej bezbożnym ode mnie, abym się od niego pouczał?«

Jam jest Zaratustra bezbożnik: gdzież znajdę równych sobie? Zaś równymi są mi ci wszyscy, którzy nadadzą sobie własną wolę i wyzbędą się wszelkiego poddania.

Jam jest Zaratustra, bezbożnik: przypadkowe nawet zdarzenia przegotowuję we własnym garnku. I wówczas dopiero, kiedy mi się ugotowały, rad je pożywam, jako swój pokarm.

I zaprawdę, niejeden przypadek zbliżał się do mnie władczo: lecz bardziej jeszcze władcza przema-

wiała doń ma wola,—i oto leżał wnet błagalnie na klęczkach —

— błagając, zali przytułku i serca u mnie nie znajdzie, i przymawiając się pochlebczo: »spojrzyjże, Zaratustro, jak druch do drucha przychodzi!« —

Lecz pocóż ja to głoszę, skoro nikt moich uszu tu nie ma! Będę więc wołał na wszystkie wiatry:

Malejecie mi coraz bardziej, wy ludzie mali! Odkruszacie się, wy zadowoleni! Zniszczejecie wy mi jeszcze zgoła —

— od tych wielu małych cnót swoich, od wielu swoich małych zaniechań, od wielu małych poddań się!

Nazbyt oszczędzające, nazbyt ulegające: takiem jest królestwo wasze! Lecz, aby drzewo na wielkie wyrosło, winno wokół twardych skał twarde zarzucić korzenie!

I to nawet, czego nie chcecie, snowa tkaninę wszelkiej przyszłości człowieczej; nawet wasze nic jest pajęczyną i pająkiem, co z krwi przyszłości żywie.

A gdy bierzecie, jest to jako kradzież, wy mali cnotliwcy; lecz nawet pośród łotrów powiada honor: »nie należy kraść tam, gdzie zrabować można«.

»Jakoś to będzie« — taka jest nauka waszego poddania się. Lecz powiadam ja wam, wygodni poczciwcy: coś ubędzie i pocznie z was coraz bardziej ubywać!

Och, bodajżeście się wyzbyli wszelkiego półchcenia i stali się wolą stanowczą, zarówno do bezczynu, jak i do dzieła!

Och, bodajeście to słowo me pojęli: »czyńcież

mi, co zechcecie, — lecz bądźcież mi wprzódy takimi, co chcieć mogą!«

»Kochajcież swych bliźnich, jako samych siebie,— lecz bądźcież mi wprzódy takimi, którzy samych siebie kochają —

— wielką miłością i wielką wzgardą miłujący!« Tak mówi Zaratustra, bezbożnik.

Lecz pocóż ja to głoszę, skoro nikt moich uszu tu nie posiada! Jeszczem ja tu o godzinę za wczesny.

Własnym ja tu poprzednikiem pośród tego ludu, własnym kura pieniem po ciemnych zaułkach.

Lecz ich godzina wybije! Nadejdzie wonczas i moja! Z godziny na godzinę stawać się będą mniejsi, ubożsi, bezpłodniejsi, — biedne zielsko, biedna kraina!

I niebawem będą mi, jak sucha trawa i step, i zaprawdę! sobą umęczeni i bardziej niźli wody, ognia żądni!

O, błogosławiona godzino błyskawicy! O, tajemnico przedpołudniowej pory! — Biegnące ognie uczynię z nich kiedyś i zwiastunów o płomiennych językach: —

— aby zwiastowały kiedyś płomiennymi języki: Oto idzie, zbliża się, wielkie idzie południe!

Tako rzecze Zaratustra.

NA GÓRZE OLIWNEJ.

Zima, gość dokuczliwy, przebywa w domu moim, posiniały dłonie me od jej przyjacielskiego uścisku.

Godność ja mu świadczę, gościowi memu złemu, lecz rad pozostawiam go samego. Rad precz go odbiegam; a kto szybko biega, ten umknąć mu się zdoła!

Na ciepłych nogach i z gorącemi myślami biegnę tam, gdzie wiatr się ucisza, do słonecznego zakątka mej góry Oliwnej.

Tam śmieję się z surowego gościa i wdzięczny mu nawet jestem, że mi muchy z domu powymiata i wiele małych zgiełków uciszy.

Cierpieć on mianowicie nie może, gdy komar śpiewać zechce, lub zgoła dwa komary; i ulicę tak mi przytem osamotni, że księżycowa poświata trwoży się w niej po nocy.

Surowy to gość, — cześć mu wszakże oddaję, bo nie modlę się ja, jako piecuchy, do kałduniastych bałwanów ogniska.

Raczej zębami nieco podzwonić, niźli bałwanom się kłaniać! — mój to obyczaj. A osobliwie złobym jest pełen dla tych gnuśno kiernożących się, pełnych swędu i zatęchlizny bałwanów ogniska.

A gdy kocham, kocham lepiej zimą, niźli latem; lepiej i serdeczniej drwię ja z wrogów swoich od czasu, gdy zima u mnie gości.

Serdecznie, zaprawdę, czynię ja to nawet o tej jeszcze porze, gdy w łoże z a p e ł z n ę —: wówczas śmieje się jeszcze i swawoli me zapełzłe szczęście; śmieje się jeszcze sen mój łżywy.

Ja — pełzaczem? Przenigdy nie pełzałem przed potężnymi, a jeślim kłamał kiedy, kłamałem z miłości. Przetom jest radosny i w zimowem nawet łożu.

Liche łoże grzeje mnie lepiej, niźli łoże bogate, gdyż jestem zazdrosny o ubóstwo swoje. Zaś zimą jest mi ono najwierniejsze.

Złośliwością dzień każdy poczynam: drwię z zimy chłodną kąpielą: mruczy przeto surowy mego domu przyjaciel.

Rad go przytem łechczę świeczką woskową: aby mi niebo wreszcie wyzwolił z popielistego zmierzchu.

Osobliwie złośliwy bywam rankiem: o wczesnej godzinie, gdy kubeł przy studni zgrzyta, a konie ciepło po szarej ulicy parskają: —

Niecierpliwie wyczekuję wonczas, póki mi jasne nie wzejdzie niebo, niebo zimy śnieżnobrode, starzec ów białogłowy, —

— niebo zimy milczące, co nieraz i słońce swe przemilcza!

Zali od niego nauczyłem się ja długiego świątłego milczenia? Lub ono ode mnie przejęło je

może? Lub czyżby każdy z nas sam je sobie wynalazł?

Wszelkich dobrych rzeczy poczynanie tysiąckrotnem bywa, — wszelkie dobre, ochocze rzeczy w skok się ujawniają, sama ochota do istnienia je woła: jakżeby one miały czynić to — raz jeden tylko!

Dobrą, ochoczą rzeczą jest i długie milczenie; jako zimowe niebo, spozierać światłem krągłookiem obliczem: —

— jak ono, słońce swe przemilczać i swą nieugiętą wolę słoneczną: zaprawdę, sztukę tę i tę zimy swawolę przejąłem ja dobrze!

Najdroższą mą złośliwością i sztuką mą jest to, że się me milczenie nauczyło, jakby się milczeniem nie zdradzać.

Słowem i kośćmi grzechocząc, zwiodłem wszystkich wyzyskiwaczy uroczystych: wszystkim tym surowym baczycielom wymknąć się winna ma wola i cel mój.

Aby mi nikt na dno me i wolę ostatnią nie zajrzał, — ku temu oto wynalazłem swe długie światłe milczenie.

Niejednegom widział z przezornych, co lice swe przysłaniał i wodę swą mącił, aby go nikt wskroś i wgłąb nie przejrzał.

Lecz do niego to właśnie zbliżali się najprzebieglejsi z nieufnych i orzechów najlepsi wyłuskiwacze: jemu to właśnie wyławiano najbardziej ukryte ryby!

Lecz ci jaśni, ci żwawi, ci przejrzyści, — oto mi są najmądrzejsi z przemilczających: których dno tak głębokie bywa, że nawet najjaśniejsza woda dna tego nie — zdradzi. —

Śnieżnobrode, milczące zimy ty niebo, krągłooka biała ty głowo ponade mną! O, ty niebiańska przenośnio duszy mojej, oraz jej swawoli!

Zalim nie powinien się ja ukrywać, jako ktoś, co złoto połknął, — aby mi duszy nie rozpłatano?

Zalim ja koszturów dźwigać nie powinien, aby długie me nogi przeoczyli, — wszyscy ci zawistnicy i litośnicy, wokół mnie będący?

Te dymiące, piecuchowe, zużyte, przekwitłe, utrapione dusze — jakżeby ich zawiść mogła znieść me szczęście!

Przeto pokazuję im tylko lody i zimę na wierzchołkach swych — zaś nie to, że góra moja jeszcze i słońca wszystkie zawoje wokół siebie zarzuca!

Słyszą wszak tylko mych zimowych zamieci poświsty: zaś nie to, że i ja ponad ciepłemi niosę się wody, jako tęskne, ciężkie i gorące wichry południa.

Litują się nad mymi wypadki i przypadki: — lecz moje słowo brzmi: »pozwólcie przypadkowi przyjść do mnie: niewinny jest on, jako dziecię!«

Jakżeby me szczęście oni znieść mogli, gdybym wypadkami, zimy niedolą, czapicami niedźwiedzi białych i śnieżnego nieba osłonami szczęścia swego nie osłaniał!

— i gdyby mnie samemu luto się nie stało od ich litowania: od litości tych zawistników i litośników!

— i gdybym sam się przed nimi nie uskarżając i zębami nie podzwaniając, nie zezwalał cierpliwie, aby mnie ich litość otulała!

Tem jest mej duszy swawola i dobra dla ludzi

wola: że swej zimy i mroźnych swych zamieci nie ukrywa; nie ukrywa ona i odmrożeń swoich.

Samotność jednych, to ucieczka chorego, samotność innych jest ucieczką przed chorym.

Niechże więc słyszą, jak oto zębami podzwaniam i wzdycham na zimowym mrozie, niech słyszą ci wszyscy, krzywo na mnie spozierający poczciwcy! Z takiem oto wzdychaniem i zębów podzwanianiem uciekam precz od ich nagrzanych izb.

Niechże mi współczują i wespół wzdychają nad temi odmrozinami memi: »przy lodzie poznania zamarznie on nam jeszcze!« — tak oto wyrzekają.

Tymczasem biegam ja na ciepłych nogach tam i siam po wzgórzu swem Oliwnem: w słonecznym zakątku swej góry Oliwnej śpiewam i szydzę z wszelkiej litości.

Tako śpiewał Zaratustra.



O MIJANIU.

Drogi okolne wiodły Zaratustrę przez ludów i miast wiele, w powolnej wędrówce zbliżał się tak oto ku górom swym i ku jaskini. Aż tu nagle ujrzał przed sobą bramę wielkiego miasta: wyskoczył z niej błazen spieniony i, rozwarłszy ramiona, zastąpił mu drogę. Był to ten sam błazen, którego lud zwał, »małpą Zaratustry«: gdyż przejął był on nieco ze zdań Zaratustry i zapożyczał się chętnie ze skarbnicy jego mądrości. Błazen zwrócił się do Zaratustry w te słowa:

»O, Zaratustro, tu jest wielkie miasto: ty nie znajdziesz tu niczego, a stracić możesz wszystko.

Czemuż to chcesz w tym mule grzązć? Pożałowanie miej dla nogi własnej! Spluń lepiej na bramę miejską i — zawróć!

To piekło jest dla myśli samotnika: tu wielkie myśli za żywa warzą i na miałkość gotują.

Tu gniją wszystkie wielkie uczucia: tu wolno tylko wyschłym na wióry czułostkowościom kołatać!

Zali nie czujesz już rzeźni i garkuchni ducha? Czyż nie dymi to miasto wyparem zarzniętego ducha?

Zali nie widzisz, jak tu dusze wiszą niby zwiotczałe, brudne łachmany? — A oni jeszcze gazety z tych łachmanów robią!

Zali nie słyszysz, jak się tu duch stał już tylko słów igraszką? Wstrętnemi słów pomyjami rzyga on tylko! A oni jeszcze gazety z tych pomyi robią!

Szczują się nawzajem, a nie wiedzą, dokąd? Gorączkują się wzajemnie, a nie wiedzą, czemu? Pobrzękują swemi brzękadły, podzwaniają swem złotem.

Bywają zimni i szukają ciepła w wodach wyskokowych; bywają rozpaleni i szukają ochłody u duchów zamarzłych; wszyscy oni są mdli i ochorzali od opinii publicznych.

Wszystkie występki i chuci są tu u siebie w domu; lecz i tu bywają cnotliwi, jest tu wiele podatnej, urzędy sprawującej, cnoty: —

Wiele cnoty podatnej o palcach piszących, o wysiadach twardych i cierpliwych, cnoty błogosławionej małemi gwiazdy na piersiach i wypchanemi bez kupra córami.

Jest tu też i wiele pobożności, a wśród bohomolstwa wiele śliny połykania i pochlebstw zgotowywania dla Boga hufów orężnych.

»Z góry« wszak pada gwiazda na pierś i ślina łaskawa; ku górze tęskni każda bezgwiazdna pierś.

Za księżycem gwiazdy, a za dworem dworskie cielęta: do wszystkiego, co z dworu, modli się plemię żebracze i podatna żebraków cnota.

»Służę, służysz, służymy« — takie oto modły zanosi każda podatna cnota ku księciu: aby zasłużona gwiazda uczepiła się wreszcie wązkiej piersi!

Księżyc obraca się wokół wszystkiego, co ziemskie: tako obraca się książę wokół rzeczy najbardziej ziemskiej —: jest nią złoto kramarzy.

Bóg hufów orężnych nie jest bogiem targów pieniężnych; książę układa, zaś kramarz — włada!

Na wszystko, co jasne, silne, dobre w tobie, o Zaratustro! spluń na miasto kramarzy i zawróć czemprędzej!

Tu przez wszystkie żyły płynie krew gnilna, ciepława, pienna: spluń na wielkie miasto, które jest wielkim ściekiem, gdzie wszystkie szumowiny spieniają się do kupy.

Spluń na miasto wgniecionych dusz, wązkich piersi, zawistnych oczu i lepkich palcy —

— na miasto natrętów, bezczelników, krzykaczy a bazgraczy i próżnością rozjątrzonych: —

— gdzie wszystko skażone, osławione, zmurszałe, owrzodzone, spiskujące, w ropień wielki zbiera: —

— spluń na wielkie miasto i zawróć!« — —

Tu przerwał Zaratustra spienionemu błaznowi i zatkał mu usta dłonią.

»Zaprzestań wreszcie! krzyknął Zaratustra, mierzi mnie i mowa twa, i osoba twoja!

Czemuś tak długo u bagna przebywał, żeś sam żabą i ropuchą się stał?

Czy w twoich oto żyłach nie płynie już ta gnilna i pienna krew bagniska, żeś się nauczył tak rechotać i złorzeczyć?

Czemuś w lasy nie poszedł? Czemu ziemi nie orzesz? Wszak pełne są morza ogrójców zielonych?

Gardzę ja twem gardzeniem; a zanim mnie ostrzegać, — przecz siebie samego nie ostrzegłeś?

Z miłości jedynie winna wzbijać się ma wzgarda i ptak mój ostrzegawczy: lecz nie z bagna! —

Zwą cię małpą moją, błaźnie ty spieniony: lecz ja zwę cię świnią mą rechczącą, — rechtaniem swem popsujesz ty mi me sławienie błazeństwa.

Lecz cóż to cię przedewszystkiem rechtać nauczyło? Że ci nie dość schlebiano: — i przetoś przy tym ścieku zasiadł, abyś miał powody do rechtania, —

— abyś miał powody do wielorakiej zemsty! Zemstą oto, błaźnie ty próżny, jest twe pienienie się całe, — odgadłem ja cię przecie!

Lecz twe słowa błazeńskie szkodę mi czynią, nawet wówczas, gdy słuszność jest za tobą. I gdyby słowo Zaratustry po stokroć prawem było: jedno twoje słowo zawszeby tylko — nieprawość czyniło!«

Tako rzekł Zaratustra; spojrzał na miasto wielkie i zamilkł na długo. Wreszcie w te odezwał się słowa:

Obmierzłe jest mi to miasto wielkie i nietylko błazen ten. I tu, i tam nic polepszyć, nic pogorszyć się nie da.

Biada temu wielkiemu miastu! — Chciałbym już widzieć ten słup ognisty, w którym ono spłonie!

Gdyż takie słupy ogniste poprzedzać muszą wielkie południe. Lecz to ma własnych dziejów czas i dolę swą własną. —

Lecz tę ci naukę daję, błaźnie, na pożegnanie: gdzie kochać nie można, tam należy — mijać! —

Tako rzekł Zaratustra i minął błazna, oraz miasto wielkie.



O ODSZCZEPIEŃCACH.

I.

Biada, więdło i brunatnie rozpościera się oto błonie, tak niedawno jeszcze zielone i barwiste! Ileż miodu i nadziei zebrałem ja z niego w ule swe!

Postarzała się cała ta młodzież, — lub bodaj że nie postarzała się nawet! Stała się tylko zmęczona, pospolita, wygodna: — zwą to oni »pobożnymi staliśmy się znowuż«.

Wszak niedawno jeszcze patrzałem na to, jak na skore nogi o wczesnym zrywali się zaranku: lecz pomęczyły się ich nogi, a teraz oto wypierają się nawet męstwa swego jutrzennego!

Zaprawdę, niejeden z nich podnosił niegdyś swe nogi jako tancerz, wabił go śmiech w mej mądrości: — lecz oto namyślił się inaczej. Widziałem go właśnie, jak w pałąk zgięty — do krzyża się czołgał.

Wokół światła trzepotali się niegdyś, jak ćmy i młodzi poeci. Nieco starsi, nieco chłodniejsi: a już oto zacofańcy, nury i piecuchy.

Struchlało im może serce na widok, jak mnie oto samotność, niby wieloryb, połknęła? Lub może uszy ich oczekiwały długo tęsknie, a daremnie na mojej trąbki głos i heroldowe wołania?

— Och! niewielu zawsze takich bywało, których serce zdolne jest do długiej odwagi i otuchy: takich ludzi duch cierpliwym bywa. Pozostali to tchórze.

Pozostali: to są zawsze ci najliczniejsi, ci codzienni, zbyteczni, ci, których jest o wiele za wiele, — oni wszyscy tchórzami są! —

Kto mojego jest zachowania, temu tylko moje wydarzenia przytrafiać się mogą: tak, że za pierwszych towarzyszy mieć będzie trupa i poliszynela.

Wtórymi towarzyszami zaś będą mu jego wyznawcy: żywotny to rój, wiele tam miłości, wiele szaleństwa, wiele gołowąsego uwielbienia.

Do tych wyznawców sercem lgnąć nie powinien, kto między ludźmi mojego jest zachowania; w te wiosny i łany barwiste wierzyć nie powinien, kto płochość i tchórzliwość ludzkiej zna natury!

Gdyby inaczej mogli, inaczejby też chcieli. Połowiczni psują wszystko całe. A że liście więdną, — czegóż tu biadać!

Zaniechaj więc ich, o Zaratustro, i nie biadaj już! Raczej zadmij gwałtowniejszymi wichry między nich, —

— zadmij między te liście, o Zaratustro, aby wszystko powiędłe jeszcze prędzej ciebie odbiegło! —

2.

»Pobożni staliśmy się znowu« — wyznają dziś ci odszczepieńcy; zaś niejeden z nich jest nawet zbyt tchórzliwy, aby to wyznał.

Takim w oczy zaglądam, — takim powiadam w oczy i w sromną krasę ich policzków: jesteście tacy, którzy się znowu m o d l ą!

Aliści hańbą jest modlenie się! Acz nie dla wszystkich, wszelako dla ciebie i dla mnie, oraz dla tych, którzy swe sumienie w głowie mają. Dla c i e b i e hańbą jest modlenie się!

Wiesz wszak o tem: tchórzliwy to dyabeł w tobie rad ręce składa, rad ręce zakłada i wygodniej sobie czyni: — dyabeł ten tchórzliwy szepcze ci: »i s t n i e j e Bóg!«

Lecz t e m o t o zaliczyłeś się do onego plemienia, pierzchającego przed światłem, które wobec światła nigdy spokoju nie zaznaje; i oto musisz nurzać głowę coraz głębiej w noc i ośmę!

I zaprawdę, dobrą obrałeś sobie porę: gdyż właśnie nocne wylatują znów ptaki. Nastała godzina wszelkiemu stworzeniu, które płoszy się przed światłem, wieczorna godzina odpoczynku, kiedy ono nie — »spoczywa«.

Słyszę ja to i czuję: nastała godzina łowów i krążenia; — nie dzikich wszakże to łowy, lecz swojskie, niemrawe cuchanie ostrożnych i cichych świętoszków, —

— nastała godzina łowów na uczuciowych utrapieńców: wszystkie pułapki na serca nastawiono znowuż! A gdziekolwiek zasłony uchylę, zewsząd ćma nocna wypada.

Ukrywała się tam snadź wraz z inną ćmą? Gdyż wszędzie węszę małe ukryte gminy; a gdzie tylko komórki są, tam bywają też i bractwa oraz tuman bogomolców.

W długie wieczory zasiadają oni społem i mawiają: »bądźmy znowuż jako dzieci i wołajmy: »Panie Boże!« — rozkapryszone mają oni wargi i popsute żołądki przez pobożnych lukierników.

Lub też przypatrują się długimi wieczory, jak chytry przyczajony pająk krzyżak pająków rozumu uczy i każe: »pod krzyżami dobrze snuć pajęczyny!«

Lub też całymi dniami z wędką nad bagnami siedzą, mając się za g ł ę b o k i c h; lecz kto tam wędkę zarzuca, gdzie ryb niema, ten nawet powierzchownym dla mnie nie jest!

Lub też uczą się pobożnie i ochoczo o harfę brząkać u poety pieśniarza, któryby młodym samiczkom rad w serce się wharfił: — gdyż znużyły go stare samiczki, oraz ich chwalby.

Lub też uczą się trwożnych dreszczy u napoły obłąkanego mędrka, oczekującego w ciemnych pokojach, aż go duchy nawiedzą — a duch zgoła go opuści!

Lub też przysłuchują się staremu bzdurnemu mruczydłu, które od ponurych wichrów posępku tonów się nauczyło; a teraz oto wichrom tym we wtór w swe dudy dmie i w ponurych tonach posępek wieści.

Niejedni z nich stali się nawet nocnymi stróżami: potrafią w rogi dąć, po nocy się błąkać i budzić stare rzeczy, co już dawno zasnęły.

Pięć słów o starych rzeczach zdarzyło mi się słyszeć wczoraj nocą pod murem ogrodowym: po-

chodziły one z ust tych oto starych, posępnych, zasuszonych stróży nocnych.

»Jak na ojca, troska się on zbyt mało o swe dzieci: ojcowie pośród ludzi czynią to lepiej!« —

»Za stary już on! Nie troszczy się już wcale o swe dzieci« — odparł drugi stróż.

»Ma on aby dzieci? nikt tego nie dowiedzie, jeśli on sam tego nie uczyni! Pragnąłem zdawna, aby dowiódł on tego niezbicie«.

»Dowieść? Jak gdyby on czegokolwiek dowodził kiedy! Dowodzenie z trudem mu przychodzi; wielce on sobie ceni, aby mu wierzono«.

»Oj tak! tak! Wiara go uszczęśliwia, wiara w niego. Rzecz zwykła u starych ludzi! I nasza to dola!« —

— Tak oto mówili dwaj starzy nocni stróże i płoszydła światła, poczem smętnie w rogi swe zadęli; działo się to wczoraj nocą pod murem ogrodowym.

Mnie wszakże skręcało się serce ze śmiechu i pęknąć chciało, nie wiedziało kędy? i wreszcie w przeponę zapadło.

Zaprawdę, śmiercią to moją kiedyś będzie, że się śmiechem udławię, patrząc na pijanych osłów, lub słuchając, jak oto stróże nocy o Bogu swoim wątpią.

Czy nie minął już dawno czas i na takie wątpliwości. Komuż bo wolno budzić dziś jeszcze te stare śpiące rzeczy, trwożące się światła.

Starym bogom już dawno na koniec przyszło: — i zaprawdę, na dobry weselny koniec bogów!

Nie »zmierzchli« oni na śmierć, — kłamliwe to powieści! Raczej razu pewnego na śmierć się oni — zaśmiali!

Stało się to wonczas, gdy najbardziej bezbożne słowo z ust Boga padło, — słowo: »Jam jest Bóg, nie będziesz miał innych bogów obok mnie!« —

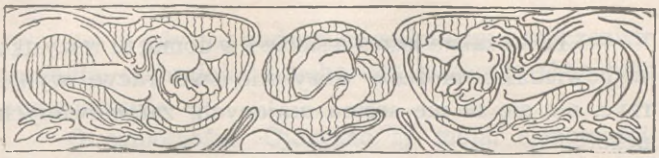
— stary ponury Bóg, Bóg zawistny, zapomniał się tak dalece: —

A wszyscy bogowie śmiali się wonczas, chwiali się na swych stolcach, wołając: »Nie jestże to właśnie boskością, że są bogowie, a niema Boga?«

Kto uszy ma, niech słucha! —

Tak mówił do siebie Zaratustra w mieście, które ukochał, a które mianowanem jest »pstra krowa«. Stąd pozostawało mu już tylko dwa dni drogi do jaskini i do zwierząt nań oczekujących; dusza jego weseliła się nieustannie rychłym powrotem. —





POWRÓT.

O samotności! O j c z y z n o ty moja, samotności! Za długom ja przebywał na głuchej obczyźnie, abym bez łez do ciebie miał powracać!

Pogróżże mi palcem, jako matki grożą, uśmiechnij mi się, jako matki uśmiechać się zwykły, i rzeknij: »Któż to był, co niegdyś jak wichura stąd się wyrwał? —

— »co, rozstając się, wołał: za długo siadywałem przy boku samotności, otom milczeć się oduczył! Teraz nauczyłeś się chyba — t e g o?

»O Zaratustro, wiem ci ja wszystko: wiem, że pośród wielu bardziej byłeś o p u s z c z o n y, niźli u mnie!

»Rzeczą inną jest opuszczenie, inną zaś samotność: t o — pojąłeś wszak teraz! Oraz i to, że pomiędzy ludźmi coraz to bardziej głucho i obco czuć się będziesz:

— »głucho i obco i tam nawet jeszcze, gdzie cię kochają, gdyż przedewszystkiem chcą oni, aby ich o s z c z ę d z a n o!

»Tu wszakże jesteś u siebie i w domu; tu wszystko wypowiedzieć możesz, wszystkie swe racye wynurzyć, nic się tu nie sroma utajonych, zatamowanych uczuć.

»Tu rzeczy wszelkie garną się pieściwie ku tobie i przymilają ci się: gdyż pragną one na twoich barkach pocwałować. Na każdej przenośni cwałujesz ku jakiejś prawdzie.

»Prostomównie i otwarcie wolno ci tu do rzeczy wszelkich przemawiać: i zaprawdę, brzmi to ich uszom jak pochwała, gdy ktoś z rzeczami wszelkiemi — gada prosto!

»Inną wszakże rzeczą jest opuszczenie. Wszak pomnisz jeszcze, Zaratustro? Wonczas, gdy ptak ponad twą głową pokrzykiwał, gdy w lesie stałeś, niezdecydowany, dokąd? nieświadom, kędy? z trupem zbratany: —

»— i gdy rzekłeś: niechże mnie zwierzęta me powiodą! Niebezpieczniej było mi pośród ludzi, niźli pośród zwierząt: — O t o było opuszczenie!

»Wszak pomnisz jeszcze, Zaratustro? Gdyś na wyspie swej siedział między próżnymi kubły, wina studnia, dając i rozdawając pomiędzy spragnionymi, darując i rozdarowując:

»— aż póki nie znalazłeś się sam spragniony pośród pijanych, by po nocy zawodzić: »zali branie nie jest bardziej błogie, niźli dawanie? Zali kradzenie nie czyni bardziej szczęśliwym, niźli branie?« — O t o było opuszczenie!

»Wszak pomnisz jeszcze, Zaratustro? Gdy twa najcichsza godzina nadeszła i od samego siebie cię poniosła, złym szeptem mówiąc: »Rzeknij i złam się!« —

»— i gdy się nad twem czekaniem i milczeniem rozżaliła, rozbrajając otuchę twą pokorną: O t o było opuszczenie!« —

O samotności! Ojczyzno ty moja, samotności! Jak błogo i pieściwie przemawia do mnie twój głos!

Nie zwykliśmy rozpytywać się wzajemnie, ani użalać się przed sobą, między nami drzwi wszystkie otworem wszak stoją.

Gdyż widne i jawne jest u ciebie wszystko; i godziny nawet na lżejszych biegają tu stopach. Albowiem po ciemku ciężej czas się znosi, niźli w świetle.

Tu wszelkiego bytu słowa i słów skrzynie rozwierają się przede mną: wszelkie stawanie się uczyć się chce u mnie, jakby się głosiło.

Tam na dole jednak — tam mowa jest daremna! Tam zapominanie i mijanie jest najlepszą mądrością: i t e g o — nauczyłem się przecie!

Ktoby w człowieku wszystko zrozumieć zechciał, wszystkiegoby dotykać się musiał. Lecz na to mam ja zbyt schludne dłonie.

Oddechu ich nawet wdychać ja już nie mogę; och, że też tak długo żyć zdołałem w tym ich gwarze i w złych oddechach!

O, ciszo wokół mnie błoga! O, czyste wokół mnie wonie! O, jakże ta cisza z głębokiej piersi czysty oddech czerpie! O, jakże ona nadsłuchuje, cisza ta błoga!

Lecz tam na dole — tam wszystko gada, tam puszcza się wszystko mimo uszu. Choćby kto swą mądrość dzwonami wydzwaniał: kramarz na rynku zagłuszy ją brzękiem miedziaków!

Wszystko u nich gada, nikt rozumieć już nie potrafi. Wszystko w wodę spływa, nic w głębokie nie wpada studnie.

Wszystko u nich gada, nic im się już nie udaje i niczemu końca już nie patrzyć. Wszystko gdacze, lecz któż w gnieździe siedzieć chce i jaja wylęgać?

Wszystko u nich gada, wszystko bywa zagadywane. I co wczoraj jeszcze było za twarde dla czasu samego i jego zęba, rozżute i rozmamlane wisi dziś na pyskach współczesnych.

Wszystko u nich gada, wszystkiemu zdrada się gotuje. I co wczoraj jeszcze było tajemnicą i skrytością dusz głębokich, należy dziś do trąbowców ulicznych oraz innych motyli.

O naturo ty ludzka, przedziwna! Hałasie ty pośród ulic ciemnych! Zdala poza sobą pozostawiłem cię wreszcie: — minąłem swe największe niebezpieczeństwo!

Oszczędzanie i współczucie było zawsze mem największem niebezpieczeństwem; zaś każda istota ludzka chce, aby jej oszczędzano i cierpiano z nią społem.

Z przytłumionemi prawdy, z ręką głupca i ogłupiałem sercem, zasobny w małe kłamstwa współczucia: — tak oto żyłem ja między ludźmi.

W przebraniu siedziałem pośród nich, gotów samego siebie nie poznawać, aby ich módz znieść, i rad w siebie wmawiając: »głupcze, ty nie znasz ludzi!«

Przestaje się ludzi rozumieć, gdy się między ludźmi żyje: za wiele planów przednich jest we wszyst-

kich ludziach, — cóżby miały tu do czynienia dalekowidzące, dalekodążne oczy!

A gdy mnie oni nie poznawali: oszczędzałem ich, głupiec, bardziej, niźli siebie samego: nawykły do surowości dla siebie i nieraz jeszcze na sobie się mszczący za to oszczędzanie.

Od much jadowitych zakłuty, wydrążony jak kamień od wielu kropel złośliwości, tak oto tkwiłem między nimi, mawiając jeszcze do się: »nie winno jest wszystko małe małości swej!«

Osobliwie zaś między tymi, których »dobrymi« zwą, znajdowałem muchy najjadowitsze: ci kłują z całą niewinnością, kłamią z całą niewinnością; jakżeby oni zdołali być dla mnie — sprawiedliwi!

Kto między dobrymi żyje, tego litość uczy kłamać. Litość zagęszcza powietrze wszystkim wolnym duszom. Głupota dobrych jest snadź niezgłębiona.

Samego siebie ukrywać i własne swe bogactwo, — oto, czego się nauczyłem tam na dole: gdyż każdy okazał mi się tam ubogim na duchu. I tem było kłamstwo litości mej, żem co do każdego świadom był,

— żem widział i przeczuwał, ile z ducha było dlań dosyć, a ile z ducha było już za dużo!

Sztywnych mędrców ich: zwałem mędrcami, nie sztywnymi: i tak oto nauczyłem się słowa połykać. Grabarzy ich: zwałem badaczami i zgłębiaczami, — tak oto nauczyłem się słowa zmieniać.

Grabarze chorób się dokopują. Pod starym gruzem złe czyhają woni. Nie należy poruszać bagniska. Na górach żyć należy.

Radosnemi nozdrzami rad górską wdycham swo-

bodę! Wyzwolony jest mój nos od wszelkiej woni człowieczej!

Ostrem łachotana powietrzem, niby winem piennem, k i c h a ma dusza, — kicha i woła do się radośnie: zdrowia! —

Tako rzecze Zaratustra.



O TRZECH ZŁACH.

I.

We śnie, w ostatniem śnieniu przedporannem stałem na wzgórzu, — poza rubieżą świata i w a ż y ł e m świat.

O, że też tak wcześnie jutrznia dziś weszła: zbudziła mnie, zazdrosna, płomieniem swym! Zazdrosna bywa ona zawsze o żar mych snów przedporannych.

Wymierny dla tego, kto ma czas, dobremu ważycielowi zważyć się dający, skrzydłom potężnym dosiężny, boskim orzechów wyłuskiwaczom odgadnąć się dający: takim jawił mi się świat we śnie moim: —

Sen mój, żeglarz zuchwały, na poły okręt, na poły wietrznica, jak motyl milczący, jak łowczy sokół niecierpliwy: jakże go to stać było na cierpliwość i skupienie do światów ważenia!

Zachęciła go snadź ma mądrość, ma śmiejąca się mądrość dziennej jawy, co z »nieskończonych światów« szydzi? Gdyż mawiać ona zwykła: »gdzie

jest siła, tam i liczba stanie się mistrzynią: ona ma więcej siły«.

Jakże pewnie spozierał mój sen na ten świat skończony, ani ciekawie, ani starczo pożądliwie, ani lękliwie, ani też błagalnie: —

— niby krągłe jabłko, co się dłoni mej podaje, złote jabłko dostałe o chłodnie łagodnym aksamitnym naskórku: takim jawił mi się świat: —

— niby drzewo mnie wabiące, drzewo gałęziste, wolą mocne, wygięte w oparcie i podnóże dla zdrożonego: tak oto stał świat na przedgórzu mem: —

— niby wątłemi dłońmi podawana mi skrzynia, — skrzynia otwarta dla zachwytu wstydliwych uwielbiających oczu: takim jawił mi się dziś świat: —

— nie dosyć zagadkowy, aby miłość ludzką od siebie przepłoszyć, nie dość odgadnięty, aby ludzką mądrość uśpić: — człowieczą, dobrą rzeczą zdał mi się dziś świat, o którym tyle powiadają złego!

Jakżem ja wdzięczny sennemu zwidzeniu, żem o tak wczesnej porze świat dziś ważył! Jako człowiecza dobra rzecz, nawiedził mnie dziś ten sen i serca koiciel!

I aby za jawy dziennej nauczyć się jego rzeczy najlepszej i naśladować go w niej: rzucę na wagę trzy rzeczy najgorsze i postaram się dobrze po człowieczemu je odważyć. —

Ktokolwiek błogosławić uczył, uczył i przeklinać: jakież więc są na świecie najdoskonalej klęte rzeczy? Chcę je na wagę rzucić.

Rozkosz, żądza panowania, samolubstwo: te trzy oto były dotychczas najbardziej przeklinane, osławiane i zniesławiane, — chcę je dobrze, po człowieczemu odważyć.

Dalej więc! Tu me przedgórze, tam zaś morze się roztacza: przewala się oto ku mnie kudłate i łaszące się, — wierny, stary stugłowy potwór, któregom umiłował.

Dalej więc! Wagę mą trzymać będę ponad przewalającem się morzem: i świadka obieram sobie, aby baczył na mnie, — ciebie, drzewo pustelnicze wonne i szerokopienne, ciebie, którem umiłował! —

Po jakim to moście przechodzi obecność ku kiedyś? Jakim to musem zmusza się wzniosłość ku nizkości? I co znaczy, że największej nawet wyniosłości — w górę jeszcze róść? —

Oto równo i spokojnie stoi teraz waga: trzy ciężkie pytania rzuciłem na nią, trzy ciężkie odpowiedzi dźwiga druga szala.

2.

Rozkosz: dla wszystkich włosiennicowych ciała gardzicieli ich żądło i pręgierz, jako »świat« klęta przez wszystkich zaświatowców: gdyż szydzi ona i drwi ze wszystkich błędnych i obłędnych mistrzów.

Rozkosz: dla hołoty ogień powolny, na którym się ona spala; dla wszelkiego robaczywego drzewa, wszystkich łachmanów cuchnących gotowy piec do grzania i wrzenia.

Rozkosz: dla serc wolnych niewinna i wolna, ogrójcowe szczęście ziemi, wszelkiej przyszłości nadmiar dziękczynienia, składany chwili.

Rozkosz: dla więdłych tylko słodka to trucizna,

dla lwią wolą sobą władnych wielkie to serca skrzepienie i kornie strzeżone wino win.

Rozkosz: wielka szczęścia przenośnia dla wyższego szczęścia i najwyższej nadziei. Gdyż wielu rzeczom sądzonem jest małżeństwo i coś więcej niż małżeństwo, —

— rzeczom bardziej sobie obcym, niźli mężczyzna i kobieta: — a któż pojął kiedy całkowicie, jak o b c y m i są niewiasta i mąż!

Rozkosz: — lecz chcę wokół myśli swych opłoty mieć i wokół słów swoich: aby mi w ogrody me nie wtargnęły świnie i gnuśniki! —

Żądza panowania: rózga to płomienna najtwardszych z zatwardziałych serc, okrutne męczarnie, które najokrutniejsi dla samych siebie zachowują, ponury płomień żywych stosów.

Żądza panowania: złośliwy hamulec, nakładany najpróżniejszym ludom, szyderczyni z wszelkiej cnoty niepewnej, co na każdym rumaku i na każdej dumie cwałuje.

Żądza panowania: trzęsienie ziemi, co wszystko zmurszałe i czcze obala, gromem się tocząca, karząca pobielanych grobów burzycielka; błyskawicowy znak zapytania obok przedwczesnych odpowiedzi.

Żądza panowania: pod jej to wzrokiem człowiek gnie się, pełza, parobcze służby sprawuje i nikczemniejszym się staje od węża i świni: — aż póki wielka wzgarda krzykiem z niego nie buchnie, —

żądza panowania: okrutna mistrzyni wszelkiej wzgardy, która miastom i państwom w oblicza każe: »precz z t o b ą!« — aż póki ich krzyk nie odpowie: »precz ze m n ą!«

Żądza panowania: ta, co wabiąco aż do czy-

stych i samotnych, aż ku samym sobie wystarczającym wyżom sięga, płomienna jako miłość, co purpurowe szczęśliwości na ziemskiem maluje niebie.

Żądza panowania: lecz któżby to żądzą zwał, gdy się wyże w dół ku mocy pociągane czują! Zaprawdę, niemasz nic chorowitego, ani schorzałego w pożądaniach i znijściach takich!

Aby samotna wyż nie osamotniała się wiecznie i samej sobie wystarczała; aby góra w dolinę zstąpiła, a wichry wyżyn na niziny: —

Och, któż znajdzie mi właściwe imię chrzestne, imię cnoty dla takiej tęsknicy! »Cnota darząca« — temi słowy rzecz nienazwalną nazwał niegdyś Zaratustra.

I wonczas stało się — i zaprawdę, stało się to po raz pierwszy! — że słowo jego uświęciło samolubstwo, krzepkie, zdrowe samolubstwo, co z potężnej duszy tryska: —

— z duszy potężnej, z którą ciało bujne w parze chodzi: piękne, zwycięskie, rzeźkie, wokół którego rzecz każda zwierciadłem się staje:

— ciało giętkie i przekonywające, ciało taneczne, którego przenośnią i streszczeniem jest dusza ochocza. Takich ciał i dusz ochoczość zwie się sama: »cnotą«.

Swemi słowy o dobru i złu osłania się taka ochoczość niby gajami świętymi; imieniem szczęścia swego rzuca klątwę na wszystko, co pogardy godne.

Rzuca klątwę na wszystko, co gnuśne; powiada ona: Źle — to znaczy tchórzliwie! Pogardy godnymi zdają jej się ci zawsze troskający się, wzdychający, żałośni i co najlichszej korzyści nie omieszkają skrzętnie zebrać.

Gardzi ona również wszelką do biadań skorą mądrością: gdyż bywa, zaprawdę, i taka mądrość, co w ciemności rozkwita: mądrość nocnych cieni: a wzdycha ona nieustannie: »Wszystko jest marnością!«

Lękliwa nieufność wydaje się jej czemś miałkiem, oraz każdy, co pragnie przysiąg, zamiast spojrzeń i rąk: podobnież i wszelka zbyt nieufna mądrość, — gdyż jest ona właściwością tchórzliwych dusz.

Podlejszym snadnie od rychło przypochlebnego zda się jej człek psi, co wnet na grzbiecie leży, pokorny; a bywa i mądrość taka: pokorna, psia, pobożna i rychło przypochlebna.

Nienawistnym i wstrętnym jest dlań ten, co bronić się nie chce, kto jadowitą ślinę i złe spojrzenia połyka, ten nazbyt cierpliwy, wszystko znoszący, na byle czem przestający: gdyż służalczego ducha to rzecz.

A czy kto przed bogami i boskiemi pomiataniami służalczo się gnie, czy też przed ludźmi i matołkowatymi sądami ludzkimi: na wszelkie służalstwo ducha pława ono, samolubstwo owo błogosławione!

Złe: tem słowem zwie ono wszystko, co w pałąk zgięte, czołobitnie służalcze, owe niewolnie mrużące się oczy, zdławione serca i ów fałszywej uległości obyczaj, co szerokiemi, gnuśnemi wargami całuje.

Oraz mędrkostwo: tem słowem zwie wszystko, co służalce, starce i zmęczeni mędrkują, osobliwie to zgubne, przebiegłe, przechytrze kuglarstwo kapłanów!

Zaś półmędrki te, ci kapłani, ci światem umęczeni, oraz ci wszyscy, których dusza ma coś z ko-

biety i niewolnika, — o jakże ich chóry dawały się samolubstwu we znaki!

I to właśnie cnotą miało być, oraz cnotą się zwać, że się samolubstwu wstręty czyniło! I »w zaparciu się siebie« — takimi widzieć się pragnęli nie bez powodu wszyscy ci światem umęczeni tchórze i krzyżaki w pajęczynach!

Lecz wszystkiemu temu wybije godzina, nastanie odmiana i miecz nastanie sędziowski, przyjdzie wielkie południe: w którem niejedno objawionem będzie!

A kto ludzkie ja uzdrowi i uświęci, samolubstwo wyzwoli, zaprawdę, wywróży on wróżbiarz i to, co się jemu zwiastuje: »Patzcie, oto idzie, oto się zbliża, wielkie idzie południe!« —

Tako rzecze Zaratustra.



O DUCHU CIĘŻKOŚCI.

I.

Me usta — ludu to usta: nadto zgruba, nadto serdecznie gadam ja dla jedwabistych zajęcy. A bardziej jeszcze obco brzmi ma mowa atramentnicom oraz lisom biurkowym.

Ma dłoń — sowizdrzała to dłoń: biada wszystkim stołom i ścianom, oraz wszystkiemu, co miejsca użyczyć gotowe sowizdrzalskim ozdóbkom i pisankom!

Ma noga — konia to noga: nią to tępam i cwałuję poprzez wykrot i głaz: przed się, w pola, wschwał; a dyabła uciechy pod skórą mam w szalonym pędzie tym.

Żołądek mój — snadź orła to jest żołądek? Gdyż najchętniej żywi się on jagnięciną. Więc po prawdzie, ptaka to tylko żołądek.

Niewinnym karmem syty, karmem nieobfitym, zawsze gotów i niecierpliwy do lotu, do odlotu —

mego to obyczaju rzecz: jakżeby więc we mnie coś z ptaka być nie miało!

Osobliwie, żem jest duchowi ciężkości tak wrogi: ptasiego rodu to znamię: — i zaprawdę, temu duchowi jam wrogiem śmiertelnym, pierworodnym wrogiem od prapoczątku! Och, dokądże nie latała i nie polatywała ma wróżda!

O tem niejedną mógłbym zaśpiewać pieśń — — i zaśpiewam ją wraz: aczkolwiek sam jeden w pustym siedzę domu i własnym tylko uszom śpiewać muszę.

Bywają wprawdzie inni śpiewacy, którym dopiero pełne sale rozmiękczają gardło, czynią im dłoń wymowną, oko wyrazistem, serce czujnem: — jam nie jest, jak ci śpiewacy. —

2.

Kto człowieka kiedyś latać nauczy, ten wszystkich rubieży kamienie przesunie; wszystkie kamienie graniczne w powietrze mu się uniosą, a ziemię nanowo ochrzcić on będzie musiał — jako »lekką«.

Struś biega prędzej, niźli najbystrzejszy koń, wszakże i on w ciężką ziemię ociężale głowę chowa: tako i człowiek, co latać nie potrafi.

Ciężką jest mu ziemia, ciężkiem życie; tak duch ciężkości c h c e! Kto zaś lekkim chce się stać i ptakiem być, samego siebie kochać powinien: — tako ja pouczam.

Aliści nie miłością schorzałych i chorzejących: gdyż u nich cuchnie nawet i miłość własna!

Należy nauczyć się samego siebie miłować — tako ja pouczam — czerstwą i zdrową miłością: aby człek z samym sobą rad przestawał i nie wałęsał się wszędy.

Takie wałęsanie się chrzci siebie »miłością bliźniego«: słowem tem dotychczas i kłamano, i obłudy wszelkie czyniono najudatniej, osobliwie pośród tych, którzy całemu światu ciążyli.

I zaprawdę, przykazanie to nie na dziś i nie na jutro, samego siebie kochać się n a u c z y ć. Sztuka to raczej najwykwintniejsza, w podstępy najbardziej zasobna, sztuka ostatnia i najcierpliwsza.

Przed swym właścicielem jest wszelka własność dobrze ukryta, a ze wszystkich skarbów bywa ten własny najpóźniej odkopanym, — duch ciężkości to sprawia.

Nieomal że w kołysce dają nam już ciężkie słowa i wartości, jak oto: »dobro« i »zło« — tak się posag nasz zwie. W imię jego wybaczają nam to, że żyjemy.

I przeto pozwala się dziatkom do siebie przychodzić, aby ich zawczasu ostrzedz, by siebie nie kochały: tako zdziaływa duch ciężkości.

Zaś my — wleczemy sumiennie to, co nam przydano, na twardych wleczemy barkach i poprzez ciężkie drogi! A gdy potniejemy w trudzie, powiadają nam: »O tak, życie jest ciężkiem brzemieniem!«

Lecz człowiekowi samego siebie tylko dźwigać jest ciężko! Jako że zbyt wiele obcego władował na swe barki. Jako wielbłąd przyklęka on i pozwala się dobrze obładowywać!

Osobliwie silny, juczny człowiek, w którym pokora zamieszka: za wiele c u d z y c h ciężkich słów

i wartości władowuje on na siebie, — i oto życie pustynią mu się zdaje!

I zaprawdę! Nawet niejedna rzecz własna jest ciężka do dźwigania! A wiele wnętrznego w człowieku jest, jako ostryga: wstrętne, ślizkie i trudne do uchwycenia —,

— tak, że szlachetna skorupa ze szlachetnemi ozdoby orędować tu musi. I tej jeszcze sztuki należy się nauczyć: małżowinę swą mieć i piękny pozór i ślepotę przezorną!

Tysiąckrotnie zwodzi co do człowieka i to, że niejedna skorupa bywa pospolita i smutna, i przytem zanadto skorupą. Za wiele dobroci i siły nigdy odgadniętem nie bywa; najsmakowitsze kęski nie znajdują smakoszy!

Wiedzą o tem kobiety najsmakowitsze: nieco tłustsza, nieco chudsza — och, ileż doli jest w takiej błahostce!

Ciężko odkryć człowieka, najciężej zaś samego siebie; nieraz duch o duszy kłamie. Duch ciężkości to sprawia.

Ten zaś samego siebie odkrył, kto powiada: oto jest moje dobro i zło: tem zmusił do milczenia kreta i karła, mówiącego: »dla wszystkich dobry, dla wszystkich zły«.

Zaprawdę, nie znoszę ja i tych, dla których rzecz każda jest dobra, a świat zgoła najlepszy. Takich zwę ja nadto skromnymi.

Niewybredność, co wszystko smakować potrafi: to nie jest smak najwykwintniejszy! Szanuję oporne i wybredne języki i żołądki, które nauczyły się mówić »ja«, »tak« i »nie«.

Wszystko w gębę kłaść i wszystko trawić —

prawdziwie świński to obyczaj! Zawsze »ta-ak« mówić, tego się osieł tylko nauczył, oraz kto z jego jest ducha! —

Głęboka żółtość i czerwień gorąca: tak mi smak m ó j nakazuje, — krew on miesza do wszystkich barw. Zaś kto dom swój pobiela, o pobielanej mówi mi to duszy.

Ci w mumiach zakochani, tamci w upiorach; i jedni i drudzy wrodzy ciału i krwi: — och, jakże się to z moim kłóci poczuciem! Gdyż ja lubię krew.

I tam też mieszkać, ani przebywać nie chcę, gdzie wszystko spluwa i plwa, — raczejbym żył pośród złodziei i krzywoprzysiężców. Nikt złota w ustach nie nosi.

Wstrętniejszymi są mi jednak śliny zlizywaczy; zaś najohydniejsze zwierzę ludzkie, którem kiedykolwiek spotkał, nazwałem pasorzytem: zwierzę, co kochać nie chciało, a z miłości żyć pragnęło.

Nieszczęsnymi zwę tych, którym jedno tylko do wyboru pozostaje: albo złemi zwierzętami się stać, albo złymi poskramiaczami: pośród nich nie zbudowałbym ja chaty.

Nieszczęsnymi zwę i tych, którzy ciągle c z e k a ć muszą, — i ci sprzeciwiają się smakowi memu: wszyscy ci celnicy, kramarze i króle oraz inni krain i sklepów dozorcy.

Zaprawdę, poznałem ja do głębi czekanie, — lecz tylko czekanie n a s i e b i e. A przedewszystkiem uczyłem się stać i chodzić, i biegać, i skakać, wspinać się, a tańczyć.

Lecz oto ma nauka: kto się kiedyś chce lotu nauczyć, winien się wprzódy nauczyć stać, chodzić,

biegać, wdrapywać i tańczyć: — nie wzlatujeż bo się odrazu do lotu!

Po węzłowych drabinach do niejednego wdrapywałem się okna, rączemi nogi wspinałem się na niejeden wysoki maszt: na wysokich masztach poznania siadywać wydało mi się niemałą rozkoszą, —

— jako małe płomyki na wysokich masztach migać: drobne wprawdzie to światła, lecz wielkie pocieszenie dla zbłąkanych i rozbitków! —

Na wielu drogach i wieloma sposoby doszedłem do swojej prawdy: nie na jednej tylko drabinie wspiąłem się na swą wyżynę, skąd me oko w moje dale wybiega.

I niechętnie o drogi pytałem, — przeciwiało się to zawsze smakowi memu! Chętniej zapytywałem drogi same i doświadczałem ich.

Doświadczaniem i pytaniem było wszelkie me chadzanie: — i zaprawdę, n a u c z y ć się też trzeba odpowiadać na pytania takie! Lecz takim jest — mój smak:

— ni zły, ni dobry to smak, lecz m ó j własny, czego się nie wstydzę i z czem się nawet nie taję.

»Oto — m o j a droga, — a gdzież jest wasza?« tak odpowiadam tym wszystkim, którzy mnie »o drogę« pytają. D r o g i? — niemasz jej zgoła!

Tako rzecze Zaratustra.

O STARYCH I NOWYCH TABLICACH.

1.

Oto siedzę tu i czekam, wokół mnie stare potrzaskane tablice, zarówno jak i nowe na poły zapisane. Kiedyż godzina ma nadejdzie?

— godzina mego znijścia i zajścia: gdyż raz jeszcze chcę do ludzi zejść.

Czekam tedy: gdyż wprzódy znak zwiastować mi musi, że m o j a to godzina, — lew nadejść winien uśmiechnięty w chmarze gołębi.

Tymczasem jak ktoś, co czas ma jeszcze, mówię z samym sobą. Nikt mi nic nowego nie opowiada: opowiem więc siebie sobie samemu. —

2.

Gdym między ludzi poszedł, zastałem ich osiadłych na starej pysze: wszyscy mniemali, że wiedzą

już zdawien dawna, co dla człowieka jest dobrem, a co złem.

Starą zamęczoną rzeczą wydawały im się wszelkie gawędy o cnocie; a kto dobrze spać pragnął, ten przed pójściem na spoczynek rozprawiał jeszcze o »dobrem« i o «złem«.

Śpiączkę tę zakłóciłem ja, pouczając; co jest złem, a co dobrem, tego nikt jeszcze nie wie: — wyjąwszy twórcę jedynie!

— Ten ci zaś jest twórcą, kto człowieczy cel stwarza, ziemi zaś treść i przyszłość nadaje: on dopiero stwarza, że coś jest dobrem lub złem.

Wzywałem ich, aby stare obalali kazalnice oraz wszystko, na czem stara rozpierała się pycha; wzywałem ich do śmiechu z ich wielkich mistrzów cnoty, ich świętych, ich poetów, ich świata odkupicieli.

Z ponurych nut tych mistrzów śmiać się nakazywałem, i zgoła ze wszystkiego, co, niby czarne na ptaków straszydła, obsiadało drzewo życia.

Na ich wielkim gościńcu grobowców przysiadłem między padliną i sępy — i śmiałem się z całej grobów powagi, oraz ich zmurszałej, w gruzy rozpadającej się świetności.

Zaprawdę, jako kaznodzieje pokutni lub sowizdrzały, zawodziłem w gniewie i lamencie nad wszystkiem, co w nich jest wielkie i co małe, — i że ich najlepsze bywa tak mizerne! I że ich najgorsze jest tak bardzo małe! — oto jakom się śmiał.

Ma mędrca tęsknica wyrywała się ze mnie krzykiem i śmiechem, na górach zrodzona tęsknica, dzika, zaprawdę, ma mądrość! — ma wielka skrzydlata, a rwąca tęsknica.

I porywała mnie nieraz wzwyż i precz wpośród śmiechu mego: i poniosła mnie przecie, trwogą oczekiwań zdjętego, poniosła strzałą poprzez słoneczno-upojne zachwycenie:

— hen, w dalekie przyszłości, których żaden sen jeszcze nie oglądał, w gorętsze południe, niźli je kiedykolwiek malarze śnili: tam, gdzie bogowie tańczący szat wszelkich się wstydzą: —

— abym wam to w przenośni rzekł, i jako poeta słaniał się i jąkał: i zaprawdę, wstydzę się ja, że poetą być jeszcze muszę! —

Tam, gdzie wszelkie stawanie się bogów tańcem i bogów swawolą mi się zdało, gdzie świat wolny i rozpętany i do samego siebie ponownie pierzchający: —

— był jak wieczne pierzchanie i odnajdowanie się wielu bogów, jako szczęśliwości pełne przeczenie sobie, ponowne uleganie i ponowne do się przynależenie wielu bogów: —

Gdzie czas wszelki zdał mi się błogim szyderstwem z chwili, gdzie konieczność wolnością snadnie była, kolcem wolności błogo igrającą: —

Gdziem szatana swego i prawiecznego wroga odnalazł: ducha ciężkości i wszystkie jego stwory: przymus, przepis, troskę i skutek, i cel, i wolę, i dobro, i zło: —

Bo czyż nie powinno istnieć to, p o n a d c z e m tańczyć i pląsać się będzie? Czyż gwoli lekkim i najlżejszym nie powinny — krety i karły ciężkie istnieć?

3.

Tam też i słowo »nadczłowiek« na drodze podjąłem, oraz i to, że człowiek jest czemś, co przezwyciężonem być winno,

— że człowiek jest mostem, a nie celem: sławiącym swe szczęście za to południe i wieczór, jako że to jest droga ku nowym jutrzniom:

— podjąłem słowo Zaratustry o wielkiem południu wraz z tem wszystkiem, com ponad człowiekiem zawiesił, niby purpurowe wtórne zorze.

Zaprawdę, nowe ich oczom odkryłem gwiazdy i nowe noce; a ponad chmurami, ponad dniem i nocą rozpiąłem nadto śmiech, jako namiot gwiaździsty.

Nauczyłem ich wszystkich swych myśli i zabiegów: marzeniem i czynem w jedność sprzęgać, co ułomkiem było w człowieku, i zagadką, i okrutnym przypadkiem, —

— jako poeta, zagadek odgadywacz i wyzwoliciel przypadku, uczyłem ich, jak dzieła przyszłości twórczo się imać, i wszystko, co było —, tworząc wyzwolić.

Przeszłość w człowieku wyzwolić i wszelkie »Tak było« przetworzyć, póki wola nie rzeknie: »Tak właśnie chciałam! Tak chcieć będę —«

— wyzwoleniem to nazwałem, to jedynie wyzwoleniem zwać ich nauczyłem. — —

A teraz swojego czekam wyzwolenia —, abym po raz ostatni do nich poszedł.

Gdyż raz jeszcze chcę ja między ludzi: pośród nich umrzeć pragnę, konając, chcę im dać dar swój najbogatszy!

Od słońcam się tego nauczył, gdy zachodzi,

przebogate: złoto sypie podówczas w morze z niewyczerpanej skarbnicy bogactwa, —

— że najuboższy nawet rybak złotem wiosłem wiosłuje. Ujrzałem ja to niegdyś i przy tem patrzeniu łzami nasycić się nie mogłem. — —

Jako słońce, tako zajść chce Zaratustra: oto siedzi teraz i chwili swej czeka, a wokół niego stare potrzaskane tablice, zarówno jak i nowe — na poły zapisane.

4.

Patrz, oto jest nowa tablica: lecz gdzież są bracia moi, aby mi ją pomogli w doliny znieść i w mięsne serca? —

Tak mi ma wielka miłość ku najdalszym nakazuje: nie oszczędzaj swych bliźnich! Człowiek jest czemś, co przezwyciężonem być winno.

Jest wiele dróg i sposobów przezwyciężenia: bacz więc! Bo tylko kuglarz myśli: »człowieka można również przeskoczyć«.

Przezwyciężaj samego siebie nawet i w bliźnim swoim: zaś prawo, które zrabować sobie możesz, dawanem ci być nie powinno!

Co ty czynisz, tem ci nikt odwzajemnić nie może. Zważ, odwetu niema.

Kto samemu sobie rozkazywać nie potrafi, ten ulegać powinien. Zaś niejeden umie sobie rozkazywać, aliści wiele do tego brak, aby siebie usłuchał!

5.

Takim jest oto szlachetnych dusz obyczaj: niczego nie chcą mieć one darmo, najmniej zaś życia samego.

Kto z motłochu jest, darmo żyć ten pragnie; my zaś, którym się życie dało, — rozważamy nieustannie, cobyśmy wzamian dać mogli!

I zaprawdę, dostojna to mowa, co powiada: »co nam życie obiecuje, dotrzymajmyż tego — życiu!«

Nie należy chcieć używać, gdy się samego używania nie daje. I — nie należy chcieć używać!

Użycie i niewinność to najwstydliwsze są twory: nie powinno się ich szukać. Należy je mieć —, lecz bardziej jeszcze należy winy i bólu szukać! —

6.

O, bracia moi, kto pierwszym jest płodem, ten na ofiarę zawsze idzie. Lecz oto my pierworodnymi jesteśmy.

Krwawimy wszak wszyscy od utajonych razów ofiary; płoniemy i spalamy się wszyscy na cześć starych bożyszcz.

Co najlepsze jest w nas, młode to jest jeszcze: drażni to stare podniebienia. Ciało nasze jest wątłe, skóra jest futrem jagnięcia: — jakżebyśmy starych bożyszcz kapłanów drażnić sobą nie mieli.

W nas samych mieszka on, ten starych bałwanów kapłan, który wszystko, co w nas jest najlepszego, na ucztę sobie warzy. Och, bracia moi, jakżeby pierwsze płody ofiarami być nie miały!

Lecz tego właśnie ród nasz pragnie; kocham zaś tych, co trwać nie chcą. Kocham zachodzących całą swą miłością: gdyż oni to za rubież przechodzą. —

7.

Prawdziwymi być — mogą tylko nieliczni! Kto zaś nim być może, daleki jeszcze jest od chęci! Najmniej zaś być nimi potrafią ludzie dobrzy.

Och, ci dobrzy! — Dobrzy ludzie nigdy prawdy nie mówią; dla ducha jest taka dobroć chorobą.

Ustępują oni, ci dobrzy, poddają się wnet, ich serce ulega, ich natura do dna posłuszna bywa: lecz kto innych słucha, ten samego siebie nie słyszy!

Wszystko, co się w dobrych złem zwie, zjednoczyć się musi, aby jedna prawda zrodzona była: och, bracia moi, jesteścież wy mi aby dosyć źli ku tej oto prawdzie?

Zuchwałe pokuszenie, długa nieufność, okrutne »nie!«, przesyt i cięcie w żywe ciało — jakże to rzadko społem się zbiega! Z takich jednak nasion — prawda się rodzi!

Obok złego sumienia wyrastała dotychczas wszelka wiedza! Łamcie, poznający, łamcie mi stare tablice!

8.

Gdy kłody na wodzie leżą, gdy kładki i poręcze przerzucają się ponad rzeką: zaprawdę, nikt wonczas wiary nie znajdzie, kto głosić zechce: »wszystko płynie!«

Bo nawet i matołki przeczyć mu wówczas zechcą. »Jakże to? — powiadają matołki — wszystkoby rzeką płynąć miało? Wszak kłody i poręcze są p o n a d rzeką!«

»P o n a d rzeką wszystko jest nieruchome, wszystkie wartości rzeczy, mosty, pojęcia, »dobro« i »zło« wszelkie: to wszystko jest n i e r u c h o m e!«

A gdy surowa zima nadejdzie, ów rzek poskramiacz, wówczas i najprzemyślniejsi uczą się nieufności; i zaprawdę, nietylko matołki powiadają wówczas: »Nie miałożby wszystko — w m i e j s c u s t a ć?«

»W gruncie rzeczy wszystko w miejscu stoi« —, oto prawdziwa nauka zimowa, rzecz dobra dla czasów bezpłodnych, dobra pociecha dla zapadających w sny zimowe i dla piecuchów.

»W gruncie rzeczy wszystko w miejscu stoi« —: p r z e c i w tej nauce każe wiatr wiosenny!

Wiatr wiosenny, ów byk, co wołem do orki nie jest, — byk rozwścieczony, burzyciel, co gniewnym rogiem lód rozbija! Lód jednak — — k ł a d k i b u r z y!

O, bracia moi, czyż t e r a z wszystko nie p ł y n i e? Czyż poręcze i kładki w rzekę nie wpadły? Któżby się teraz utrzymać zdołał, »dobra« i »zła« się chwytając?

»Biada nam! Sława nam! Wiatr wiosenny wieje!« — Tak oto głoście, bracia moi, po wszystkich drogach!

9.

Istnieje stary omam, co się dobrem i złem zowie. Wokół wróżbiarzy i gwiaździarzy obracało się dotychczas koło tego omamu.

Niegdyś wierzono w gwiaździarzy i wróżbiarzy: przeto wierzono też, iż »Wszystko jest przeznaczeniem: powinieneś, gdyż musisz!«

Poczem nie ufano znów wróżbiarzom i gwiaździarzom: i przeto wierzono: »Wszystko jest wolnością: możesz, ponieważ chcesz!«

O bracia moi, o gwiazdach i przyszłości rojono dotychczas, brakło jeszcze o nich wiedzy; i przeto o dobru i o złu rojono tylko, nic o nich nie wiedząc!

10.

»Nie będziesz rabował! Nie będziesz zabijał!« — słowa te uważano niegdyś za święte, przed niemi chylono kolana i głowy, zzuwano obuwie z nóg.

Lecz pytam ja was: gdzież byli gorsi na świecie rabusie i zabójcy, niż te słowa święte?

Czyż wszelkie życie nie jest samo przez się — rozbojem i zabójstwem? A gdy słowa powyższe uświęcono, czyż tem samem prawda nie została — zabita?

Lub byłoż to może kaznodziejstwo śmierci, uświęcające wszystko, co życiu przeczyło, od życia odmawiało?

— O, bracia moi, łamcież mi, łamcie stare tablice!

II.

Tem jest me współczucie dla wszelkiej przeszłości, iż oto widzę: na pastwę oddana jest ona, —

— na pastwę łaski, ducha i urojeń pokoleń następnych, które wszystko »co było« na most swój przetwarzają!

Wielki, przemocny władca nastaćby mógł, niecnotą przemyślny, coby swą łaską i niełaską wszelką przeszłość przemógł i zmógł, póki jego mostem nie stałaby się ona, jego zwiastowaniem, heroldem i koguta pianiem.

Lecz oto drugie niebezpieczeństwo i wtóra litość moja: — kto z motłochu jest, tego myśli sięgają wstecz do dziada, — a z dziadem i czas się kończy.

I tak oto wszelka przeszłość na łup jest wydana: gdyż zdarzyć się może kiedyś, że motłoch panem się stanie, i w płytkich wodach czas wszelki zatopi.

Przeto, o bracia moi, n o w e g o potrzeba szlachectwa, które wszelkiemu motłochowi i wszelkim przemocom — władnym przeciwnikiem będzie i na nowych tablicach wypisze słowo »szlachetnie«.

Wielu szlachetnych potrzeba i wielorakich szlachetnych, aby s z l a c h t a była! Lub, jak to już nie-

gdyś w przypowieści rzekłem: »To właśnie jest boskością, że są bogowie, a Boga niema!«

12.

O, bracia moi, wyświęcam ja was i wiodę ku nowemu szlachectwu: bądźcież mi rodzicielami i hodowcami i siewcami przyszłości, —

— zaprawdę, nie ku temu wiodę ja szlachectwu, które kupić możecie, jako kramarze, za grosz kramny: gdyż małej wartości jest to wszystko, co cenę posiada.

Nie to, skąd się wywodzicie, cześć waszą odtąd stanowić ma, lecz dokąd zmierzacie! Wasza wola i noga wasza, co ponad was samych wywieść pragną — oto co nową cześć waszą stanowić będzie!

I zaprawdę, nie to, żeście się księciu wysługiwali — cóż na książętach zależy! — lub żeście byli przedmurzem tego, co stoi, aby mocniej jeszcze stało!

I nie to, że wasz ród na dworach dworackim się stał, a wyście się nauczyli, podobni do pstrego czerwonaka, długie godziny na płytkich wystawać wodach:

— gdyż umieć stać jest zaletą dworaków; wszyscy zasię dworacy wierzą, że błogości pośmiertnej należy — módz siedzieć! —

I nie to również, że duch, którego oni świętym zową, wiódł waszych przodków do ziemi obiecanej, której ja nie sławię, krainy, w której rosło najgorsze ze wszystkich drzew, — krzyż, takiej krainy niema czego sławić! —

— i zaprawdę, gdziekolwiek ów »duch święty« rycerzy swoich wiódł, tam pochodom przodowały zawsze kozy i gęsi, i wszelkie krzyżowe dziwadła i półgłówki! —

O bracia moi, nie wstecz szlachectwo wasze oglądać się powinno, lecz przed się wyzierać! Banitami być powinniście ze wszystkich ojczyzn i praojcowizn!

Ziemię dzieci waszych ukochać powinniście: ta miłość niechaj będzie waszem nowem szlachectwem, — ziemią dziatek waszych nieodkrytą, na rozłogach mórz najdalszych. Krainy tej żaglom waszym nakazuję szukać i szukać bez końca!

Na dzieciach waszych naprawić macie to, żeście dziećmi ojców swoich: wszelką przeszłość tak oto wyzwolić winniście! Tę nową tablicę stawiam nad wami!

13.

»Pocóż żyć? Wszystko jest marnością! Żyć — to słomę młócić; żyć — to spalać się nieustannie i nigdy się nie zagrzać.« —

Takie staroświeckie gadanie uchodzi wciąż jeszcze za »mądrość«; a że stare jest i stęchłą ma woń, tembardziej czczone bywa. Nawet zbutwiałość uszlachca. —

Dzieciom wolnoby tak mawiać: one trwożą się ognia, ponieważ ogień je sparzył! Jest wiele dziecińśtwa w starych księgach mądrości.

A kto wiecznie »słomę młóci«, jakżeby ten młocbie złorzeczyć miał! Takiemu błaznowi należałoby gębę zatkać!

Tacy zasiadają do stołu, nic ze sobą nie przynosząc, nawet głodu nie przynoszą: — i oto złorzeczą »wszystko jest marnością!«

Lecz dobrze jeść i pić, o, bracia moi, nie jest to czcza sztuka. Łamcież mi, łamcie stare tablice tych nigdy niezadowolonych!

14.

»Dla schludnego wszystko schludne« — powiada lud. Ja zaś rzekę wam: »świnia wszystko oświni!«

Przeto każą gnuśniki i zwieszające głowę świętoszki, którym i serce już obwisło: »Świat jest plugawym potworem«.

Gdyż oni wszyscy są niechlujnego ducha, osobliwie zaś ci, co nie zaznają ani wytchnienia, ani spoczynku, aż póki świata o d t y ł u nie zajdą — ci zaświatowcy!

T y m t o powiadam w oczy, aczkolwiek niemiło im to zadźwięczy: świat jest w tem podobny do człowieka, że ma zad, — i t y l e waszej słuszności!

Jest wiele plugawstwa na świecie i t y l e waszej słuszności! Lecz nie jest świat przeto plugawym potworem!

Mądrość tkwi w tem, że tyle rzeczy na świecie cuchnie: sam wstręt stwarza skrzydła i siły, wyczuwające krynice!

W najlepszym jest jeszcze coś wstrętnego; i najlepszy jest czemś, co przezwyciężonem być winno! —

O, bracia moi, wiele mądrości jest w tem, że tyle plugawstwa jest na świecie! —

15.

Takiemi gawędy — słyszałem — przemawiają pobożni zaświatowcy do swego sumienia, i zaprawdę, bez złości i fałszu, — aczkolwiek nic fałszywszego i bardziej złego na świecie niema.

»Niech świat swoją idzie koleją! Palca przeciw temu nawet nie podnoś!«

»Niech tam kto chce ludzi dusi, żga, łupi i skórę z nich zdziera: palca nawet przeciw temu nie podnoś! Nauczy to ich wyrzeczenia się świata«.

»Zaś rozum swój własny — tyś sam zdławić i zdusić powinien; gdyż jest to rozum z tego świata — tako będziesz się uczył wyrzeczenia się świata«. —

— Łamcież mi, łamcie, o bracia moi, te stare tablice świętoszków! Rozsadźcież mi słowy te gawędy czernicieli świata!

16.

»Kto uczy się wiele, wyzbywa się wszystkich gwałtownych pożądań« — szepczą to sobie dziś po wszystkich ciemnych zaułkach.

»Mądrość nuży, nie opłaca się — nic zgoła; nie powinieneś pożądać!« — tę nową tablicę widywałem nawet na tłumnych targach.

Połamcie, o bracia moi, skruszcie mi i tę nową tablicę! Znużeni światem zawiesili ją, oraz śmierci kaznodzieje, zarówno jak i mistrze kija: gdyż patrzcie, jest ona zarówno kaznodziejstwem, do uległego wzywającem służalstwa: —

Ze się źle uczyli, a najlepszego zaniechali, że

uczyli wszystkiego za wcześnie i za szybko: że źle jadali, oto co im zepsuło żołądek, —

— zepsutym żołądkiem jest snadź ich duch, co śmierć doradza! Gdyż, zaprawdę, bracia moi, duch jest żołądkiem!

Życie jest krynicą rozkoszy: lecz z kogo zepsuty przemawia żołądek, ten rodzic przygnębienia, dla tego wszystkie źródła są zatrute.

Poznawać: oto rozkosz dla lwią władającego wolą! Lecz kto znużonym się stał, ten już »pastwą woli« bywa, tym wszystkie igrają fale.

I taka jest zawsze słabych ludzi kolej: gubią się oni na własnych drogach. A naostatek pyta wreszcie ich zmęczenie: »i pocóżeśmy chadzali jakiemikolwiek drogi! Wszystko jest zarówno obojętnem!«

Im to mile w uszach dźwięczy, gdy słyszą kazania: »Nie opłaca się nic! Nie powinniście chcieć!« Lecz to są kazania, wzywające do uległego służalstwa.

O, bracia moi, świeżym wiatru zawiewem jest Zaratustra dla wszystkich zdrożonych; wiele nosów przyprawi on jeszcze o kichanie!

Nawet i poprzez mury dmie to świeże tchnienie moje, w więzienia się przedostaje i do więzionych duchów!

Chcenie oswobadza: gdyż chcieć znaczy tworzyć. I tylko ku tworzeniu uczyć się winniście!

I nawet uczenia się ode mnie nauczyć się winniście, dobrego uczenia! — Kto uszy ma, niech słucha!

17.

Oto czeka łódź, — tędy to w wielkie Nic płynie się może. — Lecz któż w to »być może« zstąpić zechce?

Nikt z was w łódź śmierci zstąpić nie pragnie! Jakżeto znużonymi światem chcecie wy się zwać!

Światem znużeni! A nawet wyrzekającymi się świata nie staliście się jeszcze! Pełnymi lubieżności ku ziemi widywałem was zawsze, zakochanymi nawet i w tem własnem znużeniu!

Niedarmo zwisa wasza warga: — małe ziemskie pragnienie siedzi jeszcze na niej! Zaś w oku waszem — czyż nie snuje się tam jeszcze obłoczek nie zapomnianej rozkoszy ziemskiej?

Jest na tym padole wiele dobrych wynalazków: jedne z nich są pożyteczne, inne znów miłe: za nie też i ziemię miłować należy.

Zaś niejedno jest tak dobrze wynalezione, że jest jako pierś kobieca: i pożyteczne, i miłe zarazem.

Wy światem znużeni! Wy przyziemne leniwce! Rózgami smagaćby was należało! Smaganiem rózeg należałoby was na ochocze postawić znów nogi.

Albowiem: skoroście nie chorzy, lub zużyci nędznicy, których ziemia sobie znużyła, jesteście przebiegłe leniwce, lub łakome, w kątach przyczajone i lubieżne koty. A gdy mi znowuż ochoczo biegać nie zaczniecie, wówczas macie mi się z tego świata — precz wynosić!

Przy wszystkiem, co nieuleczalne, lekarzem być nie należy: tako poucza Zaratustra: — a więc wynoścież mi się precz!

Lecz więcej o d w a g i potrzeba na to, aby uczynić wreszcie koniec, niż aby wiersz nowy zrobić: wiedzą o tem wszyscy lekarze i poeci. —

18.

O, bracia moi, bywają tablice znużenia i tablice, które lenistwo stworzyło leniwe: aczkolwiek jednakowo one przemawiają, odmiennie słuchanemi być winny.

Spojrzyjcież na tego ginącego! Zaledwie staja drogi oddziela go od celu, a ze zmęczenia położył się oto przekornie w pyle: — ten ci waleczny!

Ze zmęczenia ziewa na drogę swą, na ziemię, na cel swój i na samego siebie: ani kroku dalej uczynić już nie chce, — ten ci waleczny!

I oto słońce go praży, psy pot jego liżą: lecz on leży oto uparcie i raczej zmarnieć tu gotów: —

— o staję od swego celu zmarnieć! Zaprawdę, będziecie go jeszcze musieli wciągnąć za włosy do własnych jego niebios, — bohatera tego!

Lepiej uczynicie, pozostawiwszy go tam, gdzie zległ, niechaj sen nań zejdzie, sen ukoiciel, z ochłodnym deszczu poszumem:

Zostawcież go w spokoju, póki sam się nie ocknie, — póki sam nie odwoła zmęczenia, oraz tego wszystkiego, czem zmęczenie zeń przemawiało!

Baczcie tylko, bracia moi, abyście psy od niego odpędzali, gnuśne płoszyli płazy i wszelkie rojne czerwie: —

— wszelkie te rojne czerwie »wykształconych«, co się potem każdego bohatera — raczyć zwykły! —

19.

Kręgi wokół siebie zataczam i granice święte; coraz to nieliczniejsi wspinają się ze mną na coraz to wyższe góry: piętrzę szczyty z coraz to bardziej uświęconych gór. —

Gdziekolwiek wszakże ze mną wspinać się będziecie, o bracia moi, baczcie, aby wraz z wami nie wznosił się p a s o r z y t!

Pasorzyt: to robak pełzny, przylepny, co utuczyć się pragnie na ran waszych zatajonych cierpieniach.

I t e m jest jego sztuka, że wspinające się wietrzy on dusze, naonczas gdy je zmęczenie ogarnia: w ich trosce, przygnębieniu, we wrażliwym ich wstydzie ściele on swe gniazdo ohydne.

Gdzie silny słabym się staje, szlachetny zbyt łagodnym, — tam oto ściele on swe gniazdo ohydne: pasorzyt tam się zagnieżdża, gdzie człowiek wielki ma drobne zatajone rany.

Jakiż jest najszczytniejszy rodzaj wszelkiego bytu, jaki zaś najnikczemniejszy? Pasorzyt jest najnikczemniejszym; kto zaś jest najszczytniejszym, ten najliczniejsze żywi pasorzyty.

Tak więc i dusza, co najdłuższe ma drabiny i najgłębiej zstępować może: — jakżeby na niej pasorzyty sadowić się nie miały? —

— dusza najbardziej nieogarnięta, która w sobie samej najdalej biegać, błądzić i błąkać się może;

dusza najbardziej musowa, która z ochoczości samej w traf na ślepo się rzuca: —

— dusza istniejąca, która w stawanie się zanurza; dusza posiadająca, która chcenia i pożądania chce: —

— dusza przed sobą pierzchająca, która, najszersze zataczając kręgi, samą siebie dogania; dusza najmędrsza, dla której sowizdrzalstwo jest rzeczą najsłodszą: —

— dusza siebie najbardziej miłująca, w której wszystkie rzeczy swe prądy i przeciwprądy, swój przypływ i odpływ mają: — och, jakżeby najszczytniejsza dusza najzgubniejszych pasorzytów mieć nie musiała?

20.

O bracia moi, zalimż ja okrutny? Wszakże pouczam: co pada, pchnąć to jeszcze należy!

To wszystko dzisiejsze pada i rozpada się: któżby to podtrzymywać zechciał. Ja wszakże — pragnę to jeszcze pchnąć!

Znacie rozkosz staczania kamieni w przepastne głębie? — Ci ludzie dzisiejsi: patrzcież jak oni w moje staczają się głębie!

Przegrywką jestem dla lepszych graczy, o bracia moi! Przykładem jestem! Naśladujcież przykład mój!

O, kogo latać nie nauczycie, nauczcież mi go — padać co prędzej! —

21.

Kocham walecznych: nie dosyć to jednak kordem być tylko rąbiącym, — należy też wiedziać »rąb, a bacz, k o g o zacz!«

Często więcej waleczności jest w tem, że się ktoś przemoże i minie: aby się dla godniejszego zaoszczędził wroga!

Winniście mieć takich tylko wrogów, których nienawidzieć można, nie zaś którymi gardzić należy: winniście być dumni z wroga swego: pouczałem już raz tako.

Dla godniejszego wroga, o przyjaciele moi, zaoszczędzać się winniście: przeto wiele rzeczy mijać wam należy, —

— osobliwie wielu z tej hołoty, co wam w uszy wrzeszczy o narodzie i narodach.

Niech wam oka ich »za« i »przeciw« nie zamąca! Wiele tam słuszności, wiele niesłuszności: kto w to wejrzy, gniew go ogarnia.

Wejrzyć i bić czemprędzej — nieodłączne tam to bywa: przeto w lasy idźcie i do snu miecz wasz ułóżcie!

Idźcie w ł a s n e m i drogi! I niechaj naród i narody swojemi idą! — ciemne to drogi, zaprawdę, na których ani jedna nadzieja zarnicą już nie błyska!

Niechże kramarz tam panuje, gdzie wszystko, co świeci — kramarza jest złotem! Nie są to już czasy króli: co się dziś narodem zwie, nie zasługuje na króli.

Patrzcież mi, jako narody dziś nawet, niby kramarze, czynią: najmizerniejsze korzyści z każdego podejmują one śmietnika!

Dybią oto na siebie, wydybią coś niecoś od sie-

bie, — i zwą to »dobrem sąsiedztwem«. O, błogosławioneż te czasy odległe, kiedy naród mawiał do się: »chcę nad innemi ludami — p a n e m być!«

Albowiem, bracia moi: najlepsze powinno panować, najlepsze chce też panować! A gdzie inaczej brzmi nauka, tam — b r a k najlepszego.

22.

Gdybyż o n i — chleb za darmo mieli, — biada! O coby krzyczeli wówczas! Ich zarobkowanie jest dla nich najlepszem zabawianiem się; niechże im więc ono lekko nie przychodzi!

Drapieżne to zwierzęta: nawet w swej »pracy« — i tam nawet jest drapieżnictwo, w ich »zarobkowaniu« — i tam jest chytrość! Przeto niech im to wszystko ciężko przychodzi!

Lepszymi drapieżniki stać się więc mają, bardziej przebiegłymi, mądrzejszymi, bardziej c z ł o w i e c z y m i: albowiem człowiek jest najlepszym drapieżnikiem.

Wszystkie zwierzęta obrabował już człowiek z ich cnót: jako że ze wszystkich zwierząt żyło się człowiekowi najciężej.

Ptaki tylko są nad nim. A gdyby się człowiek latać jeszcze nauczył, — biada! d o k ą d ż e b y wzbiła się jego drapieżność!

23.

Takimi chcę mieć męża i niewiastę: bitnym on niechaj będzie, rodną ona, oboje zaś głową i nogami do tańca ochoczy.

I stracony niech dla nas będzie dzień, w którym choć raz jeden się nie pląsało! Fałszywą każda prawda, która choć jednym nie obdarzyła uśmiechem!

24.

Wasze małżeństw zawieranie: — baczcież, aby nie było złem z a w a r c i e m! Bo gdybyście za wcześnie zawarli: złamanie z tego wyniknie — wiary małżeńskiej złamanie!

A lepszem zasię jest ono, niźli naginanie małżeństwa, kłamanie małżeństwa! — Tak rzekła raz do mnie kobieta: »złamałam ja wprawdzie wiarę małżeńską, lecz wprzódy małżeństwo złamało — mnie!«

Źle skojarzone pary były mi zawsze najgorszej mściwości pełne: całemu światu odwzajemnić się starały za to, że samopas iść już nie mogą.

Przeto chcę, aby rzetelni tak oto do siebie mawiali: »miłujemy się: b a c z m y ż, abyśmy miłowali się i nadal! Nie jestże to nasze przyrzeczenie niebacznością czasami?«

— »Zewólcież nam czas próbny i małżeństwo małe, abyśmy wiedzieli, zali nadajemy się do wielkiego małżeństwa! Wielka to rzecz być zawsze we dwoje!«

Tako radzę wszystkim rzetelnym; bo czemżeby była ma miłość nadczłowieka oraz wszystkiego, co przyjść winno, gdybym inaczej mawiał a doradzał!

Bo nie plenić mi się tylko macie, lecz rozradzać wzwyż, — ku temu, bracia moi, niech wam służy ogrójec małżeństwa!

25.

Kto starych przedpoczątków świadom się stał, ten wreszcie nowych źródeł przyszłości szuka i nowych przedpoczątków. —

O bracia moi, niedalekie to już czasy gdy nowe ludy wytrysną i nowe źródła w nowe potoczą się głębie.

Trzęsienie ziemi wszak, co wiele zasypuje studzien i wiele zagłady ze sobą niesie, ono wnętrzne siły i tajniki na światło dzienne wydźwiga.

Trzęsienie ziemi nowe źródła objawia. W trzęsieniu ziemi starych ludów nowe wytryskują źródła.

I kto oto wołać będzie: »Spojrzyj, oto studnia dla wielu spragnionych, oto serce dla wielu tęskniących, oto wola dla wielu narzędzi«: — wokół tego zbiera się naród, czyli: wielu doświadczających.

Kto rozkazywać może, kto słuchać powinien, — tam się tego doświadcza! Och, w jakże długiem dzieje się to poszukiwaniu i zgadywaniu, pośród jakich prób nieudanych, pouczań i nowych doświadczeń!

Społeczność ludzka; próbą jest ona i doświadczaniem, tako ja pouczam, — długiem poszukiwaniem: szuka ona rozkazodawcy! —

— próbą, o bracia moi! Nie zaś »umową«! Złamcież mi, złamcie to słowo miękkich serc i dusz połowicznych!

26.

O bracia moi! Gdzież jest największe niebezpieczeństwo dla wszelkiej ludzkiej przyszłości? Nie znajdujeż się ono pośród dobrych i sprawiedliwych? —

— jako tych, co mawiają i w sercach swych czują: »wiemy, co zacz dobrem jest i co sprawiedliwem, mamy to wszak już; biada tym, którzy tu jeszcze szukają!«

Jakąkolwiekby szkodę zrządzić zdołali źli: szkoda, czyniona przez dobrych, jest najszkodliwszą szkodą!

Jakąkolwiekby szkodę zrządzić zdołali świata zaprzańcy: szkoda, czyniona przez dobrych, jest najszkodliwszą szkodą.

O, bracia moi, dobrym i sprawiedliwym ten oto w serce zajrzał, kto ongi rzekł: »faryzeusze to są«. Nie rozumiano go jednak.

Sami nawet dobrzy i sprawiedliwi zrozumieć go nie mogli: duch ich jest zniewolony przez ich dobre sumienie. Głupota dobrych jest bezdennie roztropna.

Lecz to oto jest prawdą: dobrzy m u s z ą być faryzeuszami, — oni innego wyboru nie mają!

Dobrzy m u s z ą krzyżować tych, co własną sobie wynajdują cnotę! Oto co jest prawdą!

Wtórym, co oną krainę odnalazł, krainę serca i królestwa dobrych i sprawiedliwych, był ten, co oto pytał: »kogóż oni nienawidzą najbardziej?«

Tworzącego nienawidzą oni najbardziej: tego, kto stare tablice i stare wartości łamie, burzyciela tego, — złoczyńcą zwą go oni.

Dobrzy bowiem — tworzyć nie mogą: oni są zawsze początkiem końca: —

— krzyżują tych, co nowe wartości na nowych wypisują tablicach, sobie przyszłość oni poświęcają, — przybijają do krzyża wszelką przyszłość ludzką!

Dobrzy — bywali zawsze początkiem końca. —

27.

O, bracia moi, czyście i to słowo pojęli? Oraz com niegdyś mówił »o ostatnim człowieku?« — —

Pośród jakich to ludzi czyha największe niebezpieczeństwo na wszelką przyszłość ludzką? Nie czyhaż ono pośród dobrych i sprawiedliwych?

Łamcież mi, złamcie dobrych i sprawiedliwych! — O, bracia moi, czyście i to słowo pojęli?

28.

Pierzchacie przede mną? Jesteście przerażeni? Drżycie przed tem słowem?

O, bracia moi, gdym was wzywał, abyście złamali dobrych i ich tablice: wówczas dopiero wywiozłem ja człowieka na jego pełne morze.

I oto teraz dopiero opada go wielka trwoga, wielkie obzieranie się wokół, wielka choroba, wielki wstręt, wielka choroba morska.

O fałszywych lądach pouczali was dobrzy i fałszywych nauczyli pewności; w kłamstwie dobrych byliście zrodzeni i chowani. Wszystko jest aż do dna zakłamane i wykrzywione przed dobrych.

Lecz kto krainę »Człowiek« odkrył, ten odkrył również i krainę »Przyszłość ludzka«. Żeglarzami bądźcież mi więc dzielnymi i cierpliwymi!

Zawczasu chadzajcież mi prosto, o bracia moi, zawczasu uczcie się chodzić nieugięcie! Burzy się morze: wielu przy was wyprostować się pragnie.

Burzy się morze: wszystko już w morzu! Dalej więc! Śmiało! Krzepkie serca wy żeglarskie!

I cóż nam z ziemi ojców! Tam ster nasz kierować chce, gdzie naszych dzieci jest ziemia! Tam oto, nad morze burzliwsza, rwie się nasza tęsknica! —

29.

»Czemuż tak twardo! — rzekł raz do dyamentu węglik kuchenny; czyż nie jesteśmy blizko powinowaci?« —

Czemuż tak miękko? O, bracia moi; ja was tak oto pytam: czyż nie jesteście — braćmi mymi?

Czemuż tak miękko, tak ulegle, tak ustępczo?

Czemuż tyle zaprzeczeń, tyle zaparcia jest w sercach waszych? Czemuż tak mało przeznaczenia jest w waszem wejrzeniu?

A jeśli przeznaczeniami być nie chcecie nieubłaganemi: jakżebyście wraz ze mną mieli kiedyś — zwyciężać?

A gdy twardość wasza ani błysnąć, ani przedzielić, a przeciąć nie zdoła: jakżebyście wraz ze mną mieli kiedyś — tworzyć?

Twórcy bowiem twardzi są. I błogością zdawać się wam winno dłoń waszą na tysiącoleciach, niby na wosku, wyciskać, —

— błogością na woli tysiącoleci, niby na spiżu, ryć, — twardszymi będąc niźli spiż, szlachetniejszymi nad spiż. Zupełnie twarda jest tylko rzecz najszlachetniejsza.

Tę nową tablicę, o bracia moi, stawiam ponad wami: t w a r d y m b ą d ź ! —

30.

O wolo ma! Wszelkiej odwrótnico niedoli, ty m o j e j doli musie niechybny! Uchyl że ode mnie wszelkie małe zwycięstwa!

Ty duszy mojej zrządzenie, które przeznaczeniem zowę! Ty we mnie będące! Ty nade mną! Zaoszczędź i zachowajże ty mnie ku jednemu wielkiemu przeznaczeniu!

A swą ostatnią wielkość, o wolo ma, zaoszczędź na czyn swój ostatni, — abyś nieubłagalna była w swem zwycięstwie! Och, któż nie ulegał własnemu zwycięstwu!

Och, czyjegoż oka nie zamroczył ten zmierzch opojny! Och, czyjaż noga nie zachwiała się i nie oduczyła w zwycięstwie — stania! —

— Abym gotów i dojrzały był w czas wielkiego południa: gotów i dojrzały, jako spiż płomienny, jako chmura gromami ciężarna z obrzmiałem mleka wymieniem: —

— gotów do samego siebie i do woli swej najskrytszej: łukiem strzały swej żądnym, strzałą gwiazdy swej żądną: —

— gwiazdą gotową i dojrzałą ku swemu południu, płomienną, przebitą i temi niszczącemi strzały słońca — szczęsną: —

— słońcem żebym był samem i nieubłaganą wolą słoneczną, gotową do zniszczenia w zwycięstwie!

O wolo, wszelkiej odwrótnico niedoli, ty doli mojej musie niechybny! Zachowajże ty mnie ku jednemu wielkiemu zwycięstwu! — —

Tako rzecze Zaratustra.



POWRACAJĄCY DO ZDROWIA.

I.

Pewnego poranku, w jakiś czas po powrocie do jaskini, zerwał się Zaratustra ze swego posłania, jak opętany, krzyczał strasznym głosem i zachowywał się tak, jak gdyby na posłaniu pozostał jeszcze ktoś, co żadną miarą powstać nie chce. Głos Zaratustry rozbrzmiewał tak donośnie, że zwierzęta jego zbiegły się przestraszone; zaś ze wszystkich pieczar i kryjówek wokół jaskini Zaratustry powypłaszał się zwierz wszelaki i latał, trzepotał się, pełzał lub skakał, jak mu przyrodzenie nóg lub skrzydeł pozwalało. A Zaratustra mówił temi słowy:

Bywaj, myśli przepaścista, z mojej wynurzaj się głębi! Jam twym kogutem i świtem, zaspany nicponiu! Bywaj! bywaj! Mój głos dopieje się przecie ocknienia twego!

Zerwij więzy z uszu swoich! Słuchaj! Gdyż ja

słuchać cię pragnę! Bywaj! bywaj! Gromu tu dosyć, aby i groby do słuchania zmusić!

Spędź sen oraz gnuśność i ślepotę z oczu swoich! Słuchaj mnie i oczyma swemi: mój głos jest lekiem dla ślepo urodzonych.

A gdy raz się ockniesz, masz mi czuwać wiecznie. Nie m ó j to obyczaj prababki ze snu budzić, aby je znów — do snu układać!

Poruszyłaś się, przeciągasz się, rzęzisz? Bywaj! bywaj! Nie rzęzić — lecz mówić mi masz! Woła cię Zaratustra, bezbożnik!

Ja, Zaratustra, orędownik życia, orędownik cierpienia, orędownik koliska — wołam cię, myśli ma przepaścista!

Chwała mi! Zbliżasz się — słyszęć już! Bezdeń ma p r z e m a w i a, ma ostatnia głębia dobyła się na światło dzienne!

Chwała mi! Bliżej tu! Dłoń mi podaj — — ha! puszczaj! — Ha, ha! — — Wstręt, wstręt,wstręt — — — biada mi!

2.

Zaledwie jednak Zaratustra te słowa wygłosił, zwalił się z nóg jak martwy, i jak martwy, długi czas na ziemi leżał. Gdy przyszedł wreszcie do siebie, blady był na twarzy, drżący na ciele, z łoża podnosić się nie chciał i wzbraniał się długo jeść i pić. Trwało to dni siedm; zwierzęta nie opuszczały go dniem i nocą, orzeł tylko wylatywał raz po raz, aby

pokarm mu znieść. Co zaś znalazł i zrabował, układał na posłaniu Zaratustry: tak że Zaratustra leżał wreszcie pod stosem żółtych i czerwonych jagód, gron, jabłek różanych, wonnych ziół i szyszek piniowych. U nóg zaś jego leżało jagniąt dwoje, które orzeł z trudem porwał pastuchowi.

Wreszcie po siedmiu dniach podjął się Zaratustra z łoża, wziął jabłko różane do ręki i lubował się jego wonią. Wówczas, mniemały zwierzęta, nastał czas, kiedy do niego przemówić należało.

»O, Zaratustro, rzekły, oto już siedm dni z ciężką leżysz powieką: nie zechciałbyś wreszcie podjąć się na nogi?

Wyjdź z jaskini swej: świat na cię, jako ogród, czeka. Wiatr igra ciężkiemi wonnościami, co do cię garnąć się pragną; wszystkie strumienie gonić cię chcą.

Rzeczy wszelkie tęskniły za tobą, czasu gdyś ty siedm dni sam pozostawał, — wynijdź z jaskini swej! Rzeczy wszelkie lekarzami chcą ci być!

Zali nowe nawiedziło cię poznanie, gorzkie i ciężkie? Jako kwaśny zaczyn leżałeś tu oto, dusza wezbrała w tobie i pęczniała poza brzegi wszelkie.—«

— O, zwierzęta me, odparł Zaratustra, gawędźcież dalej, a mnie słuchać pozwólcie! Skrzepia mnie to, gdy waszej słucham gawędy; gdzie się gawędzi, tam świat staje się wnet dla mnie ogrodem.

Jakże rozkosznem jest to, że słowa i dźwięki na świecie są: czyż słowa i dźwięki nie są to tęcze i mosty złudne nad wieczną rozłąką rzeczy?

Do każdej duszy odrębny świat przynależy; dla każdej duszy jest inna dusza zaświatem.

Między największemi zwłaszcza podobieństwami kłamie pozór najpiękniej; zaś przez najmniejszą szczelinę najtrudniej mosty przerzucać.

Dla mnie — jakżeby »poza mną« być mogło? Niemasz »na zewnątrz«! Lecz zapominamy o tem przy dźwiękach; i jakże rozkosznem jest to, że zapominamy!

Czyż rzeczy wszelkie nie obdarzono nazwami i dźwiękami, aby się człowiek przy rzeczach orzeźwiał? Pięknąż bo pustotą jest mowa: pląsa nią człowiek nad rzeczami wszelkiemi.

Jakże rozkoszna jest wszelka mowa i wszystkie kłamstwa dźwięków! Dwiękami pląsa miłość nasza po barwistych tęczach. —

— »O, Zaratustro, rzekły na to zwierzęta, przed takimi, co jak my myślą, rzeczy wszelkie same pląsają: wszystko to jawi się, dłonie sobie podaje, śmieje się, pierzcha — i powraca.

Wszystko idzie, wszystko powraca; wiecznie toczy się koło bytu. Wszystko zamiera, wszystko zakwita; wiecznie rok bytu bieży.

Wszystko się łamie, wszystko znów się spaja; jednakie buduje się wiecznie domostwo bytu. Wszystko się rozłącza, wszystko wita się ponownie; wiernem pozostaje sobie wiecznie bytu kolisko.

W każdem mgnieniu poczyna się byt; wokół każdego »tutaj« toczy się kula: »tam«. Srodek jest wszędzie. Krzywy jest szlak wieczności«. —

— O, wy sowizdrzały i katarynki! — odparł Zaratustra i śmiał się znowuż, jakże wy dobrze wiecie, co się w ciągu dni siedmiu dokonać musiało: —

— i jak mi ów potwór w gardziel wpełznął i dusił! Lecz odgryzłem mu głowę i wyplułem ją precz.

A wy, — wyście już piosnkę z tego uczyniły? Lecz oto leżę tu, wyczerpany ukąszeniem i wypluciem tem, chory jeszcze z własnego wyzwolenia.

A wyście przyglądały się temu? O, zwierzęta me, jesteście i wy okrutne? Więc widokiem wielkiego bólu pragnęłyście się napawać, jak to ludzie czynią? Albowiem człowiek jest najokrutniejszem zwierzęciem.

Wobec tragedyi, walk byków i ukrzyżowań czuł się dotychczas najrozkoszniej; a gdy piekło sobie wynalazł, patrz! stało się ono jego niebem na ziemi.

Gdy wielki człowiek krzyknie —: mały wnet się tu znajdzie; i język z gęby lubieżnie wywiesi. Zwie on to wszakże »współczuciem« swojem.

Człowiek mały, osobliwie poeta — jakże on zapamiętale życie oskarża! Słuchajcież tedy, lecz baczcież, abyście się nie przesłyszeli i wyczuli rozkosz, która w tych wszystkich oskarżeniach tkwi!

Ci oskarżyciele życia! ich życie zwycięża jednem mrugnięciem oka: »Kochasz mnie? pyta czelnie; poczekaj nieco, jeszcze ja czasu dla ciebie nie mam«.

Człowiek jest dla samego siebie najokrutniejszem zwierzęciem; i pośród tych wszystkich, co się »grzesznikami«, »krzyża swego dźwigaczami« i »pokutnikami« zwą, baczcie mi na tę rozkosz, która w ich skargach i oskarżeniach tkwi!

Zaś ja sam — chcęż ja temi słowy oskarżycielem być człowieka? Och, zwierzęta me, to jedno przeświadczenie zdobyłem dotychczas, że człowiekowi to jego »najgorsze« niezbędnem jest do najlepszego; —

— że wszystko najgorsze jest najwyższą siłą i najtwardszym kamieniem dla najwyższego

twórcy; oraz że człowiek lepszym i gorszym stać się musi! —

Nie do tego torturowego łoża przykuty byłem, iż wiedziałem: »człowiek jest zły«, — lecz przeciwnie: jam wołał, jako nikt dotychczas jeszcze nie wołał:

»Och, że też to jego »najgorsze« jest tak bardzo małe! Och, że też to jego »najlepsze« jest tak bardzo małe!«

Wielki przesyt człowiekiem — on to mnie dławił i w przełyk zapełzał: oraz i to, o czem wróżbiarz wróży: »wszystko jest obojętne, nie opłaca się nic, wiedza dławi«.

Wielki zmrok wlókł się przede mną, długi, śmiertelnie znużony i śmiercią pijany smutek, co ziewającemi usty przemawiał.

»Wiecznie powraca on, ów człowiek, którymś ty się znużył, człowiek mały«, — tak ziewał mój smutek i powłóczył nogą, a zasnąć nie mógł.

W piekło przeistoczyła mi się ziemia ludzka, zapadła się pierś jej, wszystko, co żyło, stało mi się próchnicą ludzką, i kością trupią, i zmurszałą przeszłością.

Siadywało me wzdychanie na wszystkich grobowcach człowieczych, a wstawać nie mogło; pytania i westchnienia me rechotały, dusiły i trawiły mnie, skarżąc się dniem i nocą:

— »och, człowiek wiecznie powraca! Człowiek mały powraca wiecznie!« —

Nago ujrzałem raz obu, największego i najmniejszego człowieka: nazbyt podobni byli do siebie, — nazbyt ludzki nawet i ten największy!

Nazbyt mały największy! — to mi omierzłym uczyniło człowieka! A wieczny wrot nawet i tego, co najmniejsze! — omierziło mi to istnienie wszelkie!

Och, wstręt! wstręt! wstręt! — — Tako rzekł Zaratustra, westchnął i przeraził się, gdyż przypomniał sobie chorobę swą. Lecz zwierzęta jego przerwały mu tu dalszą mowę.

»Nie mów już, ty do zdrowia powracający! — odparły mu zwierzęta, raczej wyjdź z jaskini, gdzie świat na cię, jako ogród, czeka.

Między róże i pszczoły wyjdź i między roje idź gołębie! Osobliwie do ptaków idź śpiewających: abyś się ś p i e w u od nich nauczył!

Śpiewać bo pragnie ozdrowiewający; zdrowy niech przemawia. A gdy i zdrowy pieśni zapragnie, innych zechce on pieśni, niźli do zdrowia powracający«

— »O, wy sowizdrzały i dudy niemilknące, zamilczcież wreszcie! — odparł Zaratustra i śmiał się ze swych zwierząt. Jakże wy dobrze wiecie, jaką to pociechę wymyśliłem sobie w ciągu tych dni siedmiu!

Iż znowuż śpiewać oto muszę, — t ę pociechę wynalazłem sobie i t o uzdrowienie: chcecież i na to wnet piosnkę ułożyć lutniową?«

— »Nie mów już, odparły zwierzęta ponownie; zdziałaj raczej, ozdrowiały, nową wprzódy lutnię dla swych pieśni nowych!

Gdyż zważ to, Zaratustro! Nowym twym pieśniom nowej potrzeba lutni.

Śpiewaj i płoń, o Zaratustro, zlecz nowemi pieśni duszę swą: abyś swe wielkie udźwignął przeznaczenie, które jeszcze żadnego człowieka przeznaczeniem nie było!

Gdyż zwierzęta twe wiedzą wszak, o Zaratustro, kim jesteś i stać się musiałeś: patrz, tyś jest nauczycielem wiecznego wrotu —, oto twe przeznaczenie!

A żeś pierwszym, co tę naukę wieścić musi, — jakżeby przeznaczenie to nie miało być snadnie twem największem niebezpieczeństwem i chorzeniem twem!

Patrz, my wiemy, czego ty uczysz: że rzeczy wszelkie wiecznie powracają, a my wraz z niemi, i że wieczne razy jużeśmy tu były, a rzeczy wszelkie wraz z nami.

Uczysz, że jest wielki rok stawania się, olbrzymi, potworny rok, co jako zegar piaseczny, wciąż na nowo wrotnie nastawiać się musi, aby na nowo się osypywał i do końca dobiegał: —

— tako, iż wszystkie te roki są sobie równe w wielkiem i małem zarazem, — tako, iż my sami w każdym wielkim roku jesteśmy jednacy w wielkiem i w małem zarazem.

A gdybyś ty teraz zemrzeć chciał, o Zaratustro, wiemy i to, jakbyś w tej chwili do się przemawiał: — wszakże zwierzęta twe błagają cię — abyś jeszcze nie umierał!

Przemawiałbyś bez drżenia, raczej z przydechem błogości: gdyżby wielkie brzemię i zdławienie zdjęte były wreszcie z ciebie, ty najcierpliwszy! —

»Oto umieram i zanikam, mówiłbyś wówczas, jedno mgnienie, a stanę się nicością. Dusze są równie śmiertelne, jak i ciała.

Lecz powróci ten węzeł przyczyn, w który i ja wplątany jestem, — stworzy on mnie ponownie! Jać sam należę do przyczyn wiecznego wrotu.

Powtórzę się wrotnie wraz z tem słońcem, tą ziemią, tym orłem i wężem tym — nie do nowego, ani lepszego życia, ani też do podobnego:

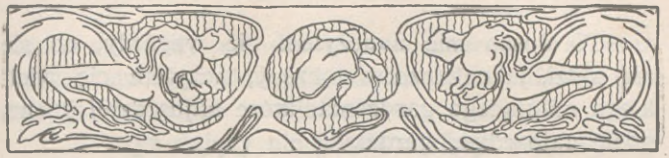
— powracać będę wiecznie do zawsze jednakiego i zawsze tego samego życia, zarówno w rzeczach wielkich jak i małych, tak, abym znowuż o rzeczy wszelkich wiecznym wrocie nauczał, —

— abym znowuż me słowo głosił o wielkiem dla świata i ludzi południu, abym znowuż ludziom nadczłowieka zwiastował.

Rzekłem me słowo i łamię się na słowie mem: tako chce ma dola wieczna —, jako zwiastun ginę!

Nastała godzina, w której schodzący samego siebie błogosławi. Tak — kończy się znijście Zaratustry«. — —

Skoro zwierzęta te słowa rzekły, zamilkły i oczekiwały, aby Zaratustra do nich przemówił: Zaratustra wszakże nie słyszał, że one milczą. Leżał oto z zamkniętemi oczyma, na pozór śpiący, aczkolwiek od zaśnięcia daleki: gdyż z duszą własną rozmowę wówczas wiódł. Wąż i orzeł, widząc go tako milczącym, uszanowały wielką wokół niego ciszę i oddaliły się oględnie.



O WIELKIEJ TĘSKNICY.

O duszo ma, jam cię nauczył mawiać »dziś«, jak »niegdyś« lub »ongi« i ponad wszelkiem »tu«, »tam« i »ówdzie« w pląsach się ponosić.

O duszo ma, jam cię wyzwolił ze wszystkich starych zakamarków, omiotłem z ciebie pył, pajęczynę i mroki.

O duszo ma, omyłem cię z drobnej wstydliwości i podmówiłem, abyś naga w oczach słońca stanęła.

Nawałnicą, która zwie się »duchem«, zadąłem ponad twem rozfalowanem morzem; wszystkie chmury zdmuchnąłem precz, zdławiłem nawet tego dławca, co się »grzechem« zowie.

O duszo ma, nadałem ci prawo powiadać »nie!« jako nawałnica, i głosić »tak!«, jako się jasne głoszą niebiosa: oto jesteś mi cicha jak światło, i cicha przechodzisz przez nawałnice przeczenia.

O duszo ma, zwróciłem ci wolność nad wszystkiem, co stworzone i jeszcze nie zdziałane: któż zasię zna, jako ty znasz, rozkosz rzeczy przyszłych?

O duszo ma, nauczyłem cię wzgardy, co się nie rodzi, jako zaczerw toczący, uczyłem cię wielkiego miłującego gardzenia, które najbardziej kocha, gdzie najbardziej gardzi.

O duszo ma, uczyłem cię tak przekonywać, abyś i słuszności same ku sobie nakłaniała: jako słońce, co nawet i morze ku swojej podmawia wyżynie.

O duszo ma, odjąłemć wszelką uległość, wszelkie kolan uginanie i »jasny pan« mawianie; sam ci nadałem imiona: »odwrotnica niedoli« i »przeznaczenie«.

O duszo ma, dałem ci nowe imiona i jaskrawe bawidełka, zwałem cię »przeznaczeniem« i »obszarem obszarów« i »pępowiną czasu« i »dzwonem lazurowym«.

O duszo ma, krainę twą poiłem wszelką mądrością, dawałem ci wszelkie nowe moszcze oraz wszystkie prastare, tęgie wina mądrości.

O duszo ma, każde słońce zlewałem na cię, każdą noc, każde milczenie i tęsknotę każdą: — i oto wyrosłaś mi, jako winny krzew.

O duszo ma, przebogatą i brzemienną stałaś mi się, krzewem stałaś się winnym o nabrzmiałych wymionach, krzewem gęstym od brunatno-złotych gron: —

— gęstym i uginającym się pod własnego szczęścia ciężarem, wyczekującym w nadmiarze swym, a w tem oczekiwaniu jeszcze wstydliwym.

O duszo ma, niemasz bo nigdzie duszy, któraby była bardziej i miłująca, i ogarniająca, i nieogarnięta. Gdzieżby bo przeszłość i przyszłość w bliższym były zespole, niźli u ciebie?

O duszo ma, dałemć wszystko, wszystkie me

dłonie opróżniły się dla cię: — a teraz oto! Teraz rzeczesz mi uśmiechnięta i smętku pełna: »Któż z nas dwojga dziękować tu winien? —

— czyż dający nie powinien dziękować, że biorący przyjął? Czyż darowywanie nie jest potrzebą piekącą? Czyż branie nie jest — zmiłowaniem?«—

O duszo ma, pojmuję ja uśmiech twego smętku: nadmiar twego bogactwa wyciąga oto dłonie tęskniące!

Pełnia twa zapatrzyła się na morza wzburzone i szuka, i oczekuje; tęsknota przepełni wyziera z oczu twych niebios uśmiechniętych!

I zaprawdę, o duszo ma! Jakieżby oczy, uśmiech twój ujrzawszy, we łzach nie zatonęły? Aniołowie łzami opływają nad przedobrocią uśmiechu tego.

Dobroć i przedobroć twa, one to skarżyć się nie chcą i płakać nie umieją: a jednak uśmiech twój, o duszo ma, tęskni do łez, a drżące twe usta do załkania.

»Nie jest płacz wszelki skargą, a wszelaka skarga oskarżeniem?« Tak do się przemawiająca, wolisz, o duszo ma, uśmiechać się raczej, niźli żal swój wynurzać,

— wytryskiem łez wynurzać rozżalenie swe całe nad własną pełnią i nad tem krzewu winnego wnętrznem parciem do winobrańcy i noża winobrańczego!

A skoro nie chcesz płakać, nie chcesz wypłakać purpurowego smętku swego, śpiewać więc będziesz musiała, o duszo ma! — Patrz, ja sam się uśmiecham, ja, coć na to wróżę:

— śpiewać będziesz musiała, śpiewem, jak fala wzburzonym, póki wszystkie nie uciszą się morza, aby twojej nadsłuchiwały tęsknicy, —

— póki na uciszonych tęsknych morzach nie zakołysze się łódź, złocisty czar, a wokół tego złota wszystkich dobrych a złych przedziwnych rzeczy pląs: —

— i liczna rzesza wielkich i małych stworzeń, oraz wszystko, co tak lekkie, przedziwne posiada stopy, że po fijołkowych ścieżkach potrafią biedz, —

— hen, do złocistego czaru zbiedz, do łodzi ochotnej i do łodzi onej pana: ten zaś jest winobrańcą, co z dyamentowym nożem winobrania oczekuje, —

— twój wielki wyzwoliciel, o duszo ma, ów bezimienny — — któremu przyszłe pieśni imię dopiero nadadzą! I zaprawdę, już oddech twój niesie woń przyszłych pieśni, —

— już płoniesz i marzysz, już pijesz spragniona u wszystkich głębokich dźwięcznych studzien ukojenia, już zległ twój smętek w błogości przyszłych gędźb! — —

O duszo ma, oto oddałem ci wszystko, nawet to, co mi jedynie jeszcze pozostało, wszystkie me dłonie opróżniły się przy tobie: — a żem ci śpiewać nakazał, patrz, to był dar mój ostatni!

A żem cię do śpiewu zwał, powiedz, mów: z dwojga nas — dziękować komu tu? — Lub słuszniej czyń: śpiewaj, o śpiewaj duszo ma! A mnie dziękować każ! —

Tako rzecze Zaratustra.

DRUGA PIEŚŃ TANECZNA.

I.

W oczy twe spojrzałem wreszcie, o życie: złoto błysnęło mi w twem nocnem oku, — i zamarło serce me od rozkoszy tej:

— złota łódź błysnęła mi na nocnych wodach, tonąca, chłonąca i znów oto wabiąca złotej łodzi kołyska!

Na nogi me, które szał taneczny ogarniał, rzuciłaś jedno spojrzenie, — drwiące, pytające, rozkoszą kołyszące spojrzenie:

Dwukrotnie zaledwie poruszyłaś grzechotki drobną dłonią swą: już kołyszą się me nogi, już w taneczny wpadły szał. —

I wspinały się już stopy, palce już słuchały, by zrozumieć cię: bo wszak tancerz czujny słuch — w palce stóp swych śle!

Kiedy żądny ktobie skoczę: wioniesz wstecz, płochliwa; jako język, szydzi zwiewna włosów twoich grzywa!

A kiedy od ciebie, od węży twych odskoczę: w półzwróconych ku mnie oczach pożądliwość zoczę.

Zdradne twoje oczy — na zdradne wiodą drogi; na twych zdradnych ścieżkach — podstępów uczę nogi!

Kiedyś blizka — lękiem zdjęty, gdy daleka — kochający; twą ucieczką przywabiony, a gdy szukasz, przepłoszony: — cierpię, lecz czegóżbym nie przebolał dla cię bolejący!

A że chłód twój rozpłomienia, nienawiść uwodzi, że ucieczka twoja pęta, twój szyd — tkliwość rodzi:

— więc któż tobie nie złorzeczy doświadczeń omocie, poszukiwań i znajdywań mistrzyni jedyna! Któż więc ciebie raz nie kochał, wichrolotny trzpiocie, ty niewinna, z okiem dziecka — ladaczna dziewczyna!

Dokąd ciągniesz mnie niestatku, dokąd niesfornico? Jużeś prysła, zło niewdzięczne, uroczne ty lico?

Wciąż za tobą błędny tańczę, pląsam w każdy ślad. Gdzie jesteś? — mów! I rękę daj! Choć palec podaj mi na zwiad!

Tu haszcze wokół są i jamy: zbłądzenia czuję lęk! — Hejże, stój! I słysz: jak warczy skrzydło sów i nietoperzy sięg.

Sowo ty! — nietoperzu! Więc zwodzić chcesz mnie? — mów! Tych skoleń i brzechotań nabyłaś snadź od psów!

I już w uśmiechu ślesz swych ząbków błysk perlisty; a złe się ku mnie oczy rwą z pod grzywy twej falistej!

Hej, radosny to jest tan poprzez turnie wschwał: jam łowcą! Chcesz psem mi być, czy kozicą skał?

Chyżo więc! Złośliwa kozico, skacz na skalny próg! — Biada mi! W skokach tych szalonych zwaliłem się z nóg!

Spojrzyj na mnie, o niestatku: do nóg powalony, błagam, abym ciebie — w milsze wywiódł strony!

— na miłosne wywiódł szlaki, na barwisty łan, na jeziora ciche brzegi, nad ryb złotych tan!

Bardzo widzęć umęczoną: — tam na dole zorze płoną, owce pasą się: wszakże śpi się tak rozkosznie, kiedy pastuch hen, rozgłośnie na fujarce dmie.

Bardzoś widzę umęczona! Opuść tylko swe ramiona, ogarnij mą szyję. Lecz gdy pragniesz, — mojej wody, wiem niestety, tej ochłody warga twa nie pije! —

— O przeklęty giętki wężu! — Prysłaś, skrętna czarownico! Na mej twarzy, po twych dłoniach dwie czerwone plamy świecą!

Już znużyły mnie zaprawdę pasterki fletniowe! Teraz wiedźmo opiewana, krzyczże, co się zowie!

W śmig biczyska pląsająca, zaśpiewać mi chciej! Swegom bicza nie zapomniał? — Nie zapomniał! — Hej!« —

2.

A życie mi na to, przysłaniając swe wdzięczne uszka:

»O, Zaratustro! nie trzaskajże tak strasznie swem biczyskiem! Wiesz przecie: hałas myśli zabija. A nawiedzają mnie właśnie myśli łagodne.

Jesteśmy oboje prawdziwie dwoje »nicdobrego« i »niczłego«. Poza rubieżą dobra i zła znaleźliśmy swą ziemię obiecaną i swe łany zielone — my oboje tylko! Wypada nam być w zgodzie!

A jeśli się nie kochamy całą duszą, — to czyliż mamy się dlatego wciąż trapić wzajemnie, że się nie kochamy całą duszą?

A żem ci jest szczerze skłonna, i niekiedy zbyt skłonna, wiesz wszakże o tem: przyczyną jest to, żem zazdrosna o twoją mądrość. Och, o tę szaloną dziewkę — mądrość twoją!

Jeśliby cię twa mądrość kiedykolwiek odbiedz miała, o, wiedz, że wówczas i miłość ma wnet cię opuści.« —

Potem spojrzało życie w zamyśleniu poza siebie i rzekło cicho: »O, Zaratustro, tyś niedość mi wierny!

Nie kochasz mnie wcale tak bardzo, jako mówisz; toć wiem, że o tem tylko myślisz, jakby mnie niebawem opuścić.

Jest jeden, prastary, ciężki, ogromnie ciężki dzwon-mruk: nocą bije głuchy jego pomruk wzwyż aż do twej jaskini: —

— gdy o północnej godzinie dzwon ten słyszysz, o tem myślisz między pierwszem a dwunastem uderzeniem —

— o tem myślisz, Zaratustro, och, ja wiem, że mnie niebawem opuścić chcesz!« —

»Tak jest, — odparłem z wahaniem, — ale wiesz także —« Szepnąłem jej coś na ucho, w tę puszystą, płową, uroczną matnię złotych jej włosów.

»Więc ty wiesz o tem, Zaratustro? Tego nikt nie wie. — —«

Spojrzeliśmy na siebie, potem przenieśliśmy wzrok na zieloną łąkę, ponad którą biegł właśnie wieczór tchnieniem wilgotnem. I zapłakaliśmy oboje. — O, wówczas było mi życie stokroć droższe nad wszystką mądrość moją. —

Tako rzecze Zaratustra.

3.

RAZ!

Człowiecze, śpisz?

DWA!

Coś brzmi z północnej głuszy wzwyż!

TRZY!

»Jam spał, jam spał —,

CZTERY!

»Z głębokich snu się budzę cisz: —

PIĘĆ!

»Świat — głębin zwał,

SZEŚĆ!

»Głębszych, niż, jawo, myślisz, śnisz.

SIEDM!

»Ból — głębi król.

OŚM!

»Lecz nad ból — rozkosz głębiej drga:

DZIEWIĘĆ!

»Zgiń! — mówi ból.

DZIESIĘC!

»Rozkosz za wiecznem życiem łka —,

JEDENAŚCIE!

»— wieczności chce bez dna, bez dna!«

DWANAŚCIE!



SIEDM PIECZĘCI.

(CZYLI: PIEŚŃ NA »TAK!« I »AMEN!«)

I.

Jeślim wróżbiarzem jest, onego ducha wieszczego pełen, co na wysokiem jarzmie między dwoma morzami się snuje, —

między przeszłością i przyszłością, jako ciężka snująca się chmura, — wrogi nizinom parnym oraz wszystkiemu, co znużone, co ani umrzeć, ani żyć już nie potrafi:

do gromu z łona ciemnego gotów i do wyzwalających zarnicy lśnień, w te grzmoty brzemienny, co »tak!« głoszą, — »tak!« się śmieją, do wyzwalających gotów błyskawic: —

— błogosławion niechże będzie taki brzemienny! I zaprawdę, długo jako ciężka chmura nad górami zawisać ten musi, co kiedyś przyszłości światło rozniecić ma! —

o, jakżebym ja nie miał być żądnym wiecz-

ności i weselnego pierścienia pierścieni, — pierścienia wrotu nie pragnąć!

Nigdym nie napotykał kobiety, z którąbym dzieci chciał; snadź ta jest kobietą, którą kocham: albowiem kocham cię, o wieczności!

Albowiem kocham cię, o wieczności!

2.

Jeśli gniew mój groby kiedykolwiek burzył i, stare krusząc tablice, w przepastne spychał głębi:

jeśli szyd mój zmurszałe rozpylał słowa, jeśli był jako miotła dla krzyżowych pająków i jako wicher przewiewny dla grobowisk:

jeślim zasiadał tryumfujący, gdzie stare pogrzebano bogi, ja światu błogosławiący, świat miłujący obok posągów starych świata oszczerców:

— a kocham nawet świątynie i bogów grobowce, skoro tylko nieba jasne oko poprzez wybite przeziera sklepienie; jako murawa i maki kraśne rad na zburzonych zasiadam świątyniach —

o, jakżebym nie miał być żądnym wieczności i weselnego pierścienia pierścieni, — pierścienia wrotu nie pragnąć?

Nigdym nie napotykał kobiety, z którąbym dzieci chciał, snadź ta jest kobietą, którą kocham, albowiem kocham cię, o wieczności!

Albowiem kocham cię, o wieczności!

3.

Jeśli choć jedno tchnienie z twórczego nawiedziło mnie tchnienia, z onego musu niebiańskiego, co przypadki nawet wzmaga i w gwiezdne koliska pląsać je zniewala:

jeśli śmiałem się kiedykolwiek onym błyskawicowym śmiechem, po którym długi grzmot czynu ponuro lecz ulegle się toczy:

jeślim kiedykolwiek na boskim stole ziemi w boskie grał kości, aż ziemia drżała i, rozwierając się, ogniste wywnętrzała rzeki: —

— a stołem boskim jest ziemia, drżącym od twórczych nowych słów i boskich kości: —

o, jakżebym nie miał być żądnym wieczności i weselnego pierścienia pierścieni, — pierścienia wrotu nie pragnąć?

Nigdym nie napotykał kobiety, z którąbym dzieci chciał, snadź ta jest kobietą, którą kocham, albowiem kocham cię, o wieczności!

Albowiem kocham cię, o wieczności!

4.

Jeślim kiedykolwiek pełnym pijał zaciągiem z onego korzennopienistego dzbana, w którym rzeczy wszelkie dobrze rozczynione są:

jeśli dłoń ma dolewała kiedy dale najdalsze do bliży najbliższych i ogień do ducha, i ochotę do cierpienia, i rzecz najgorszą do najlepszej:

jeślim jest ziarnem onej wyzwalającej soli, która sprawia, że w moszczowym dzbanie rzeczy wszelkie dobrze rozczynione są: —

— a istnieje sól taka, co dobre ze złem wiąże; zasię rzecz najgorsza jest zdatna do zaprawy i do ostatniego zmusowania: —

o, jakżebym nie miał być żądnym wieczności i weselnego pierścienia pierścieni, — pierścienia wrotu nie pragnąć?

Nigdym nie napotykał kobiety, z którąbym dzieci chciał, snadź ta jest kobietą, którą kocham: albowiem kocham cię, o wieczności!

Albowiem kocham cię, o wieczności!

5.

Jeślim morzu jest skłonny oraz wszystkiemu, co morza tchnienie z sobą niesie, a najskłonniejszy wówczas, gdy mi się ono gniewnie przeciwi:

jeśli owa poszukiwań pochopność jest we mnie, co żagle ku nieodkrytym krainom wydyma, jeśli żeglarza pochopność w mojej jest ochocie,

jeślim, radością pijany, wołał kiedy: »ląd z przed oczu ginie — ostatnie opadają łańcuchy —

— bezmiar tylko wokół mnie szumi, hen w dali lśni jeno czas i przestrzeń, dalejże! przed się! dzielne ty serce!« —

o, jakżebym ja nie miał żądnym być wieczności i weselnego pierścienia pierścieni, — pierścienia wrotu nie pragnąć?

Nigdym nie napotykał kobiety, z którąbym dzieci

chciał, snadź ta jest kobietą, którą kocham: albowiem kocham cię, o wieczności!

Albowiem kocham cię, o wieczności!

6.

Jeśli cnota ma tancerza jest cnotą, jeślim skokiem nóg obu wskakiwał często w złoto-szmaragdowe olśnienie:

jeśli ma złośliwość śmiejącym się jest szydem, pośród róż pnących i liliowych zagąszczy:

— a w śmiechu zło wszelkie jednoczy się, lecz uświęcone i rozgrzeszone własną błogością: —

jeśli alfą i omegą mą jest, że wszystko ciężkie lekkiem, każde ciało tancerzem, każdy duch ptakiem stać się winien: a zaprawdę, toć jest alfą i omegą moją! —

o, jakżebym nie miał być żądnym wieczności i weselnego pierścienia pierścieni, — pierścienia wrotu nie pragnąć?

Nigdym nie napotykał kobiety, z którąbym dzieci chciał, snadź ta jest kobietą, którą ukochałem: albowiem kocham cię, o wieczności!

Albowiem kocham cię, o wieczności!

7.

Jeślim kiedykolwiek ciche ponad sobą rozpinał niebiosa i o własnych skrzydłach we własne wzbijał się nieba:

jeślim, igrając, w głębokich światła pławił się dalach, gdzie mej wolności mądrość, — mądrość ptaka nawiedziła mnie: —

— a tak oto rzecze mądrość ptaka: »Patrz, niemasz tu góry, niema dołu! Rzuć się tu i tam, wdal, wstecz, o lekki! Śpiewaj! mówić przestań!

— »czyż słowa wszelkie nie są dla ciężkich stworzone? Nie kłamiąż lekkiemu słowa wszelkie? Śpiewaj! mówić przestań!« —

o, jakżebym nie miał żądnym być wieczności i weselnego pierścienia pierścieni, — pierścienia wrotu nie pragnąć?

Nigdym nie napotykał kobiety, z którąbym dzieci chciał, snadź ta jest kobietą, którą kocham: albowiem kocham cię, o wieczności!

Albowiem kocham cię, o wieczności!



TAKO RZECZE ZARATUSTRA.

CZĘŚĆ CZWARTA I OSTATNIA.

Och, gdzież na świecie działy się większe szaleństwa, niźli pośród litościwych? I cóż stworzyło więcej cierpień na świecie, nad szaleństwa współczujących?

Biada wszystkim kochającym, którzy nie mają wyżyny, sięgającej ponad litość!

Tak oto przemówił raz do mnie dyabeł: „i Bóg ma swe piekło: jest nim miłość ludzi".

Zaś niedawno te słowa zasłyszałem: „Bóg nie żyje; litość nad człowiekiem przyprawiła Boga o śmierć".

Tako rzecze Zaratustra II, str. 120.



OBIATA MIODOWA.

— I znowuż minęły i miesiące, i lata ponad duszą Zaratustry, nie baczył na nie; wszakże osiwiał włos jego. Pewnego dnia, gdy zasiadł na kamieniu przed jaskinią swoją i przed się wyglądał, — a wyziera się stamtąd na morze i precz ponad kręte przepaści —, wówczas zwierzęta obchodziły go kołem w zadumie i wreszcie ustawiły się przed nim.

»O Zaratustro, rzekły, snadź szczęścia swego wypatrujesz?« — I cóż mi z szczęścia! odparł, oddawna już szczęścia nie baczę, dzieła mego baczę«.— »O Zaratustro, rzekły zwierzęta po raz wtóry, mówisz, jak ten, co ma aż nadto dobra tego. Czyż nie pławisz się w błękitnem jeziorze szczęścia?« — »O, sowizdrzały, zaśmiał się Zaratustra, jakeście dobrze utrafiły tem porównaniem! Wszakże wiecie i to, że szczęście me ciężkie, że nie jest ono, jako płynna fala: dławi mnie, zejść ze mnie nie chce i jest, jako roztopiona smoła«. —

Wówczas zwierzęta poczęły znów krążyć wokół

niego w zamyśleniu i ustawiły się przed nim powtórnie. »O, Zaratustro, rzekły, więc to stąd pochodzi, że stajesz się coraz to żółtszy i ciemniejszy, aczkolwiek włos twój nabiera siwego i konopiastego wyglądu? Patrz, oto tkwisz w swej smolnej mazi!« — »O czemże wy tu mówicie, zwierzęta me, zaśmiał się Zaratustra, — zaprawdę, bluźniłem, gdym o smolności powiadał. To, co się ze mną staje, stawać się zwykło ze wszystkimi owocami, które dojrzewają. Miód to w mych żyłach zgęszcza mi krew i ucisza duszę«. — »Słusznie snadź powiadasz, Zaratustro, odparły zwierzęta i garnęły się doń; czybyś nie zechciał jednak na wysoką wejść dziś górę? Powietrze czyste, i widzi się dziś ze szczytów więcej świata, niźli kiedykolwiek«. — »Chętnie, me zwierzęta, odparł, doskonała jest wasza rada i jakby z serca mi dobyta: wejdę dziś na wysoką górę! Baczcież jednak, aby miód był tam pod ręką, żółto-biały, jak lód świeży plaster miodu złotego. Gdyż wiedzcie, chcę tam na górze obiatę złożyć miodową«. —

Kiedy Zaratustra na górze się znalazł, odprawił zwierzęta, które mu towarzyszyły, i ujrzał, że oto jest sam ze sobą: — wówczas śmiał się z całego serca, obejrzał się raz jeszcze i tak przemówił:

Żem o obiacie i o miodowej mówił obiacie, zaprawdę, mowy mej podstęp był to tylko i przydatne, zaprawdę, szaleństwo! Tu na górze wolniej mówić mogę, niźli przed jaskiniami pustelników i przed domowemi pustelników zwierzęty.

I na cóż obiaty! Czyż nie roztrwaniam, co mi darowanem bywa, ja rozrzutnik o dłoni tysiącu: jakżebym ja to — ofiarą mógł zwać!

A gdym miodu pożądał, pożądałem wszak tylko przynęty, i słodkiej, a lipkiej patoki, po którą nawet mrukliwe niedźwiedzie i ponure złe ptaki językiem sięgną:

— najlepszej pożądałem nęty, jako myśliwce i rybołowce jej łakną. Bo jeśli świat ciemną jest puszczą i wszystkich dzikich łowców ogrójcem, dla mnie jest on raczej przepaścistem i bogatem morzem,

— morzem, pełnem pstrych ryb i raków, wobec których bogów nawet pokusa ogarnąć może, aby rybakami i niewodołowcami się stać: tak pełen jest świat dziwotworów wielkich i małych!

Osobliwie świat człowieczy, morze ludzkie: — w jego to wody zanurzam swą złotą różczkę wędkową i mówię: roztwórz się, ludzka ty przepaści!

Roztwórz się, i wyrzuć mi swe ryby i raki błyskotliwe! Najlepszą nętą wabię dziś najdziwaczniejsze ryby ludzkie!

— nawet szczęście swe rozrzucam na wszystkie dale i odległości, między wschodem, południem i zachodem, zali nie nauczą się ryby ludzkie dorywać do szczęścia mego i trzepotać się wokół niego,

póki, wgryzłszy się w ukryte me ostrza, nie zostaną zniewolone ku mojej wyży, te najbarwistsze przepastne twory dna do najzłośliwszego ze wszystkich łowców ludzi.

Albowiem tymci jestem z głębi duszy i z przedpoczątku: pociągającym, przyciągającym, naprowadzającym, — ja przywódca, hodowca, sfornego chowu mistrz, co niedarmo samego siebie niegdyś nawoływał: »Stań się, kim jesteś!«

Przeto niechaj ku mnie oto wschodzą: gdyż na znak jeszcze oczekuję, zali nie nadszedł czas

mego znijścia; jeszcze sam między ludzi nie schodzę, jako to uczynić będę musiał.

Na toż to oczekuję podstępnie i szyderczo na wysokich górach, ani zniecierpliwiony, ani też cierpliwy, raczej jako ten, co się cierpliwości oduczył, — ponieważ już nie »cierpi«.

Albowiem dola ma czas mi pozostawia, zapomniała mnie ona snadź? Lub też może gdzieś za wielkim głazem w cieniu przysiadła i muchy może łapie?

I zaprawdę, wdzięczny jej za to jestem, tej swojej doli wiecznej, że mnie nie szczuje i nie prze, pozostawiając czas na psoty i złośliwości: tak iż dziś dla połowu ryb na tę wysoką wspiąłem się górę.

Czy ławiał człowiek kiedykolwiek ryby na wysokiej górze? I choć to nawet szaleństwem jest, co tu zamierzam i sprawuję: lepszeć to, niźli tam na dole stać się w oczekiwaniu uroczystym, zzielenieć i zżółknąć przytem —

— stać się w oczekiwaniu rozfukanym i gniewem dyszącym, — zawyciem z gór idącej, niby świętej, nawałnicy, niecierpliwcem się stać, co w doliny woła: »Słuchajcie, albo was bożym biczem wychłostam!«

Nie złorzeczę ja wszakże gniewcom tym! śmiech mnie tylko nad nimi bierze! Niecierpliwe muszą być te wielkie hałaśliwe bębny, głoszące się tylko dziś, lub nigdy!

Ja zaś i dola ma — nie przemawiamy do dziś, nie przemawiamy też i do nigdy: do przemawiań mamy i cierpliwość, i czas, i nadmiar czasu. Gdyż kiedyś nadejść musi i minąć nas nie może.

Cóż to nadejść musi i minąć nie powinno?

Nasz wielki hazard oto nasze wielkie dalekie królestwo człowiecze, królestwo Zaratustry, tysiącletnie — —

Jakże daleka może być ta »dal«? cóż mnie to obchodzi! Krzepko stojęć mimo to —, obu nogami stoję mocno na tej podwalinie,

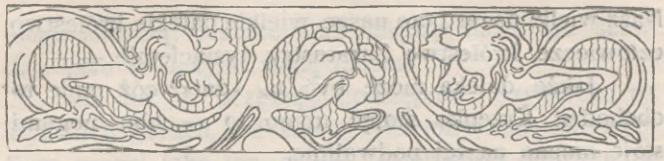
— na wiecznej podwalinie, na twardym pragłazie, na tem najwyższem, najtwardszem pragórzu, do którego wszystkie wichry ciągną, jak do burzowej rubieży, pytając: Gdzie? i Skąd? i Kędy?

Śmiej się tu, śmiej, ma jasna, krzepka złośliwości! Z wysokich gór rzuć swój migotliwy szydu śmiech! Przynęć mi swem migotaniem najpiękniejsze ryby ludzkie!

Oraz wszystko, co w morzach wszelkich do mnie należy, moje »dla mnie i przeze mnie« w rzeczach wszelkich — wyłówże mi to wszystko, dowiedźcie to ku mnie: na toż czekam wszak najzłośliwszy ze wszystkich rybołowców.

Wdal, wdal, wędko moja! W dół, w głąb, nęto szczęścia mego! Zrośże rosą swą najsłodszą serca mego miód! Zarwij, wędko ma, w brzuchy wszystkich czarnych smętków!

Wdal, wdal, oko moje! O, jakaż mnogość mórz wokół mnie, ileż świtających przyszłości ludzkich! Zaś nade mną — jakaż cisza różana! Jakież bezobłoczne milczenie!



WOŁANIE NA RATUNEK.

Następnego dnia siedział znowuż Zaratustra na głazie przed jaskinią swą, podczas gdy zwierzęta krążyły po świecie, szukając nowego pokarmu i nowego miodu: jako że stary miód roztrwonił Zaratustra i rozdał doszczętnie. Tak oto siedział z kijem w dłoni i cień własnej postaci na ziemi odrysowywał w zadumie, — a myślał, zaprawdę! nie o swym cieniu, — wtem przestraszył się i zadrżał: gdyż obok swego cienia spostrzegł nagle drugi cień. Gdy się na nogi zerwał i szybko poza siebie obejrzał, ujrzał owego wróżbiarza, którego ongi przy stole swym karmił i poił, zwiastuna wielkiego znużenia, co pouczał wówczas: »Wszystko jest obojętne, nie opłaca się nic, świat jest bez myśli, wiedza dławi«. Lecz oblicze jego zmieniło się od tego czasu; a gdy Zaratustra w oczy mu spojrzał, przeraziło się serce jego po raz wtóry: tyle złowieszczych zwiastowań i popielnych błysków przemykało po jego twarzy.

Wróżbiarz, widząc, co się dzieje w duszy Zaratustry, przetarł dłonią swe lice, jak gdyby zetrzeć je chciał; podobnież uczynił i Zaratustra. A gdy się tak obaj w milczeniu przemogli i skrzepili, podali sobie dłonie na znak, iż pragną się sobie przypomnieć.

»Bądź mi pozdrowiony, rzekł Zaratustra, ty wróżbiarzu wielkiego znużenia, chcę, byś nie darmo zasiadał owego czasu jako gość przy stole mym. Jedzże więc i pij tedy i dzisiaj, a wybacz, gdy do stołu wraz z tobą zasiądzie ochoczy starzec!« — »Ochoczy starzec? — odparł wróżbiarz i kiwał głową: kimkolwiek jesteś, lub być pragniesz, o Zaratustro, dotrwałeś do ostateczności tu na górze, — łódź twa już niedługo tkwić będzie na mieliźnie!« — »Tkwięż na mieliźnie?« — pytał Zaratustra ze śmiechem. — »Fale wokół twej góry, odparł wróżbiarz, sięgają coraz wyżej i wyżej, fale wielkiej niedoli i pognębienia: podejmą one niebawem łódź twoją i uniosą ją wdal«. — Zaratustra zamilkł na to i dziwił się. — »Czyż nie słyszysz jeszcze nic? — dopytywał wróżbiarz: czyż nie szumi i burzy się ku górze z głębi?« — Zaratustra milczał wciąż i nadsłuchiwał: wreszcie usłyszał długi, przeciągły krzyk, który przepaści przerzucały sobie wzajemnie, odsyłając go wdal, gdyż żadna zatrzymać go nie chciała: tak złe brzmienie było w nim.

»Ty zły zwiastunie, rzecze wreszcie Zaratustra, to jest wołanie o ratunek, krzyk człowieka, — wzbija się on snadź z jakiegoś czarnego morza. Lecz cóż mnie człowiecza obchodzi niedola! Ostatnia przeznaczona mi godzina, — wieszże ty, jak się ona zowie?«

— »W s p ó ł c z u c i e! odparł wróżbiarz z głębi przepełnionego serca i wzniósł oba ramiona, — o, Zara-

tustro, przychodzę, abym ciebie do twej ostatniej godziny zwiódł!« —

Zaledwie te słowa wyrzeczono, rozległ się krzyk ponownie, tym razem dłuższy, trwożniejszy i o wiele bliższy, niż przedtem.« Słyszysz? Słyszysz Zaratustro? wołał wróżbiarz, do ciebie wzbija się ten krzyk, ciebie on nawołuje: chodź, chodź, chodź, czas już, czas najwyższy!« —

Zaratustra milczał, zmieszany i wzburzony do głębi, wreszcie zapytał, jak ten, co się z postanowieniem waha: »I któż to jest, co mnie tam woła?«

»Wszak ty sam wiesz o tem, odparł wróżbiarz, czemu się ukrywasz? Wyższy to człowiek wzywa cię krzykiem!«

»Wyższy człowiek?« krzyknął Zaratustra, grozą przejęty: czegóż on chce? Czegóż on chce? Wyższy człowiek! Czegóż on chce tutaj?« — i cały potem się pokrył.

Wróżbiarz nie odpowiadał wszakże na trwogę Zaratustry, lecz słuchał i nadsłuchiwał ku głębi. Gdy jednak przez długi czas cisza tam zalegała, zwrócił swe spojrzenie i ujrzał, jak Zaratustra, z miejsca nie poruszony, drży na całem ciele.

»O, Zaratustro, wszczął więc smutnym głosem, nie wyglądasz jako ten, co szczęście swe w obrót puszcza: będziesz musiał tańczyć, abyś mi się nie obalił!

Lecz gdybyś nawet przede mną zatańczyć zechciał i wszystkie swe uskoki wyczyniał: nikt mi tu nie powie: »Oto tańczy ostatni człowiek radosny!«

Daremnieby wchodził na te wyżyny, ktoby takiego tu szukał: jaskinieby znalazł on wprawdzie

i w jaskiniach tylne pieczary, skrytki dla skrytek, lecz nie szczęścia podziemne krużganki i komory skarbów i nowego szczęścia złote żyły.

Szczęście — jakże tu znaleźć szczęście u takich zakopańców i pustelników! Mamże ostatniego szczęścia na wyspach szczęśliwości szukać, hen, pośród zapomnianych mórz?

Lecz nic i po tem, nie opłaca się nic zgoła, nie pomoże i szukanie, niema nawet i wysp szczęśliwości!« — —

Tako wzdychał wróżbiarz; przy ostatniem jego westchnieniu rozjaśniał Zaratustra i stał się znowuż pewnym siebie, jak ktoś, co z głębokiego podziemia na światło nagle wyjrzy. »Nie! nie! Po trzykroć nie! wołał głosem silnym i gładził brodę swą — o tem ja wiem lepiej! Istnieją jeszcze wyspy szczęśliwości! Milcz o tem, wzdychający ty miechu!

Zaprzestań o tem pluskać, chmuro ty deszczowa przed południem! Czy nie stoję oto już zmoczony twem utrapieniem i zalany ulewą, jak pies?

Otrząsam się oto i uciekam precz, abym wysechł czemprędzej: zdumiewać cię to nie powinno! Zdam ci się nie dość dworny? Lecz na swoim jam tu dworze.

Co się zaś twego wyższego człowieka tyczy: dobrze więc! poszukam go czemprędzej w onych lasach; stamtąd dobiegał jego krzyk. Być może, iż złe zwierzę napastuje go.

W moich jest dziedzinach: tu go nic złego spotkać nie powinno! Zaprawdę, wiele złych zwierząt mam tu u siebie«. —

Z temi słowy zabrał się Zaratustra do odej-

ścia. Wówczas rzecze wróżbiarz: »O Zaratustro, jesteś przebiegły!

Wiem ja wszak: chcesz się mnie pozbyć! Raczej w lasy uciekniesz i złe zwierzęta tropić zechcesz!

Lecz nacóż ci się to zda? Wieczorem ujrzysz mnie ponownie; w twej własnej jaskini siedzieć będę, cierpliwy i ciężki jak kłoda, — na ciebie tak oczekiwać będę!«

»Niechże i tak będzie! odparł Zaratustra na odchodnem: co zaś w jaskini mego jest, należy i do ciebie, gościa mego!

A gdybyś tam i miodu nieco znalazł, śmiało! zliżże go, mrukliwy ty niedźwiedziu, i osłodź duszę swoją! Chcę, byśmy obaj wieczorem dobrej byli myśli,

— dobrej myśli i uradowni tem, że skończył się ten dzień! Zaś ty będziesz mi tańczył do mych pieśni, jako niedźwiedź mój tańczący.

Nie wierzysz? Głową trzęsiesz? Hejże! Hej! Stary niedźwiedziu! Wszakże i ja jestem — wróżbiarzem«. —

Tako rzecze Zaratustra.



ROZMOWA Z KRÓLAMI.

I.

Zaratustra nie bawił jeszcze godziny w swych górach i lasach, gdy spostrzegł nagle dziwny pochód. Drogą, którą zejść właśnie zamierzał, wchodzili dwaj królowie, w korony i pasy purpurowe strojni i barwni, jak ptaki flamingi: pędzili oni przed sobą objuczonego osła. »Czegóż chcą królowie w mem państwie?« rzecze Zaratustra w zdumieniu do swego serca i ukrył się czemprędzej w zaroślu. Gdy jednak królowie zbliżyli się doń, rzekł półgłosem, jak ten, kto do samego siebie mówi: »Dziwne! Dziwne! Jakże to się godzi? Dwuch królów widzę — i jednego tylko osła!«

Wówczas zatrzymali się królowie, spojrzeli uśmiechnięci w tę stronę, z której głos dochodził, a potem sobie w oblicza. »Takie rzeczy myśli się wprawdzie i między nami, rzekł król po prawej, ale głośno nie wypowiada się tego«.

Zaś król po lewej wzruszył ramionami i od-

parł: »Będzie to zapewne jakiś pasterz kóz. Lub pustelnik, co zbyt długo przebywał pośród drzew i skał. Zupełny brak towarzystwa psuje bowiem również dobre obyczaje«.

»Dobre obyczaje? odparł niechętnie i gorzko drugi król: od czegóż to umykamy? Czyż nie od »dobrych obyczajów«? Od naszego »dobrego towarzystwa«?

Lepiej, zaprawdę, pośród pustelników i kóz pasterzy przebywać, niźli pośród naszego wyzłoconego, fałszywego, blichtrowego motłochu, — aczkolwiek zwie się on »dobrem towarzystwem«,

— aczkolwiek »szlachtą« się zwie. Wszak tam wszystko jest fałszywe i zgniłe, a przedewszystkiem krew, dzięki starym złym chorobom i jeszcze gorszym znachorom.

Najlepszym jeszcze i najmilszym jest mi dziś zdrowy chłop: grubjański, chytry, uparty, i wytrzymały: to jest dziś najdostojniejszy gatunek ludzi.

Chłop jest dziś najlepszy: chłopstwo panami być powinno! Lecz tamto, to państwo motłochu, nie dam się już łudzić co do tego. Motłoch wszakże zwie się: mieszanina.

Mieszanina motłochu: w niej wszystko wskroś i społem jest zmieszane, święty i łotr, szlachetka i żyd, oraz wszelakie zwierzęta z arki Noego.

Dobre obyczaje! Wszystko w nas fałszywe i zgniłe. Nikt czcić już nie potrafi: t e m u właśnie uchodzimy wszak z drogi. To są mdłe, natrętne psy, one ozłacają liście palmowe.

I ten wstręt dławi mnie, że i my królowie staliśmy się fałszywi, obciążeni i strojni starym wyblakłym przepychem pradziadów, że jesteśmy jako numizmaty dla najgłupszych i najprzebieglejszych,

oraz dla wszystkich, kto dziś szachrajstwem o władzę się trudni.

Nie jesteśmy pierwsi, — a musimy pierwszych znamionować: to oszustwo przyprawiło nas wreszcie o przesyt i wstręt.

Hołocie uszliśmy z drogi, wszystkim tym gardłaczom i bazgraczom, tym muchom pstrzącym, tej woni kramarskiej, tym pokurczom próżności, temu cuchnącemu oddechowi —: pfe, żyć pośród hołoty, — pfe! pośród hołoty znamionować pierwszych! Och, wstręt! wstręt! wstręt! Cóż na nas królach zależy!« —

»Twa stara niemoc opada cię, rzekł król po lewej, wstręt cię opada, biedny mój bracie. Lecz, wiesz przecie, ktoś tu nas podsłuchuje.«

Zaratustra, który na tę królów rozmowę oczy i uszy rozwierał, podniósł się czemprędzej ze swego ukrycia, wystąpił przed króli i rzekł:

»Ten, kto was podsłuchuje, kto rad was podsłuchuje, o królowie, zowie się Zaratustra.

Jam jest Zaratustra, który niegdyś nauczał: »I cóż po królach!« Wybaczcież mi więc, uradowałem się, słysząc was mówiących do się: »I cóż po królach!«

Tu zaś moje jest państwo i moje władanie: czegóż w mojem szukacie państwie? A może znaleźliście po drodze to, czego ja szukam: mianowicie człowieka wyższego?«

Gdy królowie usłyszeli te słowa, uderzyli się w piersi i rzekli jednogłośnie: »Przejrzano nas!«

Mieczem tego słowa przebijasz serc naszych najgłębsze ciemnie. Odkryłeś niedolę naszą, gdyż

patrz oto! wyruszyliśmy w drogę, aby znaleźć wyższego człowieka —

— człowieka, coby wyrastał ponad nas: którzy królami wszak jesteśmy. Do niego też wiedziemy tego osła. Albowiem człowiek najwyższy winien być najwyższym panem na ziemi.

Niemasz bo cięższego nieszczęścia w żadnej doli ludzkiej ponad to, gdy najpotężniejsi nie są zarazem pierwszymi. Wówczas wszystko staje się fałszywe, koślawe i potworne.

A cóż dopiero gdy taki jest zgoła ostatnim i raczej bydlęciem, niż człowiekiem: wówczas motłoch rośnie i wyrasta w cenie, aż póki cnota motłochu nie rzecze: »patrz, ja wyłącznie jestem cnotą!« —

Co słyszę? — odparł Zaratustra, jakaż mądrość pośród króli! Jestem zachwycony i, zaprawdę, chętka mnie już bierze, by rymy na to złożyć: —

— aczkolwiek nie będą to rymy dla wszystkich uszu przydatne. Zdawna oduczyłem się mieć wzgląd na długie uszy. Hejże więc! Słuchajcież!

(Tu stało się jednak, że osieł odezwał się nagle: oto rzekł dobitnie i ze złą wolą: Ta-ak!)

Niegdyś — zda się, w pierwszym Roku Pana —
Rzekła Sybilla, bez wina pijana:
»Teraz wszystko pójdzie wspak!
»Biada! biada! Nigdy świat nie zmarniał tak!
»Rzym dziewką, i dziewek zamtuzem się zdał,
»Rzymu Cezar bydlęciem, Bóg — Żydem się stał!«

2.

Na tych rymach Zaratustry paśli się królowie; zaczem król po prawej rzecze: »O, Zaratustro, jakżeśmy dobrze uczynili, wybrawszy się w drogę, aby ciebie ujrzeć!

Albowiem wrogowie twoi pokazali nam obraz twój w swojem zwierciadle: oto spojrzałeś ku nam maszkarą dyabła szyderczego: tak iż przestraszyliśmy się ciebie.

Lecz na cóż się to zdało! Przypowieści swemi zapuszczałeś raz po raz żądła w uszy i serca nasze. Aż wreszcie rzekliśmy: cóż z tego, jak on wygląda!

Słyszeć go musimy, tego co poucza: »winniście miłować pokój, jako środek ku nowym wojnom, zaś krótki pokój bardziej, niż długi!«

Nikt tak wojowniczych słów nie głosił: »cóż jest dobrze? Dobrze mężnym być. Dobra to wojna każdą rzecz uświęca.«

O Zaratustro, ojców naszych krew zawrzała w ciałach naszych na te słowa: była to mowa wiosny do starych kadzi winnych.

Gdy miecze migotały, jak krwawo-plamiste węże, wonczas to ojcowie nasi życiu radzi bywali; każdego pokoju słońce zdawało im się mdłe, gnuśne, zaś długi pokój rodził srom.

Jakże wzdychali oni, ojcowie ci nasi, gdy oglądali na ścianach białolśniące wyschłe miecze! I jako miecze, tak krwi wonczas łaknęli. Bo krwi miecz łaknie i błyskami tej żądzy płonie«. — —

— Gdy królowie tak oto o szczęściu ojców swych mówili i gawędzili, opadła Zaratustrę chętka zadrwić z ich gorliwości: gdyż najoczywiściej byli

to pokojowo usposobieni królowie o starych i wytwornych obliczach. Przemógł się jednak. «Dobrze więc! rzekł, tędy oto wiedzie droga do jaskini Zaratustry; zaś dniu temu na długi niechaj przyjdzie wieczór! Teraz wszakże wołanie na ratunek przynagla mnie, abym was opuścił.

Zaszczyci to jaskinię mą, gdy królowie w niej zasiądą i oczekiwać zechcą: wypadnie wam wszakże długo czekać!

Chociażby! I cóż z tego! Gdzież to dziś lepiej uczy się czekać, niż na dworze? Zaś królów ostatnia cnota, — czyż nie zwie się ona: potrafić czekać?« —

Tako rzecze Zaratustra.



PIJAWKA.

I Zaratustra zanurzał się w zamyśleniu coraz dalej i głębiej w lasy, mijając przydroża bagienne. Jak to się temu przytrafia, co w ciężkiej zadumie przed się na ślepo idzie, nastąpił niespodzianie na człowieka. I oto w jednej chwili parsknęły mu w twarz: okrzyk bólu, dwie klątwy i ze dwadzieścia ciężkich przekleństw: tak że Zaratustra kij podniósł i począł bić nadeptanego. Opamiętał się wszakże natychmiast i zaśmiał się w sercu z szaleństwa, które w tej chwili popełnił.

»Daruj, rzecze do nadeptanego, który podnosił się chmurnie i przysiadał, daruj i weź przedewszystkiem tę oto przypowieść.

Jako wędrowiec, o dalekich rzeczach marzący, niespodzianie na samotnej drodze śpiącego psa potrąci, psa, co się w słońcu wygrzewa:

— jak oba przerażeni rzucą się na siebie, niby wrogowie śmiertelni, ci dwaj śmiertelnie przerażeni: tak oto i nam się przytrafiło.

A jednak! Jednak — jak nie wiele brakowało do tego, aby garnęli się ku sobie, ów pies i ów samotnik! Są wszak oba — samotnikami!«

— »Kimkolwiek jesteś, odparł nadeptany wciąż jeszcze chmurny, następujesz na mnie i przypowieścią swą a nietylko nogą!

Spojrzyj, czyż psem jestem?« — przyczem siedzący wyciągnął nagie ramię z bagna — i podniósł się. Napoczątku leżał on był na ziemi ukryty i niewidoczny, jak ktoś, na dzicz bagienną zaczajony.

»Cóżeś ty tu czynił!« — krzyknął Zaratustra przerażony, ujrzawszy, że nagie jego ramię spływało obficie krwią, — »cóż ci się wydarzyło? Ugryzłoż cię, nieszczęsny, jakie złe zwierzę?«

Krwawiący zaśmiał się, wciąż jeszcze zagniewany. »Cóż ciebie to obchodzi! rzekł i chciał odejść. Jestem tu w swoich obszarach. Niech mnie pyta, kto zechce: dla gamonia wszakże odpowiedzi nie mam«.

»Mylisz się, rzekł Zaratustra i zatrzymał go, mylisz się: nie u siebie tu jesteś, lecz w mojem państwie, i nikomu krzywda stać się tu nie powinna.

Zwij mnie wszakże jako chcesz, — jestem, kim być muszę. Samego siebie zwę Zaratustrą.

Spójrz! Tędy górą wiedzie droga do jaskini Zaratustry: nie daleko ona stąd. Nie zechciałbyś u mnie ran twych doglądać?

Na złe ci przyszło nieszczęsny w twem życiu: naprzód ugryzło cię zwierzę, potem nadeptał cię jeszcze człowiek!« — —

Gdy nadepnięty usłyszał imię Zaratustry, przeistoczył się nagle. »Jakaż dola mnie ściga! wykrzyknął, któż bo obchodzi mnie jeszcze w życiu, prócz

tego jednego człowieka, prócz Zaratustry i tego zwierzęcia, co krwią żyje: prócz pijawki?

Łowiąc pijawki, leżałem w tym oto bagnie i już zanurzone me ramię dziesięć razy ukąszonem było, gdy oto wgryza się po krew moją jeszcze piękniejsza pijawka, sam Zaratustra!

O szczęście! o cudzie! Sławię dzień, co mnie w to bagno zawiódł! Sławioną niech będzie najlepsza żywa bańka z tych, co dziś żyją, sławioną największa pijawka sumienia, Zaratustra!« —

Tak oto mówił nadeptany. Zaratustrę radowały te jego słowa, oraz słów tych swoista pokora. »Kim jesteś? pytał i podał mu dłoń; między nami wiele wyjaśnionem i wypogodzonem być winno: lecz, zda mi się, już się czysty jasny dzień poczyna.«

»Jam jest sumienny z ducha, odparł zagadnięty, a w rzeczach ducha nikt chyba sumienniej, ciaśniej i twardziej sobie nie poczyna ode mnie, wyjąwszy człowieka, od któregom się tego nauczył: wyjąwszy samego Zaratustrę.

Lepiej nic nie wiedzieć, niźli wiele, a połowicznie! Lepiej być głupcem na własną rękę, niźli mędrcem według cudzego mniemania! Ja — sięgam dna:

— i cóż na tem zależy, czy jest ono wielkiem, czy małem? Czy zwie się bagnem, czy też niebem? Jedna piędź podstawy wystarcza mi całkowicie: aby tylko była dnem i podstawą!

— jedna piędź podstawy: na niej utrzymać się już można. W prawej sumienności wiedzy, niemasz nic wielkiego ani małego«.

»Więc jesteś może badaczem pijawek; do ostatnich den pijawkowych sięgasz może, ty sumienny?«

»O, Zaratustro, odparł nadeptany, toby było zbyt

olbrzymiem przedsięwzięciem, jakżebym na coś podobnego mógł się poważyć!

Mózg pijawki, oto w czem jestem mistrzem i znawcą: — oto świat m ó j!

I jest to rzeczywiście świat cały! Wybacz mi, lecz w tem miejscu duma moja wypowiedzieć się pragnie, gdyż tu nie mam równego sobie. Przetom rzekł: »tu jestem u siebie.«

Jakże długo zabiegam wokół tego jednego, wokół mózgu pijawki, aby mi ta ślizka prawda się nie wyślizgnęła! Tu jest m o j e państwo!

— dlatego też odrzuciłem wszystko inne, dlatego wszystko inne stało mi się obojętnem; i tuż obok mej wiedzy spoczywa ma czarna niewiedza.

Moje sumienie ducha wymaga ode mnie, abym jedno znał, a o wszystkiem innem nie wiedział: wstręt budzą we mnie ci wszyscy połowiczni z ducha, mgliści, bałamutni, rojący.

Gdzie ma rzelelność się kończy, tam ślepy jestem, tam też ślepym być pragnę. Gdzie zaś wiedzieć chcę, pragnę być też i rzetelnym, a mianowicie twardym, surowym, ciasnym, okrutnym i nielitościwym.

A żeś raz wyrzekł, o Zaratustro: »Duch jest życiem, co samo w życie się wrzyna«, więc te oto słowa zwiodły mnie i przywiodły do nauki twej. Bo, zaprawdę, krwią własną mnożyłem wiedzę swą!«

— »Jak o tem poucza oczywistość« — wpadł mu Zaratustra w słowa; gdyż krew ociekała wciąż jeszcze z nagiego ramienia człowieka sumiennego. Dziesięć pijawek wpiło się w nie.

»O, człeku ty dziwaczny, jakże wiele poucza mnie ta oto oczywistość, mianowicie ty sam! A nie

wszystko może wolnoby mi było wlać w twe uszy surowe!

Tak więc, — rozstańmy się! Wszakżebym rad ujrzał cię raz jeszcze. Tędy górą wiedzie droga do mej jaskini: chcę, byś dzisiejszej nocy gościem był moim!

Radbym i ciału twemu wynagrodzić, że Zaratustra nogą cię nadeptał, i o tem myślę. Teraz wszakże wołanie na ratunek przynagla mnie, abym cię opuścił«.

Tako rzecze Zaratustra.



WIŁA.

I.

Gdy Zaratustra okrążał skałę, ujrzał nieopodal na pochyłości drogi człowieka miotającego się, niby w opętaniu, i powalającego się wreszcie twarzą na ziemię. »Baczność! — rzekł Zaratustra do swego serca, snadź ten jest wyższym człowiekiem, jego to krzyk rozpaczny dobiegał do mnie, — obaczę, zali mu pomódz w czem zdołam«. Gdy podbiegł do tego miejsca, gdzie człowiek na ziemi leżał, ujrzał drżącego starca o błędnem wejrzeniu; daremnie trudził się Zaratustra, aby go podnieść i na nogi postawić. Nieszczęsny zdawał się nie spostrzegać nawet, że ktoś koło niego zabiega; gdyż raz po raz oglądał się żałośnie poza siebie, jak człowiek opuszczony i przez świat cały zaniechany. Wreszcie po długich drgawkach, wstrząsach i kurczach począł tak oto zawodzić:

Kto mnie ogrzeje, kto kocha mnie jeszcze?
Dajcie dłonie mi gorące!
Serc mi dajcie panwie żarne!
Powalony, grozą drętwy,
Napoły trup, któremu stopy grzeją,
Trawiony, och! gorączką nieznaną,
Drżący od lodowych ostrych mrozu strzał,
Tobą szczuty, myśli!
Nienazwany! ukryty! przeraźliwy!
Łowco zza chmur!
Gromem twym powalony,
Przed tobą, oko szydercze, co z ciemni ku mnie wyzierasz:
— leżę oto,
Wyginaj, wij mną, udręczony
Wszystkiemi męki wiecznemi,
Rażony
Przez ciebie, przeokrutny łowco,
O Ty, nieznany — Boże!

Ugodź głębiej,
Ugodź jeszcze raz!
Zakłuj, skrusz to serc!
Naco te męczarnie
Tępozębnych strzał?
Więc znowu spozierasz,
Człowieczą udręką nie syty,
Urągliwem boskiem gromu okiem?
Więc zabić nie chcesz,
Tylko męczyć, męczyć?
Poco — te katusze,
Urągliwy nieznany ty Boże? —
Ha! ha! Więc skradasz się?

O północy tej głębokiej
Czegóż chcesz? Mów!
Napierasz, ciśniesz mnie —
O! nadto blizko już!
Precz! Precz!
Słyszysz oddech mój,
Podsłuchujesz serce me,
Zawistniku ty —
Czemużeś zawistny?
Precz! Precz! Naco ta drabina?
Chceszże wnijść
W serce me,
Wtargnąć w największe tajniki
Myśli moich?
Bezwstydny! Nieznany — złodzieju!
Co chcesz wykraść?
Co podsłuchać?
Co wydręczyć chcesz,
Dręczycielu!
Ty — kacie i Boże!
Lub mamże, jako pies,
Tarzać się przed tobą?
W psiem oddaniu i zachwycie
Miłość świadczyć ci łaszeniem?

Daremnie! Kłujże więc,
Żądło ty okrutne! Nie,
Nie psem — zwierzyną twoją jestem,
Łowco ty okrutny!
Najdumniejszy z jeńców twych,
Łowco zza obłoków!
Powiedz wreszcie!

Czego chcesz, zawalidrogo, ode mnie?
Gromem osłonięty! O nieznany! Mów,
Czego chcesz, nieznany — Boże?

Co? Okupu?
Jakiego chcesz okupu?
Żądaj wiele — tak radzi duma moja!
I krótko mów — radzi wtóra moja duma!

Ha! ha!
Mnie — chcesz więc? Mnie?
Mnie — całego?...

Ha! ha!
Męczarnie mi zadajesz, szaleńcze,
Katujesz dumę mą?
Miłości daj — któż bo mnie ogrzeje jeszcze?
Któż bo kocha mnie dziś jeszcze? — dłonie daj gorące,
Dajże serc mi panwie żarne,
Mnie, najbardziej samotnemu,
Lodu daj, och! siedmiokrotnego,
Co wrogów nawet,
Wrogów łaknąć chciwie uczy,
Oddaj, poddaj,
Najokrutniejszy wrogu,
Poddaj mi — siebie! — —

Zniknął!
Oto pierzchnął już,
Ostatni towarzysz jedyny,
Mój wielki wróg,
Mój nieznany,
Mój kat-Bóg! —

— O nie! O powróć znów,
Z wszystkiemi męki swemi!
Do ostatniego z samotników,
O powróć, przyjdź!
Wszystkie źródła moich łez
Do ciebie płyną wszak!
Ostatni serca mego płomień —
T o b i e zapłonął!
O, powróć, przyjdź.
Nieznany Boże mój! Mój bólu! Me ostatnie — szczęście!

2.

— Tu jednak Zaratustra dłużej pohamować się nie zdołał, pochwycił kij i począł z całych sił bić biadającego. »Zaprzestań! wołał z jadowitym śmiechem, zaprzestań, ty aktorze! Ty fałszerzu! Ty łgarzu z gruntu! Poznaję ja ciebie!

Zagrzeję ja ci wnet nogi, ty zły guślarzu, znam się dobrze na tem, jak takich — zagrzewać!«

— »Dajże pokój, rzekł starzec i skoczył na nogi, nie bijże, Zaratustro! Czyniłem to tylko dla igraszki!

To wszystko należy do mojej sztuki; ciebie samego na próbę wystawić chciałem, gdym ci tę próbę zadawał! I, zaprawdę, przejrzałeś mnie nawskroś!

Lecz i ty oto — dałeś mi próbę samego siebie: t w a r d y jesteś, mądry Zaratustro! Twardo bijesz swemi »prawdy«, twój drąg wymusza ze mnie — t ę o t o prawdę!«

— »Nie schlebiaj, odparł Zaratustra, wciąż jeszcze

wzburzony i chmurny, ty aktorze do cna! Fałszywy jesteś: cóż ty mi powiadasz — o prawdzie!

Ty pawiu pawi, ty morze próżności, i cóżeś ty grał przede mną, zły czarowniku, kogóżto wyobrażać sobie miałem, widząc cię tak zawodzącego?«

»Pokutnika ducha, odparł starzec, jego to — grałem ja: ty sam wymyśliłeś niegdyś to słowo —

— poetę i czarodzieja, co wreszcie przeciw samemu sobie ducha swego zwraca, przeistoczonego, którego własna zła wiedza i złe sumienie mrozi.

I wyznaj tylko: długo wszak trwało, o Zaratustro, zanim przejrzałeś mą sztukę i kłamstwo! Wierzyłeś w mą niedolę, gdyś mi głowę oburącz podtrzymywał, —

— słyszałem, jakeś zawodził: »niedość go kochano, niedość go kochano!« Żem cię aż tak dalece oszukać zdołał, radowała się w skrytości złośliwość moja.«

»Przebieglejszych ode mnie mogłeś był oszukiwać, odparł twardo Zaratustra. Ja nie mam się na baczności przed oszustami, ja muszę być bez ostrożności: tak chce dola moja.

Ty wszakże — musisz oszukiwać: znam cię na tyle! Ty musisz być zawsze dwuznaczny, trzy-, cztero- i pięcioznaczny. Nawet i to, coś mi wyznał przed chwilą, nie było mi ani dość prawdziwe, ani dość fałszywe!

Ty zły fałszerzu, jakżebyś ty mógł inaczej czynić! Ubarwiałbyś nawet i chorobę swą, gdybyś nago przed doktorem stanął.

Podobnie ubarwiałeś swe kłamstwo, mówiąc mi przed chwilą: »czyniłem to tylko dla igraszki!«

Była i prawda w tem, w tobie jest coś z pokutnika ducha!

Odgaduję cię wszak: stałeś się czarodziejem dla wszystkich, lecz dla samego siebie nie starczyło ci już ani kłamstwa, ani podstępu żadnego, — dla samego siebie stałeś się odczarowany!

Żniwem twem był wstręt, jako twa jedyna prawda. Żadne słowo w twych ustach nie jest prawdziwe, prawdą jedyną są chyba twe usta, a raczej wstręt, co do nich przywarł.« — —

— »Kimże ty jesteś! — krzyknął stary wiła hardym głosem. Któż to ośmiela się do mnie tak przemawiać, do największego z pośród żyjących?« — i zielone błyski strzeliły z jego oczu ku Zaratustrze. Lecz wnet potem przeistoczył się i rzekł smutnie:

»O Zaratustro, znużony jestem, wstrętem przejmują mnie własne sztuki, ja nie jestem wielkim; i pocóż udawać! Jednakże, ty wiesz wszak o tem — ja szukałem wielkości!

Wielkiego człowieka udawać chciałem i obałamuciłem wielu: wszakże kłamstwo to przerasta siły moje. Łamię się na niem.

O, Zaratustro, wszystko we mnie jest kłamstwem, lecz to, że się łamię — to złamanie moje jest prawdziwe!« —

»Cześć ci to przynosi, rzekł Zaratustra ponuro, nie patrząc na niego, — cześć ci to przynosi, że szukałeś wielkości, lecz zdradza cię to zarazem. Wielkim nie jesteś.

Zły stary ty wiło, oto co w tobie najlepsze i najrzetelniejsze, i co w tobie cenię: żeś się umęczył sobą i rzekłeś: »ja nie jestem wielki«.

Za to właśnie poważam cię jako pokutnika ducha: a choć to przelotne było tylko mgnienie, wszakże przez tę jedną chwilę byłeś — prawdziwy.

Lecz mów, czego szukasz pośród moich lasów i skał? A gdyś mi wpoprzek drogi legł, na jaką to próbę wystawić mnie chciałeś? —

— czemże to kusiłeś mnie?« —

Tako rzecze Zaratustra, a oczy jego skry rzucały. Stary wiła milczał czas jakiś, wreszcie rzekł: »Zalim ja kusił ciebie? Ja — tylko szukam.

O, Zaratustro, szukam człowieka prawdziwego, prawego, czystego, prostego, jednoznacznego, człowieka wskroś rzetelnego, naczynia mądrości, świętego w poznawaniu, szukam wielkiego człowieka!

Czyż nie wiesz o tem, o Zaratustro? Ja szukam Zaratustry.«

— Tu nastało długie między nimi milczenie; Zaratustra zatonął w myślach tak głęboko, że aż oczy przymknął. Poczem, zwróciwszy się do wiły, pochwycił jego rękę i rzekł pełen ugrzecznienia i przebiegłości:

»Dobrze więc! Tędy górą wiedzie droga, tam leży jaskinia Zaratustry. W niej możesz szukać tego, kogo znaleźć pragniesz.

A pytaj zwierzęta me o radę, orła i węża mego: niech ci one szukać pomogą. Jaskinia ma wszakże wielka jest.

Ja wprawdzie — jam nie widział jeszcze wielkiego człowieka. Co wielkiem jest, na to oko najsubtelniejszego jest dziś grubem narzędziem. Motłochu to królestwo.

Niejednegom widział, co się prężył i wydymał,

a lud wołał: »Patrzcie, oto wielki człowiek!« Lecz na cóż się pęcherze zdały! Koniec końców powietrze z nich uchodzi.

Koniec końców pęka żaba, co się zbyt długo wydymała: dech z niej uchodzi. Nadętym brzuchy przekłuwać: nie lada to uciecha. Słuchajcież chłopaki!

To »dziś« należy do motłochu: któż tu wie, co jest wielkiem, co zaś małem! Któżby tu mógł być szczęśliwym w poszukiwaniu wielkości! Szaleniec chyba tylko: szaleńcom szczęści się w tem.

Wielkiego człowieka szukasz, przedziwny ty szaleńcze? Któż cię nauczył tego? Zali pora dziś ku temu? O, zły poszukiwaczu, czemu — doświadczasz mnie?« — —

Tako rzekł Zaratustra, a ukoiwszy serce, śmiejąc się, ruszył w drogę.





WYSŁUŻONY.

Pozbywszy się wiły, ujrzał Zaratustra niebawem znowuż kogoś na drodze, po której szedł. Nieopodal siedział czarny, smukły człowiek o chudej bladej twarzy: ten przygnębiał swoją postacią. »Biada, rzekł Zaratustra do swego serca, oto siedzi zakapturzony posępek, kapłańskiem zda mi się to jego zachowanie: czegóż tacy w mojem chcą królestwie?

Cóż znowu! Zaledwie jednemu wile się umknąłem: już oto drugi czarnoksiężnik drogę mi zabiega, —

— pewno jakiś czarownik, zamówienia czyniący, ciemny cudotwórca z bożej łaski, namaszczony świata zaprzaniec, — niechby go dyabeł porwał!

Lecz dyabła nigdy niemasz na tem miejscu, gdzieby było jego miejsce właściwe: zawsze zjawia się za późno to przeklęte karlisko i kuternoga ten!« —

Tak oto klął Zaratustra niecierpliwie w duszy i rozmyślał nad tem, jakby to z odwróconemi oczyma prześlizgnąć się obok czarnego człowieka: lecz oto stało się inaczej, niż zamierzał. W tejże chwili spo-

strzegł go siedzący; porwał się z miejsca i zastąpił mu drogę, czyniąc nieomal wrażenie człowieka, którego niespodziane szczęście spotyka.

»Kimkolwiek jesteś, wędrowcze, rzekł, pomóż zbłąkanemu i szukającemu starcowi, któremu tu łatwo coś złego przytrafić się może!

Obcy mi świat ten i daleki, słyszę też i zwierząt dzikich poryki; zaś ten, ktoby mi schronienia udzielić mógł, nie istnieje już.

Szukałem ostatniego pobożnego człowieka, świętego i samotnika jedynego, co w lesie swoim nic jeszcze nie słyszał o tem, o czem cały świat dziś wie«.

»O czem że to wie dziś cały świat? pytał Zaratustra. Czy nie o tem, że stary Bóg, w którego cały świat niegdyś wierzył, już nie żyje?«

»Rzekłeś! — odparł starzec posępnie. A temu staremu Bogu służyłem ja do ostatniej jego godziny.

I otom jest wysłużony: bez pana, a jednak nie wolny, o żadnej godzinie życia już nie radosny, chyba tylko we wspomnieniach.

Przeto wstąpiłem na te góry, abym nareszcie gody znów święcił, jak staremu papieżowi i ojcu kościoła przystoi: gdyż wiedz, ja jestem ostatnim papieżem! — gody wspomnień pobożnych i służby bożej.

Lecz oto i on już nie żyje, ten człowiek najpobożniejszy, ów leśny święty, co Boga swego śpiewem i pomrukiem ustawicznie chwalił.

Nie znalazłem go już; znalazłszy chatę jego, — zastałem w niej tylko dwa wilki, wyjące nad jego zgonem — wszystkie bo zwierzęta miłowały go. Uciekłem z chaty.

.Czyżbym daremnie w te góry i lasy przychodził? Wówczas postanowiło serce me, abym szukał

kogo innego, najpobożniejszego z tych, co w Boga już nie wierzą —, abym szukał Zaratustry!«

Tak rzecze starzec, bystrem okiem patrząc na tego, co przed nim stał; Zaratustra pochwycił dłoń starego papieża i przyglądał się jej długo z podziwem.

»Spojrzyj, czcigodny, jakaż piękna i długa dłoń! To dłoń człowieka, co zawsze błogosławieństwa rozdawał. Lecz teraz oto trzyma ona tego, kogo szukasz, mnie, Zaratustrę.

Jam jest ów bezbożny Zaratustra, który powiada: któż jest bardziej ode mnie bezbożny, abym się jego pouczeniem radował?« —

Tako rzecze Zaratustra, wejrzeniem swem przenikając wskroś najskrytsze myśli starego papieża. Ów zaś podjął wreszcie:

»Kto najbardziej go kochał i posiadał, najbardziej go też i utracił —:

— patrz, z nas dwuch, ja jestem obecnie bardziej chyba bezbożny? Lecz któżby mógł radować się z tego!« —

— »Służyłeś mu aż do ostatka, rzekł Zaratustra w zadumie, po długiem milczeniu, czy wiesz jak umarł? Zali prawdą jest, co ludzie mówią, iż zdławiła go litość,

— że ujrzał, jako człowiek na krzyżu wisi i nie zniósł, aby miłość człowieka stała się dlań piekłem i śmiercią wreszcie?« — —

Stary papież nie odpowiadał i odwodził lękliwie swe spojrzenie, ukrywając bolesny i ponury wyraz.

»Zaniechaj go, rzekł Zaratustra po długim namyśle, patrząc ciągle starcowi prosto w oczy.

Zaniechaj go, nie istnieje on już. I aczkolwiek cześć ci to przynosi, że o tym zmarłym dobrze tylko mówisz, wiesz wszakże zarówno jak i ja, k i m on był, i że dziwacznemi chadzał on drogi«.

»Mówiąc w trzy oczy, odparł rozweselony stary papież (jako, że na jedno oko był on ślepy) rzeczy boskich jestem bardziej świadom, niźli Zaratustra — i powinienem nim być.

Miłość ma służyła mu długie lata, ma wola była każdej jego woli uległa. Dobry sługa wie jednak wszystko, niejedno nawet, co jego pan przed samym sobą ukrywa.

Był to skryty Bóg, pełen tajemniczości. I syna wszak posiadł nie inaczej, jeno krętemi drogi. Na progu jego wiary widnieje wiarołomstwo.

Kto go jako Boga miłości sławi, ten nie zbyt szczytnie myśli o samej miłości. Czyż Bóg ten nie chciał być zarazem i sędzią? Atoli kochający miłuje poza nagrodą i odwetem.

Za młodu był ów Bóg ze wschodnich krain twardy, mściwy i piekło sobie zbudował ku rozkoszy swych ulubieńców.

Wkońcu zestarzał się jednak, stał się miękki, kruchy i współczujący, raczej do dziadka podobny, niźli do ojca, zaś najpodobniejszy do starej chwiejącej się babki.

I oto siedział na zapiecku, pełen zgryzoty, spowodowanej słabością nóg, światem i wolą własną umęczony i udusił się pewnego dnia nadmiarem litości«. — —

»Mój stary papieżu, wtrącił tu Zaratustra, czyś ty t o własnemi oczyma oglądał? Być może, iż tak się to działo: tak, l u b też inaczej. Gdy bogowie umierają, konać zwykli wieloraką śmiercią.

Wszakże, stało się! Tak czy owak, tak i owak — niemasz go już! Uszom i oczom moim był on nie w smak; nie radbym źle o nim powiadać.

Kocham wszystko, co spoziera jaśno i przemawia rzetelnie. Jednakże on — wszak wiesz o tem, stary kapłanie, coś z waszego, z kapłańskiego zachowania było w nim — był wieloznaczny.

Był też niewyraźny. Jakże gromił on nas zato gniewem pałający, żeśmy go źle pojmowali! Lecz czemuż nie przemawiał dobitniej?

A jeśli uszu naszych w tem wina, czemuż dał nam takie uszy, co go źle rozumiały? Jeśli namuł w uszach naszych tkwił, któż go w nasze uszy włożył?

Zbyt wiele nie udało się temu garncarzowi, co wprawy jeszcze nie nabrał! Że jednak mścił się na garnkach i stworzeniach swych za to, że mu się one nie udały,— to było już grzechem przeciw dobremu smakowi.

Gdyż i w pobożności istnieje dobry smak, który wreszcie powiada: »precz z takim Bogiem! Lepiej żadnego Boga, lepiej na własną rękę dolę swą zdziaływać, lepiej szaleńcem być, lepiej samemu Bogiem się stać!«

— »Co słyszę! — rzekł stary papież, nastawiwszy czujnie uszu; o Zaratustro, tyś pobożniejszy, niźli sam myślisz, wraz z taką niewiarą! Jakowyś Bóg w tobie nawrócił cię do twej bezbożności.

Czy nie twa pobożność w Boga wierzyć ci nie daje? Zaś twa nadmierna rzetelność wywiedzie cię jeszcze poza dobro i zło!

Patrz, cóż to cię jeszcze oczekuje? Masz oczy,

dłoń i usta, przeznaczone od wieków do błogosławienia. Nie samą dłonią błogosławi się.

W blizkości twej, aczkolwiek najbezbożniejszym chcesz mi być, czuję kadzidlne woni tajemne ciągłych błogosławieństw: rozkosz i żal ogarniają mnie wobec tego.

Pozwól, o Zaratustro, abym gościem twym był bodaj na jedną noc! Nigdzie na ziemi lepiej czuć się dziś nie będę, niż przy twoim boku!« —

»Amen! Niech się tak stanie! rzekł Zaratustra w wielkiem zdumieniu, tędy górą wiedzie droga do jaskini Zaratustry.

Chętnie, czcigodny, zawiódłbym cię sam, gdyż kocham wszystkich ludzi pobożnych. Wszakże teraz wołanie na ratunek zmusza mnie, abym cię opuścił.

W królestwie mem nikt krzywdy zaznać nie powinien; jaskinia ma dobrą jest przystanią. Zaś najchętniej każdego smutnego na twardą stawiałbym ziemię i na mocne nogi.

Któż jednak zdejmie ten posępek z ramion twych? Jam na to za słaby. Długo, zaprawdę, czekać będziesz, aż póki ci ktoś twego Boga wskrzesi.

Gdyż stary ten Bóg nie żyje; zgoła martwy jest on już«. —

Tako rzecze Zaratustra.

NAJSZPETNIEJSZY CZŁOWIEK.

— I znowuż biegły stopy Zaratustry przez góry i lasy, a oczy jego szukały wokół, wszakże nigdzie dojrzeć nie mogły tego, kogo znaleźć pragnęły: wielkiego cierpiącego i wołającego na ratunek. W drodze tej radosnego był serca i pełnego wdzięczności. »Ileż dobrego, mówił, darował mi dzień ten, wynagradzając swój zły początek! Z jakimiż dziwnymi ludźmi wiodłem dziś rozmowy!

Długo przeżuwać pragnę ich słowa, jako dobre ziarna; niechże mi zęby tak drobno je zmielą i rozetrą, aż mi one mlekiem w duszę spłyną!« —

Gdy droga znowuż koło skał zatoczyła, zmienił się widok odrazu, i Zaratustra wstąpił w krainę śmierci. Sterczały tu czarne i czerwone turnie: naokół ani źdźbła, ani krzewu, ani ptasiego głosu. Była to dolina, której unikał zwierz wszelki, stroniły od niej nawet drapieżniki; tylko pewien gatunek szpetnych, grubych, zielonych węży, przypełzywać tu

zwykł w starości, aby zdechnąć. Dlatego też zwali tę dolinę pastuchy: Wężym Skonem.

Zaratustrę ogarnęły czarne wspomnienia, gdyż zdało mu się, iż niegdyś był już w tej dolinie. I wiele ciężkich myśli przytłaczało mu ducha: szedł tedy powoli i zwalniał kroku coraz bardziej, wreszcie przystanął. Wówczas, otworzywszy oczy, ujrzał coś na drodze siedzącego: z kształtu niby człowiek, wszakże mało do człowieka podobne, ujrzał coś niewypowiedzialnego. I w jednej chwili opadł Zaratustrę wielki wstyd, iż coś podobnego własnemi oczyma oglądać musi: zarumienił się aż po siwy włos, odwrócił spojrzenie i uniósł już nogę, aby to złe miejsce opuścić. Lecz oto martwa głusz ocknęła się głosem: na ziemi zabuzowało coś w bełkocie i rzężeniu, jak woda, gdy nocą w nawpół zatkanych rurach bełkocze i rzęzi; wreszcie wyłonił się z tego głos ludzki i ludzka mowa: — brzmiała ona tak:

»Zaratustro! Zaratustro! Zgadnij mą zagadkę! Powiadaj! Mów! Czem jest zemsta na świadku?

Ja cię wstecz przywabiam, gładki tu jest lód! Baczże, bacz, aby duma twa nóg tu nie połamała!

Mądrym się mniemasz, dumny Zaratustro! Odgadnijże mi tę zagadkę, ty twardy orzechów łuskaczu, zagadkę, którą ja przedstawiam! Powiadaj więc kimże jestem ja!«

Gdy Zaratustra te słowa usłyszał — jak sądzicie, co działo się w duszy jego? Opadła go litość; i runął nagle, jak się powala dąb, co długo licznym drwalom się opierał, — ciężko, raptownie, ku trwodze tych, którzy go ściąć pragnęli. Lecz za chwilę stał znów na nogach, a oblicze jego przybrało twardy wyraz.

»Poznaję ja cię, rzekł spiżowym głosem: tyś jest mordercą Boga! Puśćże mnie.

Nie zniosłeś tego, kto ciebie widział, — kto cię zawsze nawskroś przezierał, ty najszpetniejszy człowieku! Zemściłeś się na tym świadku!«

Tak rzekł Zaratustra i chciał odejść precz; lecz ów niewypowiedzialny pochwycił go za brzeg szaty, począł znów bełkotać i szukać słów. »Pozostań!« — rzekł wreszcie —

— pozostań! Nie mijaj mnie! Zgadłem, jaka to siekiera powaliła cię z nóg: Chwała ci, o Zaratustro, że znowu stoisz!

Odgadłeś, wiem to dobrze, jak temu jest na duszy, co jego zabił, — mordercy Boga. Pozostań! Przysiądź się do mnie, nie będzie to daremne.

Do kogóż bo udać się pragnąłem, jeśli nie do ciebie? Pozostań, siądź tutaj! Nie patrz jednak na mnie! Uczcij w ten sposób — brzydotę moją!

Prześladują mnie oni: tyś się stał mą ostatnią ucieczką. Nie swą nienawiścią, nie szpiegi swymi: — z takich prześladowań szydząc, stałbym się dumny i radosny!

Czyż wszelkie powodzenie nie było dotychczas po stronie dobrze prześladowanych? Zaś kto dobrze prześladuje, łacno się uczy śladem chadzać: — wszakże zwykł się znajdować — z tyłu! Lecz ich litość to zdziałała —

— od ich litości umknąłem i do ciebie przystałem. O, Zaratustro, chrońże mnie, ostatnia ty moja ucieczko, ty jedyny, któryś mnie odgadł:

— tyś odgadł, jak temu na duszy, kto jego zabił. Pozostań! A jeśli odejść chcesz, niecierpliwy:

nie idź tą drogą, którą ja przybyłem. Ta droga jest zła.

Złorzeczysz mi może w duchu, że cię tak długo gawędą swą udręczam? Że ci rad już udzielam? Wiedz jednak, jam jest najszpetniejszym człowiekiem,

— co ma zarazem największe i najcięższe nogi. Kędy ja przechodziłem, droga złą się stała. Ja wszystkie drogi zadeptuję na śmierć i pohańbienie.

A że mijałeś mnie milczący; żeś się zaczerwienił na mój widok, widziałem wszak to dobrze: po tem poznałem, żeś jest Zaratustra.

Każdy inny rzuciłby mi jałmużnę litości wejrzeniem i mową swoją. Lecz na to jam nie dość żebraczy, tyś to odgadł —

— na tom zbyt bogaty, bogaty we wszystko, co wielkie, okrutne, najszpetniejsze, najbardziej niewypowiedzialne! Wstydem swym, o Zaratustro, uczciłeś mnie!

Z wysiłkiem dobyłem się z natłoku litości wych, — aby znaleźć jedynego, co dziś poucza: »litość jest natrętna« — aby znaleźć ciebie, o Zaratustro!

— natrętna, zarówno Boża, jak i człowiecza litość: litość wstydowi się przeciwi. Zaś nie chcieć pomódz bywa nieraz rzeczą dostojniejszą, niźli owa cnota, zawsze do pomocy skora.

Lecz ona to jest dzisiaj imieniem samej cnoty pośród wszystkich ludzi małych, litość owa; — ci nie znają czci wobec wielkiego nieszczęścia, wielkiej brzydoty, wielkiego chybienia.

Ponad tymi wszystkimi spozieram ja górą, jako pies ponad grzbietami rojnego stada owiec. Drobne to, miękką wełną porosłe, dobrochętne i szare plemię.

Jako czapla, z zarzuconą w tył głową, wzgardliwie na miałkie spogląda stawy: tako spozieram ja ponad miałkie fale, chęci i dusze.

Zbyt długo przyznawano słuszność tym małym ludziom: tak, iż wreszcie dano im nawet i władzę — i oto pouczają teraz: »dobre jest to, co ludzie mali dobrem zwą«.

Zaś »prawdą« zwie się dziś to, o czem mawiał ów kaznodzieja, co sam z nich pochodził, ów przedziwny święty i orędownik małych ludzi, który o samym sobie świadczył: »ja — jestem prawda«.

Ten nieskromny z dawna wbija już w pychę małych ludzi — on, co nie lada błąd głosił, pouczając: »ja — jestem prawda«.

Czyż nieskromnemu odpowiedziano kiedykolwiek grzeczniej? — Tyś, o Zaratustro, przeszedł mimo niego, mówiąc: »Nie! Nie! Po trzykroć nie!«

Tyś ostrzegał przed tym błędem, tyś pierwszy ostrzegał przed litością — ostrzegałeś nie wszystkich, ani też nikogo, lecz siebie jedynie, oraz tych, co z twego są rodu.

Wstydziłeś się patrząc na wstyd wielkich cierpiących, i zaprawdę, skoro mówisz: »od strony litości zbliża się wielka chmura, miejcie się na baczności, ludzie!«

— skoro pouczasz: »wszyscy twórcy twardzi są, każda wielka miłość jest wyższa od swego współczucia«:—o Zaratustro, snadź świadom ty jesteś znaków, zwiastujących burzę!

Sam jednak — przestrzeż siebie przed własną swą litością! Gdyż wielu jest już w drodze ku tobie: wielu cierpiących, wątpiących, rozpaczających, tonących, marznących —

Ostrzegam cię i przed sobą. Odgadłeś wszak mą najlepszą i najzgubniejszą zagadkę, odgadłeś mnie samego i wszystko, com czynił. Znam ja siekierę, która ciebie obali.

On jednak — umrzeć musiał: oczyma, które wszystko widzą, — widział człowiecze głębie i dna, całą jego zatajoną sromotę i szpetność.

Jego litość wstydu nie znała: wpełzał w me najbrudniejsze zakątki. Ten najciekawszy, nad miarę natrętny, ten nadlitościwy umrzeć musiał.

On zawsze mnie widział: na takim świadku zemstę wywrzeć musiałem — lub też sam przestać żyć.

Bóg, co widział wszystko, nawet i człowieka, Bóg ten umrzeć musiał! Człowiek nie zcierpi, aby taki świadek żył«.

Tak oto mówił człowiek najszpetniejszy. Zaratustra wszakże powstał w zamiarze odejścia: gdyż mroziło go aż do głębi trzew.

»Ty niewysłowiony, rzekł, ostrzegasz mnie przed swoją drogą. W podzięce za to sławię ci swoją drogę. Patrz, tam oto znajduje się jaskinia Zaratustry.

Jaskinia ma jest wielka i głęboka, posiada też i wiele wnęk, najskrytszy znajdzie tam dla się kryjówkę.

Zaś tuż obok niej sto nor i przełazów dla pełzającego, latającego i skaczącego zwierza.

O odtrącony, coś samego siebie odtrącił, nie chcesz przebywać pośród ludzi i ludzkiej litości? Czyń więc tak, jako ja czynię! I tak oto uczyć się będziesz zarazem ode mnie; tylko działając, uczy się człowiek.

Lecz pomów pierwej i przedewszystkiem ze zwierzęty memi. Najdumniejsze zwięrzę i zwierzę najprzebieglejsze — one dla nas obu będą snadź najlepszymi doradcami!« — —

Tako rzekł Zaratustra i ruszył w drogę w większej, niż przedtem, zadumie i powolniejszym krokiem: gdyż zapytywał siebie o wiele rzeczy i nie łatwo znajdował odpowiedź.

»Jakże ubogi jest człowiek! myślał w swem sercu, jakże szpetny, bełkotliwy i jakże pełen ukrytego wstydu!

Powiadają mi, że człowiek samego siebie kocha: och, jakże wielka musi być ta miłość siebie! Ileż wzgardy ma ona przeciw sobie!

I tamten kochał też siebie, zarówno jak i nienawidził się, — wielkim miłośnikiem jest mi on i wielkim gardzicielem.

Nie spotkałem nikogo, ktoby głębiej gardził sobą: i t o jest wyżyną. Biada, byłżeby to ów człowiek wyższy, którego krzyk słyszałem?

Kocham wielkich gardzicieli. Człowiek jest czemś, co przezwyciężonem być musi«. — —



DOBROWOLNY ŻEBRAK.

Gdy Zaratustra opuścił najszpetniejszego człowieka, ogarnął go chłód i poczucie samotności: snuło mu się w myślach tyle rzeczy zimnych i samotnych, że aż członki jego przytem oziębły. Gdy jednak — dalej i coraz dalej przed się kroczył, wspinając się w górę, to znów na dół zstępując, tuż obok łanów zielonych, to znów poprzez dzikie kamieniste zwały, w których niecierpliwy strumień łoże sobie niegdyś słał: w wędrówce tej uczyniło mu się nagle cieplej i serdeczniej na duchu.

»Cóż to się dzieje ze mną? — pytał samego siebie, coś ciepłego i żywego orzeźwia mnie nagle, snadź w pobliżu jest coś takiego.

Mniej samotny czuję się nagle; nieświadomi towarzysze i bracia snują się wokół mnie, ciepłe ich tchnienie już mą duszę zatrąca«.

Gdy jednak, szukając oczyma tych ukoicieli samotności, oglądał się naokół: patrzy, — krów zbita gromada stoi na pagórku; ich to blizkość i woń

ogrzały mu serce. Krowy te zdawały się bacznie przysłuchiwać przemawiającemu do nich człowiekowi i nie zwracały uwagi na Zaratustrę. Gdy bliżej przystąpił, usłyszał najwyraźniej głos ludzki, dochodzący z gromady krów; do mówiącego zwracały krowy najoczywiściej iby swoje.

Zaratustra poskoczył wobec tego czemprędzej i rozegnał zwierzęta, obawiając się, że tu przytrafiło się komu coś złego, czemu współczucie krów zaradzić chyba nie zdoła. Omylił się jednak. Na ziemi siedział człowiek i, zdawało się, przekładał zwierzętom, aby się go nie obawiały, człek zgodny, kaznodzieja górski, z którego oczu dobroć sama za siebie przemawiała. »Czegóż ty tu szukasz?« — wołał Zaratustra zdumiony.

»Czego szukam tutaj? odparł: tegoż, czego i ty, który mi spokój oto zakłócasz! szukam szczęścia na ziemi.

Kwoli temu chciałbym się od tych krów niejednego nauczyć. Wiedzże, iż pół dnia przemawiam już do nich, i teraz właśnie miały mnie one pouczyć. I pocóżeś im przeszkodził?

Jeśli nie nawrócimy się i nie staniemy, jako krowy, nie wnijdziemy do królestwa niebieskiego. Winniśmy nauczyć się od nich jednego: mianowicie przeżuwania.

I zaprawdę, gdyby człowiek cały świat posiadł, a przeżuwania się nie nauczył: nacóż zda mu się to wszystko! Utrapienia swego nie pozbędzie się on

— wielkiego utrapienia: a zwie się ono dziś wstrętem. Czyjeż bo serce, usta i oczy nie są dziś pełne wstrętu? I twoje! I twoje także! Lecz spojrzyj, proszę, na te krowy!« —

Tak oto mówił kaznodzieja górski i teraz dopiero zwrócił spojrzenie na Zaratustrę, — dotychczas spoczywało ono z lubością na krowach —: spojrzawszy jednak, zmienił się nagle. »Z kimże to ja mówię? zawołał przerażony i skoczył na równe nogi.

Wszak to człowiek bez wstrętu, to sam Zaratustra, pogromca wielkiego wstrętu. Zaratustry to oko, jego to usta, jego serce.«

Mówiąc to, z załzawionemi oczyma, całował dłonie Zaratustry i zachowywał się, jak ktoś, komu drogocenny dar i klejnot niespodzianie z nieba spada. Krowy zaś przyglądały się temu wszystkiemu i dziwiły się niewymownie.

»Nie mów o mnie, ty dziwny! przypochlebny człecze! rzekł Zaratustra, broniąc się od tych czułości, powiadaj mi przedewszystkiem o sobie! Czy nie jesteś czasami tym dobrowolnym żebrakiem, co niegdyś wielkie bogactwa porzucił, —

— co powstydził się niegdyś i bogactw swych i bogaczy, i uciekł do biednych, aby im swą pełnię i serce swe ofiarować? Lecz oni nie przyjęli pono tych darów.«

»Lecz nie przyjęli mnie oni, rzekł dobrowolny żebrak, wiesz wszak o tem. Zwróciłem się więc do zwierząt i do tych krów oto«.

»Nauczyłeś się snadź tego, przerwał mu Zaratustra, o ile trudniejsze jest właściwe dawanie — od właściwego brania, i że umieć dobrze darowywać jest sztuką i ostatniem najprzebieglejszem mistrzostwem dobroci.«

»Osobliwie dzisiaj, odparł dobrowolny żebrak: dziś, gdy wszystko nizkie staje się buntownicze, trwoż-

liwe i na swój sposób butne: na sposób ciżby mianowicie.

Gdyż nastała, jak wiesz, godzina wielkiego, złowróżbnego, długiego i powolnego buntu motłochu i niewolników: rośnie on i wzmaga się!

Dziś oburza nizkich wszelkie dobrodziejstwo i drobne oddawanie; nad miarę bogaci niech się mają na baczności!

Kto dziś, jak pękata butla z nadto wązkich szyjek sączy: — takim butelkom chętnie urywa się dziś szyję.

Lubieżna chciwość, żółciowa zawiść, zgryźliwa mściwość, pycha plebejuszowska: wszystko to skakało mi do oczu. Nieprawdą stało się już, że ubodzy są błogosławieni. Królestwo niebieskie jest wszakże pośród krów.«

»A czemu nie pośród bogaczy?« — rozpytywał Zaratustra badawczo, odganiając krowy, które obwąchiwały poufale poczciwca.

»Czemu doświadczasz mnie? odparł zagadnięty. Wszak wiesz o tem lepiej, niźli ja. Cóż to przygnało mnie do najbiedniejszych, o Zaratustro? Czyż nie wstręt do naszych najbogatszych?

— do tych więźni bogactwa, którzy swą korzyść z każdego śmietnika podjąć umieją, ludzi o zimnem oku i jurnych myślach, do tej hołoty ku niebu cuchnącej,

— do tego pozłocistego sfałszowanego motłochu, którego ojcowie byli długopalcymi złodziejami, ścierwnymi ptaki, lub gałganiarzami, — z kobietami dziś tak powolni, lubieżni, tak łatwo zapominający: — wszak oni wszyscy są blizcy nierządnicy —

motłoch w górze, motłoch na dole! Czemże są dziś

»ubodzy« i »bogaci«! Tej różnicy oduczyłem się już, — i oto umknąłem od nich, umykałem coraz dalej, aż wreszcie do tych oto krów trafiłem«.

Tak mówił poczciwiec, sapał zaś przytem i pocił się przy swych słowach: tak, że krowy dziwiły się ponownie. Zaratustra wszakże przy tych twardych jego słowach spoglądał mu w twarz z uśmiechem i potrząsał głową w milczeniu.

»Przemoc czynisz ty sobie, kaznodziejo górski, używając słów tak twardych. Do takiej tężyzny nie dorosły twoje usta i oko.

I jak sądzę, nawet i żołądek twój: nie służy jemu żaden gniew, nienawiść i żadne wzburzenie. Żołądek twój pragnie łagodniejszej strawy: ty nie jesteś mięsożernym.

Wydajesz mi się raczej jaroszem i miłośnikiem korzonków. Może nawet ziarna mielesz. Lecz z pewnością uciechom mięsnym skłonny nie jesteś i bardzo lubisz miód.«

»Odgadłeś mnie doskonale, odparł dobrowolny żebrak z uczuciem ulgi na sercu. Lubię miód, mielę też i ziarna, gdyż poszukiwałem zawsze strawy o miłym smaku, i czystem tchnieniu:

— oraz takiej, co długiego potrzebuje czasu, jako dzieło ruchu całodziennego dla łagodnych bezczyńców i nicponi.

Najdalej oczywiście zaszły pod tym względem krowy: one wynalazły przeżuwanie i wylegiwanie się w słońcu. Powstrzymują się one również od wszelkich ciężkich myśli, które rozdymają serce.«

— »Dobrze więc! rzekł Zaratustra: winieneś wobec tego ujrzeć i moje zwierzęta: orła mego i węża, — niemasz bo dziś równych im na świecie.

Patrz, tędy oto wiedzie droga do jaskini Zaratustry: bądź gościem u mnie tej nocy. I mów ze zwierzęty memi o szczęściu zwierząt, —

— póki ja nie powrócę. Gdyż teraz oto wołanie na ratunek każe mi śpiesznie cię opuścić. Znajdziesz i miód świeży u mnie: jak lód świeży plastrowy miód złocisty: jedzże go!

A teraz pożegnaj czemprędzej swe krowy, ty dziwaczny! ujmujący! aczkolwiek nie łatwo ci to pożegnanie przyjść winno. Gdy są to wszak najcieplejsi twoi przyjaciele i mistrze!« —

»— Wyjąwszy jednego, którego jeszcze bardziej miłuję, odparł dobrowolny żebrak. Ty sam jesteś dobry, lepszy nawet, niż krowa, o Zaratustro!«

»Precz, precz ode mnie, nieznośny pochlebco! wołał Zaratustra złośliwie, czemu psujesz mnie tą pochwałą i tym miodem przypochlebnym?«

»Precz, precz ode mnie!« — krzyknął raz jeszcze, wymachując kijem w stronę tkliwego żebraka: ów zaś umykał co tchu.





CIEŃ.

Ledwie że dobrowolny żebrak uciekł i Zaratustra na chwilę sam pozostał, gdy odezwał się za nim inny głos: »Stój Zaratustro! Poczekajże chwilę! to ja jestem, Zaratustro, ja, twój cień!« Lecz Zaratustra nie czekał, gdyż ogarnęła go nagła niechęć do tego zbiegowiska i natłoku w jego górach. »Gdzież się podziała ma samotność? rzecze do siebie.

Zaprawdę, nadto mi już tego; te góry roją się od ludzi, me królestwo już nie jest z t e g o świata, innych potrzebuję gór.

Cień mój woła mnie? Lecz czemże mi mój cień! Niech mnie goni! ja zaś — ucieknę mu.«

Co rzekłszy do swego serca, pobiegł naprzód. Lecz ten, co za nim szedł, przyśpieszył również kroku: tak, iż niebawem widać było trzech goniących się: przodem śpieszył dobrowolny żebrak, za nim Zaratustra, naostatku biegł cień jego. Niedługo wszakże gonili się tak, gdyż Zaratustra przyszedł wnet do zastanowienia nad własnem szaleństwem, i otrząsnął

z siebie natychmiast wszelką niechęć i przesyt wszelki.

»Tam do licha! — rzekł, czyż nie działy się zdawien dawna najśmieszniejsze rzeczy pomiędzy nami, starymi pustelnikami i świętymi?

Zaprawdę, nierozsądek mój wyrósł wysoko pośród gór! Oto słyszę, jak sześć starych błazeńskich nóg skrzypi w gonitwie za sobą!

Czyż godzi się Zaratustrze lękać cienia? I zda mi się wreszcie, że posiada on dłuższe nogi, niźli ja.«

Tako rzekł Zaratustra, śmiejąc się śmiechem oczu i trzewi, poczem zatrzymał się i zawrócił nagle — i omal że nie zwalił z nóg swego naśladowcę i cienia: tak blizko następował mu on na pięty i tak wątły był on zarazem. Gdy Zaratustra oczyma go zmierzył, przeraził się jego jak upiora: tak chudy, zczerniały, czczy i przeżyty wydał mu się ten jego naśladowca.

»Kim jesteś? — pytał Zaratustra gwałtownie, i czego tu się snujesz? I dlaczego zwiesz się moim cieniem? Nie podobasz ty mi się.«

»Daruj, odparł cień, że ja to jestem; a jeślim ci się nie spodobał, wiedzże, Zaratustro, chwalę za to ciebie i dobry twój smak.

Pielgrzymem jestem, który z dawna już wędruje śladem twoich stóp: zawszem ja w podróży, a zawsze bez celu, i nigdzie nie jestem u siebie: tak iż, zaprawdę, nie wiele się różnię od Żyda wiecznego tułacza, prócz tem chyba, żem ani wieczny, ani Żyd.

»Jakże to? Mamże być zawsze w podróży? Każdym wichrem miotany, chwiejny, przed się party? O ziemio, stałaś mi się zbyt krągła!

Na każdej powierzchni siadywałem już, jako

znużony kurz zasypiałem na zwierciadłach i szybach okiennych: wszystko bierze ode mnie, nic nie obdarza, staję się cienki, — do cienia jestem nieomal podobny.

Za tobą wszakże, o Zaratustro, latałem i krążyłem najdłużej, i aczkolwiek dobrze się przed tobą ukrywałem, byłem wszakże twym najlepszym cieniem: gdzieś ty siadywał, tam siedziałem i ja.

Wraz z tobą obchodziłem najodleglejsze, najmroźniejsze światy, jako upiór, co dobrowolnie po zimowych dachach i po śniegu lata.

Wraz z tobą dążyłem do wszystkiego zakazanego, najgroźniejszego, najdalszego: i jeśli cośkolwiek we mnie cnotą jest, będzie nią snadź ten brak trwogi przed wszelkim zakazem.

Wraz z tobą burzyłem to wszystko, co kiedykolwiek me serce czciło, obalałem wszystkie kamienie rubieżne i posągi, ubiegałem się za najniebezpieczniejszemi pragnieniami, — zaprawdę, poprzez wszelaki występek przeskakiwałem ja niegdyś.

Wraz z tobą oduczyłem się wiary w wielkie słowa, wartości i imiona. Gdy dyabeł linieje, czyż nie odpada wówczas i jego imię? I ono jest również wyliną. I dyabeł sam jest może — naskórkiem.

»Nic nie jest prawdziwe, wszystko jest dozwolone«, — tak oto przekonywałem siebie. W najchłodniejsze wody rzucałem się głową i sercem. Och, jakże często wystawałem potem nagi, jak rak czerwony!

Och, dokądże pierzchło wszelkie dobro, wszelki wstyd, wszystka wiara w dobrych! Och, gdzież się zapodziała owa zakłamana niewinność, jaką niegdyś posiadałem, niewinność dobrych i ich szlachetne kłamstwa!

Zbyt często, zaprawdę, prawdzie na pięty następowałem: i oto zwracała się nagle, uderzałem w nią głową. Nieraz zdawało mi się, iż kłamię, lecz oto, wtedy dopiero utrafiałem — prawdę.

Zbyt wiele wyjaśniło mi się: obecnie nic już mnie nie obchodzi. Nie żyje już nic, cobym kochał, — jakżebym miał samego siebie jeszcze kochać?

»Żyć wedle swych chęci, lub wcale nie żyć«: tego pragnę, nawet najświętszy człowiek takie ma pragnienie. Lecz, biada mi! skądże wezmę jeszcze — chęci?

Mamże ja — jeszcze cel? Mamże ja przystań, do której m ó j żagiel wiedzie?

Mamże ja pomyślne wiatry? Och, ten tylko, który wie, d o k ą d żegluje, wie zarazem, który wiatr jest dobry i dla jego żeglugi pomyślny.

I cóż mi pozostało? Serce znużone i bezczelne; wola niestateczna; skrzydła łopoczące; złamany krzyż.

To szukanie s w o j e j siedziby: O, Zaratustro, wierzaj mi, całe to poszukiwanie było tylko siedziby szukaniem i pokuszeniem mem; — trawi mnie ono.

»Gdzież jest — m o j a siedziba? O tom pytał, tegom szukał i szukał bez końca, — nie znalazłem jej. O, wieczne »wszędy«, wieczne »nigdzie«, o wieczne — »daremnie!«

Tak oto mówił cień, a Zaratustry oblicze wydłużyło się przy tych słowach. »Ty jesteś mym cieniem! rzekł wreszcie, ze smutkiem.

Nie małe jest twe niebezpieczeństwo, duchu ty wolny i pielgrzymi! Zły miałeś dzień: bacz, aby jeszcze gorszy wieczór po nim nie nastąpił!

Takim niestatecznym zda się wreszcie więzienie

nawet błogiem schroniskiem. Czyś widział kiedy, jak śpią schwytani przestępcy? Spią oni spokojnie: korzystają z nowego bezpieczeństwa.

Strzeż się, aby cię nie zniewoliła wkońcu jakaś ciasna wiara, twardy i surowy oman! Ciebie zwodzi i doświadcza obecnie wszystko, co jest zwarte i mocne.

Straciłeś cel: biada, jakże przebolejesz teraz tę stratę lekkomyślną? Wraz z nim — zgubiłeś i drogę swą z przed oczu!

Biedny ty, bałamutnie i kapryśnie bujający, znużony motylu! Czybyś nie zechciał na ten oto wieczór znaleźć odpoczynek i schronisko? Idźże więc do mej jaskini!

Tędy mknie droga do mej jaskini. A teraz uciekam czemprędzej od ciebie. Legło to wszystko na mnie, jako cień.

Sam chcę teraz pobiedz, aby znów jasno uczyniło się wokół mnie. Kwoli temu muszę długo i raźno krzątać się na nogach. Zaś dziś wieczorem — tańce będą u mnie!« — —

Tako rzecze Zaratustra.



W POŁUDNIE.

— Śpieszył więc Zaratustra i śpieszył coraz dalej, i nie spotykał już nikogo, i był sam jeden, i raz wraz myślą do siebie powracał, i rozkoszował się samotnością, i chłonął ją, i rozmyślał o wielu dobrych rzeczach, — całemi godzinami. Czasu południa, gdy słońce wprost nad głową Zaratustry stało, mijał on krzywe, sękate drzewo, bujną miłością winnego krzewu tak ogarnięte, że aż przed samym sobą ukryte: z krzewu tego zwieszały się ku wędrowcowi obfite żółte grona. Wówczas wzięła go ochota ugasić lekkie pragnienie i zerwać takie grono, gdy jednak ramię już wyciągnął, zrodziła się w nim inna, jeszcze większa chętka: mianowicie ledz pod tem drzewem w tę godzinę doskonałego południa, i zasnąć.

Tak też uczynił; i zaledwie legł na ziemię w ciszę i przytulność barwistej murawy, już o swem niewielkiem pragnieniu zapomniał i zasnął. Gdyż, jak głosi przysłowie Zaratustry: jedno jest niezbędniejsze

od drugiego. Tylko że oczy jego pozostały otwarte: — nie mogły się one nasycić widokiem drzewa i miłości winnego krzewu, — nasycić i nauwielbiać. W zasypianiu jednak przemawiał Zaratustra tak oto do swego serca:

»Cicho! Cicho! Czyż nie doskonałym stał się właśnie świat? Cóż to ze mną dzieje się?

Jak pieściwe wiatru tchnienie, po taflowej morza toni tańczy niewidzialnie, lekko, jak puch zwinnie: tak oto — sen po mnie pląsa.

Oka mi nie zmruży, duszę w jawie pozostawia. Lekki jest, zaprawdę! ten puchowy sen.

Podmawia mnie on, nie wiem jak to czyni? dotyka mnie wnętrznie przypochlebną dłonią i zniewala mnie. Zniewala mnie sen, by się dusza wyciągnęła: —

— jak się nuży i wyciąga, ma przedziwna dusza! Czyżby dnia siódmego wieczór zaszedł ją w południe? Czy za długo już pośród dobrych, źrzałych rzeczy szczęsna się snowała?

Tak się pręży i wyciąga, — i wydłuża wciąż! w spokoju już legła, ma przedziwna dusza. Za wiele dobrego smakowała już, dławi smutek ją ten złoty, więc się krzywi usty.

— Jako nawa, co w swą cichą wpłynęła zatokę: — o ziemię wsparła się wreszcie, długą drogą umęczona i niepewną tonią. Wszak ziemia najwierniejsza?

Gdzie się nawa taka do lądu przygarnie, do lądu przytuli: — tam pająka z lądu starczy, jednej jego nici. Mocniejszej tu liny zgoła nie potrzeba.

Jak znużona taka łódź w najcichszej zatoce, tak

spoczywam ziemi blizki, wierny, ufny, czekający, najniklejszą nicią do niej przywiązany.

O szczęście! Szczęście! Wszak śpiewać chcesz, o duszo moja? W murawie ległaś. Lecz czas to jest tajemny, uroczysty czas, kiedy żaden pasterz fletni się nie ima.

Płosz się! Południowy skwar drzemie nad łanami! Nie śpiewaj! Cicho! Świat jest doskonały.

Zamilcz, traw skrzydlaty tworze, nie śpiewaj, duszo moja! I szeptu też zaniechaj! Spójrz — cicho! stare śpi południe, ustami wraz porusza: czyż nie spija ono właśnie szczęścia jednej kropli —

— tej brunatnej, starej kropli złocistego szczęścia, złocistego wina? Szczęście po nim się pomyka, szczęście śmieje się. Tak się śmieje — Bóg. Cicho! —

— »Do szczęścia — jakże niewiele do szczęścia potrzeba!« Takem mawiał niegdyś i mądrym się mniemałem. Słowa te bluźnieniem były: t e g o m świadom dziś. Sowizdrzały mądre lepiej powiadają.

Owóż to najmniejsze, to najcichsze, to najlżejsze, jaszczurki jednej szmer, jedno tchnienie, jeden mig, oka jedno mgnienie: — m a ł o, oto przymiot n a j l e p s z e g o szczęścia. Cicho!

— Cóż się dzieje ze mną: bacz! Czyż nie pierzchnął czas? Czy nie spadam ja? Czy nie spadłem — bacz! w studnię wieczności?

— Cóż się dzieje ze mną? Cicho! Razi mnie — o biada — w serce? W serce mnie uraża! O złam się, złam me serce po szczęściu tem, po razie tym serdecznym!

— Jakże to? Czyż nie doskonały stał się właśnie świat? Krągły, źrzały? O, ta złota, krągła obręcz —

dokąd mknie też ona? Hejże, za nią sam polecę! W mig!

Cicho — —« (tu przeciągnął się Zaratustra i poczuł, że śpi.)

»Wstawaj! wołał do siebie samego, ospalcze ty! Ty śpiochu o południu! Hejże, hejże, stare nogi! Czas już na was, czas najwyższy, dobry kawał drogi jeszcze na was czeka —

Wszak wyspałyście się już, jakże długo trwało to? Połowę wieczności! Hejże, hejże stare serce! Jakże długo będziesz ty po takim śnie — docucać się?«

(Lecz tu zasnął Zaratustra ponownie, a dusza przeciwiała mu się, broniła i ułożyła się znowuż.) — »Zaniechaj mnie! Cicho! Czyż nie doskonały stał się właśnie świat? O, ta krągła złota piłka!« —

»Wstawaj, rzekł Zaratustra, ty złodziejko mała, mitrężąca dzienny czas! Jakże to? Jeszcze ciągle przeciągać się chcesz, ciągle ziewać, wzdychać i w głębokie studnie padać?

Kimże jesteś! O duszo ma (i tu przeraził się Zaratustra, gdyż promień słoneczny padł mu z nieba prosto w twarz.)

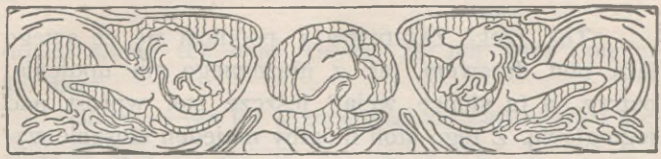
»O nieba stropie ponade mną, westchnął i przysiadł na ziemi, przyglądasz mi się ty? Słuchasz duszy mej przedziwnej?

Kiedyż spijesz ty tę kroplę rosy, co na wszystkie ziemskie rzeczy spadła, — kiedyż spijesz duszę tę przedziwną —

— kiedy, studnico wieczności! ty pogodna, dreszczem rozkoszy wstrząsająca przepaści południowa! kiedyż duszę mą spijesz ty z powrotem?«

Tak rzekł Zaratustra i podniósł się ze swego leża pod drzewem, jak z nieznanego mu upojenia: patrzy, a tu słońce wciąż jeszcze stoi wprost nad jego głową. Z tego atoli mógłby niejeden słusznie wywnioskować, że nie długo spał wówczas Zaratustra.





POWITANIE.

Późno pod wieczór po długiem szukaniu i błądzeniu daremnem powrócił Zaratustra do swej jaskini. Lecz gdy znalazł się naprzeciw niej o niespełna dwadzieścia kroków, stało się coś, czego najmniej oczekiwał: usłyszał ponownie wielkie wołanie na pomoc. I, rzecz zdumiewająca! tym razem dochodziło to wołanie z jego jaskini. Był to długi wieloraki dziwny krzyk, i Zaratustra odróżniał najwyraźniej, iż składa się on z wielu głosów: aczkolwiek słyszany zdala, mógł się wydawać krzykiem jednych ust.

Poskoczył tedy Zaratustra do jaskini, patrzy! i oto jakie widowisko oczekiwało go po tym wstępie dźwiękowym! Siedzieli tam społem ci wszyscy, których za dnia spotkał: król po prawej, król po lewej, stary wiła, papież, dobrowolny żebrak, cień, sumienny z ducha, smutny wróżbiarz i osieł. Najszpetniejszy człowiek zaś wsadził sobie na głowę koronę i zarzucił na siebie dwa płaszcze purpurowe, — gdyż

lubiał, jako wszyscy szpetni, występować w przebraniu i upiększeniu. W pośrodku tego chmurnego towarzystwa stał orzeł Zaratustry, napuszony i niespokojny, gdyż musiał odpowiadać na wiele pytań, na które duma jego nie znajdowała odpowiedzi; mądry wąż zawisał mu na szyi.

Przyglądał się Zaratustra temu wszystkiemu w wielkiem zdumieniu; poczem badał jednak każdego ze swoich gości z uprzejmą ciekawością, odczytywał ich dusze i dziwił się ponownie. Zebrani powstali tymczasem z miejsc i oczekiwali w pokorze, póki Zaratustra mówić nie pocznie. Zaratustra zaś rozpoczął temi słowy:

»Wy rozpaczający! Dziwni wy ludzie! Więc to wasz krzyk słyszałem? Teraz wiem wreszcie, gdzie szukać tego, któregom daremnie dzień cały poszukiwał: gdzie szukać człowieka wyższego —:

— w mej własnej jaskini siedzi ów człowiek wyższy! Lecz czemuż ja się dziwię! Czyż nie przywabiłem go tu sam, obiatą miodową i podstępnem wabieniem swego szczęścia?

Lecz zda mi się, że do wspólnego towarzystwa mało wy się nadajecie, serca obciążacie sobie wzajemnie, wy ratunku wzywający, siedząc tak oto społem? Winien przyjść tu ktoś,

— co was znowu śmiać się nauczy, dobry i wesoły kuglarz, tancerz, wietrznik i trzpiot, stary sowizdrzał przyjść tu winien: — i cóż wy na to?

Wybaczcież mi, rozpaczający, że tak lichemi przemawiam do was słowy, niegodnemi, zaprawdę, takich gości! Lecz nie odgadniecie chyba, co me serce tak zuchwałem czyni: —

— wy to sami sprawiacie i widok wasz, darujcież mi! Każdy bowiem staje się odważnym, gdy na rozpaczającego spogląda. Dodawać otuchy rozpaczającemu — ku temu każdy wydaje się sobie dostatecznie silny.

I mnie oto obdarzyliście tą siłą, — dobry to dar, zaprawdę, czcigodni moi goście! Rzetelny gościniec! Nie gniewajcież się więc, że wam swoje ofiaruję dary.

Moje to państwo i moje panowanie: wszakże co mojem jest, tego wieczora i nocy tej do was również należeć winno. Me zwierzęta niech wam usługują: ma jaskinia niech będzie dla was miejscem wytchnienia!

W domu i siedlisku mojem nikt rozpaczać nie powinien, w swojej dziedzinie strzegę każdego od złych jego zwierząt. I oto rzecz pierwsza, którą wam ofiaruję: bezpieczeństwo!

Wtórą zaś jest: mój mały palec. Wszakże, gdy jego już macie, bierzcież i dłoń całą, hejże! bierzcież i serce w dodatku! Witam was, witam, goście i przyjaciele!«

Tako rzekł Zaratustra i śmiał się pełen miłowania i złośliwości. Po tem powitaniu skłonili się goście powtórnie i milczeli czcią przejęci; wreszcie król po prawej odparł w ich imieniu.

«Po tem, o Zaratustro, jakeś podaniem dłoni i ukłonem powitał, poznajemy, żeś Zaratustra. Poniżyłeś się przed nami; nieomal, że zadrasnąłeś naszą czołobitność —:

— któżby jednak zdołał z taką, jak ty, poniżyć się dumą? T e m i nas podźwignąłeś, pokrzepieniem jest to dla oczu i serc naszych.

Ażeby choć to tylko zobaczyć, weszlibyśmy chętnie na wyższe nawet góry, niźli ta. Chciwi widowiska przybyliśmy tutaj, pragnęliśmy ujrzeć to, co zasępione oczy rozjaśnia.

I patrz, już po naszych wołaniach na ratunek. Otworem stanęły już duch i serce, zachwyt je ogarnął. Nie wiele brakuje, aby się ta nasza ochoczość swawolą stała.

Nic radośniejszego, o Zaratustro, nie wzrasta na ziemi, ponad wysoką, silną wolę: ona jest najpiękniejszą rośliną. Cały krajobraz orzeźwia się od takiego drzewa.

Do pinii przyrównywam tego, kto wyrósł jako ty, o Zaratustro: smukły, milczący, twardy, samotny, o najlepszem, najgiętszem drzewie, świetny, —

— i sięgający wreszcie zielonemi gałęźmi po swoje panowanie, potężnemi zagadnieniami nagabując wichry i nawałnice, oraz to wszystko, co w górach ma swoje siedlisko,

— potężniej jeszcze odpowiadając na nie, jako rozkazodawca i zwycięzca: o, dla oglądania takiej roślinności, któż na wysokie góry wspinać się nie winien?

Twe drzewo, o Zaratustro, orzeźwia nawet chmurnych i nieudanych, na twój widok nawet niestateczny staje się pewnym i serce swe koi.

I zaprawdę, ku twej górze i ku drzewu twemu zwraca się dziś wiele oczu; wielka rozwarła się tęsknica, i niejeden pytać się nauczył: kim jest Zaratustra?

A komu pieśń lub miód w uszy kiedykolwiek wsączyłeś: wszyscy ci ukryci, samotnicy i samowtóry rzekli nagle do swych serc:

»Żyjeż jeszcze Zaratustra? Nie warto już żyć, wszystko jest obojętne, wszystko daremne: lub też — z Zaratustrą żyć nam chyba jedynie!«

»Czemu nie przychodzi on, który się tak długo zapowiadał? wielu tak oto zapytuje; czy pochłonęła go samotność? Lub winniśmy może my do niego pójść?«

Zdarza się, że i samotność nawet murszeje, rozpadając się, jak grób, co się rozwala i zmarłych swych utrzymać już nie może. Wszędzie widać zmartwychwstałych.

Oto rosną i wzbierają fale wokół twej góry, o Zaratustro! I jakkolwiek wysoka jest twa wyżyna, wiele z tych fal dosięgnąć jej musi: łódź twa niedługo już na lądzie spoczywać będzie.

Zaś to, żeśmy, rozpaczający, do twej przyszli jaskini, wróżbą jest i przepowiednią tylko, iż lepsi są już w drodze do ciebie, —

— gdyż owo ciągnie ku tobie ostatnia pozostałość Boga w człowieku: wszyscy ci ludzie wielkiej tęsknoty, wielkiego wstrętu, wielkiego przesytu,

— ci wszyscy, co żyć nie chcą, chyba że się nauczą n a d z i e j ę mieć — chyba że się od ciebie, Zaratustro, w i e l k i e j nauczą nadziei!«

Tak rzekł król po prawej i pochwycił dłoń Zaratustry, aby ją ucałować; lecz Zaratustra wzbraniał się od tego uczczenia i cofnął się przerażony, milczący i jakby nagle w odległe odlatujący dale. Po chwili jednak powrócił duchem do swych gości, spojrzał na nich badawczem okiem i rzekł:

»Goście moi, wy ludzie wyżsi, chcę z wami mówić po niemiecku i wyraźnie. Nie n a w a s oczekiwałem ja w tych górach«.

(»Po niemiecku i wyraźnie? Pożal się Boże! rzekł król po lewej, na stronie; znać, że lubych Niemców nie zna ten mędrzec ze Wschodu!

Lecz on chce powiedzieć »po niemiecku i z prostacka«. Nie jest to dziś w najgorszym jeszcze smaku!«).

»Możeście wy zaprawdę wszyscy społem ludźmi wyższymi: dla mnie — nie jesteście ani dość wysocy, ani dość krzepcy.

Dla mnie, znaczy: dla tej nieubłagalności, która we mnie milczy, lecz nie zawsze milczeć będzie. A jeśli przynależycie do mnie, to wszakże nie jako moje prawe ramię.

Albowiem ten, kto, jako wy, na chorych i wątłych nogach stoi, ten chce przedewszystkiem wiednie czy skrycie, aby go o s z c z ę d z a n o.

Ramion i nóg swoich nie oszczędzam ja wszakże, n i e s z c z ę d z ę w o j o w n i k ó w s w y c h: jakżebyście chcieli nadać się do m o j e j wojny?

Z wami zepsułbym sobie każde zwycięstwo. A niejeden z was obaliłby się już, zasłyszawszy tylko moich bębnów łoskot.

Nie jesteście mi też dość urodziwi i dobrze urodzeni. Potrzebuję gładkich zwierciadeł dla swej nauki; na waszej powierzchni wykoszlawia się nawet obraz mój własny.

Na ramionach waszych cięży niejedno brzemię, niejedno wspomnienie; niejeden zły karzeł przyczaja się w waszych kątach. Tkwi też w was i motłoch ukryty.

I aczkolwiek jesteście ludźmi wysokiego i wyższego pokroju: wiele jest w was krzywego i niefo-remnego. Niemasz takiego kowala na świecie, któryby was wyprostować i wyrównać zdołał.

Jesteście tylko mostami: niechże wyżsi po was kroczą! Oznaczacie stopnie: nie złorzeczcież temu, co się po was na swoją wyżynę wspina!

Z waszego nasienia wyrośnie może i dla mnie prawdziwy syn i dziedzic: lecz przyszłość to daleka. Wy sami nie jesteście ci, do których me dziedzictwo i imię należy.

Nie na was oczekuję w tych górach, nie z wami wolno mi będzie znijść po raz ostatni. Przyszliście tu do mnie, jako zwiastuni, że wyżsi są już w drodze, —

— a nie są to ludzie wielkiej tęsknoty, wielkiego wstrętu i wielkiego przesytu, oraz tego, co szczątkiem Boga nazwaliście,

— nie! Nie! Po trzykroć nie! Na innych czekam ja w tych górach i bez nich nogą stąd nie ruszę,

— czekam na wyższych, bardziej krzepkich i zwycięskich, bardziej ochoczych, na tych, co są umiernie zbudowani na ciele i duchu: śmiejące się lwy przyjść tu muszą!

O goście moi i przyjaciele, dziwni wy, — czyście nic nie słyszeli o dzieciach moich? Ani o tem, że podążają już ku mnie?

Mówcież mi o moich ogrodach, o mych wyspach szczęśliwości, o mym nowym urodziwym gatunku — czemuż nie mówicie o tem?

O ten gościniec dopraszam się od waszej ku mnie miłości, abyście mi o dzieciach mych mówili. Kwoli temu jestem bogaty, kwoli temu stałem się ubogi: czegóż nie oddałem,

— czegóżbym jeszcze nie oddał, wzamian za to jedno: za te dzieci, ten żywy posiew, te drzewa życia mej woli i mej najwyższej nadziei!«

Tak rzekł Zaratustra i zatrzymał się nagle w swej mowie: gdyż owładnęła nim tęsknota, zamknął oczy i usta w poruszeniu serdecznem. I goście jego milczeli również: stali niemowni i zmieszani: tylko stary wróżbiarz rękoma i miną dawał jakieś znaki.





WIECZERZA.

W tem mianowicie miejscu przerwał wróżbiarz powitanie Zaratustry z gośćmi: przecisnął się naprzód, jak ktoś co nie ma czasu do stracenia, pochwycił dłoń Zaratustry i zawołał: »Ależ Zaratustro!

Jedno jest niezbędniejsze od drugiego, sam to powiadasz: a więc jedno jest dla mnie obecnie niezbędniejsze od drugiego.

Słówko w porę: czyż nie zaprosiłeś mnie na posiłek? A jest tu wielu takich, co z długiej podróży przybyli? Chceszże nas mowami nakarmić?

Rozmyślaliście mi również nadto o zamarźnięciu, utonięciu, uduszeniu, oraz o innych niedolach cielesnych: nikt zaś jeszcze nie wspomniał o mojej niedoli, mianowicie o zagłodzeniu —«

(Tak mówił wróżbiarz; a gdy zwierzęta Zaratustry usłyszały te słowa, uciekły przerażone. Spostrzegły one, że wszystko, co za dnia zniosły, nie wystarczy nawet dla zapchania samego tylko wróżbiarza).

»Łącznie z pragnieniem, ciągnął dalej wróżbiarz.

Aczkolwiek słyszę, że woda tu pluska, niby mowy mądrości, równie obficie i niezmordowanie, ja wszakże — chcę w i n a!

Nie każdy jest, jak Zaratustra, urodzonym spijaczem wody. Woda nie zda się wreszcie na nic dla znużonych i zwiędłych: n a m należy się wino, — o n o dopiero darzy nagłem uzdrowieniem i krzepkością pochopną!«

Przy tej sposobności, gdy wróżbiarz dopominał się wciąż o wino, stało się, że przemówił także król po lewej, najbardziej ze wszystkich milczący. »O wino, rzekł, dbaliśmy już razem z moim bratem, z królem po prawej: wina mamy dosyć, — nasz osieł jest pełen wina. Nie brak więc niczego oprócz chleba«.

»Chleba? odparł Zaratustra i zaśmiał się. Otóż chleba właśnie nie miewają pustelnicy. Wszelako człowiek nietylko chlebem żyje, lecz i mięsem dobrych jagniąt, których mam tu dwoje:

— Należy j e zarznąć czemprędzej i szałwią korzennie zaprawić: tak je lubię spożywać. Nie brak też u mnie korzeni i owoców, przydatnych nawet dla łakotnisiów i smakoszów, znajdą się też i orzechy oraz inne zagadki do łuskania.

Tak więc zgotujemy niebawem dobrą ucztę. Lecz kto spożywać ją pragnie, winien też i rękę do niej przyłożyć, nie wyłączając króli. U Zaratustry nawet król kucharzem być może«.

To wezwanie przemówiło każdemu do serca: wyjąwszy dobrowolnego żebraka, który dąsał się na mięso, wino i korzenie.

»Patrzcież mi na tego żarłoka Zaratustrę! rzekł

żartobliwie: czyż na to idzie się w góry i w jaskinie górskie, aby takie spożywać uczty?

Teraz rozumiem wreszcie, czego was niegdyś uczył: »Błogosławionem niech będzie małe ubóstwo!« i dlaczego żebraków usunąć chciał«.

»Bądź wesołej myśli, odparł mu Zaratustra, podobnie jak i ja. Pozostań przy swych obyczajach, ty nieoceniony, miel swe ziarna, pijaj wodę, wysławiaj swą kuchnię: skoro cię ten obyczaj radością darzy!

Jam jest zakonem dla swoich tylko ludzi, nie jestem prawem dla wszystkich. Wszakże kto do mnie należy, winien być człowiekiem o mocnych kościach i lekkich stopach, —

— ochoczy zarówno do wojny, jak i do uczty, nie mruk, ani ospały marzyciel, gotów zarówno do rzeczy najcięższych, jak i do uczty, — zdrowy a krzepki.

Wszystko co najlepsze należy do moich ludzi i do mnie; a gdy nam tego nie dadzą, weźmiemy to sobie: najlepszy pokarm, najczystsze niebo, najtęższe myśli, najpiękniejsze kobiety!« —

Tako rzekł Zaratustra; zaś król po prawej odparł: »Szczególna! Słyszał kto kiedy tak rozsądne słowa z ust mędrca?

I zaprawdę, rzeczą najszczególniejszą w mędrcu jest to, gdy bywa w dodatku nawet i rozsądnym, i nie osłem«.

Tak mówił król po prawej i dziwił się; osieł zaś na te jego słowa rzekł złośliwie: ta-ak. Taki był początek długiej uczty, która w opowieściach historycznych zwie się »wieczerzą«. Nie mówiono zaś przy niej o niczem innem, tylko o człowieku wyższym.

O CZŁOWIEKU WYŻSZYM.

I.

Gdym po raz pierwszy do ludzi przyszedł, szaleństwo pustelnika popełniłem wówczas, wielkie szaleństwo: ustawiłem się na rynku.

I przemawiając do wszystkich, nie mówiłem do nikogo. Pod wieczór zaś linoskocy byli towarzyszami mymi, oraz trupy; ja sam trupem byłem nieomal.

Wraz z nowym porankiem nawiedziła mnie wszakże nowa prawda: wówczas nauczyłem się mawiać »I cóż mnie rynek obchodzi, co motłoch, motłochu wrzawa i długie jego uszy!«

O ludzie wyżsi, nauczcież się tego ode mnie: na rynku nikt w ludzi wyższych nie wierzy. Gdy jednak przemawiać tam chcecie, baczenie miejcie! Gdyż motłoch pomruguje oczyma: »jesteśmy wszyscy równi«.

»Wy ludzie wyżsi, — tak oto pomruguje ciżba, — niema ludzi wyższych, jesteśmy wszyscy równi, człowiek jest człowiekiem, przed Bogiem — jesteśmy wszyscy równi!«

Przed Bogiem! — Lecz oto Bóg ten umarł. Przed motłochem wszakże równi być nie chcemy. O ludzie wyżsi, opuszczajcie rynki!

2.

Przed Bogiem! — Lecz oto Bóg ten umarł! O ludzie wyżsi, ten Bóg był waszem największem niebezpieczeństwem.

Od czasu, gdy on w grobie legł, wyście dopiero zmartwychwstali. Teraz dopiero zbliża się wielkie południe, teraz dopiero człowiek wyższy staje się — panem!

Czyście pojęli to słowo, o bracia moi! Jesteście przerażeni: serca wasze zawrót ogarnia? Przepaść wam się tu rozwiera? Pies ognisty, zda się wam, tu naszczekuje?

Hejże! Hej! Ludzie wy wyżsi! Teraz dopiero rodzi góra ludzkiej przyszłości. Bóg umarł: niechże za n a s z ą wolą, — nadczłowiek teraz żyje.

3.

Najtroskliwsi pytają dziś: »jak zachować człowieka?« Zaratustra wszakże pyta, jako pierwszy i jedyny: »jak p r z e z w y c i ę ż y ć człowieka?«

Nadczłowiek leży mi na sercu, o n jest mą pierwszą i jedyną rzeczą, — n i e zaś człowiek: nie bliźni, nie najbiedniejsi, nie najbardziej cierpiący, nie najlepsi. —

O, bracia moi, kochać mogę w człowieku to,

iż jest on przejściem i zanikiem. I w was jest wiele takiego, co mnie do umiłowania i nadziei zmusza.

A że gardzicie, wyżsi wy ludzie, to nadzieję mieć mi każe. Albowiem wielcy wzgardziciele są wielkimi czcicielami.

To, że rozpaczacie, w tem wiele uszanować należy. Gdyż nie nauczyliście się ulegać, nie znacie małostkowej przezorności.

Albowiem dziś mali ludzie panami się stali: każą oni wszyscy uległość, przestawanie na małem, roztropność, pilność, oraz to długie »i tak dalej« małych cnót.

Wszystko, co kobiece, co ze służalczego pochodzi rodu, zwłaszcza ta motłochu mieszanina: panem doli człowieczej stać się to wszystko chce — o, wstręt! wstręt! wstręt!

Wszystko to pyta bez końca i nie nuży się tem pytaniem: »jak zachować człowieka najlepiej, najdłużej, najprzyjemniej?« I tem stają się oni — panami dnia.

Panów dnia dzisiejszego przezwyciężcie mi, o bracia moi, — tych małych ludzi: oni to są największem niebezpieczeństwem nadczłowieka!

Przezwyciężcie mi, o ludzie wyżsi, te małe cnoty, małostkową roztropność, te pyłkowe względy, to rojenie się mrówcze, tę żałosną błogość, to »szczęście najliczniejszych« —!

I raczej rozpaczajcie, niżbyście ulegać mieli. I, zaprawdę, kocham was zato, że dzisiaj żyć nie umiecie, wy ludzie wyżsi! Gdyż to właśnie jest waszem życiem — najlepszem!

4.

Macież wy odwagę, o bracia moi? Zali jesteście krzepcy sercem? Nie odwagę przed świadkami, lecz odwagę pustelnika i orła, któremu żaden Bóg już się nie przygląda?

Dusze zimne, muły, ślepce i opoje krzepkimi sercem dla nas nie są. Serce posiada, kto trwogę zna, lecz ją zmaga; kto przepaść widzi, lecz patrzy na nią z dumą.

Kto w przepaść spoziera, lecz orłowemi oczy, — kto orła szponami przepaści się chwyta: ten posiada odwagę. — —

5.

»Człowiek jest zły« — mówili mi ku pociesze wszyscy najmędrsi. Och, gdybyż to dziś prawdą jeszcze było! Gdyż zło jest w człowieku największą siłą!

»Człowiek stać się musi lepszy i gorszy« — tak oto ja pouczam. Najgorsze jest w nadczłowieku niezbędne do najlepszego.

Dobre to snadź było dla onego kaznodziei małych ludzi, iż cierpiał on i dźwigał grzech człowieczy. Ja zaś doznaję wielkiego grzechu jako największej pociechy. —

Nie powiada się tego wszakże dla długich uszu! Nie każde słowo też każdej gębie przystoi. Subtelne

to i dalekie rzeczy: niech owiec racice po nie nie sięgają!

6.

Mniemacie wy może, ludzie wyżsi, żem na to jest, by poprawiać, coście licho zdziałali?

Lub że pragnę wam, cierpiącym, wygodniej na przyszłość słać? Wam niestatecznym, zbłąkanym, na górnych drogach zaprzepaszczonym, nowe lżejsze ścieżki wskazywać?

Nie! Nie! Potrzykroć nie! Coraz to więcej, coraz to lepsi waszego pokroju ginąć mi muszą, — gdyż coraz to zgubniejsze i coraz to twardsze winno być dla was życie. Tak jedynie —

— jedynie tak wyrasta człowiek ku górze, gdzie go grom trafia i łamie: wyrasta dość wysoko dla gromu!

Ku rzeczom nielicznym, długim a odległym zmierzają dumy i tęsknoty me: czemże mi są wasze małe, liczne i krótkie nędze!

I niedostateczne są mi jeszcze cierpienia wasze! Gdyż wy cierpicie nad sobą, nie cierpieliście jeszcze nad człowiekiem. Kłamalibyście, mówiąc inaczej! Nikt z was nie cierpiał nad tem, nad czem ja cierpiałem. —

7.

Nie dość mi tego, że grom szkody już nie czyni. Nie pragnę go odwodzić: winien się nauczyć, jakby dla mnie — pracował. —

Mądrość ma zbiera się już długo jako chmura, staje się cichszą i ciemniejszą. Tak czyni każda mądrość, co kiedyś błyskawice rodzić ma. —

Dla tych ludzi dnia dzisiejszego światłem być nie chcę, światłem zwać się nie pragnę. Ich — oślepić chcę: błyskawico mądrości mej! wykłuj oczy im!

8.

Nie pragniecie nigdy ponad to, co zdziałać jesteście w stanie: istnieje niedobry fałsz pośród tych, co ponad swą możność chcą.

Osobliwie, gdy pragną rzeczy wielkich! Gdyż oni budzą nieufność do rzeczy wielkich, ci zręczni fałszerze i aktorzy: —

— i stają się wreszcie fałszywi przed samymi sobą, to zezujące, szminką pokryte, robaczywe plemię, strojne w płaszcz wielkich słów, cnót okazowych i błyskotliwych, a fałszywych dzieł.

Miejcież to na baczności, ludzie wyżsi! Niemaż bo dziś nic cenniejszego i rzadszego ponad rzetelność.

Czyż to »dziś« nie należy do motłochu? Motłoch zaś nie wie, co wielkie, co małe, co proste, co rzetelne: on jest niewinnie koszlawy, on zawsze łże.

9.

Bądźcie dziś nieufni, wy, ludzie wyżsi, wy serdeczni! Wy otwarci! I ukrywajcie dowody swoje! To »dziś« do motłochu wszak należy.

W co motłoch bez dowodów uwierzył, jakżeby-ście to chcieli dowodami — obalić?

Zaś na rynku przekonywa się giestami. Dowody wszakże budzą w motłochu nieufność.

A jeśli się zdarzy, że prawda zwycięży, pytajcież w słusznem niedowierzaniu: »jakaż niedorzeczność walczyła za nią?«

I strzeżcież się uczonych! Nienawidzą was oni: gdyż bezpłodni są! Mają zimne wyschłe oczy, ptak każdy bez piór przed nimi leży.

Tacy chełpią się tem, że nie kłamią, wszakże od niemocy kłamstwa daleko do umiłowania prawdy. Miejcież się na baczności!

Niepodleganie febrze nie jest jeszcze poznaniem! Wychłodzonym duchom nie dowierzam ja. Kto kłamać nie umie, nie wie, czem jest prawda.

10.

Jeśli ku wyżynie zmierzasz, własnych używaj nóg! Nie pozwalaj się w n o s i ć, nie siadaj na cudze grzbiety i głowy!

Lecz ty na konia oto wskakujesz? I oto cwałujesz szybko do swego celu? Pięknie, przyjacielu mój! Lecz oto twa chroma noga wraz z tobą na koniu siedzi!

A gdy u celu swego się znajdziesz, gdy z konia zeskoczysz: na s w o j e j właśnie wyżynie, o człowieku wyższy, — potykać się będziesz!

11.

Wy twórcy, wyżsi wy ludzie! Własnem dzieckiem brzemiennym się tylko bywa.

Nie pozwalajcież wgadywać w siebie niczego i wmawiać! Któż to jest waszym bliźnim? Aczkolwiek działacie »dla bliźniego«, — nie tworzycie wszak dla niego!

Oduczcież mi się tego »dla«, wy twórcy: cnota wasza właśnie chce, byście żadnej rzeczy nie czynili »dla«, »aby« i »ponieważ«. Na te małe, fałszywe słowa zatykajcie uszy swe.

Owo »dla bliźniego« jest cnotą małych ludzi: u nich to obowiązuje »swój swemu« i »ręka rękę myje«: — oni nie mają ani prawa, ani siły do waszego samolubstwa!

W waszem samolubstwie, wy twórcy, jest przezorność, opatrzność brzemiennych! Czego oczyma nikt jeszcze nie ujrzał, owoc: on to chroni, osłania i żywi całą waszą miłość.

Gdzie jest cała miłość wasza, przy dziecku, tam bywa i całkowita cnota wasza! Wasze dzieło, wola wasza jest waszym »bliźnim«: nie pozwalajcie wmawiać w siebie fałszywych wartości!

12.

Wy twórcy, wyżsi wy ludzie! Kto rodzić musi, jest chory, kto zaś porodził, bywa nieczysty.

Pytajcie kobiet: nie rodzi się wszak dla przyjemności. Ból to kurom i poetom gdakać każe.

Wy twórcy, wiele w was nieczystego. Jako że matkami musieliście się stać.

Nowe dziecko!... O, ileż brudu przyszło wraz z niem na świat! Uchodźcież na stronę! Kto zaś porodził, niech duszę swą umywa!

13.

Nie bądźcie cnotliwi ponad własne siły! I nie wymagajcie od siebie niczego nad podobieństwo!

Chodźcie tymi śladami, którymi już cnota waszych ojców chadzała! Jakże to chcecie wysoko się wspiąć, gdy wola ojców waszych z wami się nie wspina?

Kto z rodu swego pierwszym być chce, niech baczy, aby się nie stał ostatnim! A w czem nałogi ojców waszych tkwiły, świętymi w tem być nie pragnijcie!

Czyi ojcowie zabawiali się kobietami, tęgiem winem i łowami na dziki: jakżeby ten mógł czystoty od siebie wymagać?

Szaleństwem byłoby to! Zaprawdę, wiele, zda mi się, czyni już taki, gdy jest mężem jednej, dwuch lub trzech kobiet.

I choćby klasztory ustanawiał i ponad drzwiami swemi wypisywał: »droga do świętości«, — rzekłbym mimo to: poco! wszak to nowe tylko szaleństwo!

Ustanowił on sam dla siebie więzienie i ucieczkę: niech mu służą! Lecz nie wierzę ja w to.

W samotności wyrasta, co człowiek w nią wniesie,

nawet bydlę wewnętrzne. Tym sposobem odradza się samotność wielu ludziom.

Czyż bywało coś niechlujniejszego na świecie ponad świętych pustelników? Wokół nich rozpasywał się nietylko dyabeł — lecz i świnia.

14.

Spłoszeni, zawstydzeni, niezręczni, podobni do tygrysa, gdy mu się skok nie udał: tak oto wy, ludzie wyżsi, przemykaliście mi się na ubocze. Nie udał wam się r z u t.

Aliści, gracze moi, cóż na tem zależy! Nie nauczyliście się grać i szydzić zarazem, jak grać i szydzić należy! Czyż nie siedzimy stale przy wielkim stole gry i szyderstwa?

A gdy wam rzecz wielka chybiła, czyście wy przeto — chybieni? A skoroście wy nawet chybieni, czyż chybionym jest przeto — człowiek? Gdy wszakże człowiek jest chybiony: hejże! hejże więc!

15.

Im wyższego rzecz gatunku, tem rzadziej udaje się. O ludzie wyżsi, nie jesteścież mi wszyscy — nieudani?

Bądźcie dobrej myśli, bo cóż na tem zależy! Ileż bo możliwości pozostaje jeszcze! Uczcie się śmiać z samych siebie, jako śmiać się należy!

I cóż dziwnego, żeście się nie udali, lub udali połowicznie, wy na poły rozbici! Czyż nie prze i nie rozpiera się w was — przyszłość ludzka?

Człowieka dale i głębie największe, wyżyny gwiezdne, jego niesłychana siła: czyż to wszystko nie pieni się i nie burzy niezgodnie w waszym garnku?

I cóż dziwnego, że niejeden garnek pęka! Uczcie się śmiać z samych siebie, jako śmiać się należy! O ludzie wyżsi, ileż jest jeszcze możliwości!

I zaprawdę, ileż udało się już! Jakże zasobna jest ziemia w małe dobre doskonałe rzeczy, w rzeczy udane!

Otaczajcie się ludzie wyżsi, doskonałemi rzeczami! Ich złote obręcze koją serce. Doskonałość uczy nadziei.

16.

Jakiż to największy grzech popełniono dotychczas na świecie? Czyż nie były nim słowa tego, który rzekł: »Biada tym, którzy się śmieją!«

Czyż nie znalazł powodu do śmiechu na ziemi tej? Snadź źle szukał. Dziecko nawet znajdzie tu powody.

On — nie dość kochał: inaczej ukochałby nas, śmiejących się! Aliści on nienawidził nas i urągał nam, skowyty i zębów zgrzytania obiecując nam.

Czyż należy natychmiast kląć, gdzie kochać nie można? Mniemam — że zły to smak. Lecz tak on czynić zwykł, ten bezwzględny. Z motłochu pochodził.

Sam on tylko nie dość kochał: inaczej mniejby

złorzeczył, że się jego nie kocha. Każda wielka miłość pragnie nie miłości: — ona chce czegoś więcej.

Uchodźcie z drogi wszystkim tym bezwzględnym! Biedny to i chory lud, motłoch rodem: niechętnie na życie on spogląda, złe wejrzenie ma on dla tej ziemi.

Uchodźcie z drogi wszystkim tym bezwzględnym! Ciężkie mają oni nogi i odęte serca: — tańczyć nie umieją. Jakżeby im ziemia lekką być miała!

17.

Krzywo zbliżają się do swego celu wszystkie rzeczy dobre. Jako koty wyginają grzbiet, mruczą wobec blizkiego szczęścia, — wszystkie dobre rzeczy śmieją się.

Krok wskazuje, czy ktoś po s w o j e j drodze kroczy: patrzcież, jak chodzę! Kto zaś do celu swego się zbliża, ten tańczy.

I, zaprawdę, posągiem nie stałem się ja, jeszcze nie stoję sztywny, zdrętwiały, kamienny, jako kolumna; lubię szybki bieg.

A choć na ziemi są też i bagniska oraz grzązkie posępki: kto lekkie ma nogi, po mule nawet przebiega prędki i tańczy po nim, jak po umiecionym lodzie.

Wznoście serca ku górze, bracia moi, wysoko! jeszcze wyżej! Nie zapominajcie mi też i nóg! Podnoście i nogi, dobrzy tancerze, lub lepiej jeszcze: na głowie też stawajcie!

18.

Tę koronę śmiejącego się, tę koronę z róż: sam włożyłem sobie na skroń, sam uświęciłem śmiech swój. Nie znalazłem nikogo o dostatecznej ku temu mocy.

Zaratustra tancerz, Zaratustra lekki, skrzydłami powiewający, polotny, wszystkim ptakom pozdrowienia ślący, gotów i ochoczy, lekkoduch ten błogi: —

Zaratustra prawdowróżek, Zaratustra prawdośmieszek, ani niecierpliwy, ani też bezwzględny, jeden z tych, co skoki i uskoki ukochał; sam tę koronę włożyłem sobie na skroń!

19.

W górę serca, bracia moi, wysoko! jeszcze wyżej! A nie zapominajcie też i nóg! Podnoście też i nogi wasze, dobrzy tancerze, lub lepiej czyńcie: na głowie też stawajcie!

Bywają stworzenia ociężałe nawet w szczęściu, bywają niezdary od urodzenia. Przedziwnie mozolą się oni, niby słoń, co na głowie stanąć zamierza.

Lepiej oszaleć ze szczęścia, niźli oszaleć z niedoli, lepiej niezdarnie tańczyć, niźli chromo chodzić. Nauczcież się wreszcie mej mądrości: nawet najlichsza rzecz ma dwie dobre strony, —

— nawet najlichsza rzecz posiada dobre nogi taneczne: nauczcież się wreszcie, o ludzie wyżsi, stawiać samych siebie na właściwe nogi!

Oduczcież mi się utrapień i wszelkiej motłochu osmętnicy! O, jakże żałośni wydają mi się dziś kuglarze motłochu! To »dziś« wszakże do tłumu należy.

20.

Czyńcie mi jako wicher, gdy się z górskich czeluści rwie: w takt własnych dud pląsać on rad, a morza drżą i skaczą pod jego tąpaniem.

Który osłom skrzydła daje, a lwice doi, sławiony niech będzie ten dobry niepohamowany duch, co każde dziś i ciżbę każdą jako burzowy nawiedza wichr, —

— wszystkim zrzędom i mitrężnym głowom wrogi, wszystkim liściom zwiędłym i chwastom wszelkim: sławiony niech będzie ten dziki dobry wolny wichrowy duch, który po trzęsawiskach i pognębieniach jak po łanach pląsa!

Który motłochu psiego plemienia nienawidzi oraz wszelkich nieudanych, ponurych pomiotów: sławiony niech będzie ten wolnych duchów duch, ten śmiejący się wichr, co wszelkim czarnowidom i ropiejącym pył w oczy dmie!

O ludzie wyżsi, najlichszem w was jest to, żeście się wszyscy tańczyć jeszcze nie nauczyli, jako tańczyć należy, — w pląsach poza siebie wybiegać! I cóż z tego, żeście się nie udali!

Ileż bo rzeczy jest jeszcze możliwych! Nauczcież się więc śmiechem poza siebie wybiegać! Wznoście

serca ku górze, dobrzy tancerze, wyżej! jeszcze wyżej! A nie zapominajcie przytem i o śmiechu!

Tę koronę śmiejącego się, tę koronę z róż, wam przerzucam ja ją, o bracia moi! Uświęciłem śmiech; o ludzie wyżsi, nauczcież mi się — śmiać!



PIEŚŃ POSĘPKU.

1.

Gdy Zaratustra te mowy kończył, stanął u wyjścia z jaskini; wraz z ostatniemi słowy wymknął się gościom swoim i uciekł na chwilę w pole.

»O czyste wokół mnie woni, zawołał, o błogosławiona wokół mnie ciszo! Lecz gdzież są zwierzęta moje? Bywaj orle, bywaj wężu mój!

Powiedzcież mi, zwierzęta: ci ludzie wyżsi wszyscy społem — czyżby oni nie miłą wydawali woń? O, czyste wokół mnie woni! Teraz dopiero wiem i czuję, jak ja was kocham, zwierzęta moje«.

— I Zaratustra powtórzył po raz drugi: kocham was, zwierzęta me!« Orzeł zaś i wąż garnęły się doń, słysząc te jego słowa, i spozierały ku niemu. I tak oto stali wszyscy troje, chłonęli i spijali społem czyste powietrze. Gdyż tu nazewnątrz jaskini lepsze było powietrze, niźli pośród ludzi wyższych.

2.

Zaledwie Zaratustra opuścił swą jaskinię, podniósł się stary wiła, obejrzał się chytrze naokoło siebie i rzekł: »Już wyszedł!

I zaledwie to uczynił, o ludzie wyżsi — gdyż chcę wam tem samem schlebiać imieniem i tą samą chwalbą was łechtać, jak on to czynił — już opada mnie zły mój czar i omam, mój szatan posępny,

— który Zaratustrze jest przeciw z głębi duszy: wybaczcież mu to! Oto chce on czary swe przed wami czynić, zbliża się właśnie jego pora; daremnie borykam się z tym złym duchem.

Wam wszystkim, jakąkolwiek cześć słowami sobie oddawać zechcecie, zwąc się »wolnymi duchy«, »rzetelnymi«, »pokutnikami ducha«, czy też »rozkutymi« lub »wielkimi marzycielami«,

— wam wszystkim, którzy na wielki wstręt cierpicie, którym stary Bóg umarł, a żaden nowy bóg w kołysce i powijakach jeszcze nie spoczywa, — wam wszystkim skłonny jest zły mój duch i szatan mój czarnoksięski.

Znam ja was, o ludzie wyżsi, znam też i jego, — tego czarodzieja, którego kochać muszę mimowoli, znam ja Zaratustrę: on sam zda mi się nieraz piękną larwą świętego,

— niby nowe przedziwne zamaskowanie, które upodobał był sobie zły mój duch i szatan mój posępny: — kocham Zaratustrę, i, jak mniemam nieraz, kwoli duchowi swemu złemu. —

Lecz oto opada mnie już i zmaga mnie ten duch ciężkości, ten szatan wieczora i mroku: i, zaprawdę, o ludzie wyżsi, zachciewa mu się —

— rozwierajcie jeno oczy! — zachciewa mu się zjawić nago; czy mężczyzną, czy kobietą, nie przewiduję tego jeszcze: lecz zbliża się on, zmaga mnie, — biada! rozwierajcie zmysły!

Przebrzmiał dzień, nastał wieczór rzeczom wielkim; słuchajcież więc i baczcie, o ludzie wyżsi, zali mężczyzną, czy też kobietą, jest ten zły duch wieczornego posępku!»

Tak oto rzekł stary wiła, obejrzał się chytrze wokół i sięgnął po harfę.

3.

Gdy dzienny już przygasa blask,
Gdy rosy ukojenie
Na ziemię sączyć się poczyna,
Niewidocznie, i bezgłośnie —
Łagodnymi bowiem kroki
Stąpa rosy ukojenie, jako wszyscy miłosierni —:
Pomnisz wonczas, pomnisz serce me płomienne,
Jak pragnęłoś ongi,
Łez niebiańskich, ros kojących
Wyczerpane i łaknące.
Jak żółtym szlakiem po murawie
Wieczornego słońca wejrzenia złośliwe
Skroś czarnych drzew wokół cię padały,
Oślepiające skwarnego słońca blaski urągliwe?

»Prawdy oblubieniec? Ty? — szydziły one —
Nie! Poeta tylko!

Zwierzę chytre, łupieżcze, pełzające,
Co kłamać musi,
Z wiedzą, z wolą musi łgać:
Łupu łaknąć,
Za jaskrawą maską tkwić,
Samemu sobie larwą,
Samemu sobie łupem być —
I to — prawdyż to miłośnik?
Nie! Szaleniec tylko! Tylko poeta!
Co od rzeczy gada,
Z poza larw błazeńskich jaskrawe brednie głosi,
Po fałszywych mostach snów ciągle się snujący,
Po barwistych tęczach,
Gdzie fałszywe nieba
I ziemie fałszywe,
Ciągle się snujący, zawsze tułający,
To szaleniec tylko! To tylko poeta!

Więc to — prawdy oblubieniec?
Nie cichy, nie drętwy, nie gładki, nie zimny,
I nie posągowiały,
Jako posąg Boga,
Przed chromami nie stawiany,
Jako warta Boża:
Nie! Tyś mi wrogi prawdy tym posągom,
W każdej puszczy bardziej swojski, niźli przed świątnicą,
Pełen kociej samowoli,
Poprzez każde okno walisz
Skokiem! w każdy spadasz traf,
Każdą knieję rad powęszysz,
Żądnie — tęsknie w nozdrza chłoniesz,
Aby w puszczy uroczysku
Wśród drapieżców gdzieś plamistych

Biegać piękny, kraśny, grzesznie zdrów,
Z obwisłemi żądzą wargi,
Błogo szyderczy, piekielny, błogo krwiożerczy
W mateczniku krążyć, rabując, pełzając i łżąc: —

Lub jak orzeł, co długo
W przepaściach drętwy topi wzrok,
W s w o i c h przepaściach: — —
O, jakże się tu one w dół,
W otchłań, w bezdeń,
W coraz to głębszą kłębią głąb! —
Potem,
Nagle, w drżący grot,
W śmigły lot,
Już w j a g n i ę t a orzeł godzi.
Gromem spada ptak rozżarty,
Jagniąt krwi łakomy,
Jagnięcym zawsze duszom wróg,
Wróg wszystkiemu, co spoziera
Sennie, jagnięco, z runy kędzierzawej,
Co patrzy szaro, owczo, poczciwie, jagnięco!

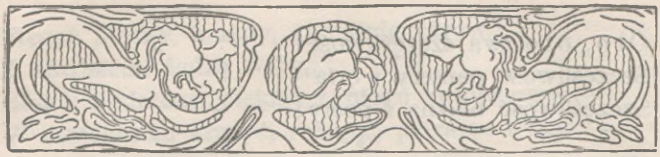
Tak oto
Orle, panterze
Są tęsknoty poety,
Są t w o j e tęsknoty pod masek tysiącem,
Ty szaleńcze! Ty poeto!

Ty, coś dojrzał w człeku
Równie Boga, jak i owcę —:
Chcesz Boga r o z s z a r p a ć w człowieku
Oraz owcę w człeku,
A rozszarpując ś m i a ć s i ę —

Oto, oto twa szczęśliwość!
Szczęśliwość pantery i orła!
Szczęśliwość błazna i poety!« — —

Gdy dzienny już przygasa blask,
Gdy zielony sierp księżyca
Pośród nieba już purpury
Zawistnie pomyka:
— wrogi dniowi,
W każdym kroku skrycie
Girlandy róż wiszących
Sierpem zetnie, aż padną
I blade w nocy runą głębie: —

Tak zapadłem niegdyś ja
Z obłędu prawdy mego,
Z moich tęsknot dnia,
Znużony dniem, od światła chory,
— runąłem wstecz, w mrok i w cień:
Spiekotą jednej prawdy
Niegdyś tak spragniony:
— zali pomnisz, pomnisz jeszcze, serce moje wrzące,
Jak tużyłoś ongi? —
Żem wygnańcem jest
Z dziedzin wszelkiej prawdy,
Szaleniec tylko!
Tylko poeta!



O NAUCE.

Tak śpiewał wiła; zaś wszyscy obecni wplątali się niepostrzeżenie, jak ptaki, w sieć jego chytrej i posępnej rozpusty. Tylko sumienny z ducha nie dał się omotać: czemprędzej odebrał wile harfę i wołał: «Powietrza! Wpuśćcie świeżego powietrza! Niech Zaratustra tu wejdzie! Uczyniłeś tę jaskinię duszną i jadowitą, ty stary wiło!

Wabisz, przebiegły fałszerzu, w nieznane pożądania i puszcze. I biada, gdy tacy jak ty, o prawdzie mówią i świadczą!

Biada wszystkim wolnym duchom, które przed takimi czarownikami nie mają się na baczności! Przepadła ich wolność: ty wabisz z powrotem w więzienia, —

— ty stary posępny szatanie, w twej skardze brzmi wabiąca fletnia, jesteś jako ci, co swą pochwałą czystoty zapraszają do rozpusty!«

Tak mówił sumienny. Stary wiła spoglądał naokoło, upajał się zwycięstwem i przełknął dzięki temu zgryzotę, którą mu zgotował sumienny. »Bądź cicho!

rzekł skromnym głosem, dobre pieśni chcą dobrze rozbrzmiewać; po dobrych pieśniach należy długo milczeć.

Czynią to wszyscy tu obecni, wszyscy ludzie wyżsi. Tyś jednak napewno niewiele zrozumiał z mej pieśni? Mało w tobie czarodziejskiego ducha«.

»Oddajesz mi pochwałę tem odłączeniem od siebie, odparł sumienny, rad o tem słyszę! Lecz tu obecni, — co widzę? Wszak wy wszyscy macie wciąż jeszcze lubieżne oczy —:

Dusze wolne, gdzież się wasza wolność podziała! Wyglądacie mi nieomal jak ci, co swawolnym nagim tancerkom przyglądali się zbyt długo: dusze wasze tańczą!

W was, ludzie wyżsi, jest snadź więcej tego, co wiła nazywa swym duchem czarów i omamu: — jesteśmy snadź odmienni.

I zaprawdę, zbyt długo mówiliśmy i rozmyślaliśmy razem, zanim Zaratustra powrócił do swej jaskini, abym tego nie wiedział: jesteśmy odmienni.

Wy i ja, my poszukujemy rzeczy odmiennych nawet tu na górze. Ja mianowicie szukam więcej pewności i przeto trafiłem do Zaratustry. Albowiem on jest najmocniejszą jeszcze wieżą i wolą —

— dziś, gdy wszystko się chwieje, gdy cała ziemia drży. Wy zaś, gdy spojrzę w te wasze oczy, jakiemi teraz spoglądacie, zda mi się niemal, że wy szukacie więcej niepewności,

— więcej dreszczów, większego niebezpieczeństwa, większego trzęsienia ziemi. Zachciewa się wam, ludzie wyżsi, tak mi się nieomal widzi, wybaczcież temu zwidzeniu, —

— zachciewa się wam najgorszego, najniebezpieczniejszego życia, które mnie trwogą najbardziej

przejmuje, życia dzikich zwierząt, lasów, jaskiń, stromych gór i błędnych czeluści.

I nie przewodników, wyprowadzających z niebezpieczeństwa, upodobaliście sobie najbardziej, lecz tych, którzy ze wszystkich dróg sprowadzają, was pociągają, uwodziciele. Aczkolwiek takie zachcenia p r a w d z i w e są w was, mnie wydają się one mimo to n i e m o ż l i w e.

Albowiem trwoga — ona to jest w człowieku uczuciem pierworodnem i zasadniczem; trwogą tłumaczy się wszystko, grzech pierworodny i cnota pierworodna. Z trwogi wyrosła i m o j a cnota, a zwie się ona: nauką.

Trwoga przed dzikiem zwierzęciem — wszczepiano ją najdłużej człowiekowi, włączając trwogę przed tem bydlęciem, co się w nas samych kryje i trwoży:— Zaratustra zwie to: »bydlęciem wewnętrznem«.

Ta długa stara trwoga, stawszy się wreszcie subtelną, duchową i uduchowioną, zwie się dziś, jak mniemam: n a u k ą«. —

Tak mówił sumienny. Zaratustra, który w tej właśnie chwili do jaskini wstępował, a ostatnie słowa usłyszał i odgadł, rzucił sumiennemu garść róż i śmiał się z jego »prawd«. »Co takiego! wołał, co słyszę? Zaprawdę, mniemam i ja z kolei, żeś albo ty szaleniec, albo ja nim jestem: przeto »prawdę« twą raźnym chwytem wnet na głowie ci postawię.

T r w o g a bowiem — jest naszym stanem wyjątkowym. Odwaga wszakże, żądza przygód, ochoczość do wszystkiego, co niepewne, na co nikt się jeszcze nie poważył — o d w a g a zda mi się człowieka przedhistoryą całą.

Najdzikszym, najodważniejszym zwierzętom po-

zazdrościł on cnót i wydarł je im: i wtedy dopiero stał się — człowiekiem.

Ta odwaga, gdy się wreszcie subtelną stała, duchową i uduchowioną, ta odwaga człowieka o skrzydłach orła i roztropności węża, o n a t o, mniemam, zwie się dziś —«

»Z a r a t u s t r a«! zawołali wszyscy obecni, jakby jednemi usty i wszczęli przytem wielki śmiech, który wszakże oderwał się od nich, jako ciężka chmura. Nawet wiła śmiał się i rzekł przezornie: »Niechże i tak będzie! Już prysnął zły mój duch!

Wszak sam ostrzegałem was przed nim, mówiąc, że to oszust jest, duch łżywy i omamny.

Osobliwie, gdy się nago ukaże. Lecz cóżem ja winien tym jego podstępom! Czyż j a stworzyłem jego i świat ten?

Hejże więc! Bądźmyż znowu zgodni i dobrej myśli! Aczkolwiek Zaratustra gniewnie spoziera — spojrzyjcież tylko! dąsa się on na mnie —:

— wszakże zanim noc nadejdzie, będzie mnie kochał i sławił, bez takich szaleństw długo żyć on nie może.

O n — kocha swych wrógów: tę sztukę posiadł najlepiej ze wszystkich, kogo znałem. Lecz mści się on za to — na swych przyjaciołach!«

Tak mówił stary wiła, a ludzie wyżsi poklask mu dali: tak iż Zaratustra począł obchodzić swych przyjaciół i ściskał im dłonie złośliwie i z miłością, — czyniąc to jak ktoś, co wszystkim wygodzić w czemś pragnie i przeprosić za coś chce. Gdy znalazł się jednak przytem u wyjścia z jaskini, już go chętka porwała, aby na świeże powietrze do zwierząt swych wyskoczyć, — chciał się tedy wymknąć.

WŚRÓD CÓR PUSTYNI.

I.

»Nie odchodź, rzekł wówczas pielgrzym, zwący siebie cieniem Zaratustry, pozostań z nami, — gdyż dawna głucha żałość gotowa nas znów ogarnąć.

Już stary wiła swem najgorszem zadrwił z nas w najlepsze i spojrzyj tylko, dobry pobożny papież ma łzy w oczach i wypłynął już całkowicie na morze posępku.

Ci królowie zaś nadrabiają widocznie miną: pośród nas wszystkich o n i nauczyli się dziś tego najlepiej! Gdyby wszakże świadków tu nie było, trzymam zakład, wszczęłaby się i u nich ta zgubna igraszka —

— zgubna igraszka przeciągających chmur, wilgotnych smętków, przysłoniętego nieba, skradzionych słońc, wyjących wichrów jesiennych,

— zła igraszka naszego wycia i wołania na pomoc: pozostań przy nas, o Zaratustro! Wiele tu uta-

jonej niedoli, co przemówić pragnie, wiele wieczora, chmur, wiele dusznego powietrza!

Karmiłeś nas tęgą męską strawą i krzepkiemi przypowieściami: nie dozwól, aby na zakończenie uczty opadły nas znów gnuśne kobiece duchy!

Ty jeden czynisz wokół siebie powietrze rzeźkiem i jasnem! Czyż znalazłem gdziekolwiek na świecie tak dobre powietrze jak w twej jaskini?

Wiele krain wszak widziałem, nos mój nawykł rozliczne powietrza badać i oceniać: u ciebie wszakże doznają me nozdrza największej rozkoszy!

Wyjąwszy może, — wyjąwszy może —, o daruj stare wspomnienie! Daruj mi starą pieśń poobiednią, którą stworzyłem niegdyś pośród cór pustyni: —

— u nich bowiem powietrze było równie dobre, jasne, wschodnie; tam byłem najdalej od chmurnej wilgotnej posępnej starej Europy!

Wówczas lubiłem takie dziewczęta wschodnie, oraz inne błękitne niebo, na którem żadne chmury i żadne myśli nie zawisają.

Nie uwierzycie, jak były stateczne, gdy nie tańczyły, głębokie, lecz bez myśli, jak małe tajemnice, jak uwstężone zagadki, jak orzechy poobiednie —

jaskrawe i obce zaiste! lecz nie zachmurzone: tajemnicze, lecz dające się odgadnąć: tym dziewczętom kwoli usnułem wówczas taki oto psalm poobiedni.«

Tak mówił pielgrzym i cień; i zanim mu kto odpowiedział, pochwycił harfę starego wiły, podwinął nogi i spojrzał dokoła niedbałem i mądrem wejrzeniem: — nozdrzami wciągnął powietrze powoli i pytająco jak ktoś, co w nowych krajach nowego kosztuje powietrza. Wreszcie zaryczał, zda się, tak oto śpiewając.

2.

Pustynia rośnie: biada, w kim się kryje!

— Ha! uroczyście!
W rzeczy samej uroczyście!
Godny początek!
Afrykańsko uroczysty!
Godny lwa co najmniej,
Lub moralnego wyjca —
— lecz nie dla was to,
Przyjaciółki me najmilsze,
U których nóg
Po raz pierwszy,
Mnie Europejczykowi pod palmami,
Sądzono spocząć. Sela.

Przedziwnie zaiste!
Oto siedzę tu,
Tak blizki puszczy, i zrazu
Tak puszczy znowu daleki,
Nadto w nicość spustoszony:
Mianowicie pochłonięty
Tą oazą małą —:
— ziewając właśnie, rozchyliła
Pyszczek swój milutki,
Pyszczek najwonniejszy:
I oto wpadłem tak,
Wgłąb, wskroś — między was,
Przyjaciółki me najmilsze! Sela.

Chwała, cześć wielorybowi,
Skoro swego gościa

Podjął on tak mile! — pojmujecie
Me uczone napomknienie?
Chwała jego brzuchowi,
Skoro takim był, —
Tak lubą brzucha oazą,
Jako ta: o czem wszakże powątpiewam,
— niedarmo jestem z Europy,
Co nieufniejsza jest z nałogu, niźli wszystkie
Podstarzałe już małżonki.
Obyż Bóg naprawił to!
Amen!

Oto siedzę tu,
W najmniejszej tej oazie,
Niby daktyl jaki,
Brunatny, przesłodki, swem złotem spęczniały,
Żądny dziewczęcych krągłych ust,
Bardziej jeszcze tych dziewczęcych,
Lodowatych, ostrych i śnieżystych
Ząbków: jako że za nimi
Tuży serce wszystkich daktyli gorących. Sela.

Onym owocom południa
Podobny, nazbyt podobny,
Spoczywam tu, zaś drobnych
Chrząszczów roje
Wciąż mię węszą i igrają.
A wraz z nimi jeszcze mniejsze,
Swawolniejsze i grzeszniejsze
Chęci i zachcianki, —
Również przez was oblegany
Nieme, przeczuć pełne
Dzięwczęta-koty,

Dudu i Suleika,
— Osfinksiony, aby w jedno słowo
Wiele uczuć wepchać:
(Niech mi Bóg wybaczy
Ten grzech względem języka!)
— siedzę tu, chłonąc najlepsze powietrze,
Powietrze raju zaiste,
Świetlne, lekkie, złotem prążkowane,
Najlepsze powietrze, jakie kiedykolwiek
Z księżyca tu zleciało —
Zrządzeniem przypadku,
Czy też ze swawoli?
Jak starzy powiadają poeci.
Ja, sceptyk, podaję to
W wątpliwość, niedarmo jestem
Z Europy,
Co nieufniejsza jest z nałogu, niźli wszystkie
Podstarzałe już małżonki.
Obyż Bóg zaradził temu!
Amen!

Powietrze spijając najpiękniejsze,
O nozdrzach rozdętych jako czary,
Bez przyszłości, bez wspomnienia,
Siedzę oto tutaj,
Przyjaciółki me najmilsze,
I przyglądam się tej palmie,
Co się kłoni, jak tancerka,
I w swych biodrach się przegina,
— patrzysz długo, wtórzyć będziesz!
Niby tancerka, co, jak mniemam,
Już za długo niebezpiecznie
Wciąż i wciąż na jednej nodze tkwiła?

— przyczem, zda się, zapomniała
O swej drugiej nodze?
Ja bo daremnie
Szukałem brakującego
Bliźniaczego jej klejnotu
— mianowicie drugiej nóżki —
W świętem pobliżu
Jej przerozkosznej, przeuroczej,
Powiewnej, rozwiewnej i strojnej spódniczki.
A jeśli mnie, przyjaciółki piękne,
Całkowicie ufać chcecie:
Ona ją straciła!
Przepadła!
Na wieki przepadła!
Druga noga!
O, jakaż szkoda tej drugiej nóżki!
Gdzież bo przebywa smutna opuszczona?
Ta noga samotna?
Może z trwogi drży przed jakim
Ponurym płowym
Kudłatym lwem potworem? Lub nawet
Poszarpana leży obgryziona —
O żałość i biada! o, biada! obgryziona !Sela.

Och, nie płaczcież mi,
Serca czułe!
Nie płaczcież mi,
Serca daktylowe! Łona mleczne,
Lukrecyowe
Torebki sercowe!
Przestań płakać,
Blada Dudu!
Mężem bądź, Suleiko! Otuchy! otuchy!

— A może jednak
Coś pokrzepiającego, ku serc pokrzepieniu
Zdałoby się tutaj?
Namaszczone słowo?
Uroczyste pokrzepienie? —

Ha! Bywajże, godności!
Godności cnoty! Godności Europejczyka!
Dmijże, dmijże znowu,
Miechu cnoty!
Ha!
Raz jeszcze ryknąć,
Moralnie zaryczeć!
Jako lew moralny,
Przed córami zaryczeć pustyni!
— Gdyż cnoty skowyty,
O dziewczęta wy najmilsze,
Ważą więcej, niźli wszelki
Europejczyka zapał i żarliwość jego.
I oto jawię się już,
Jako Europejczyk.
Inaczej nie mogę, dopomóż mi Bóg!
Amen!

Pustynia rośnie: biada, w kim się kryje!

PRZEBUDZENIE.

I.

Po pieśni pielgrzyma i cienia rozbrzmiała nagle jaskinia wrzawą i śmiechem; a że wszyscy zebrani goście mówili równocześnie, że i osieł wobec takiej zachęty nie pozostawał milczący, ogarnęła Zaratustrę szydercza niechęć do tych odwiedzin: chociaż cieszył się ich weselem, gdyż uważał je za znak ozdrowienia. Wymknął się więc z jaskini i rzekł do swych zwierząt.

»Gdzież się podziała ich niedola? rzekł i wraz pozbył się sam swej przelotnej niechęci, — oduczyli się u mnie, mniemam, krzyczenia na ratunek!

— wszakże krzyków, niestety, nie oduczyli się jeszcze«. I Zaratustra zatkał sobie uszy, gdyż w tej właśnie chwili mieszał się przedziwnie krzyk ośli »ta-ak!« z radosną wrzawą ludzi wyższych.

»Weselą się, rzekł po chwili, i kto wie? może kosztem gospodarza; bo choć się ode mnie śmiechu nauczyli, nie m o j e g o nauczyli się oni śmiechu.

Lecz cóż na tem zależy! Starzy to ludzie: powracają do zdrowia na swój sposób, na swój sposób śmieją się też; uszy me znosiły już gorsze rzeczy i nie stały się przez to oporne.

Zwycięstwem jest ten dzień: ustępuje już i pierzcha duch ciężkości, mój stary wróg pierworodny! Jakże dobrze kończy się ten dzień, co rozpoczął się tak dokuczliwie i ciężko!

A kończy się już oto. Idzie już wieczór: poprzez morze cwałuje dzielny jeździec ten! Jakże kołysze się on, powracający jeździec ów błogi, w purpurowem siodle swem!

Niebo spogląda na to jasno, świat w głębiach się nurza: O, wy wszyscy dziwaczni, coście mnie nawiedzili, wszak warto ze mną tutaj przebywać!«

Tak rzekł Zaratustra. I znowu śmiechy i wrzawa ludzi wyższych dochodzić poczęły z jaskini: wszczął więc ponownie.

»Chwycili wędkę, ma przynęta działa, ustępuje też ich wróg, pierzcha duch ciężkości. Już uczą się oto z samych siebie się śmiać: wszak dobrze słyszę?

Działa ma strawa męska, me soczyste i krzepkie słowo: i zaprawdę, nie żywiłem ich sparciałą jarzyną! Lecz strawą wojowników, strawą zdobywców: nowe zbudziłem pożądania.

Nowe nadzieje tkwią w ich ramionach i nogach, rozpiera się ich serce. Już nowe znajdują słowa, niebawem duch ich swawolą odetchnie.

Sprawa taka nie jest oczywiście dla dzieci, ani dla starych i młodych niewiast tęskniących. Ich trzewia inaczej przekonywać należy; dla nich lekarzem, ani mistrzem nie jestem.

Wstręt opuszcza tych ludzi wyższych: hejże! moje to zwycięstwo. W mojem państwie pewności nabywają, wszelki głupi wstyd pierzcha od nich, wywnętrzają się.

Wywnętrzają swe serca, dobre godziny powracają im, świętują i przeżuwają, — stają się wdzięczni.

To jest mi znakiem najlepszym: stają się wdzięczni. Niezadługo, a uroczystości sobie obmyślą i postawią tablice pamiątkowe swym starym radościom.

To są ozdrowieńcy!« Tak rzekł Zaratustra radośnie do serca swego i poglądał w dal; zwierzęta garnęły się ku niemu ze czcią dla jego szczęścia i milczenia.

2.

Nagle przeraziło się ucho Zaratustry: w jaskini dotychczas pełnej wrzawy i krzyku, zapanowała martwa cisza; — nos jego węszył błogowonne dymy i kadzidła jakby tlących się szyszek piniowych.

»Cóż się dzieje tam? Co oni tam wyrabiają?« — pytał się i przysunął się cichaczem do wejścia, aby módz widzieć swych gości, nie będąc przez nich dostrzeżonym. Lecz, o cudzie! na cóż to patrzeć musiał własnemi oczyma!

»Pobożni stali się znowu wszyscy, modlą się, oszaleli!« — rzekł do siebie i dziwił się niepomiernie. I, rzeczywiście! wszyscy ci ludzie wyżsi, dwaj królowie, papież wysłużony, wiła, dobrowolny żebrak, pielgrzym i cień, stary wróżbiarz, sumienny z ducha i najszpetniejszy człowiek: wszyscy oni klęczeli społem na

ziemi, jak dzieci i staruszki bogobojne, i modlili się do osła. Najszpetniejszy człowiek począł właśnie rzęzić i parskać, jak gdyby coś niewysłowionego dobyć się z niego miało; a gdy się z tych wygłosów słowa wreszcie złożyły, okazało się nagle, że jest to pobożna, dziwna litania ku sławie ubóstwianego i okadzanego osła. I oto jak brzmiała ta litania:

Amen! I chwała, i cześć, i mądrość, i dziękczynienie, i sława, i siła bogu naszemu na wieki wieków!

— A osieł krzyknie na to: »ta-ak!«

On dźwiga nasze brzemię, służalczą przybrał postać, cierpliwego jest serca, nigdy nie powiada »nie«; a kto boga swego kocha, karci go.

— A osieł krzyknie na to »ta-ak!«

I nie mówi on wcale: chyba że światu, który stworzył, przytakuje »tak!«: tak oto sławi świat. Przebiegłością jego jest to, iż nie mówi: w ten sposób rzadko nie miewa słuszności.

— A osieł krzyknie na to »ta-ak!«

Niewidocznie przechodzi on przez świat. Szarą jest barwa jego ciała, która cnoty jego przysłania. Jeśli ma ducha, ukrywa go; każdy wszakże wierzy w jego długie uszy.

— A osieł krzyknie na to »ta-ak!«

Jakaż ukryta prawda tkwi w tem, że ma on długie uszy, na wszystko »tak« powiada i nigdy »nie« nie rzecze! Czyż nie stworzył on świata na własne podobieństwo, to jest jak najgłupiej?

— A osieł krzyknie na to »ta-ak!«

Chadzasz prostemi i krzywemi drogi, mało cię to obchodzi, co ludziom prostem, co krzywem się wy

daje. Poza złem i dobrem twoje jest królestwo. Niewinnością twą jest, iż nie wiesz, co niewinne.

— A osieł krzyknie na to »ta-ak!«

Patrz, jak oto nikogo od siebie nie odtrącasz, żebraków, czy króli. Dzieciątkom przychodzić do siebie zezwalasz, a gdy cię złe chłopaki drażnią, powiadasz poczciwie: »ta-ak!«

— A osieł krzyknie na to »ta-ak!«

Lubisz oślice i świeże figi, nie jesteś gardzicielem karmu. Oset serce ci łechcze, jeśli właśnie głód odczuwasz. Tkwi w tem mądrość boska.

— A osieł krzyknie na to »ta-ak!«



ŚWIĘTO OŚLE.

I.

W tem miejscu litanii nie mógł się Zaratustra dłużej pohamować, krzyknął sam »tak!« jeszcze głośniej, niźli osieł, i poskoczył między swych oszalałych gości. »Ludzie, cóż wy tu wyrabiacie? wołał, podnosząc klęczących z ziemi. Biada, gdyby was podpatrzył kto inny, niż Zaratustra.

Każdyby myślał, że wraz z tą nową wiarą jesteście najgorszymi bluźniercami lub najgłupszemi staruchami!

Zaś ty, stary papieżu, jakże to się godzi w tobie, to oddawanie boskiej czci osłu?« —

»O, Zaratustro, odparł stary papież, daruj mi, lecz w tych rzeczach jestem bardziej od ciebie uświadomiony. I tak być powinno.

Lepiej tak oto do Boga się modlić, w takiej go czcić postaci, niźli w żadnej! Pomyśl nad tem wyrze-

czeniem, czcigodny mój przyjacielu, a odgadniesz rychło, że tkwi w niem mądrość.

Ten, co rzekł: »Bóg jest duchem« — uczynił dotychczas na ziemi największy skok ku niewierze: słowo takie niełatwo da się znów naprawić na ziemi!

Stare me serce skacze i pląsa z radości, że na ziemi jest jeszcze coś, ku czemu modlić się można. Daruj to, Zaratustro, staremu pobożnemu sercu papieskiemu! —«

— »A ty, zwrócił się Zaratustra do pielgrzyma i cienia, mianujesz się wszak i mniemasz duchem wolnym? A wyprawiasz tu oto takie bałwochwalstwa i kapłańskie służby?

Gorzej, zaprawdę, sprawujesz się tutaj, niźli nawet pośród swych zgubnych brunatnych dziewcząt, ty nowy lichy wyznawco!«

»Cóż czynić, — odparł pielgrzym i cień, masz słuszność: lecz cóżem ja temu winien! Stary Bóg ożył, o Zaratustro. Mów co chcesz, o Zaratustro, stary Bóg ożył.

Najszpetniejszy człowiek winien jest wszystkiemu: on go wskrzesił. A jeśli utrzymuje, że go niegdyś zabił: śmierć bogów jest tylko przesądem«.

— A ty, rzekł Zaratustra, ty stary wiło, cóż ty czynisz! Któż w tych czasach wolnomyślnych w ciebie będzie wierzył, skoro ty sam wierzysz w takie ośle bałwochwalstwa?

Głupstwo to było, coś popełnił; jakeś mógł, ty rozważny, takie głupstwo uczynić!«

»O Zaratustro, odparł mądry wiła, masz słuszność, głupstwo to było, — to też ciężkie wyrzuty czynię sobie za nie«.

— »Wreszcie i ty, rzekł Zaratustra do sumien-

nego z ducha, rozważ to z palcem na nosie! Czy nie przeciwia się tu coś twemu sumieniu? Czy twój duch nie jest za schludny na takie modły i otumanienia tego bractwa?«

»Jest w tem coś, odparł sumienny z ducha, kładąc palec na nosie, jest w tem widowisku coś, co sumieniu memu rozkosz nawet sprawia.

Być może, iż nie wolno mi wierzyć w Boga: pewnem jest to, że Bóg w tej oto postaci wydaje mi się najwiarogodniejszym.

Bóg ma być wiecznym według świadectwa najpobożniejszych: kto ma tyle czasu, ten się nie śpieszy. Najpowolniej i najgłupiej, jak tylko można: tą drogą może taki daleko nawet zajść.

Zaś kto ducha ma za wiele, mógłby się łacno do głupstwa i szaleństwa sam zadurzyć. Myśl o sobie, o Zaratustro!

Ty sam — zaprawdę! i tybyś mógł ze zbytku mądrości osłem się stać.

Czyż najdoskonalszy mędrzec nie chadza chętnie po manowcach? Oczywistość uczy tego, o Zaratustro, — twego istnienia oczywistość!«

— »Zwracam się wreszcie i do ciebie, rzekł Zaratustra do najszpetniejszego człowieka, który wciąż jeszcze na ziemi leżał i wyciągał ramię do osła (poił go winem w ten sposób). Mów, ty niewysłowiony, cóż ty czynisz!

Zdasz mi się przeistoczony, oko twe płonie, płaszcz wzniosłości spoczywa na tobie: cóżeś ty czynił?

Zali prawdą jest, o czem oni mówią, żeś ty go do życia powołał? I po co? Czyż nie był on już całkowicie dobity i pokonany?

Sam wydajesz mi się wskrzeszony. Cóżeś ty

czynił? Pocóżeś nawrócił? Pocóżeś siebie nawrócił? Mówże, ty niewysłowiony!«

«O Zaratustro, odparł najszpetniejszy człowiek, jesteś nicponiem!

Czy ten żyje, czy odżył, czy też umarł całkowicie, — któż z nas dwu, pytam się ciebie, lepiej wie o tem?

To tylko wiem, — a od ciebie, o Zaratustro, nauczyłem się tego: kto najpewniej zabić chce, ten się śmieje.

»Nie gniewem, lecz śmiechem się zabija« — tak rzekłeś ongi. O Zaratustro, ty skryty, ty burzycielu bez gniewu, niebezpieczny tyś święty! — jesteś nicponiem!«

2.

Wówczas Zaratustra, zdziwiony nawałem tych złośliwych odpowiedzi, cofnął się żywo ku wrotom swej jaskini i, zwróciwszy się do gości, krzyknął mocnym głosem:

»O, wy sowizdrzały i figlarze! Czemuż to udajecie przede mną i ukrywacie się tak!

Jak to każdemu z was serce teraz dygocze z rozkoszy i złośliwości, że staliście się znowuż jako dzieci, to jest pobożni, —

— żeście robili znów to, co dziatwa czyni, żeście się modlili, ręce składali i »Panie Boże!« powtarzali!

Lecz opuśćcie wreszcie tę bawialnię, jaskinię mą własną, w której rozgościły się dziś wszelkie psoty dziecięce. Ochłódźcie oto tu na dworze swoją swawolę dziecięcą i rozgardyasz serc swoich!

Oczywiście: skoro nie staniecie się jako dzieci, nie wejdziecie do tego królestwa niebieskiego. (I Zaratustra wskazał rękoma ku górze).

Lecz my nie pragniemy bynajmniej dostać się do królestwa niebieskiego: mężami staliśmy się, — przeto chcemy królestwa ziemskiego«.

3.

I raz jeszcze jął przemawiać Zaratustra. »O przyjaciele moi, rzekł, dziwni wy ludzie wyżsi, jakże podobacie mi się teraz, —

— odkąd staliście się znowuż radośni! Zaprawdę, rozkwitliście mi wszyscy: zda mi się, że takim kwiatom, jak wy, nowych uroczystości potrzeba,

— małej krzepkiej niedorzeczności, jakiejś służby bożej i święta oślego, potrzeba wam starego radosnego szaleńca, Zaratustry, wichury wam potrzeba, co dusze wam rozchmurzy.

Nie zapominajcież tej nocy i tego święta oślego, o ludzie wyżsi! Wynaleźliście to sobie u mnie, uważam to jako dobrą wróżbę, — takie rzeczy wynajdują tylko ozdrowieńcy!

A jeśli raz jeszcze to ośle święto obchodzić będziecie, czyniąc to dla swojej uciechy, czyńcież to i mnie ku woli! A zarazem i na moją pamiątkę!«

Tako rzecze Zaratustra.



PIEŚŃ PIJANA.

1.

Tymczasem jeden gość za drugim wymykał się z jaskini w chłodną i zadumy pełną noc; Zaratustra zaś wiódł pod ramię najszpetniejszego człowieka, aby mu pokazać swe królestwo nocy, wielki krągły księżyc i srebrne wodospady wokół jaskini. I oto, skupieni wokoło siebie, zamilkli nagle wszyscy ci ludzie, wiekiem już starzy, wszakże o ukojonych, krzepkich sercach i z tem zdumieniem w duchu, że tak oto dobrze czują się na świecie; przejmujący czar nocy wnikał w ich serca coraz to głębiej i głębiej. Zaratustra zaś rzekł do siebie w duchu: »o jakże mi się oni podobają teraz, ci ludzie wyżsi!« — nie wypowiedział wszakże tego w poszanowaniu ich szczęścia oraz ich milczenia. —

Wówczas stało się to, co w tym zdumiewającym dniu było najbardziej zdumienia godne: szpetny człowiek począł raz jeszcze, po raz ostatni rzęzić i parskać, i gdy dosapał się wreszcie do słów, nagle

krągłe i czyste pytanie wyskoczyło z jego ust, dobre, głębokie i jasne pytanie, które wszystkim, co je słyszeli, poruszyło nagle serca.

»Przyjaciele moi, wy wszyscy społem, rzekł najszpetniejszy człowiek, co sądzicie o tem? Kwoli temu dniu — po raz pierwszy w życiu jestem zadowolony, żem całe życie przeżył.

I choć tyle już wyznałem, nie dość mi jeszcze tego. Warto żyć na świecie: jeden dzień, jedna uczta z Zaratustrą nauczyły mnie kochać ziemię.

»Byłoż więc to — życiem?« powiem kiedyś śmierci. — »Hejże więc! Jeszcze raz!«

Przyjaciele moi, cóż wy o tem mniemacie? Nie chcecież wraz ze mną mówić do śmierci: Byłoż więc to — życiem? Kwoli Zaratustrze, hejże! Jeszcze raz!« — —

Tak mówił najszpetniejszy człowiek; a było to na chwilę przed północą. I jak sądzicie, co się wówczas przytrafiło? Skoro tylko ludzie wyżsi usłyszeli to pytanie, uświadomili sobie nagle swą przemianę i uzdrowienie, oraz kto był sprawcą tych przeistoczeń: garnęli się do Zaratustry z podzięką, uwielbieniem i pieszczotą, całowali go po dłoniach; każdy zachował się wedle swego przyrodzenia: jedni śmieli się, inni płakali. Stary wróżbiarz tańczył z radości; i aczkolwiek był on wówczas pełen słodkiego wina, jak mniemają niektórzy opowiadacze, wypełniała go bez wątpienia jeszcze bardziej słodycz życia, oraz wyrzeczenie się wszelkiego znużenia. Są i tacy, co opowiadają, jakoby i osieł wówczas tańczył: nie darmo najszpetniejszy człowiek napoił go był winem. Bądź co bądź, jeśli onego wieczoru osieł nawet nie tańczył, działy się wówczas większe i dziwniejsze

cuda nad taniec ośli. Krótko i węzłowato, jak oto głosi przysłowie Zaratustry: »i cóż na tem zależy!«

2.

Zaratustra jednak, podczas tych wydarzeń z najszpetniejszym człowiekiem, stał, jak pijany: wejrzenie jego przygasło, język bełkotał i słaniały się nogi. I któżby wówczas odgadnął, jakie myśli przemykały przez jego duszę? Najwidoczniej jednak duch jego cofnął się, potem przed się wybiegł i w dalekich przebywał dalach, jakoby »na wysokiem jarzmie, jak stoi pisano, między dwoma morzami,

— między przeszłością i przyszłością, jako ciężka snując się chmura«. Powoli jednak, podtrzymywany ramionami ludzi wyższych, powracał do siebie i bronił się rękoma od natarczywości uwielbiających, a zaniepokojonych; nie mówił wszakże nic. Nagle zwrócił szybko głowę, jak gdyby coś usłyszał, poczem palec na ustach położył i rzekł: »Chodźcie!«

I uczyniło się wokół cicho i tajemniczo; z głębi dochodził powolny głos dzwonu. Zaratustra przysłuchiwał się temu wraz z ludźmi wyższymi; wreszcie po raz drugi położył palec na ustach i rzekł powtórnie: »Chodźcie! Chodźcie! Północ zbliża się!« — a głos jego zmienił się przytem. Lecz wciąż jeszcze z miejsca się nie poruszał: wówczas jeszcze ciszej i wnękliwiej uczyniło się naokół; nadsłuchiwali wszyscy, nawet osieł, i honorowe zwierzęta Zaratustry, orzeł i wąż, nadsłuchiwała zarówno i jaskinia Zaratustry, i wielki chłodny księżyc, sama noc, zda

się, słuchała, Zaratustra położył po raz trzeci palec na usta i rzekł:

Chodźcie! Chodźcie! Chodźcie! Śród nocy tej pobłądźmy! Nastała już godzina: chodźmyż tedy w noc!

3.

O, ludzie wyżsi, północ się zbliża; chcę wam coś na ucho rzec, jak ten stary dzwon, co mi nieraz w ucho szepcze, —

— tak tajemnie, tak okrutnie, tak serdecznie, jak przemawia ten północy dzwon, co przeżył więcej, niż przeżywa człek:

— który mierzył już waszych ojców bolesne serc uderzenia — och, och! jakże wzdycha ona, jak we śnie śmieje się! ta stara, głęboka, głęboka północ!

Cicho! Cicho! Tu niejedno słyszy się, co za dnia głosić się nie może; teraz oto w powietrznym chłodzie, gdzie wszystek gwar stał się ciszą waszych serc, —

— teraz ono głosi się, teraz słyszeć da się ono; w ponocne nadczujne dusze oto wnika już: och! och! jakże wzdycha ona! jak we śnie śmieje się!

— czy słyszysz ty, jak tajemnie, jak okrutnie do ciebie mówi ta stara, głęboka, głęboka północ?

Człowiecze, słysz!

4.

Biada mi! Gdzie prysnął czas? Nie zapadłemż w studzien głębie? Już świat śpi —

Och! och! Skowyczy pies, księżyc świeci. Skonać, skonać raczej zechcę, niźli mówić wam, co północne moje serce myśli oto wraz.

Oto zmarłem! Minęło już! Pająku, czemu snujesz wokół mnie? Chceszże krwi? Och! och! Pada rosa, zbliża się godzina —

— godzina, w której dreszcz i mróz przejmuje mnie, pyta ona, rozpytuje: »komu serca na to stać?«

— komu ziemi panem być? Kto zechce rzec: »tak wam biedz, wielkie, oraz małe, wy strumienie!

— godzina zbliża się: o człeku ty, człowieku wyższy, bacz! mowa to dla czujnych uszu, dla twoich ona uszu — co brzmi z północnej głuszy wzwyż?

5.

»Coś ponosi mnie, pląsa dusza moja. Dzieło dnia! Dzieło dnia! Komu panem ziemi być?

Księżyc mrozi, milczy wiatr. Och, och! Wzlecieliście dość wysoko? Wy pląsacie: jednak noga skrzydłem jeszcze nie jest.

Dobrzy wy tancerze, mija już ochota, wino poszło w męty, każda czara już skruszała, już bełkocze grób.

Wzlecieliście nie dość górnie: już bełkoczą groby: »zmarłych też wyzwólcie! Czemu taka długa noc? Nie upajaż księżyc nas?«

O ludzie wyżsi, groby też wyzwólcie, zbudźcie też i trupy! Och, czemu robak toczy jeszcze? Zbliża, zbliża się godzina, —

— mruczy ciągle dzwon, skrzypi jeszcze serce, jeszcze toczy drzewny czerw, czerw serdeczny. Och! Och! Świat głębią jest!

6.

Słodka lutni! Lutni słodka! Kocham ja twój ton, twój upojny ton kumaka! — z jak dalekich dziejów, z jak dalekich stron dziś nawiedza mnie twój ton, hen, z oddali, gdzie kochania cichy staw!

Stary dzwonie, słodka lutni! Każdy ból w serceć bił, ojca ból, ojców ból i praojców bole; tak dojrzała mowa twa, —

— źrzałą stała się jak jesień, jako popołudnie, jak me serce pustelnicze — oto głosisz się: źrzałym stał się świat i brunatnem grono,

— oto umrzeć chce, z szczęścia umrzeć pragnie. O, ludzie wyżsi wy, nie czujecież nic? Potajemnie woń tu bije,

— woń i zapach to wieczności różą upojona, złota i brunatna winna woń, co z starego szczęścia bije,

— z upojnej, północnej szczęśliwości skonu, która śpiewa: świat głębin zwał, głębszych, niż, jawo, myślisz, śnisz!

7.

Puść mnie! Puść! Jam dla ciebie za czysty. Nie tykaj mnie! Czyż nie doskonały stał się owo świat? Za czysta skóra ma dla dłoni twych dotknięcia. Puść mnie, głupi i prostacki, puść mnie, gnuśny dniu! Zali północ nie jaśniejsza?

Najczystszym panami ziemi być, najbardziej niepoznanym, najsilniejszym duszom północnym: głębsze one i jaśniejsze niźli każdy dzień.

O dniu, omackiem szukasz mnie? Więc szczęścia mego szukasz? Więc jestem dla cię bogaty, samotny, skarbów kopalnią, komorą złotą?

O świecie, chceszże mnie? Jestemż dla ciebie świecki? Jestemż dla ciebie duchowny? Jestemż dla cię boski? Wszakże, dniu i świecie, zbyt ociężałe wy jesteście,

— miejcie dłonie tu mądrzejsze, chwyćcie głębsze szczęście i głębszą niedolę, chwyćcie boga tu jakiego, po mnie nie sięgajcie:

— moje szczęście i nieszczęście głębokie są, o, dniu dziwny, wszakże bogiem ja nie jestem, ni jaskinią bożą: głębią jest jej ból.

8.

Głębszy Boga ból, ty przedziwny świecie! Po boży sięgnij ból, po mnie ty nie sięgaj! Czemże ja! Upojna, słodka lutnia,

— północnej lutni brzęk, kumakowy dzwon; nikt jej nie rozumie, wszakże mówić musi, — przed głuchymi, o ludzie wyżsi! Gdyż wy nie rozumiecie mnie!

Pierzchło! Minęło! O młodości! O południe! O popołudnie me! Oto nastał wieczór i noc, i północ — wyje pies, wicher:

— nie jestże wicher psem? Oto skomli, i skowyczy, oto wyje wciąż. Och! och! jakże ona wzdycha, jak się śmieje, jako rzęzi i jak dysze, ta północna pora!

Jak trzeźwo przemawia ta pijana wieszczka! przepiłaż upojenie swe? więc nadczujną już się stała? i przeżuwa znów?

— swój ból przeżuwa we śnie, głęboka stara północ, a bardziej jeszcze rozkosz swą. Albowiem rozkosz już, gdzie głęboki ból: nad ból rozkosz głębiej drga.

9

Winny krzewie! Czemu sławisz mnie? Wszak nadciąłem cię! Okrutnik ja, oto krwawisz mi —: cóż znaczy to sławienie pijanego okrucieństwa?

»Co się stało doskonałe, wszystko źrzałe — skonać chce!« tak oto przemawiasz. Błogosławion, błogosławion niechaj będzie winobrańczy nóż! Lecz wszystko nieźrzałe życia chce: o biada!

»Zgiń! — mówi ból — bólu, precz!« Lecz wszystko, co cierpi, żyć chce, aby się stało źrzałe, radosne i tęskne,

— tęskniące za wszystkiem, co dalsze, wyższe i jaśniejsze. »Dziedziców chcę — woła wszystko, co cierpi, — dzieci pragnę, nie chcę siebie«, —

rozkosz wszakże chce nie dziedziców, nie dzieci, — rozkosz chce siebie samej, chce wieczności, chce wrotu, chce »wszystkiego, co zawsze jednakie«.

Mówi ból: »Łam się, serce, krwaw! Wędruj nogo, skrzydle płyń! Bólu, w górę! bólu, wzwyż!« Hejże! Hej! O, stare serce me: »Zgiń!« — mówi ból.

10.

Jak mniemacie, ludzie wyżsi? Jestemż wieszczem? Marzycielem? Upojeńcem? Snów tłumaczem? Czy też dzwonem o północy?

Kroplą rosy? Czy wieczności tchnieniem, wonią? Nie czujecież, nie? Świat mój doskonały owo staje się, i północ jest południem, —

i ból jest rozkoszą, i klątwa błogosławieństwem, i noc jest słońcem, — odejdźcie mi, albo nauczę jeszcze was: i mędrzec jest trefnisiem.

Rzekliście kiedykolwiek »tak« rozkoszy swej? O, przyjaciele moi, rzekliście zarazem »tak« wszelkiemu bólowi. Wszystkie rzeczy spętane są ze sobą, splątane i zakochane w sobie, —

— skoroście chcieli kiedykolwiek »raz« po raz wtóry, skoroście mawiali: »podobasz mi się szczęście, mgnienie, chwilo!« tem zapragnęliście też wszystkiego z powrotem!

— wszystkiego od nowa, wszystkiego wiecznie, wszystkiego w spętaniu, splocie i umiłowaniu wzajemnem, o, tem umiłowaliście też i świat, —

— wieczni wy, miłujecie go wiecznie i po wszystkie czasy: i do bólu nawet mówicie: zgiń, lecz powróć! Gdyż rozkosz za wiecznem życiem łka!

II.

Gdyż rozkosz wszelka chce wieczności rzeczy wszelkich, chce miodu, chce drożdży, chce upojnej północy, chce grobów, chce ukojenia łez nagrobnych, zorzy chce pozłocistej —

— czegóż bo rozkosz nie pragnie! bardziej ona spragniona, bardziej serdeczna i głodna, a okrutniejsza, bardziej od wszelkiego bólu wnękliwa, pragnie siebie, wgryza się w siebie, wola koliska boryka się w niej, —

— chce miłości, chce nienawiści, jest przebogata, darowywa, odrzuca precz, żebrze, by ktoś brał, dziękuje biorącym, pragnie, aby ją nienawidzono, —

— tak bogata jest rozkosz, że bólu łaknie, łaknie piekła, nienawiści, hańby, sromoty, kalectwa, łaknie świata, — gdyż świat ten, och, wszak znacie świat!

O ludzie wyżsi, za wami tęskni ona, rozkosz ta niepohamowana i błoga,—za waszym bólem, wy nieudani! Za nieudanem tęskni wszelka rozkosz wieczna.

Gdyż wszelka rozkosz siebie pragnie, przeto chce też i bólu serdecznego! O szczęście, o bólu! O serce, łam się! Ludzie wyżsi, nauczcież mi się tego: rozkosz wieczności chce,

— rozkosz chce wszelkich rzeczy wieczności, — wieczności chce bez dna, bez dna!

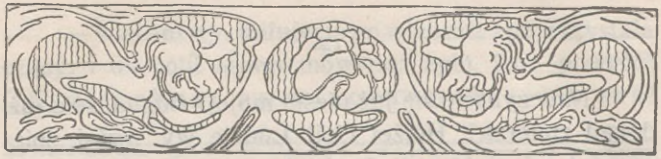
12.

Nauczyliście się już pieśni mojej? Odgadliście już, dokąd zmierza? Hejże! Hej! Ludzie wy wyżsi, śpiewajcież mi pieśń mą okrężną!

Śpiewajcież mi tę pieśń, której imię »Jeszcze raz«, a treść »po wieki wieczne!« — śpiewajcie, o ludzie wyżsi, pieśń okrężną Zaratustry!

Człowiecze! Słysz!
Co brzmi z północnej głuszy wzwyż?
»Jam spał, jam spał —,
»Z głębokich snu się budzę cisz: —
»Świat — głębin zwał,
»Głębszych niż, jawo, myślisz, śnisz.
»Ból — głębi król —,
»Lecz — nad ból — rozkosz głębiej łka:
»Zgiń! — mówi ból —
»Rozkosz za wiecznem życiem łka —,
»— wieczności chce bez dna, bez dna!«





ZNAK.

Rankiem po owej nocy skoczył Zaratustra z łoża, opasał lędźwie i wystąpił ze swej jaskini, płomienny i potężny, jako słońce porane, gdy zza ciemnych wschodzi gór.

»Jasności ty olbrzymia, rzekł, jako niegdyś już przemawiał, ty szczęścia oko głębokie, czemżeby było twe szczęście, gdybyś nie miała t y c h, którym świecisz!

A jeśli w swych komorach pozostają oni jeszcze, podczas gdy ty już czuwasz, już wschodzisz, już darowywasz i rozdajesz: jakżeby dumny twój wstyd złorzeczyć temu miał!

Owo śpią jeszcze ci ludzie wyżsi, podczas gdy j a już czuwam; n i e s ą to moi prawi towarzysze! Nie na nich czekam ja na górach swych.

Do dzieła swego garnę się, i do dnia swego: lecz nie rozumieją oni, które są znaki mego poranku, krok mój — nie jest dla nich pobudką.

Śpią jeszcze w jaskini mej, ich sny spijają jeszcze pijaną pieśń moją. Ucha, któreby ku mnie nasłuchiwało, — ucha posłusznego brak wśród ich członków«.

— Mówił to Zaratustra do swego serca, gdy słońce wschodziło: wówczas spojrzał ku górze, gdyż usłyszał ostry krzyk swego orła. »Hejże! zawołał, po mojej to chęci i tak mi przynależy. Me zwierzęta czuwają, ponieważ ja już czuwam.

Orzeł mój czuwa już i wraz ze mną słońcu cześć oddaje. Szponami orła sięga on po nowe światło. Jesteście me prawe zwierzęta; kocham was.

Lecz brak mi jeszcze swych prawych ludzi!« —

Tako rzecze Zaratustra; wówczas przytrafiło się nagle, że chmara ptactwa zaroiła się wokół niego i zaszumiała mu w uszach, — a łopot skrzydeł i natłok wokół jego głowy był tak wielki, że Zaratustra przymknął oczy. I zaprawdę, jako chmura spadło to nań niespodzianie, jako chmura strzał, co nowego osypuje wroga. Wszelako była to chmura miłości, rozpostarta nad nowym druchem.

»Cóż to dzieje się ze mną?« rzekł Zaratustra do zdumionego serca i osunął się powoli na wielki kamień u wyjścia z jaskini. Wszakże gdy rękoma ponad sobą, wokół siebie i pod sobą chwytał, od tkliwych broniąc się ptaków, wonczas przytrafiło się niespodzianie coś jeszcze dziwniejszego: zanurzył dłoń niepostrzenie w ciepłą gąszcz włochatych kudłów; równocześnie rozległ się ryk wokół niego, — łagodny, przeciągły poryk lwa.

»Znak się jawi«, rzekł Zaratustra, i przeistoczyło się serce jego. I w rzeczy samej, skoro tylko

rozświetliło się nieco wokół, ujrzał u swych nóg żółtego potężnego stworu, przywierającego mu łeb do kolan z miłosnym uporem psa, który starego odnajduje pana. Gołębie świadczyły mu z równą żarliwością miłość swą; i za każdym razem gdy gołąb chrapy lwa musnął, lew grzywą potrząsał, dziwił się i uśmiechał.

Na to wszystko rzekł Zaratustra jedno tylko słowo: »dzieci moje w pobliżu są, dzieci moje« —, i zamilkł zupełnie. Topniało wszakże serce jego, a z oczu poczęły się sączyć łzy kropliste i padać na dłoni. I nie baczył już na nic więcej. Siedział oto znieruchomiały, nie ogarniając się od zwierząt. Wówczas gołębie spłynęły doń, obsiadły mu ramiona, pieściły włos jego siwy, nie nużąc się tkliwością swą i radowaniem. Lew potężny zlizywał wciąż łzy, padające na dłoń Zaratustry, porykiwał i mruczał przytem nieśmiało. Tak oto zachowywały się te zwierzęta. —

Działo się to czas długi, lub czas krótki: gdyż, mówiąc po prawdzie, dla takowych rzeczy niemasz czasu na ziemi —. Tymczasem jednak ludzie wyżsi w jaskini Zaratustry obudzili się wreszcie i ustawiwszy się do pochodu, szli naprzeciw Zaratustry, aby mu pokłon oddać poranny: jako że ocknąwszy się nie znaleźli go już byli w jaskini. Gdy jednak do wrót jaskini doszli i gdy szelest kroków ich uprzedził, najeżył się lew gwałtownie, odwrócił się nagle do Zaratustry i z dzikim rykiem skoczył ku jaskini. Wyżsi zaś ludzie, usłyszawszy ten ryk, krzyknęli chórem jakby jednemi usty, pierzchli z powrotem i w mgnieniu oka zniknęli wszyscy.

Zaratustra wszakże oszołomiony i obcy temu

wszystkiemu, powstał z kamienia, obejrzał się wokół, zdumiewał się, pytał się serca swego, rozważał i czuł się samotny. »Cóżem ja to słyszał w tej chwili? — pytał wreszcie powoli, cóż to przytrafiło mi się w tej oto chwili?«

Już nawróciło ku niemu wspomnienie, jednem spojrzeniem pojął wszystko, co się między wczoraj i dziś przytrafiło. »Oto kamień, mówił gładząc swą brodę, na którym wczoraj zrana spoczywałem, tu oto przystąpił do mnie wróżbiarz, tu też usłyszałem po raz pierwszy ów krzyk, który teraz właśnie odbił mi się znów o uszy, wielkie wołanie na ratunek.

O, ludzie wyżsi, o waszej to niedoli wieścił mi wczoraj rankiem ów stary wróżbiarz, —

— ku waszej niedoli zwieść mnie on chciał i nią kusić: o, Zaratustro, rzekł do mnie, przychodzę, abym cię do twego ostatniego grzechu skusił.

Do mego ostatniego grzechu? — wykrzyknął Zaratustra i śmiał się gniewnie z własnych słów: cóż to zachowanem mi zostało, jako grzech mój ostatni?«

— I raz jeszcze pogrążył się Zaratustra w sobie, przysiadł ponownie na wielkim kamieniu i rozważał. Nagle skoczył na nogi, —

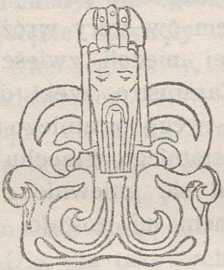
— Współczucie! Współczucie z człowiekiem wyższym! wykrzyknął i oblicze jego przeistoczyło się w spiż. Hejże! Temu — minął już czas!

Moje czucie i współczucie — cóż na tem zależy! Baczęż ja szczęścia? Dzieła mego baczę!

Hejże więc! Przyszedł lew, dzieci me w pobliżu są, Zaratustra źrzałym się stał, godzina ma nadeszła: —

Mój to poranek, mój dzień świta: bywaj mi, bywaj, wielkie ty moje południe!« — —

Tako rzekł Zaratustra i opuścił swą jaskinię, płomienny i potężny, jako słońce poranne, gdy zza ciemnych wschodzi gór.



SPIS RZECZY.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

PRZEDMOWA ZARATUSTRY.

Strona

O nadczłowieku i o ostatnim człowieku 3

MOWY ZARATUSTRY.

O trzech przemianach 25
O kazalnicach cnoty 28
O zaświatowcach 32
O wzgardzicielach ciała 37
O radości i namiętnościach 40
O bladym przestępcy 43
O czytaniu i pisaniu 47
O drzewie na wzgórzu 50
O kaznodziejach śmierci 54
O wojnie i o ludzie wojennym 57
O nowym bożku 60
O muchach na rynku 64
O czystocie 69
O przyjacielu 71
O tysiącu i jednym celu 74
O miłości bliźniego 78
O drogach twórcy 81
O starej i młodej kobietce 85
O ukąszeniu żmii 89
O dziecku i o małżeństwie 92
O wolnej śmierci 95
O cnocie darzącej 99

CZĘŚĆ DRUGA.

Strona

Dziecię ze zwierciadłem 109
Na wyspach szczęśliwości 113
O litościwych 117
O kapłanach 121
O cnotliwych 125
O hołocie 130
O tarantulach 134
O sławnych mędrcach 139
Pieśń po nocy 143
Pieśń taneczna 146
Pieśń grobowa 150
O przezwyciężeniu samego siebie 155
O ludziach wzniosłych 160
Z krainy oświaty 164
O niepokalanem poznaniu 168
O uczonych 173
O poetach 176
O wielkich zdarzeniach 181
Wróżbiarz 186
O wyzwoleniu 192
O roztropności ludzkiej 199
W najcichszą godzinę 204

CZĘŚĆ TRZECIA.

Pielgrzym 211
O widmie i zagadce 216
O szczęśliwości wbrew woli 223
Przed wschodem słońca 228
O cnocie zmniejszającej 233
Na górze Oliwnej 241
O mijaniu 246
O odszczepieńcach 251
Powrót 257
O trzech złach 263

Strona

O duchu ciężkości 270
O starych i nowych tablicach 276
Powracający do zdrowia 304
O wielkiej tęsknicy 313
Druga pieśń taneczna 317
Siedm pieczęci. (Czyli: Pieśń na »tak!« i »amen!«) 323

CZĘŚĆ CZWARTA I OSTATNIA.

Obiata miodowa 331
Wołanie na ratunek 336
Rozmowa z królami 341
Pijawka 347
Wiła 352
Wysłużony 361
Najszpetniejszy człowiek 367
Dobrowolny żebrak 374
Cień 380
W południe 385
Powitanie 390
Wieczerza 398
O człowieku wyższym 401
Pieśń posępku 416
O nauce 422
Wśród cór pustyni 426
Przebudzenie 433
Swięto ośle 438
Pieśń pijana 443
Znak 454

Biblioteka
T.1
30878/2
WAP
Naukowa